

**EMILIE
RICHARDS**

ULICA PRZEZNACZENIA

Przełożyła:
Klaryssa Słowiczanka



PROLOG

Grudzień 1999

Mijając stację benzynową i zajazd Grangera, niejednen mógł poczuć się tak, jakby po ciężkiej mitrędze przekraczał metę biegu maratońskiego. Dla Faith Bronson był to widomy znak, że podróż z pełnej wyrafinowania Wirginii do wiejskiej Wirginii Zachodniej dobiega końca. Zbliżała się do swojego weekendowego domku. Prawie usłyszała pełen złości i śmiechu krzyk swojej córki, Remy, dręczonej przez rozpieranego energią brata, Aleksa. Tak zwykle bywało, gdy przyjeżdżali tu całą rodziną. Faith kochała niewyczerpaną witalność syna, ale w takich chwilach najchętniej związałyby mu ręce i nogi i zamknęła w komórce o chlebie i wodzie.

David, mąż Faith, twierdził, że stacja Grangera, ze staromodnymi dystrybutorami i górami opon, zawsze pełna ogromnych ciężarówek, jest tym punktem, gdzie

serce zaczyna bić spokojniej, a oddech się wyrównuje. Tu David rozpiął koszulę i swobodniej ujmował kierownicę, jakby jakiś niewidzialny sędzia spuścił wreszcie go z oka.

Tego ranka, na dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem, Faith jechała sama. Wreszcie ujrzała tonącą w tandetnych dekoracjach świątecznych stację. Zatrzymała się, żeby zatankować. Półtorej godziny jazdy w absolutnej ciszy, za którą tak tęskniła, tak naprawdę okazało się nużące.

- Dzień dobry, pani Bronson, i wesołych świąt - przywitał ją stary, chudy jak tyka Tubby, właściciel zajazdu i stacji.

- Wesołych świąt, Tubby. - Otworzyła bak i podeszła do dystrybutora, ale Tubby sam postanowił ją obsłużyć.

- Mam pretekst, żeby pobyć chwilę na powietrzu - powiedział. - Piękny dzień dzisiaj mamy.

Rzeczywiście, przyznała Faith w myślach. Było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. O świcie obudziły ją promienie słońca. Odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Chyba jeszcze nigdy nie widziała równie wspaniałego wschodu słońca. David nie mógł go podziwiać razem z nią, wyjechał bowiem w ostatnią podróż służbową w tym roku, a Alex, zwykle czuły na cuda Matki Natury, złościł się, że go wyciągnęła z łóżka. Miał już jedenaście lat i łudziła się, że wyrósł z okresu grymaszenia.

Wyprawiwszy dzieci do szkoły, ciągle chodziła po domu jak zaczarowana. Pielęgnując magiczny nastrój, zadzwoniła do matki i poprosiła, żeby Lydia odebrała dzieci ze szkoły i wzięła je do siebie na noc.

Lydia Huston, przeczulona na punkcie własnej pozycji żona senatora, sprawdziła terminarz wypełniony dobroczynnymi obiadami, wizytami w salonie piękności i sesjami zdjęciowymi. Co prawda to okres świąteczny, nie zapomniała przypomnieć córce, ale oczywiście nie odmówi i zajmie się wnukami, prosi tylko, żeby Faith oszczędziła jej na przyszłość podobnych niespodzianek.

Bała się, że wezmą ją za wariatkę, ale odwołała zebranie w sprawie przyjęcia bożonarodzeniowego dla nauczycieli, zapakowała się i ruszyła w drogę.

- Widziała pani dzisiaj wschód słońca? - zapytał Tubby.

Faith ucieszyła się, że znalazła bratnią duszę.

- Pan na Wysokościach musiał zaplanować coś wielkiego na dzisiaj.

- Tylko dla tych, którzy widzieli. Nie dla każdego. Żadnego końca świata nie miał w zamiarach, to nie to.

Faith zerknęła na dystrybutor i wyjęła z portfela dwudziestodolarowy banknot.

- Cieszę się, że to mówisz. Myślałam, że padnę na kolana. To było takie wspaniałe.

- Czekam na następnego wnuka, mam nadzieję, że dzisiaj się urodzi. - Tubby odwiesił wąż na miejsce i zamknął bak. - A paru?

- Ja? A czy zawsze musimy oczekiwać zmian na lepsze?

Tubby skrzywił się. Jego twarz wyglądała teraz jak wyżęta gąbka.

- Nie - powiedział w końcu. - Kiedy umierał mój tato, wschód był taki, że o mało nie oślepnę, jakem patrzył w słońce.

Faith nagle poczuła ciężar wszystkich problemów, z którymi borykała się w ostatnich miesiącach.

Tubby patrzył na nią wyczekująco, chciał usłyszeć odpowiedź.

- Ja? Byłam zdumiona i oszołomiona, to prawda, ale żeby zaraz...

- Mówię pani, coś wielkiego się szykuje. - Tubby wziął banknot i wydał resztę. - Potrzebuje pani coś jeszcze, czy pan Bronson kupił już wszystko?

Pytanie zbiło ją z tropu.

- David? Nie, on wyjechał służbowo.

- A już myślałem, żeście się państwo wyrwali do domku, żeby odpocząć trochę od dzieciaków.

- Przyjedzie wieczorem, prosto z lotniska. - Nie mogła się dodzwonić do Davida do Seattle. W hotelu go nie było, zostawiła więc wiadomość w poczcie głosowej jego telefonu komórkowego, a drugą u sekretarki. Z lotniska Dulles mógł dojechać do domku w godzinę.

- Wydawało mi się, że go widziałem, jak jechał tędy wczoraj wieczorem. - Tubby przetarł przednią szybę volvo Faith. - Widać się pomyliłem.

- Jest w stanie Waszyngton, ma wystąpienie na konferencji.

- Na temat modlitwy w szkole?

David i Tubby prowadzili niekończące się przyjacielskie dyskusje o kondycji świata. David, absolwent uniwersytetu Harvarda, dyrektor konserwatywnej organizacji Nadzieja Dzieciom popierającej wartości rodzinne, lubił się dzielić swoimi poglądami z każdym, kto gotów był go słuchać. Tubby nie skończył nawet szkoły średniej, ale na każdy temat miał własne zdanie.

- Tym razem mówi o konieczności kontrolowania mediów.

- Niech go Bóg błogosławi - powiedział wyraźnie zadowolony Tubby.

Bóg błogosławi całą rodzinę Bronsonów, pomyślała Faith z wdzięcznością. Piękne, mądre dzieci, dobre zdrowie, zamożność, małżeństwo zbudowane na wspólnych przekonaniach. Jeśli nawet ostatnio Faith i David z trudem się porozumiewali, był to drobiazg łatwy do naprawienia. Wystarczy trochę pracy.

Może zaczną dziś wieczorem?

- Jadę - powiedziała Faith. - Dzięki za pomoc.
- Zapaliła silnik i pomachała Tubby'emu.

W drodze nie przestawała myśleć o małżeńskich problemach. Wystarczyła jakaś niewinna uwaga, by wracały do niej z nową siłą.

Kochała Davida. Był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy zupełnie straciła dla niego głowę. Dotąd nie mogła uwierzyć, że wytworny, charyzmatyczny David Bronson wziął ją sobie za żonę.

Kochał ją. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Przez piętnaście lat małżeństwa nie spojrzał na inną kobietę. Ciężko pracował, często nie było go w domu, ale był oddanym mężem i ojcem. Przyjaciółki zazdrościły jej takiego męża. David żył w zgodzie z zasadami, które głosił.

Problemy małżeńskie były subtelnej natury. Związek Faith i Davida opierał się bardziej na miłości niż namiętności. Coś między nimi zaiskrzyło już podczas pierwszego spotkania. Przegadali wtedy całą noc,

dopóki nie powiedzieli wszystkiego, nie zawierzyli sobie spraw, o których nie mówili nigdy nikomu innemu. Faith przyprawiał o dreszcz dotyk Davida, ale jeszcze bardziej podniecał ją fakt, że David tak uważnie słucha. Po raz pierwszy w życiu ktoś się nią fascynował.

Bez wahania zdecydowała się na małżeństwo.

Seks szybko przerodził się w rutynę, co Faith przyjmowała z filozoficznym spokojem. Łączyła ją z Davidem więź duchowa. Chętnie rezygnowała z uczuciowych porywów w zamian za pewność i czułość. Wspólne życie dawało jej satysfakcję.

Tak było do niedawna.

Faith zwolniła i wzięła długi zakręt na Seward Road, skąd odchodziła żwirowa droga prowadząca do domku. David kupił go przed dziesięciu laty jako prezent dla niej na rocznicę ślubu. Obiecywał, że będą tu przyjeżdżać na weekendy tylko we dwoje, bez dzieci, ale nigdy im się to nie udało. Weekendowy domek stał się drugim domem dla całej rodziny. W przyszłości, gdy dzieci dorosną, może to one będą tu spędzać romantyczne chwile...

Dzisiaj rano, patrząc na wschodzące słońce, zastanawiała się, czy nie ponosi winy za kłopoty małżeńskie. Od kilku miesięcy nie sypiali ze sobą. David wyjeżdżał częściej niż zwykle, a nawet kiedy był w domu, twierdził, że jest wykończony, ilekroć próbowała się do niego przytulić.

Tak, wina musiała leżeć po jej stronie. Miała zbyt mało cierpliwości. A może zbyt dużo? Zbyt mało zrozumienia dla męża żyjącego w ciągłym napięciu. A może zbyt wiele? Zbyt mało wymagała? David był

człowiekiem wyczulonym na potrzeby innych, może więc powinna mu uświadomić, że zbyt pochośnie zapomina o własnych?

Z entuzjazmem zaplanowała tę noc poza domem. Zapakowała świece, dobre jedzenie, świeże kwiaty, olejek do masażu oraz prezent, który kiedyś sobie sprawiła i nigdy dotąd nie włożyła: koronkową koszulkę nocną.

Zjechała na drogę prowadzącą do domku i zwolniła. W oddali widziała ośnieżone szczyty górskie, ale tu ziemia była nadal brązowa, pokryta igliwem i suchymi liśćmi.

Nagle zza drzew zabłysła srebrna karoseria hondy Davida.

Faith zatrzymała się przed domkiem. Nie zastała dzisiaj Davida w hotelu, ale uznała, że musiał wyjść na chwilę przed jej telefonem. Kiedy Tubby powiedział, że widział jego samochód poprzedniego wieczoru, puściła tę uwagę mimo uszu. Tymczasem David był w domku, i to najpewniej już od dłuższego czasu.

Skonsternowana siedziała bez ruchu. Liczyła, że zdąży wszystko przygotować: świece, spokojna muzyka. Teraz czuła się jak idiotka. Jak ma się zachować? Wejść do domku objuczona torbami pełnymi zakupów, z nadzieją, że David nie wybuchnie śmiechem?

Musiał wyjechać wcześniej z Seattle i zamiast wrócić do domu, żeby pomóc w świątecznych przygotowaniach, przyjechał tutaj, by popracować w spokoju.

Ostatnio myślał prawie wyłącznie o swojej pracy i w ogóle nie zastanawiał się, czy Faith potrzebuje jego pomocy.

Postanowiła zostawić zakupy w samochodzie.

Wreszcie powinna rozmówić się z mężem, nazwać po imieniu problemy, z którymi się borykali. Jeśli rozmowa się uda, później wspólnie wypakują torby z prowiantem.

Postanowiła zaskoczyć Davida, chciała zobaczyć jego reakcję. Cicho otworzyła drzwiczki samochodu, chociaż kamienny domek był prawie dźwiękoszczelny. David zapewne siedział w wyłożonym sosnowymi deskami gabinecie, który sam urządził. Zastanawiała się, czy po raz pierwszy przyjechał tutaj, nic jej o tym nie mówiąc.

Czego jeszcze nie wiedziała o swoim mężu?

Drzwi były zamknięte na zamek, więc musiała odszukać klucz. Zaskrzypiały przy otwieraniu, ale David nie pojawił się w salonie. Od kiedy zaczęła się szkoła, nie przyjeżdżali tu zbyt często. Powietrze było ciężkie. David nie pomyślał, żeby otworzyć okna i przewietrzyć. Na gzymsie kominka leżała gruba warstwa kurzu, w rogu pod sufitem pajak rozsunął ogromną pajęczynę. W pokojach było ciepło, choć nie palił się ogień.

Usłyszała cichy jęk i zamarła. Doszedł nie z gabinetu, tylko z pokoju w głębi korytarza.

Nie była w stanie zrobić kroku. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała w napięciu. Już miała zawołać Davida, gdy usłyszała, że coś szurnęło po podłodze, zaraz potem rozległ się śmiech.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie swojego męża w sypialni. Przesuwał jakiś mebel albo próbował otworzyć okno. Żeby się do niego dostać, trzeba było wejść na taboret, który stał pod łóżkiem. Trudno zliczyć, ile razy David, zrzucając kaptcie przed pój-

ściem spać, uderzał w niego palcami. Pewnie teraz postanowił się zdrzemnąć, zzuł buty i...

Ruszyła w stronę sypialni, robiąc przy tym tyle hałasu, że mogłaby obudzić niedźwiedzia podczas zimowego snu.

- Davidzie, jesteś tam?

Położyła rękę na klamce i nie wiedzieć czemu zawahała się. Przypomniał się jej dzisiejszy wschód słońca. Boże oznajmienie.

I przecucie, że nie będzie to dobra wieść.

Pomimo wszystko otworzyła drzwi. W zalanym promieniami słońca pokoju zobaczyła dwóch mężczyzn: swojego męża i człowieka, którego widziała już wcześniej, ale nigdy nagiego w objęciach kochanka. Abraham Stein, liberalny dziennikarz, który często atakował organizację Nadzieja Dzieciom, teraz z namiętną czułością tulił w ramionach Davida.

Twarz Davida zrobiła się blada jak płótno. Szybko zasłonił się dłońmi, chcąc ukryć erekcję. Nie przed Abrahamem, tylko przed spojrzeniem kobiety, która od piętnastu lat była jego żoną.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ile razy w życiu można skreślać własne marzenia? Przeżywać koniec świata, w którym się dotąd żyło?

- Proszę jeszcze złożyć podpis w tym miejscu, pani Bronson. - Carol Ann z agencji nieruchomości, która przeprowadzała sprzedaż domu Bronsonów, podsunęła Faith kolejny dokument. - Niech pani nie zapomni o dacie - powtórzyła po raz pięćdziesiąty tego popołudnia. - Siódmego sierpnia.

- Raczej mało prawdopodobne, żebym zapomniała. - Faith złożyła elegancki podpis.

- Prawie skończyliśmy. - Carol Ann, która chyba nie miała nazwiska, delikatnie stuknęła dłonią w blat stołu, jakby miało to podnieść Faith na duchu.

Pewnie chciała dobrze, ale Faith poczuła do niej nagłą antypatię. Miała starannie wydepilowane brwi, uśmiech, który zamieniłby parę w płatki śniegu. Załatwiła kolejną transakcję. Kolejne życie uległo destabilizacji.

- A teraz pan, panie Bronson. Ostatni podpis i już koniec.

Faith podsunęła dokument Davidowi. Siedział sztyw-

no, bez ruchu, jakby nie chciał przypominać żonie o swojej obecności.

Od czasu kiedy zastała go w objęciach kochanka, widzieli się zaledwie kilka razy i zawsze przyjmował tę samą, martwą postawę. Jakby bał się, że się rozsypie na kawałki lub nie wiedział, co zrobić ze swoim ciałem. W końcu było to nowe ciało, nowe życie, nowy świat, w który wkraczał.

Gej, jej mąż.

David złożył podpis łądząco podobny do podpisu Faith. Często śmiali się, że z uwagi na bardzo podobne charaktery pisma mogliby wzajemnie podrabiać swoje podpisy. Kiedyś lekkomyślnie uznała to za jeszcze jedną oznakę braterstwa dusz...

Jak człowiek tak bliski jej usposobieniem i wyznający te same wartości, mógł zadać aż taki ból?

- Wszystko załatwione. - Carol Ann energicznym ruchem zebrała papiery. - Mam nadzieję, że nie będziecie mieli państwo żadnych zastrzeżeń - zwróciła się do siedzącego po drugiej stronie stołu młodego małżeństwa, które właśnie kupiło dom Bronsonów. - Proszę dzwonić, jeśli pojawią się jakieś pytania.

Uśmiechnęła się ciepło do Davida. Faith była pewna, że dziewczyna wie, dlaczego doszło do sprzedaży. Wszyscy wiedzieli. Skandal obyczajowy, którego głównym bohaterem był dyrektor organizacji Nadzieja Dzieciom, opisywały brukowce, zaś David niczemu nie zaprzeczał, tylko publicznie potwierdził, że jest gejem.

Niestety, Faith nie była jedynym intruzem w domku tamtego grudniowego dnia. Zastłyszawszy jakieś plotki w Seattle, pewien kolega Abrahama pojechał za kochankami do Wirginii i przyczaił się w lesie.

Nawet jeśli nie wiedział, co naprawdę dzieje się w środku, to ucieczka zapłakanej Faith i głośne nawoływanie Davida upewniły go we wcześniejszych podejrzaniach.

David miał raz na zawsze zszarganą opinię.

Carol Ann wstała.

- Jeśli macie państwo jeszcze jakieś pytania...

- Dziękuję. - Faith wzięła torebkę i niebieski blezer, który dostała od matki pod choinkę.

Spakowała wszystkie rzeczy, które kiedykolwiek kupił jej David, bowiem nosząc je, czuła się tak, jakby pozwalała mu się dotykać.

- Na pewno wyprowadzi się pani do końca miesiąca? - zagadnęła nowa właścicielka domu Bronsonów.

Faith czuła, że młoda kobieta nie potrafi docenić zalet nowej siedziby, pięknego ogrodu, eleganckich tapet w sypialni.

- Proszę się nie martwić. - Faith zarzuciła blezer na ramiona. - Mam nadzieję, że będzie się wam tu dobrze mieszało - skłamała gładko, jak przystało na dziecko senatora.

- Mam nadzieję, że jakoś się urządzimy. Jest zastój na rynku, nie mogliśmy znaleźć nic, co by nam naprawdę odpowiadało.

Faith na moment zapało dech w piersiach. Spojrzała na Davida. On też był wstrząśnięty. Kochał ten dom tak samo jak ona. Zbudowali go według projektu najlepszego architekta. David sam rozplanował ogród, zainstalował system zraszaczy, ostatniej jesieni zrobił nawet urokliwe oczko wodne. Latem zamierzali posadzić lilie wodne, tymczasem nowi właściciele zażądali zasypania „dołu”.

- Podwieźć cię? - zapytał David, zanim Faith zdążyła odwrócić wzrok.

- Matka po mnie przyjedzie - odpowiedziała, odzyskując głos.

- Mogę...

- Nie. - Przewiesiła torebkę przez ramię, pożegnała się z Carol Ann i wyszła, zanim David zdążył cokolwiek powiedzieć.

Od tamtego grudniowego dnia spotykała się z mężem wyłącznie w obecności adwokata albo ojca. Joe Huston, senator z Wirginii, był z nią, kiedy David poinformował Faith, że został wyrzucony z organizacji Nadzieja Dzieciom. Musiał zwrócić wszystkie bonusy, które otrzymywał w fundacji i które przez lata troskliwie inwestował. Załamanie na giełdzie do reszty zrujnowało Bronsonów. Został im tylko dom w McLean i domek w Wirginii Zachodniej.

Tego ostatniego Faith pozbyła się bez żalu.

Spotkanie skończyło się wcześniej, niż myślała i teraz musiała czekać na matkę.

Volvo, które wzięła w leasing i na którego kupno nie miała teraz pieniędzy, zwróciła dealerowi i zaczęła się rozglądać za jakimś używanym autem w przyzwoitym stanie.

Podszedł do niej David. Niechętnie spojrzała na człowieka, który do zakończenia sprawy rozwodowej nadal będzie jej mężem.

- Proszę, nic nie mów. Nie chcę słyszeć, jak bardzo jest ci przykro. To nie ma znaczenia - powiedziała cicho.

- Owszem, przykro mi, że jesteś zdenerwowana.

Nie płakała. Wypłakała już wszystkie łzy. Przez

ostatnich osiem miesięcy, kiedy dzieci nie było w pobliżu, pogrążała się na nowo w smutku.

- Odjedź stąd. Dzieci nie chcą cię widzieć, a zaraz przyjadą z moją matką.

- To musi się zmienić.

David, jak zwykle, miał na sobie garnitur. Ubrania, które posiadał, mogły starczyć mu na lata bezowocnych poszukiwań pracy, chyba że nadal będzie tracił na wadze. Zawsze był szczupły, ale teraz wychudł jak szczapa i do tego posiwiał.

- Nie zamierzam niczego zmieniać. Nie nastawiam ich przeciwko tobie. Staram się w ogóle o tobie nie mówić, ale Remy i Alex dobrze rozumieją, co się stało i jak do tego doszło. Żadne z nich nie jest gotowe spotykać się z nowym tobą.

- Nie ma we mnie nic nowego.

- Słusznie. Jest tylko coś, o czym zapomniałeś nas powiadomić.

- Coś, z czym zapomniałem się zmierzyć, Faith.

Nie wiedziała, co w nią nagle wstąpiło. Właśnie pozbyła się domu i nie potrafiła pogodzić się z jego stratą. Jednocześnie czuła, że spadł jej z ramion ogromny ciężar.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy się kochaliśmy i czułeś do mnie obrzydzenie, nie chciałeś się do tego przyznać przed samym sobą?

- Na litość boską, nie wymyślaj sytuacji, które nigdy nie miały miejsca. Jak możesz wierzyć, że to prawda?

- Wierzyłam w wiele rzeczy, które okazały się nieprawdą.

- Ja też chciałem wierzyć. - Zbliżył się o krok.

- Chcę, żebyś to zrozumiała. Nie dopuszczałem do siebie myśli, kim jestem. Może się okłamywałem, ale było mi z tym dobrze.

- Dopóki nie pojawił się Abraham Stein. Liberalny dziennikarz... Bo na pewno nie nawrócony chrześcijanin. Ile wolt może wykonać jeden człowiek, Davidzie?

- Pojawienie się Hama nic nie zmieniło. Żyłem w kłamstwie, krzywdziłem cię. Siebie też.

- Naprawdę? Zabawne, bo mnie całkiem to odpowiadało. Miałam męża, którego uwielbiałam. Dwoje wspaniałych dzieci, dom, szacunek ludzi. Teraz mam tylko prawdę i nic więcej, poza dziećmi, które nie mogą dość do siebie. Pod koniec miesiąca nie będziemy nawet mieli gdzie mieszkać. Przeniesiemy się do moich rodziców.

- Miałaś męża, który nie potrafił cię kochać tak, jak na to zasługujesz. - Położył dłoń na jej ramieniu,

a kiedy usiłowała się odsunąć, wzmocnił uścisk.

- W końcu mnie wysłuchaj. Zasługujesz na coś lepszego. Zasługujesz na człowieka, który nie będzie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu, do ciebie, i nie będzie chciał cię zostawiać każdego ranka. Nie na przyjaciela. Na kochanka.

Stała bez ruchu, tylko w jej głosie dało się słyszeć pogardę.

- Robiłeś to dla mnie? Z litości?

- Nie o tym mówię.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś już nigdy więcej mnie nie dotykał.

David opuścił rękę.

- Moja przypadłość nie jest zaraźliwa.

- Nie? Pewne rzeczy, które się z nią wiążą, są.

- Mój adwokat mówił ci, że nie kochałem się z tobą od momentu, kiedy poznałem Hama, natomiast wcześniej nigdy cię nie zdradziłem. Nie musisz bać się HIV.

- Niezależnie od wszystkiego zrobiłam badania. Dlaczego miałabym ci ufać?

- Jeśli uwierzysz, że byłem ci wierny, może zrozumiesz, jaką walkę toczyłem ze sobą. Nie byłem tym, kim chciałem być, ale starałem się, żebyś ty przynajmniej była szczęśliwa. Starałem się. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa.

Faith nie mogła powstrzymać się od sarkazmu.

- Och, dziękuję bardzo, że tak się poświęcałeś.

- Faith...

- A może robiłeś to dla swojego ojca? Albo dla mojego? Twój tatuś umarł przekonany, że wychował idealnego syna, a mój widział cię już na swoim miejscu w senacie.

- To był pomysł Joego.

Faith jakby nie usłyszała uwagi męża.

- Może walczyłeś o postać, którą sam stworzyłeś? David Bronson, wzór doskonałości, obrońca cnót rodzinnych wskazujący innym drogę.

- Chciałem być taki, Faith. Dla was.

Nie była aż tak zła, żeby mu nie współczuć. Być może nie wylała jeszcze wszystkich łez, bo nagle zebrało się jej na płacz.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Na początku... Zanim... zanim to się zdarzyło.

- Nie mogłem powiedzieć ci czegoś, o czym nie potrafiłem powiedzieć samemu sobie.

- Chcesz powiedzieć, że przed naszym ślubem nie pociągali cię mężczyźni?

- Homoseksualizm to grzech. Nie mogłem uwierzyć, że jestem...

- Gejem - rzuciła, powstrzymując łzy. - Mówi się gejem. To dobre określenie, nieobraźliwe. Alex w szkole usłyszał inne, kiedy rozpętała się afera. Remy też używa innego, kiedy wypłakuje oczy.

David drgnął.

- Nie chciałem ich skrzywdzić.

Zanim gazety zaczęły się rozpisywać na temat Davida, ich małżeństwo rozpadło się definitywnie, ale Faith nadal prześladowało pytanie, które musiała mu zadać.

- Dlaczego nie próbowałeś tego zatuszować? Zaprzeczyć? Dlaczego się ujawniłeś, Davidzie? - Mimo woli łzy napłynęły jej do oczu. - A gdybym nie zobaczyła cię z Hamem, czy nadal byś się ukrywał? Gdybym nie przyjechała tamtego dnia do domku, gdyby nie przyplątał się ten dziennikarz, nic byś mi nie powiedział? Czy nadal żylibyśmy jak przedtem?

- Chciałabyś tego? Wiedząc to, co wiesz?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

- Chciałem ci powiedzieć, szukałem sposobu. - Usiłował się uśmiechnąć, ale na jego twarzy pojawił się tylko upiorny grymas. - Przygotowywałem się, zastanawiałem się, jakich słów użyć.

- Jedna scena warta była miliona słów.

Wyjął chusteczkę z kieszeni i podsunął Faith. Zawsze miał sztywno wykrochmalone chustki do nosa. Kiedyś ona o to dbała. Pokręciła głową.

- Pojadę już. Wiesz, gdzie mnie szukać, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

- Pomożesz mi pozbierać się?

- Masz moją przyjaźń.

Faith nie miała nic więcej do powiedzenia. Odwróciła się plecami do Davida.

- Ja i twoja przyjaźń... Pomyśl przede wszystkim o dzieciach, Davidzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kobieta, którą nieustannie dręczą koszmary, woli nie spać, ale lata bezsenności zostawiają swój ślad. Od prawie czterdziestu lat Lydia Huston bała się zamknąć oczy.

Tuż przed menopauzą pojawiły się oznaki poważnego wyczerpania, ale radość życia ulotniła się znacznie wcześniej. Jadła tylko wtedy, kiedy musiała, a najmniejszy wysiłek przerastał jej możliwości. W ostatnich miesiącach zaczęła tracić włosy, na gładkiej dotąd twarzy pojawiły się zmarszczki.

W koszmarach była nadal młoda. Już nie debiutantka wsparta na ramieniu ojca, ambasadora, nie panna młoda wychodząca z kościoła z mężem kongresmanem, ale świeżo upieczona matka, samotna i przerażona.

W snach dom, w którym się znajdowała, spowijał mrok, a ona błądziła po ciasnych pokojach i wąskich korytarzach.

Szła po omacku wzdłuż ścian, zawadzała o dywany, przewracała się, zupełnie traciła orientację.

Potknęła się o stopień schodów i chwyciła poręcz, żeby nie upaść. Powoli zaczęła posuwać się do góry.

Cały dom wypełniała głośna muzyka. Lydia miała ochotę zatkać uszy. Wpatrywała się w mrok, usiłowała odgadnąć, skąd dochodzi skomlenie, ale muzyka zagłuszała wszystko, dźwięki narastały w szalonym crescendo.

Postawiła stopę na trzecim stopniu. Na czwartym poręcz nagle się kończyła i Lydia omal nie upadła. Poręcz powinna tu być, zawsze była. Ale nie tego dnia.

Tego dnia. Nie tej nocy. Jest dzień, chociaż wokół zalega mrok. Niewidzialny muzyk gra poloneza: Liszt albo Szopen. Oczekiwała walca, nokturnu, czegoś, przez co przebiłby się dźwięk z góry.

Nasłuchiwała podczas długich fermat między jedną frazą a drugą, ale upragniony odgłos nie dochodził.

Weszła na następny stopień. Ktoś albo coś przemknęło obok, omal nie spychając jej ze schodów. Rzuciła się do przodu, odzyskała równowagę i w tej samej chwili muzyka się skończyła.

Lydia usłyszała śmiech. Krótki, demoniczny wybuch, potem kwilenie niemowlęcia i potworna, przytłaczająca cisza.

Chciała iść za tym śmiechem, chciała wołać o pomoc. Zaczynała krzyczeć. I wtedy się budziła.

- Zielone, babciu. Na co czekasz?

Koszmary potrafią prześladować kobiety również najawie, Lydia do tego dopuściła. Nacisnęła na pedał gazu i przejechała skrzyżowanie już na żółtym świetle.

- Poradzę sobie bez twojej pomocy, Alex.

- Zamyśliłeś się. Remy nic ci nie powie, woli, żebym ja dostał burę.

Koszmary odmieniły **Lydię**. Brakowało jej cierpliwości, tolerancji, energii, ale umiała to ukrywać. Odwiedzała szkoły w śródmieściu, potrafiła wydać zaaranżowaną naprędce kolację na pięćdziesiąt osób, zachowywać się tak, jakby jej mąż był mężem opatrnościowym dla senatu. Nie znajdowała jednak radości ani ukojenia w obecności ludzi, których powinna kochać. Opieka nad wnukami, ten miły obowiązek, za którym tęskni większość babć, była dla niej katorgą.

Wjeżdżając na parking, gdzie czekała Faith, rzuciła gniewnie pod adresem Aleksa:

- Nie chcę już słyszeć ani słowa, Alex. Dość powiedziałeś. Nie czepiaj się swojej siostry.

I mnie zostaw w spokoju, dodała w myślach.

- Zawsze jej bronisz.

- Bo ona cię nie szarpie i nie rozdaje kuksańców.

- Nawet jej nie dotknąłem - obraził się Alex.

Lydia obejrzała się do tyłu i spojrzała na nadąsaną buzię wnuka.

- Chcesz wracać pieszo do domu? Droga wolna.

Alex nie odpowiedział. Wygrała potyczkę, ale dzień jeszcze długi.

Zatrzymała się koło córki, otworzyła drzwiczki. Sięgające ramion ciemnoblond włosy Faith lśniły w słońcu. Była blada, ale trzymała się prosto. Tego uczono jej od dziecka. Wsiadając, uśmiechnęła się do Remy i Aleksa.

Lydia starannie ją wychowała.

- Cześć, dzieciaki. Dobrze wam minął dzień?

- A mógł? - bąknęła Remy.

Czternastoletnia wnuczka Lydii była bardzo podob-

na do matki i do babki. Drobna, jasnowłosa, o jasnej skórze, wyróżniała się wśród rówieśniczek.

- A ty co powiesz, Alex? - zapytała Faith.

- Nie wolno mi mówić!

Faith zerknęła na matkę.

- A to dlaczego?

- Bo nie ma do powiedzenia nic, czego chcielibyśmy słuchać.

- Od dawna gniecie się w samochodzie?

Lydia rzuciła córce ostrzegawcze spojrzenie.

- Jeżdżenia po mieście mercedesem nie nazwałabym gniciem się.

- Trochę cierpliwości, Alex - pocieszyła syna Faith. - Niedługo będziemy w domu.

- Psujesz go - sarknęła Lydia.

- Jak można go nie psuć? - Faith porozumiewawczo mrugnęła do syna.

Lydia włączyła się do ruchu.

- Prawdę mówiąc, nie jedziemy do domu. Chyba że koniecznie musicie.

- Dokąd jedziemy?

- Na Prospect Street - powiedziała Lydia, lekko grasejując.

- Teraz? Po co? - zdziwiła się Faith.

- Dom jest pusty.

- Pusty? Nie wynajmujesz go już studentom? Niedługo zacznie się rok akademicki.

- W zeszłym tygodniu się wynieśli. Gospodyni poszła tam, bo trzeba zreperować okno na poddaszu. Zastała dom pusty. - Lydia przyspieszyła i zmieniła pas. - Całe rano spędziłam przy telefonie, próbując ich odszukać. Okazuje się, że jeden ma staż gdzieś w Dys-

tryckie Kolumbii, drugi przeniósł się do swojej dziewczyny. Trzeci nie mógł znaleźć nowych współlokatorów i będzie dojeżdżał na zajęcia z Marylandu.

- Żaden z nich nawet nie pomyślał, żeby cię zawiadomić?

- Nasza agentka nie przedłużyła umowy. Myślała widocznie, że to niepotrzebne, bo trudno znaleźć mieszkanie w pobliżu uniwersytetu. Zlekceważyła sprawę.

- A co z kaucją?

- Nawet nie próbowali jej odzyskać, bo wiedzieli, że nie mają szans.

Faith spjrzała na Aleksa, który znowu zaczął dokuczać Remy. Lydia na próżno liczyła, że córka w końcu poskromi małego. Był nieznośny, rozbawiony. Nie rozumiała, jak to się stało, że Faith i David, ludzie spokojni i układni, mogli wychować takiego czorta. Bez entuzjazmu myślała, że wkrótce wnuk zamieszka w jej rodzinnym domu.

- Budynek musi być w opłakanym stanie.

- Nie ma co się łudzić, że jest inaczej. - Lydia ze smutkiem myślała o ruinie, w jaką popadł stary dom. - Usiłowałam dowiedzieć się czegoś od agentki, zanim podziękowałam jej za usługi, ale najlepiej będzie, jak sama sprawdzę, co się tam dzieje.

- Nie rozumiem, do czego ci jesteśmy potrzebni.

- Remy nachyliła się do przodu. - Umówiłam się z Megan, miałyśmy iść do kina.

- Nie mam czasu, żeby odwiedzić was do domu - oznajmiła Lydia. - Na litość boską, Remy, tyle dla ciebie robię, mogłabyś raz zrobić coś dla mnie.

- Mamo, dzieci przechodzą trudny okres - powie-

działa Faith cicho. - Okaż im trochę pobłażliwości, dobrze?

- Całymi dniami nie robię nic innego. Od początku lata. - Lydia usłyszała swój ostry ton. Jak nie jej głos. Kiedy się pojawił?

Kiedy łagodna młoda kobieta zamieniła się w nieczułą, wiecznie obrażoną matronę?

Odpowiedź była prosta. Wszystko zaczęło się na Prospect Street.

- Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc - powiedziała Faith z urazą, czemu nie należało się dziwić. Życie, które tyle lat budowała, rozpadło się, a przyszłość była jedną wielką niewiadomą.

- Nie lubię jeździć do Georgetown - zaczęła Lydia już łagodniej. - Chciałam... - Nie dokończyła zdania.

- Przepraszam. Chętnie pojedziemy, jeśli w naszym towarzystwie będzie ci łatwiej. - Faith dotknęła ramienia matki. - W każdym razie ja. Dzieci mogą być naszymi więźniami.

Lydia przypomniała sobie, jak maleńka Faith dotykała jej tym samym gestem i wpatrywała się w nią wielkimi jak spodki oczami, jakby wierzyła, że matka zna odpowiedź na każde pytanie. Lydia odtrącała drobną rączkę. Bała się, tak strasznie się bała, że odpowiedzi, do których doszła w swoim krótkim życiu, mogą zniszczyć jej córkę.

- Nie będziemy tam długo. Chcę tylko zobaczyć, w jakim stanie jest dom. Rok akademicki zaczyna się za kilka tygodni, więc nie będzie czasu na poważniejszy remont. Choć z drugiej strony na ten semestr raczej nie znajdę już lokatorów.

- Powinnaś sprzedać ten dom - powiedziała Faith.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłaś.

- Należał do rodziny mojej matki od chwili, gdy został zbudowany. Któregoś dnia będzie twój, a później może przejmie go Remy.

Faith nachyliła się do matki.

- Za dużo wiąże się z nim cierpień.

Lydia zwolniła, jechała teraz w korku, który zdawał się ciągnąć do samego Waszyngtonu.

- Naprawdę nie rozumiesz?

- Przykro mi, ale nie.

- Na Prospect Street po raz ostatni widziałam twoją małą siostrzyczkę. Jak mogłabym sprzedać ten dom, Faith? Jak?

ROZDZIAŁ TRZECI

Zbudowany z czerwonej cegły stuletni dom na Prospect Street tulił się do swoich sąsiadów niczym stara dama szukająca towarzystwa żyjących jeszcze członków swojego klubu.

Dla Faith emanował dziwnym, zakazanym urokiem. Rzadko tu bywała, ale każda wizyta robiła na niej silne wrażenie. Kiedy była dzieckiem, wysokie sufity zdawały się sięgać chmur. Jako nastolatka widziała w nim pomnik tragedii, która rozdzieliła jej rodzinę, a ją samą uczyniła „odmieńcem”. Gdy na świecie pojawiły się dzieci, starała się omijać Georgetown, by nie pamiętać, jak niewielki miała wpływ na ich losy.

- Dawno nie byłam na Prospect Street - zwróciła się do matki, gdy Lydia zaparkowała w pobliżu domu.

- Nie masz powodu tu przyjeżdżać.

- Alex i Remy nigdy nie byli w środku, prawda?
- zapytała sztucznie pogodnym tonem. Niezbyt dobrze szło jej udawanie.

Remy przewróciła oczami, jak zawsze niecierpliwym

Alex myślał tylko o tym, żeby wreszcie wysiąść z samochodu.

- Mogę?

Zdziwiła się, że syn pyta, i zaraz się skrzywiła, słysząc, jak drzwi z jego strony z hukiem uderzyły o krawężnik.

- Nigdzie nie odchodź. Masz się nas trzymać - zdążyła go jeszcze upomnieć.

- Ja tam nie wejdę - oświadczyła Remy. - Daj mi swój telefon. Muszę zadzwonić do Megan.

- Mówi się „proszę” - poprawiła ją Faith. - Owszem, wejdiesz. Nie chcę, żebyś siedziała tu sama. Jesteśmy w mieście. Grzeczne dziewczynki nie wysiadają tu same w samochodach.

W duchu Faith była przekonana, że jej córce nic się nie stanie. W spokojnym Georgetown, w jasny dzień, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Spróbowała zawrzeć kompromis.

- Dam ci telefon, jeśli wejdiesz do środka. Albo usiądziesz na stopniach przed domem, pod warunkiem, że babcia się zgodzi.

- Niech wejdzie do środka razem z nami - zdecydowała Lydia, wysiadając z samochodu.

- Dlaczego ona ciągle wszystkim rozkazuje? - oburzyła się Remy.

- Bądź grzeczna - napomniała ją matka.

- Z tobą w ogóle nie da się rozmawiać!

No cóż, Faith sama często dochodziła do podobnego wniosku.

- To dom twojej babci i jej samochód. Masz być grzeczna.

Alex tymczasem zawiesił się na gałęzi drzewa,

która sprawiała wrażenie, że lada chwila złamie się pod jego ciężarem.

Kiedy Lydia zmusiła go, żeby przestał, pobiegł przodem, by po chwili z głośnym okrzykiem paść na kolana.

- Patrzcie, kwiaty między cegłami! - Z zapalem zaczął wrywać mleczce rosnące koło chodnika.

- Zostaw go, mamó. Robi przysługę właścicielowi domu - powstrzymała Faith Lydię, zanim ta zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Dziesięciu sekund nie potrafi spokojnie usiedzieć.

- To chłopak. Rozpiera go energia. Powinien biegać i dokazywać. Dziewczynki też, tyle że nas się temperuje od małego.

- Rozumiem, że skarżysz się na sposób, w jaki zostałeś wychowany.

- To była ogólna uwaga natury socjologicznej. Faith spojrzała na córkę, którą ona wychowywała. Spokojna, zrównoważona, oczekująca pochwał, była przeciwieństwem brata. W każdym razie do czasu, gdy jej świat się rozpadł.

- Megan pewnie już wyszła - powiedziała z rezygnacją. - Nie doczekała się mnie i zaprosiła Jennifer Logan do kina.

Megan mieszkała o kilka domów od Bronsonów. Dziewczynki przyjaźniły się od piaskownicy. Było jasne, że dla Remy przeprowadzka będzie prawdziwą katastrofą, bo całe jej życie koncentrowało się wokół koleżanek i kolegów.

- Może przyszłaby do ciebie wieczorem? - zaproponowała Faith. - Mogłaby przenocować. Zapytaj ją, jak się dodzwonisz. Zamówiłybyśmy pizzę.

- Nikt już do nas nie chce przychodzić.

- Jednak zapytaj. Niedługo się wyprowadzimy. Korzystaj z okazji, dopóki możesz.

- Po co? Nie będzie przecież przyjeżdżała do mnie do Great Falls. Jak się wyprowadzimy, przestanie się ze mną przyjaźnić.

Faith nie miała siły przekonywać córki.

- Chodź, Alex.

Podniósł się z kolan z garścią mleczków w dłoni. Po drodze palcem strząsał z zielonych łodyg biały puch, celując w Remy.

- Przestań, Alex! Mamo, widzisz, co on robi?

- poskarżyła się dziewczyna.

Faith pokręciła głową, na co Alex uśmiechnął się szeroko, wyrzucił resztkę mleczy i zadowolony z siebie otrzepał dłonie. Remy pchnęła brata, ale zbyt słabo, by go przewrócić.

Lydia o dziwo nic nie powiedziała, tylko zacisnęła usta.

Mijali budynki podobne do rodzinnego domu Lydii. Prospect Street zaczynała się przy ruchliwej Wisconsin Avenue, pełnej eleganckich butików i drogich restauracji, i biegła w kierunku Georgetown University. Było tu sporo historycznych rezydencji okolonych starodrzewem, skrytych za wysokimi ceglanymi murami. Inne, skromne jak na standardy Georgetown, wynajmowali studenci i młodzi absolwenci. Każdy dom miał swoją historię i zdawał się opowiadać o byłych właścicielach, którzy już dawno odeszli.

Adres w Georgetown był dobrym adresem i ludzie często poprzestawali na płynącym stąd splendorze,

zaniedbując stare siedziby. W jednej obłaziła farba z okiennic, w innej uschnięte drzewa i krzaki prosiły się o wycięcie.

- Powinnam podać agencję najmu do sądu. - Ujawszy się pod boki, Lydia otaksowała elewację swojego domu.

Faith stanęła obok matki. Nigdy tu nie mieszkała, ale zrobiło się jej wstyd.

- Wreszcie się pojawiłaś, Lyddy. Najwyższy czas, żebyś obejrzała tę ruinę - dobiegł kobiecy głos z sąsiedniego domu.

Wiekowa dama stała na niewielkim balkoniku pierwszego piętra, ubrana, pomimo późnej pory dnia, w błękitny peniuar narzucony na koszulę nocną, w błękitnym zawoju na głowie. Była stara jak sędzia Sądu Najwyższego i bezczelna jak stażysta w Białym Domu.

- Nie zwracaj na nią uwagi - szepnęła Lydia. - To bardzo nieciekawa osoba. Dzieci nie powinny jej widzieć. - I już głośniej, ignorując uwagi sąsiadki: - Pozwę agencję. Byli odpowiedzialni za budynek. Nikt mnie nie informował, w jakim jest stanie.

Kobieta zniknęła i Faith znowu spojrzała na dom.

- Kiedy tu byłaś ostatnio?

- Nie bywałam. Po co? Wynajęłam ludzi, którzy mieli się tu wszystkim opiekować. Myślisz, że miałam ochotę użerać się z lokatorami?

Faith była przyzwyczajona do sarkazmu matki, ale wciąż skrycie wierzyła, że w jej lodowatym sercu kryje się choć odrobina ciepła, serdeczności i wyrozumiałości.

W milczeniu notowała w pamięci prace do wykonania

nia. Wyczyścić ceglane elewacje, odmalować okiennice, wprawić brakujące szyby, metalowe poręcze oczyścić i zabezpieczyć przed rdzą, wyciąć uschnięte krzewy...

- Uuuu! W tym domu na pewno straszy - zawyro-
kował Alex, który dołączył do matki i babki.

Faith już go miała uciszyć, ale Lydia była szybsza i chwyciła wnuka za ramię.

- Nigdy nie mów takich rzeczy w mojej obecności, rozumiesz? Twojej mamie może podobają się takie żarty, ale nikomu poza nią.

Alex stał bez ruchu, lecz jego mina mówiła wszystko. Faith uznała, że musi interweniować.

- Mamo, on nie chciał...

- To mnie nie obchodzi. - Lydia z wyraźnym ociąganiem cofnęła rękę.

- Idźcie z Remy przodem. - Faith wyjęła z torebki telefon komórkowy i podała córce. - Ja i Alex za chwilę do was dołączymy. Ktoś musi mu wytłumaczyć, dlaczego jesteś taka zła.

Lydia zamarła na moment, po czym szybko ruszyła ku drzwiom wejściowym.

- Ojej, nie mogę tu zostać? - jęknęła Remy.

- Wykluczone. Idź z babcią. I postaraj się jej nie przeszkadzać.

- Nie obchodzi mnie, czemu się wścieka. Zawsze jest wściekła - burknął Alex, kiedy babka i siostra zniknęły we wnętrzu domu.

- Jest dzisiaj rozdrażniona. - Faith usiadła na stopniach i gestem zaprosiła syna, by usiadł obok. Alex przytulił się do niej, położył ciemnorudą główkę na jej ramieniu. - Przykro mi, kochanie. Babcia nie

umie obchodzić się z dziećmi, a już na pewno nie z chłopcami.

- Dlaczego się rozłościła? Że żartując, powiedziałem o duchach?

Faith spróbowała odwołać się do najbardziej oczywistych faktów.

- Na pewno pamiętasz, co się stało z moją siostrą. Słyszałeś tę historię setki razy.

- Porwali ją. - Alex wzruszył ramionami. - To wszystko, co wiem.

- Babcia i dziadek dawno temu mieszkali w tym domu.

- Wygląda, jakby od tamtego czasu stał pusty. Dlatego powiedziałem o duchach.

Faith poklepała syna po kolanie.

- Nikt się nie opiekował tym domem, ale od zawsze należał do rodziny babci. Wprowadziła się tutaj zaraz po ślubie i wkrótce potem urodziła się moja siostra.

- Hope. To już wiem.

- No właśnie. Babcia położyła Hope do kołyski i wyszła z pokoju. Kiedy później zajrzała do niej, dziecka już nie było.

- Zniknęła.

- I nigdy jej nie znaleźli, chociaż setki policjantów szukały jej w całym kraju. Dotąd nie wiadomo, co się stało.

Alex usiłował coś zrozumieć z tej zawiłanej i tajemniczej historii.

- To było dawno temu. A ja nikogo nie porwałem. Dlaczego złości się na mnie?

- Nie złości się, tylko... Kiedy tu przyjeżdża, robi

się jej smutno, bo ten dom przypomina jej Hope. Może nie byłoby jej tak trudno, gdyby wiedziała, co się stało z jej córeczką, ale tego nikt nie wie. Babcia nigdy się z tym nie pogodziła.

- Rozumiem więcej, niż myślisz - powiedział Alex dojrzałym tonem.

Faith coraz częściej słyszała w głosie syna tę nową nutę.

- Cieszę się.

- Kiedy powiedziałem, że w domu są duchy, pomyślała o Hope?

- Tak. Chodziły plotki, że czasami z pokoju na drugim piętrze dochodzi płacz dziecka.

- Oookropne!

- Owszem. Ludzie lubią opowiadać takie straszne historie.

Alex wstał, bo znudziło mu się już siedzieć w jednym miejscu.

- Chciałbym tu mieszkać. Fajnie byłoby sprawdzić, czy to prawda.

- Nie wspominaj o tym babci, na pewno nie uznałaby tego za fajny pomysł.

- Nie chciałem, żeby zrobiło się jej smutno.

- Może powinieneś jej to powiedzieć, kiedy się trochę uspokoi.

- Ona nigdy nie słyszy, co mówię.

Faith obawiała się, że Alex ma rację.

- Może słyszy mniej, niż chciałbyś.

- Ty też ostatnio ciągle jesteś smutna.

Dawno już powiedziała sobie, że nigdy nie będzie okłamywała swoich dzieci.

- Przepraszam. Jestem smutna.

- Ja też jestem smutny.

Mocno uścisnęła rękę syna.

- Wiem. Nie tylko ty chciałbyś, żeby wszystko było jak dawniej.

- Jak tata mógł nam to zrobić? Remy ma najgorzej. Ja jestem chłopakiem, mnie jest łatwiej, ale ona go nienawidzi. Ja chyba też.

Nie potrafiła wytłumaczyć synowi tego, czego sama nie rozumiała.

- Ciężko jest być... gejem. Jak twój tata dorastał, było jeszcze ciężiej.

- Tak, wiem. Dziadek Arnold nigdy by nie zrozumiał taty.

Ojciec Davida, znany kaznodzieja Arnold Bronson, na szczęście już nie żył, bo wiadomość o preferencjach seksualnych syna na pewno by go zabiła.

- Skąd wiesz, że dziadek by nie zrozumiał? - Faith podniosła się ze stopni.

- Potrafię wyciągać wnioski, chociaż wszyscy myślą, że jestem głupi.

- Ja tak nie myślę i dobrze o tym wiesz. Jesteś bystrym chłopcem. Wiele w życiu dokonasz.

- Chciałbym obejrzeć dom. Będę trzymał się z daleka od babci.

- Masz rację, nie wchodź jej w drogę.

- Gdybym był naprawdę bystry, wymyśliłbym coś, żeby tata wrócił.

Faith poczuła ucisk w gardle.

- To nie twoja wina, że odszedł, i nie możesz zrobić nic, żeby wrócił.

- Nie chcę go widzieć. - Alex założył ręce na piersi.

- On też pewnie nie chce nas widzieć. Nie zależy mu.

- Chce was zobaczyć. Czeka, kiedy będziecie gotowi spotkać się z nim.

- Remy chciałaby, żeby umarł.

Faith zdziwiła się, że Remy zwierza się Aleksowi.

- Jest zła na tatę, ale to minie.

- Jej nie minie.

- Czas leczy...

- Babci nie wyleczył. Ciągle jest zła, kiedy myśli o Hope. Będziemy mieszkać z nią i z dziadkiem. On też jest zły. Wszyscy są źli, a jak przeniesiemy się do nich, będzie jeszcze gorzej. Dlaczego musieliście sprzedać dom?

- Tata nie ma pracy, a ja nie dam rady zarobić tyle, żeby spłacać hipotekę, bo to duże kwoty. Z dziadkami będziemy mieszkać tylko do czasu, aż staniemy na nogi.

Faith do końca nie wierzyła w to, co mówi. Rozglądała się za mieszkaniem z trzema sypialniami, ale ceny były astronomiczne. Nie przypuszczała też, by David szybko znalazł pracę. Jedne drzwi zamknął sobie konserwatywnymi poglądami, inne niedawnym przyznaniem się do homoseksualizmu. Wyglądało na to, że będą mieszkać z Hustonami do czasu, aż dzieci pójdą do college'u.

- Ciągle robię coś nie tak. Jak ktoś jest smutny albo zły, to zawsze ja obrywam - powiedział Alex ponurym tonem.

Faith wyobraziła sobie swojego syna w domu rodziców. Ciągłe napomnienia, porównywanie z Remy, obietnice poprawy, niezadowolenie starszych państwa, do których zasad będzie musiał się teraz dostosować.

- Jakoś sobie poradzimy - pocieszyła syna.
- Idziesz, Faith? - W drzwiach pojawiła się Lydia.
- Potrzebna mi pomoc. Masz jakiś notes? Przeszło ci już, Alex?

Alex spojrzał na matkę, jakby chciał powiedzieć:
„Widzisz, miałem rację”.

- Już idziemy. Mam na czym pisać.
- Pomożesz mi. - Lydia zniknęła w głębi domu.
- Może kupilibyśmy namiot i rozbili biwak, dopóki nie dorosnę? A potem zaopiekuję się tobą.

Nie wiedziała, śmiać się czy płakać?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dom został zbudowany z myślą o wygodzie. Na parterze był duży salon, jadalnia, kuchnia, kącik śniadaniowy i toaleta, a na piętrze trzy sypialnie i łazienka. I poddasze służące za lamus, ale dzisiaj nie zamierzały tam zaglądać.

Faith znalazła matkę w sypialni.

Lydia, mimo swych sześćdziesięciu sześciu lat, nadal była atrakcyjną kobietą. Regularnie odwiedzała siłownię, stylistkę i chirurga plastycznego. Ostatni lifting zlikwidował zmarszczki, ale nie usunął z twarzy wyrazu cynizmu. Nawet kiedy się uśmiechała, jej niebieskie oczy pozostawały zimne.

Teraz nawet nie próbowała się uśmiechnąć.

- Tu jesteś, mamó. - Faith chciała ją objąć, ale Lydia się odsunęła.

- Współczucie to bardzo miła cecha, ale mało praktyczna.

- Jednak ludzie wierzą, że pomaga.

- Nie pomoże nam w remoncie domu.

- Pochłonę mnóstwo pieniędzy. - Faith zdążyła

już zorientować się w skali robót. Podłogi wymagały cyklinowania, należało też zreperować dach, o czym świadczyły zacieki, zerwać tapety i położyć nową gładź na ścianach. Kuchnia była zapuszczona i wymagała nowych sprzętów. W toalecie na parterze nie było deski, trzeba było też wymienić rezerwuuar.

Tyle na początek.

- To moja wina - powiedziała Lydia i zacisnęła usta. - Udawałam, że ten dom nie istnieje. - Odwróciła się do córki, żeby nie widzieć wyrwanych ze ścian gniazdek.

Na podłodze leżały gołe materace, powietrze prześiąknięte było smrodem brudu i moczu.

- To był pokój twojej siostry.

- Wiem.

- Jak mogli go tak zrujnować?

- Co zamierzasz zrobić?

- Wynajmę firmę remontową. Zapłacę, ile zażąda- ją, i doprowadzę ten dom do należytego stanu.

Faith możliwie najłagodniej spróbowała uświadomić matce, jak trudnego podejmuje się zadania.

- Masz czas? Będziesz musiała pilnować robotników, nawet jeśli uda ci się znaleźć solidną firmę, a to sztuka, bo ci dobrzy są zwykle zajęci. Zrobisz remont i problemy zaczną się od początku. Studenci nie są najlepszymi...

- To wynajmę dom jakiemuś młodemu małżeństwu. A czas? W tym roku są wybory. Na najbliższe miesiące mam wypełniony kalendarz, mimo że ojciec nie ubiega się o reelekcję. Ale co robić?

Odpowiedź sama się nasuwała. Faith była zdziwiona, że nie pomyślały o tym wcześniej.

- Powiedziałaś w samochodzie, że ten dom któregoś dnia będzie mój.

- Tylko mi nie mów, że zamierzasz go sprzedać. Nie chcę nawet o tym słyszeć.

- Daj mi go teraz. Zajmę się wszystkim.

Lydia zaszępiła się.

- Popatrz, w jakim jest stanie. Nie mam pojęcia, ile będzie kosztował remont, ale dużo, a ty nie masz takich pieniędzy. Nie stać cię nawet na wynajęcie mieszkania.

- Poradzę sobie. Zamieszkać tu z dziećmi już w trakcie remontu. Część napraw zrobię sama, a to duża oszczędność.

Podnieciła ją ta perspektywa. Od ośmiu miesięcy nic nie wzbudziło w niej iskry entuzjazmu, lecz teraz rozgrzewało ją to zapomniane odczucie.

- Pomaluję ściany, położę tapety. I będę na miejscu, więc dopilnuję robotników.

- Chcesz mieszkać w Georgetown? Z dziećmi?

- Lydia powiedziała to tak, jakby córka oznajmiła jej, że zamierza osiąść w Mongolii.

Faith głośno myślała.

- Nie musiałabym kupować od razu auta, bo są dobre połączenia autobusowe. I pracy też na razie nie musiałabym szukać. Jeśli odpadną wydatki na czynsz, będziemy mogli żyć z pieniędzy, które dostałam ze sprzedaży domu. Coś nawet odłożyłabym na studia dla dzieci. Będę z nimi cały czas, dopóki się nie zaaklimatyzują.

- A jak będą dojeżdżać do szkoły? Chyba nie chcesz ich zabrać z akademii?

Alex i Remy chodzili do tak zwanej akademii, czyli

prywatnej szkoły z niewielką liczbą uczniów, hołdującej tradycyjnym zasadom. Remy czuła się znakomicie w surowej, konserwatywnej atmosferze, natomiast Alex wręcz przeciwnie.

Faith milczała. Spojrzała w okno, za którym połyskiwał Potomak, a jeszcze dalej światła Rosslyn, już w stanie Wirginia.

- Chyba nie zmienisz im szkoły. Mają tam kolegów, znają nauczycieli. Mało ci, że stracili ojca i dom?

- Nie stracili Davida - zapewniła Faith pospiesznie. - W akademii było im ciężko, bo dzieci albo się z nich wyśmiewały, albo im współczuły, a to jeszcze gorzej. Gdzie indziej nikt by nawet nie zauważył, co się stało, ale tam...

- Zapomną...

- Może, ale nie chcę, żeby Alex i Remy teraz właśnie poznawali na własnej skórze, w jakim świecie żyją. Może za bardzo na nich chuchaliśmy. Nie radzą sobie z tym wszystkim. Ja też.

- Akurat ty od dziecka stykałaś się z problemami.

W Faith coś pękło, nie chciała dłużej milczeć.

- Kiedy porwano Hope, zbudowałaś wokół siebie fortecę i w niej mnie wychowywałaś. Rosłam w strachu przed światem. Wysłałam za męża za człowieka, który miał mi zapewnić życie, do którego byłam przyzwyczajona. Nigdy nic nie kwestionowałam. A teraz mury ochronne runęły. Jeśli zamieszkamy z tobą i tatą, znowu będziemy żyli pod kloszem, i to jeszcze bardziej hermetycznym niż przedtem.

- Przykro mi, że nasz dom traktujesz jak więzienie.

- Głos Lydii zabrzmiał jeszcze bardziej lodowato niż zazwyczaj.

- Nie to chciałam powiedzieć. - Faith stanęła koło matki przy oknie. - Przyznaj się, wcale nie masz ochoty, żebyśmy zamieszkali u was. Dzieci cię denerwują, a najtrudniejszy wiek dopiero przed nimi. Poza tym wcale nie chcesz zajmować się tym domem. Lepiej, żeby spadło to na mnie.

- Nie chcę, żeby moje wnuki tu mieszkały. Wiesz, co się tu wydarzyło.

- Dom nie jest przeklęty. Popadł w ruinę, ale nie straszą w nim duchy. Zdarzyła się tu tragedia, ale dawno temu. Życie musi toczyć się dalej.

Lydia skrzyżowała ramiona.

- Zaraz po... zanim pogodziłam się z tym, że nigdy już nie zobaczę Hope, chciałam znieść ten dom z powierzchni ziemi i zbudować inny, lecz konserwator się nie zgodził. Próbowałam go sprzedać, bo potrzebowaliśmy pieniędzy na kupno posiadłości w Wirginii, ale nikt nie chciał zamieszkać w domu, z którego porwano dziecko Hustonów. Więc zatrzymałam go, choć co i rusz pojawiały się tu głodne sensacji wycieczki z przewodnikiem. Kiedy wreszcie zrozumiałam, że nie odzyskam Hope, przestałam myśleć o sprzedaży.

- Może znowu powinna zamieszkać w nim rodzina. Zanim Alex i Remy przyzwyczają się do życia w centrum miasta, będzie im trudno. Może robię błąd, że chcę się tu przenieść, ale w końcu tyle zmian zaszło w naszym życiu. Co znaczy jedna więcej? Poza tym uwolnimy cię od kłopotu. Nie musisz dawać mi domu teraz, pozwól nam tylko tu mieszkać, dopóki nie stanę na nogi.

- Nie wiem, jak wyglądałyby sprawy podatkowe, gdybyś przejęła dom przed moją śmiercią. Porozmawiam z naszym adwokatem.

- Świetnie - ucieszyła się Faith i rozejrzała po pokoju. - Ten dom musi ożyć. Już dość wycierpiał. Zasługuje na lepszy los. Daj mi szansę, a znów stanie się prawdziwym domem.

- Jeśli ci się tylko uda, to zniosę nawet grymasy Joego. Nie będzie zadowolony, bo z pieniędzy za wynajem spłacałam hipotekę, ale dom jest mój i ja decyduję, co z nim zrobić. Ojciec nie ma nic do powiedzenia. - Lydia uśmiechnęła się ponuro, jakby ucieszyła ją perspektywa utarczek z mężem.

- Wygląda na to, że sprawa postanowiona.

Faith poczuła dłoń matki na ramieniu. Lekkie, przelotne dotknięcie zdumiało ją bardziej niż cała reszta wydarzeń tego dnia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pokój Remy w McLean był niemal tak duży jak całe piętro na Prospect Street. Połączony był z osobną łazienką i ogromną garderobą, w której koń by się zmieścił. Faith nie pamiętała, dlaczego przed laty zaakceptowali z Davidem ekstrawaganckie pomysły architekta. Być może uważali, że zapewniając dzieciom jak najlepsze warunki, sami będą szczęśliwi? Na pewno marzyła o ciepłym, urokliwym domu, którego dzieci nigdy nie będą chciały opuścić. Niestety, nie udało się jej.

Teraz, po powrocie z Georgetown, panowała tu przytłaczająca cisza. Faith stanęła w drzwiach pokoju córki, oczekując, że Remy zaprosi ją do środka, ale dziewczyna milczała. Siedziała po turecku na łóżku i patrzyła niewiającym wzrokiem w przestrzeń.

- Megan nie mogła przyjść, tak? - zagadnęła Faith.
- Śpi dzisiaj u Jennifer. - Remy położyła się na plecach.
- Mogę wejść?
- Jeśli musisz.

Faith przeszła koło półek, na których zebrały się prezenty z czternastu lat, czternastu Gwiazdek, czternastu urodzin, i przysiadła na skraju łóżka.

- Jesteś markotna.

- Nie.

Faith zastanawiała się, jak dotrzeć do córki.

- Gdybym była na twoim miejscu, pewnie bym myślała, że życie się kończy. Wszystko się zmienia, a ty nic nie możesz zrobić.

- No i co?

- Bezradność jest najgorsza.

- Nie mów do mnie jak do dziecka. Wszyscy wiedzą o tacie, ludzie w szkole, sąsiedzi. Tylko ty nic nie wiedziałaś. Przecież byłaś jego żoną.

Remy nie mogła się pogodzić z odejściem ojca. Była z nim znacznie bardziej związana niż Alex. Świetnie się rozumieli. Ale nie tym razem.

Faith wzięła głęboki oddech.

- Nigdy mi to nie przeszło przez myśl. To był sekret. Tata nie przyznawał się nawet przed samym sobą.

- No to pozbył się już kłopotu. Mieszka z facetem, nie? Śpią ze sobą. Obrzydliwość. Niedobrze mi się robi, jak o tym pomyślę.

- Nie musisz o tym myśleć. Nieważne, jak sobie ułożył życie, nadal jest twoim ojcem.

- W ogóle nie powinien być ojcem. Na pewno nie moim. Nie chcę go więcej widzieć.

Faith nie powiedziała córce, że prędzej czy później i tak będzie musiała spotkać się z Davidem, który nadal miał wszelkie ojcowskie prawa. Jak na ironię człowiek, który uważał, że żadne ustawy antydysk-

ryminacyjne nie są potrzebne, teraz miał liberalne prawo po swojej stronie.

- Porozmawiajmy raczej o tobie. - Faith zmieniła temat. - Jak mogę ci pomóc?

- Chcę pójść do szkoły z internatem. - Remy cofnęła dłoń, uciekając przed dotknięciem matki.

- Nie będę mieszkała z babcią. Dziadek też jest okropny. Nie pozwolą mi zapraszać koleżanek ani słuchać muzyki. Pojadę gdzieś daleko i nigdy tu nie wrócę.

Faith zadała sobie pytanie, ile jeszcze ciosów przyjdzie jej znieść, zanim się wykrwawi na śmierć.

- Nie pójdziesz do szkoły z internatem, Remy. Nie mamy pieniędzy.

- Ciagle mówisz o pieniądzach.

- Bo taka jest konieczność. Ale nie musisz się martwić, że wylądujemy na ulicy. Będziesz miała co jeść, nadal będziesz się ubierała, jak ci się podoba, ale nie możemy sobie pozwolić na żadne ekstra wydatki. Nie stać nas na internat.

- Owszem, wylądujemy na ulicy, jeśli babcia i dziadek nie wezmą nas do siebie.

- Wszystko niedługo się ułoży. Znajdę pracę, tata też szuka nowego stanowiska i będzie płacił alimenty.

- Akurat ktoś go przyjmie. Po co komu jakiś zbok, który na dodatek wiecznie poucza ludzi, jak mają myśleć?

- Nie używaj takich słów, Remy!

- A co, może nieprawda?

- „Zbok” to pogardliwe określenie, a ty mówisz o swoim ojcu, który cię kochał i dbał o ciebie od dnia, kiedy się urodziłaś.

Remy odwróciła się plecami do matki.

- Zawsze już będziemy biedni. Ty nigdy nie pracowałaś, a on na pewno nie znajdzie nic dla siebie. Będę musiała mieszkać z babcią i dziadkiem, dopóki nie skończę studiów.

Faith nie mogła liczyć na wiele. Miała licencjat z historii Europy i żadnego doświadczenia zawodowego. Zanim poznała Davida, myślała o zrobieniu magisterium i pracy w szkole. Potem odłożyła te plany na później, kiedy podrosną dzieci...

Gdyby David po prostu umarł, zostałyby jej kontakty towarzyskie i polityczne, lecz teraz nikt z jego dawnych znajomych zapewne nie przyjąłby jej do pracy. Pozostawały jeszcze znajomości ojca, ale nawet dla tych ludzi bardziej była eks-żoną Davida Bronsona niż córką senatora Joego Hustona.

- Skończę kurs komputerowy i poszukam jakiejś pracy. Nie jestem skończoną ofiarą. Masz całkiem bystrą matkę - próbowała pocieszyć Remy

- Taką bystrą, że wyszła za homoseksualistę.

Faith drgnęła. Nie znała dotąd takiej Remy. Przypomniała sobie rozmowę z Lydią. Tak, jej dzieci nie potrafiły radzić sobie z przeciwnościami. Remy była kochana, kiedy wszystko układało się po jej myśli, ale w życiu nie zawsze tak bywa.

Tego Faith nie nauczyła, niestety, swojej córki.

Podniosła się. Próba serdecznej rozmowy nie udała się. Przyszedł czas na suche fakty.

- Posłuchaj, jaki mam plan, Remy. Rozwodzę się z tatą, musieliśmy sprzedać dom. I jedno, i drugie to konieczność. Masz czternaście lat i musisz mieszkać ze mną, ale są rzeczy, na które możemy mieć wpływ.

Wymyśliłam, co zrobić, żebyśmy nie musieli mieszkać z dziadkami.

Tak jak przypuszczała, Remy wreszcie trochę się ożywiła.

- Co?

- Jeśli babcia się zgodzi, zamieszkamy na Prospect Street.

Remy spojrzała na matkę z niebotycznym zdumieniem. O czym ona mówi?

- Żartujesz chyba. Ten dom śmierdzi jak nigdy niemyty kłopot. Widziałam coś w kuchni, chyba szczura, po ulicy łąził jakiś bezdomny i wyciągał puszki po piwie ze śmietników. Jak będę stamtąd dojeżdżała do szkoły? - Ledwie zadała pytanie, od razu sama sobie na nie odpowiedziała. - Nie będę dojeżdżała, tak?

- Na razie nic jeszcze nie postanowiłam - powiedziała Faith ostrożnie. - Twoja szkoła dużo kosztuje, nie stać mnie na czesne, musimy oszczędzać na studia. Chcę, żebyś poszła na dobry uniwersytet.

- Niech dziadek płaci za studia. Na pewno się zgodzi.

- Owszem, ale wtedy będzie ci dyktował, co i gdzie masz studiować. - Faith знаła to z własnego doświadczenia.

- To niech daje pieniądze na akademię.

Wątpliwe, czy Huston by się na to zgodził. Wciąż był wściekły na Davida za jego „zdradę” i chętnie ukarałby go, karząc wnuki. Nawet gdyby Faith w końcu go ubłagała, zaciągnęłaby dług wdzięczności u ojca, który nie omieszkałby go wyegzekwować na tysiące rozmaitych sposobów.

- Jesteś na tyle duża, że powiem ci wprost.

Ostatnie pół roku w akademii było dla ciebie bardzo trudne, a twój brat nigdy się tam dobrze nie czuł. Powinnaś chodzić do szkoły, w której nikt nie będzie udawał, że wszyscy ludzie na świecie myślą w jednakowy sposób. Bo tak nie jest. Potrzebujesz szerszego spojrzenia.

- Nie pójdę do szkoły publicznej.
- Pójdiesz. Wiele skorzystasz na tej zmianie.
- Całe mnóstwo! Po prostu żal ci pieniędzy. Nic cię nie obchodzi.

Zadzwoił telefon. Widząc, że Remy nie kwapi się odebrać, Faith podniosła słuchawkę. Dzwoniła Lydia. Rozmowa trwała moment.

- Naprawdę chcesz się przeprowadzić do tych slumsów? - zapytała Remy, kiedy matka się rozłączyła.

Faith sama się zastanawiała, co właściwie robi. Rezygnowała z wygodnego życia w Great Falls, żeby zamieszkać w ruderze na Prospect Street i cieszyć się wątpliwymi przyjemnościami wielkiego miasta.

Skinęła głową.

- Georgetown to nie slumsy, lecz skoro tak uważasz, naprawdę przyda ci się zmiana otoczenia. Masz okazję. Babcia zgodziła się oddać nam dom.
- Ja się tam nie przeprowadzę.

Były to tylko słowa, bo Remy nie miała wyboru. Faith wierzyła, że jej córka z czasem zrozumie, dlaczego to posunięcie było konieczne.

Godzinę po rozmowie z Remy Faith leżała w wannie. Przedtem zdążyła jeszcze powiedzieć o swoich planach Aleksowi. Siedział właśnie przy komputerze,

usiłując obejść zabezpieczenia zainstalowane przez Davida. Wysłuchawszy nowin, podniósł wzrok na matkę.

- Będę mógł mieszkać na strychu? Jak mi nie pozwolisz, to nigdzie się nie przeprowadzam.

- A ty co, jesteś nietoperzem?

- Tam musi być fajowo. Na strychu mieszkają duchy, nie?

- Duchów nie ma.

- Pani Garfield mówi, że są. Że to dusze, które wykopali z nieba, bo były nieposłuszne.

Faith podejrzewała, że pani Garfield, pełna temperamentu nauczycielka Aleksa, znalazła nowy sposób, żeby go poskromić. Potarmosiła kasztanową, kręconą czuprynę syna. Duchy może nie istniały, ale oto siedział przed nią najprawdziwszy podmieniec, którego jakaś wróżka musiała włożyć do kołyski Bronsonów. Nikt w całej rodzinie nie miał takich włosów jak Alex.

- Będiesz mógł urządzić na strychu pracownię i obserwować nietoperze.

- Naprawdę? Myślisz, że tam są? - Alex aż zapał z zachwytu.

Obyśmy mieli tylko takie problemy, pomyślała Faith.

- Pójdę do nowej szkoły?

- A chciałbyś?

- Pewnie... - Zawahał się. - Do takiej, gdzie będą mnie lubić.

Leżąc w wannie, Faith zastanawiała się, dlaczego zapisała syna do szkoły, w której cały czas czuł się na cenzurowanym. W obecnym stanie ducha najchętniej zrzuciłaby winę na Davida, ale nie byłoby

to sprawiedliwe, bo wychodząc za męża, świadomie zgodziła się na określony model życia.

To ojciec przedstawił jej przyszłego męża. Wierzył, że David zrobi karierę polityczną, a Faith, od razu zakochana po uszy, chętnie zrezygnowała z ledwie zakosztowanej wolności, by zostać żoną obiecującego młodego konserwatysty.

Zdawała sobie sprawę, na co się decyduje, wiedziała przecież, jak życie jej matki koncentrowało się wokół kariery ojca. Powtórzyła ten sam model. Przez piętnaście lat wspólnie z mężem budowała rodzinę idealną, uznawszy to za swoje powołanie.

Wywiązywała się wzorowo z obowiązków, gdy jednak zapraszano ją do wygłaszania odczytów o rodzinie chrześcijańskiej, odmawiała. Mówiła, że tworzenie takiej rodziny zbyt ją pochłania i nie ma czasu na wystąpienia publiczne.

Natomiast David nie przepuszczał żadnej okazji, by referować na różnych seminariach drogi sobie temat. Był łagodny i skromny, rzadkość w kręgach politycznych i religijnych. Nigdy nie krytykował odmiennych poglądów, za to własny przedstawiał klarownie i z zaangażowaniem. Gdyby zrobił użytek ze zdobytego na Harvardzie wykształcenia teologicznego i śladem ojca został pastorem, tematem każdego kazania uczyniłby biblijny nakaz: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”.

Jednak David po śmierci Arnolda Bronsona nie przejął jego funkcji w Kościele. Być może już wtedy walczył z własnymi demonami. Jako ewangelik musiałby potępiać grzech homoseksualizmu, a na to pewnie nie mógł się zdobyć.

Faith zamknęła oczy. Niemal współczuła swojemu mężowi. Kłamał, uciekł w małżeństwo, żeby zaprzeczyć własnym skłonnościom, ale na pewno nigdy nie chciał jej zranić.

Z zamyślenia wyrwał ją telefon. Chwyciła leżącą na krawędzi wanny bezprzewodową słuchawkę i po wysłuchaniu kilku zdań odłożyła ją z powrotem na bok. Dzwonił ojciec.

Jeden z najdłuższych dni w jej życiu jeszcze się nie skończył.

David stał przed domem wpatrzony w okna na piętrze. U Remy było ciemno, ale w sypialni Faith paliło się jeszcze światło.

Pomyślał, że ma kłopoty z zaśnięciem. Zawsze kiepsko spała, kiedy nie było go w domu. Nie bała się, nie drżała na każdy odgłos dochodzący z ciemności, nie widziała czających się w każdym kącie włamywaczy. Po prostu kiedyś mu powiedziała, że bez niego czuje się niepełna.

Mówiła mu tak wiele o sobie, podczas gdy on był nad wyraz oszczędny w zwierzeniach.

Kiedy był chłopcem, ojciec uczył go, że nie wolno płakać. Izaak nie płakał, kiedy Abraham chciał go złożyć Bogu w ofierze. Skoro Izaak nie uronił łzy w obliczu śmierci, jak on śmiałyby płakać?

A jednak teraz najchętniej by zapłakał. Nad sobą. Nad swoim losem.

Nad tym, że stał się ofiarą tak potężnej namiętności, iż nie potrafił już dłużej kłamać.

Nad kobietą, którą zostawił.

Dom tonął w poświacie księżyca. Magnolia, którą

David zasadził, prawie sięgała już dachu. Wiąz, który uratował, kiedy niwelowano działkę pod budowę, ocieniał garaż. Ten dom był jego schronieniem i ucieczką, ale z czasem stał się więzieniem.

Faith nie ucieszy się z jego wizyty. Gdy kilka miesięcy temu zabierał swoje rzeczy, wyszła na całe popołudnie. Przez adwokatów ustalili, co może zabrać, ale zapomniał wtedy o książkach, które dla Faith były bezużyteczne.

Podszedł do drzwi i lekko zapukał. Miał zimne dłonie, mimo że wieczór był ciepły. Denerwował się, że za chwilę przekroczy próg domu, którego jeszcze wczoraj był właścicielem. I za chwilę zobaczy kobietę, która nadal była jego żoną.

Zdziwił się, że otworzyła od razu: boso, w dzinsowych szortach i żółtym T-shircie.

- Tato, ja... - Zrobiła wielkie oczy na widok Davida. - Co tu robisz?

- Nie zamykaj, Faith. Proszę.

- Chyba powiedzieliśmy sobie wystarczająco dużo dzisiaj po południu. Twój telefon...

- Przepraszam.

- Już to słyszałam.

- Nie. Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale nie zabrałem swoich książek. Wziąłem tylko te, które były w gabinecie...

- Spakuję je i ci odeślę. O które ci chodzi?

- Nie pamiętam dokładnie, dlatego chciałbym się rozejrzeć. Jeśli będzie ci na jakiejś zależało...

- Nie chcę twoich książek, Davidzie.

- Mógłbym je więc zabrać? Specjalnie przyszedłem tak późno.

Faith odgarnęła włosy za ucho.

- Nie mogłeś gorzej trafić. Za chwilę przyjedzie mój ojciec, żeby zrobić mi wykład. Nie chcesz chyba, żeby i tobie się dostało.

- Co go tak poruszyło?

Uniosła brwi, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie ma prawa pytać.

Zdawała się i bliska, i zupełnie obca. Tyle ich przecież łączyło. Wiedział, że nigdy nie uwolni się od wspomnień. Czy naprawdę ją znał? Chyba nie doceniał Faith, choć zarazem bał się powiedzieć jej prawdę. Bał się, że odejdzie. Teraz jego obawy się sprawdziły. Poszła własną drogą. Dziwne, ale ta myśl wprawiała go w rozdrażnienie.

- Przeprowadzam się na Prospect Street - powiedziała w końcu.

Przez chwilę miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Na Prospect Street?

- Do domu mojej matki w Georgetown. Kiedyś będzie mój, ale Lydia zgodziła się, żebym już teraz tam zamieszkała. Na razie nie będę musiała płacić podatku. Dzieci będą miały własny dach nad głową, ja poszukam pracy w mieście, poza tym oszczędzę, bo przenosząc się, nie muszę od razu kupować samochodu. - Wzruszyła ramionami.

Ogarnęła go złość.

- Nie uważasz, że najpierw powinnaś naradzić się ze mną?

- Słucham?

- To także moje dzieci. Chyba mam coś do powiedzenia w ich sprawach.

- Nie, bo ta decyzja dotyczy także mnie. Co

takiego miałbyś do powiedzenia? Faith, zamieszkaj z rodzicami?

- Oczywiście, że nie. Chciałbym tylko, żebyś mnie informowała o waszych planach. Jestem ich...

Teraz Faith ogarnął gniew. Wyszła przed dom, zamykając drzwi za sobą.

- Owszem, jesteś ich ojcem, ale jakie masz prawo decydować o tym, jak będę żyła? Przez piętnaście lat robiłam wszystko pod twoje dyktando i nic dobrego z tego nie wyniknęło. Teraz sama będę podejmować decyzje. Przeniosę się z dziećmi do Georgetown.

Nigdy jeszcze nie widział jej tak rozzłoszczonej.

- Nic mi o tym nie mówiąc.

- Właśnie ci powiedziałam. Decyzja zapadła dziś wieczorem, dzieci już wiedzą, a ty przestałeś być dla mnie najważniejszą osobą. Nie musiałam informować cię pierwszego.

David wziął głęboki oddech.

- Możemy porozmawiać o tym spokojnie?

- Nie ma o czym rozmawiać.

- Jest. Muszę wiedzieć, co się dzieje, bo wtedy łatwiej będzie mi wam pomagać. O tym, że oddałaś volvo, dowiedziałem się dopiero wczoraj, kiedy dostałem dokumenty od dealera. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Zostawię ci swoją hondę. Między innymi dlatego tu przyjechałem. Samochód jest twój, przepiszę go na ciebie. Nie chcę, żebyś była uzależniona od swojej matki, kiedy będziesz potrzebowała wozu. Powinnaś była mi powiedzieć.

- Po co? Mam nadal być zależna od ciebie? Nie chcesz mnie, ale nadal chcesz mieć nade mną kontrolę. Nic z tego. Poradzę sobie bez ciebie.

- Nie chcę cię kontrolować.
- Owszem, chcesz. Robiłeś to przez całe lata, a ja ci na to pozwalałam. Koniec.
- Zrozum, nie chcę cię kontrolować - powtórzył.
- Chcę tylko pomagać. - Złożył ręce w geście prośby.
- Weź hondę.

Pod dom podjechał samochód.

- Wspaniale - westchnęła Faith. - Masz okazję poprzeć ojca. Razem zdecydujecie, jak mam żyć i co robić.

- Ani nie popieram twojej decyzji, ani nie jestem jej przeciwny. Chciałem tylko...

Przerwała mu gestem dłoni.

- Masz jeszcze czas odjechać. Zrób to.
- Joe tylko czeka, żebym uciekł. Prawdziwy mężczyzna nie ucieka.
- Dla ojca nigdy już nie będziesz prawdziwym mężczyzną.

Rozmyślnie starała się być okrutna. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że próbowała go też ostrzec, ale on nie potrzebował ostrzeżeń. Znal Joego równie dobrze jak siebie samego. Wiedział, jak łatwo jest potępiać innych i jakie kojące może być poczucie własnej racji, własnej wyższości. Zaznał jednego i drugiego, i dostał gorzką nauczkę.

- Jak wrócisz... do siebie, skoro chcesz zostawić samochód? - zapytała, widząc, że David nie zamierza zostawić jej samej z ojcem. Wyczytała odpowiedź w jego oczach. - Ach, pan Stein gdzieś tu czeka...

David nieznacznie skinął głową.

- Bardzo troskliwy - zauważyła z przekąsem.
- Muszę jakoś wrócić do domu.

- Do domu... - Faith słyszała już kroki ojca.
- O tym mówiliśmy, prawda? Ty masz dom, ja też chcę mieć. Koniec dyskusji.

Z mroku wyłonił się Joe Huston i wyraźnie zirytowany zatrzymał się na widok Davida. Mimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat trzymał się świetnie. Postawny, krótko ostrzyżony, wyprostowany jak struna. Weteran wojny koreańskiej, który karierę militarną zamienił na polityczne zaszczyty, nadal zachował wojskową sylwetkę.

- Co on tu robi? - zwrócił się do Faith, traktując zięcia jak powietrze.

- Przyprowadziłem Faith samochód i chcę zabrać trochę swoich książek - odezwał się David.

- Nie spodziewałam się Davida - wtrąciła Faith - ale tego książki i może je wziąć, kiedy zechce. Idź po nie, ja porozmawiam z ojcem.

- Niech zostanie i posłucha, co mam ci do powiedzenia - oznajmił Joe. - Jestem pewien, że tak samo jak ja nie pochwali twojego pomysłu zamieszkania w Georgetown.

- Bardzo sobie cenię twoją opinię, tato, ale pozwól, że sama zadecyduję, gdzie chcę mieszkać. Zrobię to, co uważam dla siebie i dzieci za najlepsze.

Senator nasrożył się i gniewnie zmrużył oczy. Nie był łatwym przeciwnikiem. Nikt go nie lubił, ani konserwatyści, ani liberałowie, ale wszyscy się z nim liczyli.

- Mylisz się, moja droga! - zagrmiał. - Wczorajem pojechałem spojrzeć na dom. Wyobrażasz sobie, że pozwolę moim wnukom żyć w tej norze?

Faith westchnęła.

- To moja nora. Przy odrobinie wysiłku doprowa-

dzę ją do przyzwoitego stanu. Wynajmę firmę remontową, część prac zrobię sama. Przede wszystkim trzeba tam zrobić generalne porządki.

- A co ze szkołą? - zapytał Joe. - Zastanowiłaś się, ile czasu pochłona dzieciom dojazdy?

Faith nie miała odwagi spojrzeć ojcu w oczy.

- Pójdą do szkoły publicznej. Teraz nie stać mnie na opłacanie akademii, poza tym Alex nie czuje się tam dobrze.

- Chcesz je przenieść do innej szkoły i nic mi o tym nie powiedziałaś? - zirytował się David.

- A dlaczego miała ci mówić cokolwiek? - Joe po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do zięcia.

- Straciłeś prawo do opieki nad dziećmi. Powinny być sądownie chronione przed kimś takim jak ty.

- Dość, tato. - Faith próbowała zmitygować ojca.

- Mówiłam ci, że dopiero dzisiaj podjęłam decyzję - wyjaśniła jeszcze raz Davidowi.

- Kiedy zamierzałaś mnie poinformować? Dopiero po fakcie?

- Skąd, twoim zdaniem, mam wziąć pieniądze na czesne? No, skąd?

David nie odpowiedział. Naprawdę spodziewał się, że zamieszka z rodzicami i nadal będzie posyłała dzieci do szkoły, którą on wybrał?

- Ja zaopiekuję się wnukami - stanowczo oznajmił Joe. Myśl, że może zrobić coś, o co ojciec dzieci nie był w stanie zadbać, dawała mu najwyraźniej wielką satysfakcję.

Faith pokręciła głową.

- Dziękuję, sama zaopiekuję się Remy i Aleksem.

- I dodała z naciskiem: - To mój obowiązek.

- Nasz - poprawił ją David.

Joe prychnął z dezaprobatą.

- Trzeba było pomyśleć o tym, zanim uznałeś, że nie możesz żyć bez Abrahama Steina. Jak widać, nie przyszło ci do głowy, że przez swój seksualizm stracisz dzieci.

- Idę do środka - powiedziała Faith, podnosząc ręce. - Przyjedź jutro po książki, Davidzie. Rano zabiorę dzieci na Prospect Street i zacznę tam sprzątać. Weź, co chcesz, bo większość rzeczy i tak nie pomieści się w nowym domu. Nie zmienię decyzji, tato. Już postanowiłam, że się przenoszę, ale możemy o tym oczywiście porozmawiać, kiedy się uspokoiemy.

Faith zniknęła.

- Jak się czujesz ze świadomością, że zniszczyłeś jej życie? - odezwał się Joe.

David nie odpowiedział. Nie znajdował słów, którymi mógłby opisać to, co czuł.

- Dopilnuję, żebyś nie dostał żadnego poważnego stanowiska - ciągnął Joe. - Przestałeś cokolwiek znaczyć. Nikt nie będzie zasięgał twojej opinii, żaden Kościół cię nie przyjmie. Nawet liberalne kongregacje nie wiedzą, co robić z takimi jak ty, nie mówiąc o prawicy.

- Cieszy cię to, Joe?

- Miałeś wszystko i odrzuciłeś to dla jakiegoś mężczyzny. Żydowskiego dziennikarza! Uwikłałeś w swoje sprawy moją córkę. Nigdy ci nie wybaczę.

- Czego? Że skrzywdziłem Faith, czy że podkopałem twoją karierę? Stąd to święte oburzenie. Chciałeś, żebym w przyszłości zajął twoje miejsce,

choć tłumaczyłem ci, że mnie to nie interesuje. Nagle się okazało, że masz zięcia geja.

- Niedługo już nie będziesz moim zięciem.

- Ale pozostanę ojcem twoich wnuków i rozwód nic tu nie zmieni. Newt musiał się tłumaczyć, że jego siostra jest lesbijką, tak samo ty w następnej kampanii będziesz musiał tłumaczyć się z mojego powodu. To cię doprowadza do szału. Nie spodziewałeś się takiego obrotu spraw.

- Och, takich jak ty wszędzie pełno. Wkradacie się w łaski przyzwoitych kobiet, rujnując im życie, zajmujecie ważne stanowiska. Będę mówił ludziom o tobie, będę ich przestrzegał, żeby uważnie rozglądali się wokół i pienili grzeszników!

Stosunek Joe do homoseksualizmu był powszechnie znany, ale David nigdy nie słyszał równie jadowitych słów w ustach teścia.

- Z taką retoryką gotów jesteś przepaść w wyborach, ale może to dobrze.

- Ostrzegam, trzymaj się z daleka od mojej córki i moich wnuków. Sam dopilnuję, żeby niczego im nie brakowało.

- Zamierzam widywać dzieci - oznajmił David krótko. - Żaden sąd mi tego nie zabroni. Znajdę pracę, będę dawał pieniądze na ich utrzymanie. Tymczasem radzę ci zająć się Faith. Jest zdecydowana żyć po swojemu i żaden z nas jej nie powstrzyma.

- Prędzej padnę trupem, niżbym miał słuchać twoich rad.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. David zostawił senatora przed domem i ruszył w stronę samochodu Hama. Bez słowa wszedł do środka.

- Zostawisz hondę na ulicy?

David skinął głową.

- Kiepsko poszło?

Ham już w szkole średniej oznajmił rodzicom, że jest gejem. Przeczekał okres ich niechęci i teraz utrzymywał z nimi serdeczne kontakty. Jedyne zastrzeżenia, jakie starsi państwo mieli wobec Davida, wynikały z tego, że jest chrześcijaninem i konserwatystą.

- Już nigdy nie będzie dobrze - mruknął.

- Widziałeś się z dziećmi?

- Nawet nie wszedłem do środka.

- Masz prawo widywać się z nimi. Im dłużej będziesz unikał spotkania, tym będzie trudniej. - Ham zapalił silnik i ruszyli w drogę.

David nie wiedział, czy uda mu się kiedykolwiek nawiązać w miarę normalne stosunki z dziećmi. Czy będzie mógł im przedstawić Hama? Był pewien, że senator zrobi wszystko, by odizolować Remy i Aleksa od ojca.

- Pragnę się z nimi zobaczyć, ale boję się, że one nie będą tego chciały.

- Masz niełatwą sytuację. Tyle lat wierzyły we wszystko, co im wpajałeś.

David zadawał sobie pytanie, jak przez tyle lat mógł rościć sobie prawo, by pouczać innych, co jest dobre, a co złe.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Najprościej byłoby nienawidzić Davida, ale kiedy następnego dnia Faith wsiadała do hondy, czuła przede wszystkim wdzięczność. Twierdziła co prawda, że zaoszczędzi na benzynie i ubezpieczeniu, ale samochód bardzo ułatwiał życie.

- Nie wiem, po co mam tam jechać. - Remy powtarzała to samo od chwili, kiedy dowiedziała się, że spędzi cały dzień w Georgetown.

Dzień ledwie zdążył się zacząć, a Faith już czuła zmęczenie.

- Jęczeniem nic nie wskórasz.

- Nie chcę tam jechać. Nienawidzę tego domu!

Faith włożyła do bagażnika karton z czystymi szmatami i różnymi płynami do zmywania brudu.

- Jak go posprzątam, od razu przestaniesz nienawidzić tego domu.

- Nie przestanę. Ciebie też nienawidzę, bo każesz mi tam mieszkać. - Remy stanęła na wprost matki, patrząc na nią oskarżycielsko.

- Posłuchaj mnie, Remy. Masz prawo do własnych

odczuć. Chcę, żebyś była ich świadoma, ale nie próbuj wywierać na mnie nacisku.

- Ciebie wcale nie obchodzi, co czuję.

- Musisz pogodzić się z faktami. To dla nas najlepsze rozwiązanie i musimy je przyjąć. A teraz zawołaj Aleksa i wsiadaj do samochodu.

Remy nie musiała wołać brata, bo wypadł z domu jak burza.

- Mogę usiąść z przodu?

- Siadaj sobie. Mnie wszystko jedno. - Remy wsunęła się na tylne siedzenie i trzasnęła drzwiczkami z takim rozmachem, że honda się zakołysała.

Korzystając, że siostra jest nie w sosie, Alex gadał przez całą drogę do Dystryktu Kolumbii. Był zachwycony perspektywą przeprowadzki.

- Myślisz, że w sąsiedztwie mieszkają jakieś dzieciaki? - dopytywał się, nie przestając majstrować przy blokadzie drzwiczek.

Faith przejechała przez Key Bridge i skręciła w boczną uliczkę, która prowadziła do domu.

- Głównie studenci, trochę polityków. Ale dom jest na tyle duży, że będziesz mógł zapraszać kolegów.

- Akurat ktoś będzie chciał nas odwiedzać - burknęła Remy.

- Nawet jeśli nie chcesz tu mieszkać, to wiedz, że Georgetown jest wielką atrakcją turystyczną. Pełno tu świetnych sklepów i restauracji.

- Przestań.

Nic nie zwojowawszy, Faith przeszła do kwestii praktycznych.

- Musicie dzisiaj zdecydować, które pokoje chcecie dla siebie. Ja biorę dużą sypialnię od frontu,

pozostałe dwie są identycznej wielkości. Jeśli nie wybieriecie sami, będziemy rzucać monetę.

- Ja chcę mieszkać na poddaszu - przypomniał o swoim pomysłe Alex.

- Zajrzymy tam.

Faith zauważyła w lusterku wstecznym, że Remy przewraca oczami. Na Prospect Street kręcono sceny do „Egzorcysty”. Ciekawe, przemknęło jej przez myśl, czy znalazłby się ksiądz egzorcysta, który potrafiłby przepędzić złe duchy prześladowające Remy.

Z braku miejsca zaparkowała dwie przecznice od domu, wyjęła z bagażnika kartony ze środkami do czyszczenia, ścierkami i szczotkami. Jeden wręczyła Aleksowi, drugi ociągającej się Remy.

- Będziemy mieli dzisiaj dużo roboty. W przyszłym tygodniu zjawi się ekipa, która zrobi porządek z podłogami. Jak skończą, będziemy mogli się wprowadzić.

Lydia wytrzasnęła skądś pieniądze i uparła się, że zapłaci za podłogi i reperację dachu.

Remy zatrzymała się przed wejściem.

- Mam nadzieję, że zrobią nie tylko podłogi.

- Nie będzie na to czasu, ale zobaczysz, jak dom się zmieni po cyklinowaniu i malowaniu. Musimy jeszcze zmienić wyposażenie kuchni.

Faith kątem oka dostrzegła ruch na sąsiedniej posesji. Kobieta w turbanie, którą widziała podczas poprzedniej wizyty, znów stała na balkonie, tyle że tym razem miała na sobie peniuar w kolorze fuksji. Pomimo ostrzeżeń matki Faith pomachała jej przyjaźnie ręką.

- Dzień dobry. Jestem Faith Bronson, a to moje

dzieci, Remy i Alex. Wprowadzamy się w przyszłym tygodniu.

- W tym domu nie da się mieszkać. Twoja matka zupełnie go zaniedbała.

- Przepraszam, ale mama nie powiedziała mi, jak się pani nazywa.

Kobieta zniknęła. Faith usłyszała odgłos zamykanych drzwi balkonowych.

- Wspaniale - jęknęła Remy. - Na dokładkę rąbnięta sąsiadka.

Weszli do domu i stanęli na środku salonu. Faith dostrzegła rozpacz w oczach córki. Sama nie mogła wyobrazić sobie wnętrza przy Prospect Street w innym niż teraz stanie. Zapuszczona, nawiedzona przez duchy rudera.

- Czasami... - Czuła, że musi coś powiedzieć.
- Czasami trzeba zobaczyć rzecz z najgorszej strony, by docenić zmiany na lepsze.

Remy z łoskotem postawiła pudło na podłodze.

- Masz idiotyczne powiedzonko na każdą okazję, prawda?

Zanim Faith zdążyła odpowiedzieć, Remy wybuchnęła płaczem i uciekła na górę.

Alex przysunął się do matki.

- Ona nie ma wyobraźni. Tylko wynalazcy potrafią patrzeć inaczej. Widzą to, co mogłoby być, a nie to, co jest.

- Aha. - Faith z wysiłkiem powstrzymywała łzy.
- Potrafisz wynaleźć coś, co doprowadzi ten dom do porządku?

- Ktoś już wynalazł.

- Ogień?

Alex dal matce kuksańca w bok.

- Ciężka praca. Zawsze nam to powtarzasz.

Nawet jeśli Faith nie dokonała niczego wielkiego w życiu, urodziła tego oto młodego człowieka. Pokrzepiająca myśl.

- No to do roboty. Może zaczniemy od kuchni?

- Remy widziała tam szczura. - Sądząc z tonu, Alex nie przejął się zbyt przygodą siostry.

- Dzisiaj rano dzwoniłam do deratyzatora. Pojawi się jeszcze w tym stuleciu.

- Jak złapię szczura, zanim ten facet przyjdzie, będę go trzymał u siebie w pokoju w klatce.

- Wykluczone.

Remy nie mogła uwierzyć, że matka każe jej mieszkać na Prospect Street. Łudziła się, że to tylko koszmarny sen. Zaraz się obudzi, zejdzie na dół i zobaczy ojca w świeżej białej koszuli, siedzącego przy stole w jadalni. Pocałuje go w policzek, a on zapyta, jak spała.

I wróci do porannej gazety. Mama w kuchni będzie piekła bułeczki cynamonowe albo wyciskała sok z pomarańczy.

Tak powinno być.

Tymczasem rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Nic się jej nie przyśniło. Naprawdę mieszkała na Prospect Street, ojciec naprawdę od nich odszedł, a ona nic na to nie mogła poradzić.

Dlaczego ją to spotkało? Przecież nie przeklinała, nie paliła papierosów, uczyła się na samych piątkach. Kiedy kolega ukradł puszkę piwa i chciał się z nią podzielić, powiedziała o tym Faith. Zawsze miała

porządek w swoim pokoju, zawsze była grzeczna i odpowiedzialna. Dopiero po odejściu ojca stała się niezdolna.

Po co tak się starała? Nie zrobiła nigdy nic złego. Raz tylko nie chciała wpuścić Aleksa do domu, kiedy mama pojechała po zakupy, ale to nic wielkiego. Czy warto było tak się starać, skoro Bóg karze ją teraz za cudze winy?

Może jednak nie była dobrą córką? Gdyby ojciec kochał ją bardziej, może nie posłuchałby podszeptów Szatana...

Gdyby mama była lepszą żoną, może tata zostałaby z nimi?

Szkoda, że nie ma na czym usiąść. Posiedziałyby sobie. Nie będzie sprzątała. Pokój, w którym miała mieszkać, był tak mały, że nie zmieści w nim swoich mebli. Łóżko z baldachimem jakoś wejdzie, ale gdzie ustawić komodę, toaletkę i biurko?

Otarła łzy skrajem podkoszulka. Myślała, że mama po nią przyjdzie, ale Faith zajęła się sprzątaniami i zapomniała o niej.

Po godzinie sprzątnięcia Faith doszła do wniosku, że nie będzie potrafiła gotować w takiej kuchni. W tandetnych szafkach brakowało półek, emaliowany zlew był poobijany, z rur ciekła woda. Szczur, z którym Alex chciał się zaprzyjaźnić, zrobił sobie gniazdo w spiżarni i nadgryzł kabel od elektrycznej kuchenki.

- Musimy zrobić listę - oznajmiła, kiedy do kuchni wszedł Alex.

- Jaką listę?

- Co trzeba zrobić.

- Po co nam lista?
- Za dużo tego.
- Mnie się tu podoba. Jest w porządku.
- Nic nie jest w porządku. Instalacja elektryczna, hydraulika, szafki, wszystko do wymiany.
- Szafki możemy pomalować.
- Może... Na biało.
- Na biało? Na czerwono!
- Czerwone szafki? - Pomyślała z żalem o swojej pięknej kuchni w McLean.

- U nas nie musi być tak jak u wszystkich.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Ja otworzę - powiedziała Faith.

- Dobra. Ja poszukam Lefty'ego.

Wspaniale. Jej syn znalazł już imię dla swojego przyjaciela szczura.

Faith przez szybę przy drzwiach zobaczyła jakąś obcą kobietę. Dopiero kiedy otworzyła, rozpoznała sąsiadkę. Bez turbanu i w czarnej sukni wyglądała zupełnie inaczej.

- Dzień dobry. To miło... - Nie wiedziała, co właściwie chce powiedzieć, ale nie miało to żadnego znaczenia.

- Przyniosłam ci butelkę whisky. To Glenfiddich. Naprawdę dobry. Złym tylko byś się upiła, po dobrym nabierzesz optymizmu. Bardzo ci się przyda, zważywszy, co tu zastałaś. - Wręczyła Faith butelkę.

- Dziękuję, ale... - Faith nie piła alkoholu.

- Chciałabym wejść i zobaczyć na własne oczy, jak tu wygląda.

- Proszę bardzo, tylko uprzedzam, dom jest w opłakanym stanie.

- Wiem o tym aż za dobrze. - Kobieta zawahała się, po czym przekroczyła próg. Miała sięgające ramion siwe włosy i pomarszczoną, ale zadbaną twarz. - Opowiem ci kiedyś, jak do tego doszło, ale to długa historia.

- Przepraszam, w dalszym ciągu nie znam pani nazwiska.

- Dziwne. Jestem Dottie Lee Fairbanks. Mieszkam tutaj od osiemdziesięciu jeden lat i stąd mnie wyniosą na cmentarz.

- Miło mi panią poznać, pani Fairbanks.

- Żadna pani. Dottie Lee. Pamiętaj zawsze o drugim imieniu.

- Będę pamiętać.

Faith postawiła butelkę na schodach i ruszyła za Dottie.

- Jestem Faith.

- Wiem, kim jesteś. Widziałam wiele razy twojego męża w telewizji.

Faith zniżyła głos.

- Już niedługo byłego męża.

- Wygląda na miłego człowieka, choć opowiada się po niewłaściwej stronie. David Bronson to doskonały przykład, jak skądinąd inteligentny człowiek może się mylić.

- Mylić się?

- Zwalcza wszystko, co powinien ze wszystkich sił popierać. Zmieniłby poglądy o sto osiemdziesiąt stopni i miałby w garści doskonały program polityczny. Twojemu ojcu nawet to by nie pomogło, jemu potrzebna jest lobotomia. Mam nadzieję, że odziedziczyłaś rozum po matce. Używaj go, dziewczyno. Myśl samodzielnie.

- Jak dobrze znasz moich rodziców?

- Lepiej, niżbym chciała. Szczególnie senatora. A twoja matka? - Dottie Lee zatrzymała się na środku jadalni. - To już nie ta kobieta co kiedyś. - Przeszła do kuchni. - Kogo ja widzę! Mały Alex Bronson. Podobny jesteś do dziadka, ale ładniejszy od niego.

Alex przyglądał się Dottie z wyraźnym zainteresowaniem.

- Pani mieszka w domu obok.

- Zgadza się - przytaknęła Dottie. - Co myślisz o przeprowadzce, młody człowieku?

- Wolę tu mieszkać niż z dziadkiem.

- Z Joem? Masz rację. Widziałam, jak myłeś okna. Umyłbyś też u mnie?

Alex spojrzał pytająco na matkę, ale Faith tylko wzruszyła ramionami.

- Pewnie - zgodził się. - Ale nie teraz. Mamy dużo pracy. Może za kilka tygodni.

- Będziesz pomagał mamie?

- Uhu.

- Tak, proszę pani - poprawiła go Faith.

- Masz mi mówić Dottie Lee.

- Dobrze, Dottie Lee.

Faith wołała już się nie odzywać.

- Muszę iść - oznajmiła starsza pani. - Piętro obejrzę sobie podczas następnej wizyty. A w każdą środę o czwartej urządzam herbatkę - dodała już przy drzwiach. - To kulturalny zwyczaj, chociaż angielski. Zapraszam cię razem z dziećmi.

- Nie wiem, czy będziemy mogli...

- Faith, na Prospect Street obowiązuje kilka żelaznych zasad. Jedna z nich mówi, że nigdy mi się nie

odmawia. - Dottie uśmiechnęła się promiennie i w holu pojaśniało, jakby ktoś zapalił pięćdziesięciokilowatową lampę.

- Przyjdziemy. W każdym razie ja i Alex. Nie wiem, czy uda mi się wyciągnąć córkę z jej pokoju.

- Ile ma lat?

- Czternaście.

- Straszny wiek. - Dottie Lee skinęła głową i zaczęła schodzić ze stopni.

Faith patrzyła za nią, zastanawiając się, jakie jeszcze zasady obowiązują na Prospect Street.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lunch się nie udał. W małym barku kilka przecznic od domu nie było nic, na co Remy miałyby ochotę, więc ograniczyła się do wody mineralnej. Faith i Alex zamówili sandwicze, które okazały się grube niczym oksfordzkie słowniki. W drodze powrotnej Faith pokazała dzieciom sławną „Cafe Milano” i „Prospect House”, rezydencję, w której kiedyś zatrzymywali się zagraniczni dygnitarze przyjeżdżający z wizytą do Waszyngtonu.

Remy nie słuchała, co mówi matka. Odezwała się po raz pierwszy, kiedy dochodzili już do domu.

- Znowu ten człowiek. Grzebie w śmietniku. Obrzydliwe.

Faith i David usiłowali wszczepiać dzieciom wrażliwość na ludzką krzywdę. Na każde Święto Dziękczynienia przygotowywali obiad dla bezdomnych z miejscowego schroniska. Remy i Alex nakrywali do stołów, potem serwowali indyka ludziom takim jak ten.

Bezdomny biedak w zasobnej, spokojnej dzielnicy

był dla Remy nie do zaakceptowania. Wyrosła w przekonaniu, że jeden obiad w roku rozwiązywał wszystkie problemy.

- Obrzydliwe jest tylko to, że musi robić to, co robi, żeby przeżyć - powiedziała Faith ostrożnie.

- Niech poszuka sobie pracy.

Faith słyszała podobne argumenty od dojrzałych i zdawałoby się mądrych ludzi. Nie mogła mieć pretensji do Remy.

- To nie takie proste.

Alex chwycił matkę za rękę.

- On szuka jedzenia?

- Raczej czegoś, co mógłby sprzedać.

- Pewnie jest głodny.

- Pewnie tak. - Faith była ciekawa, jak zachowa się jej syn.

- Powinien poszukać sobie pracy - upierała się Remy.

- Przecież pracuje - powiedziała Faith. - Usiłuje zdobyć pieniądze na swoje utrzymanie.

- Zapytam go, czy jest głodny. Może zjadłby sandwicza. Powiem mu, jakie pyszne robią w tym barze.

Bezdomny człowiek to nie zagłodzony kundel, któremu rzuca się resztki i głaszcze po łbie. Zasługuje, jak każda ludzka istota, na szacunek. Ale także Alex zasługiwał na swoją szansę podania pomocnej dłoni. Trudna do rozwiązania sprzeczność.

- Podejźmy do niego.

- Beze mnie - fuknęła Remy.

- Okej. Masz klucz. Spotkamy się w domu.

- Odbiło wam? On może być niebezpieczny.

- Do zobaczenia w domu.

- To nie jest mój dom! - Remy złapała klucz i ruszyła szybko przed siebie, omijając bezdomnego szerokim łukiem.

Natomiast Alex podszedł do niego i zatrzymał się o krok od śmietnika.

- Cześć. Znalazł pan coś fajnego?

Mężczyzna zmierzył chłopca ponurym wzrokiem.

- To moja puszka - oznajmił po długiej chwili, wskazując na ostatnią zdobycz.

- Ja jej nie chcę. Tak tylko pytam.

Bezdomny spojrzał na Faith.

- Pani?

- Z całą pewnością.

Najwyraźniej zaskoczył go uśmiech Faith, bo jego twarz trochę złagodniała.

- To mu pani powie, że jestem zajęty.

- Chętnie, ale on jest niereformowalny. Chce pana o coś zapytać.

Alex podszedł jeszcze bliżej.

- Jadłem w barze pysznego sandwicza. Chciałby pan takiego? Mógłbym kupić go panu. My tu jesteśmy nowi. Widziałem już pana i pomyślałem...

- Co pomyślałeś? - nasrożył się mężczyzna.

- Pomyślałem, że jest pan głodny. Ja zawsze jestem głodny.

Faith położyła dłoń na ramieniu syna.

- Nie chcemy się panu narzucać. Alex...

- Alex? Masz na imię Alex?

Chłopiec skinął głową.

- Uhu. A pan?

- Alec.

Alex uśmiechnął się szeroko.

- Ale się narobiło. Ludzie będą nas mylić. Fajnie.
Alec spojrział na Faith, jakby chciał się upewnić, że urodziła takie dziecko.

- On tak zawsze?

- Prawie zawsze.

Bezdomny znowu zwrócił się do Aleksa.

- Co to za sandwicz?

- Sam pan sobie wybierze. Ja zamówiłem suba z mięsem, serem i pomidorem. Był taki ogromny.

- Alex szeroko rozłożył ręce.

- No popatrz, mi też najbardziej smakuje sub.

- Naprawdę? Taki na bagietce?

- Żaden inny, ani dudu.

- A colę też pan lubi?

- Czytasz w moich myślach.

Faith zastanawiała się, czy mężczyzna był rzeczywiście głodny, czy chciał po prostu sprawić przyjemność jej synowi. Czuła się niezręcznie, że to włóczęga pomaga im.

- Chce pan coś jeszcze?

- Wystarczy sandwicz i cola.

- Zaraz wracam. - Alex pobiegł w stronę barku, Faith odczekała chwilę.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Są rzeczy, do których nie wolno zniechęcać.
- Zaczął na powrót przeszukiwać śmieci.

O czwartej mogła wracać do McLean. Zrobili tyle, ile mogli zrobić. Reszta musiała poczekać, aż zamówiona ekipa wycyklinuje podłogi. Faith przymierzała

się do zerwania tapet, ale kilka prób zakończyło się niepowodzeniem. Powinna sięgnąć do literatury fachowej, chociaż czuła, że praca będzie wymagała hiobowej cierpliwości.

Alex też nie był w najlepszym humorze. Usiłowali obejrzeć poddasze, ale brak żarówek, ołowiane burzowe niebo i słabe baterie w latarce sprawiły, że niewiele zobaczyli poza stertami śmieci, których wynoszenie mogło zająć nawet tydzień.

- Zobaczmy, co da się zrobić - obiecała, kiedy myli ręce przed pójściem na herbatkę do Dottie.
- Wysprzątam strych. Chciałabym tam wstawić trochę pudeł.

- Ile?

Faith wolałaby się pozbyć wszystkiego, co kojarzyło się z Davidem i ich wspólnym domem, ale dzieci mogły potrzebować kiedyś tych rzeczy. Przytuliła naburmuszonego syna.

- Nie wiem jeszcze, ale to duży strych i nie powinny ci przeszkadzać.

Postanowiła jeszcze raz namówić Remy, żeby jednak poszła z nimi na proszoną herbatę. Zapukała do drzwi jej pokoju, odliczyła do pięciu i weszła. Zaskoczona zobaczyła, że córka zamiotła podłogę i umyła wychodzące na rzekę okna.

- Teraz wygląda tu znacznie lepiej. Próbowałaś zrywać tapety?

- Po co?

- Są w okropnym stanie. - Zbyt nowe, żeby zyskać urok staroci, i zbyt stare, żeby dodać wnętrzu blasku. Wszędzie widać było ślady taśmy i pinezek, jakby ktoś, kto tu mieszkał, usiłował zasłonić jak największą

powierzchnię plakatami. - To był pokój mojej siostry. Gdzieś pod spodem znajdziesz pewnie tapety w misie albo bociany...

- Stąd ją porwali?

Faith pożałowała, że nie ugryzła się w język.

- To było dawno temu.

- Nie chcę tu mieszkać.

- Alex chętnie się z tobą zamieni. To ładny pokój.

- Wziął ten drugi, bo jest tam wyjście na poddasze. A ja nie chcę żadnych schodów w swoim pokoju. Kto wie, co jest na górze?

- W takim razie będziesz musiała zostać tutaj.

- Uważasz, że to zabawne?

Faith oparła się o ścianę.

- Wszystkim nam jest trudno, ale to nie znaczy, że nie będziemy tutaj szczęśliwi.

- Ja już nigdy nie będę szczęśliwa. - W głosie Remy po raz pierwszy zabrzmiał nieskrywany, autentyczny smutek.

- Teraz tak myślisz.

- A dlaczego miałoby być inaczej?

- Bo nie zmieniło się to, co najważniejsze w twoim życiu. Masz nadal rodzinę, która cię kocha...

- Nie mam ojca.

- Owszem, masz. I kocha cię tak samo mocno, jak wtedy, kiedy mieszkaliśmy razem.

- Nie chcę go więcej widzieć. Nigdy.

Faith nie zrażała się.

- Kiedy sprzątałam na dole, przyszła mi do głowy dziwna myśl. Ten dom należał do całych pokoleń kobiet z naszej rodziny. Mieszkały w nim, kochały go.

- Nie dodała, że zapewne także w nim umierały. Tak

przypuszczała, bo Lydia nie opowiadała jej rodzinnych historii, i teraz sama musiała tworzyć rodzinną mitologię, jednak Remy słuchała jej z pełną powątpiewania miną. - Wiele z nich musiało zaczynać tutaj nowe życie, tutaj poznawało świat i ten obraz przechowywało do końca życia. Wiemy też, że zdarzyło się tu coś strasznego, ale te mury przechowują również mnóstwo radości i nadziei. Niestety wiemy tak niewiele, ale to nasze dziedzictwo. Moje i twoje. Dojdziemy prawdy i ten dom znowu będzie szczęśliwym domem.

- Jak ktoś mógł wynieść stąd dziecko? Okna są tak wysoko...

- Nie wiadomo, jak to się stało, ale na pewno nie przez okno. Jesteś pewna, że nie chcesz iść z nami?

- Zostaw mnie samą.

Dottie Lee Fairbanks kochała czerwień i oślepiające złoto. Uwielbiała mahoń i drzewo różane, snycerkę w węże i smoki, ogromne masywne meble. Nie znosiła natomiast rzeczy zwyczajnych i w jej domu nie było nic zwyczajnego. Nic a nic.

- Lubisz psy? - zagadnęła Aleksa od progu.

- Jasne. Wszyscy lubią psy.

- Mój może ci się nie spodobać. - Złożyła palce i gwizdnęła tak donośnie, że Faith miała ochotę zasłonić uszy.

Natychmiast pojawił się maleńki chihuahua i wyszczerzył ostre ząbki na Aleksa, który niewiele myśląc, stanął na czworakach i zaczął się odszczekiwać. Pies cofnął się o metr, co zważywszy jego rozmiary, zajęło mu trochę czasu, i przysiadł na pupie.

- Mądre dziecko - ucieszyła się Dottie Lee. - Nie pomyliłam się w ocenie twoich możliwości.

- No chodź, mały. - Alex wyciągnął dłoń, na co chihuahua zareagował głębokim namysłem. Faith nie uwierzyłaby, gdyby na własne oczy nie zobaczyła wyrazistej psiej miny.

- Mała - sprostowała Dottie Lee. - Nefertiti, zdrobniale Titi.

- Chodź, Titi.

Filigranowa suczka chwilę się zastanawiała, po czym wystrzeliła w stronę Aleksa. Chłopiec wziął ją pod pachę i podniósł się.

- Znasz Aleca, Dottie Lee?

- Jeśli masz na myśli Puszkowego Aleca, to tak, znam go.

- Puszkowy Alec? - Faith ruszyła za Dottie Lee do jadalni oświetlonej wysokimi od podłogi do sufitu oknami, z widokiem na Centrum Kennedy'ego i Watergate. Ogromny stół skąpany w promieniach słońca przypominał zażywającego popołudniowej sjęsty lwa.

- Sam tak się nazwał. Sypiał w waszej piwnicy.

- Naprawdę? - zainteresował się Alex.

Titi zamknęła oczy, jakby nagle zapadła w popołudniową drzemkę.

- Dopóki nie znalazł sobie lepszego miejsca.

- Gdzie?

- Teraz sypia w mojej. Ale tylko w chłodne noce. Kiedy jest ładnie, woli spać na dworze.

- Jak się dostaje do środka?

- Zostawiam otwarte okno, ale oczywiście nie rozmawiamy na ten temat.

Faith jeszcze nie pogodziła się z wiadomością, że Alec wzgardził jej piwnicą.

- Ciężkie ma życie, a przecież nie jest już młodzieniaszkiem.

- Dobrze się odżywia, bo w kilku restauracjach zostawiają mu resztki z całego dnia. Ubrania ma po studentach, kiedy ci wynoszą się pod koniec roku akademickiego. Jest silny jak byk.

- Dlaczego tak żyje? - Chłopiec usadowił się na wskazanym przez Dottie Lee krześle.

- Pije. - Dottie Lee zaprosiła Faith, żeby usiadła.
- Za dużo.

- Ojej. - Alex podrapał Titi za uchem. - Nie mógłby przestać?

- Próbowałeś?

Alex pokręcił głową.

- Wie, że to mu szkodzi?

- Nikt nie wie tego lepiej od niego.

Alex zastanawiał się przez chwilę.

- Wysprzątam naszą piwnicę.

Faith szybko skierowała rozmowę na inny temat.

- Te wszystkie meble to trofea z twoich podróży, Dottie Lee?

- Ani jeden. Nie lubię podróżować. Na Prospect Street mam cały świat pod nosem. Ale znałam mężczyzn, którzy podróżowali i wiedzieli, co lubię.

Faith pomyślała, że Alex może się obejść bez opowieści o mężczyznach w życiu Dottie Lee.

- Pomóc ci w czymś?

- Mariana przyniesie herbatę. - Dottie Lee zasiadła u szczytu stołu i zadzwoniła kryształowym

dzwoneczkiem. Titi obudziła się i zaczęła ujadać cienkim głosikiem.

Otworzyły się drzwi i weszła nieznacznie tylko młodsza od Dottie Lee kobieta z bambusową tacą.

- Kiedyś Mariana sama piekła ciasta - Dottie Lee sięgnęła po imbryczek z czarnej glinki - ale teraz kupujemy, co nam potrzebne. Mariana lubi chodzić do sklepów.

- Wcale nie lubię - oznajmiła Mariana z ledwie słyszalnym śladem latynoskiego akcentu. - Ona chce się mnie pozbyć.

- Mariana zawsze ma swoje zdanie na każdy temat. - Dottie Lee powiedziała to tak, jakby sama była inna.

Faith spodziewała się, że zostaną poczęstowani herbatą, może jakimiś ciastkami, a tymczasem Mariana przygotowała prawdziwą ucztę. Maleńkie tartinki, rożki z marmoladą i bitą śmietaną, ciastka.

- Wszystko na stole wygląda wspaniale. Mamy szczęście.

- Twoja matka często przychodziła do mnie na herbatę. - Dottie Lee podsunęła talerz z tartinkami Aleksowi. - Było to w czasach, kiedy jeszcze wiedziała, kim jest.

Faith pominęła tę uwagę milczeniem. Lydia Huston doskonale wiedziała, kim jest. Żoną Joego Hustona, wpływowego senatora z Wirginii.

- Jak mogłaby zapomnieć, kim jest? - wtrącił Alex. - Chyba że dostałaby amnezji. - Chciał nałożyć kilka tartinek, ale Faith go powstrzymała.

- Najpierw puść Titi i umyj ręce.

- Ona jest czysta.

- Na pewno jest - przytaknęła Dottie Lee. - Umyj jednak ręce, spraw przyjemność twojej matce.

Mariana wyprowadziła Aleksa z pokoju, zaś Titi usiadła obok jego krzesła, czekając cierpliwie na powrót swojego nowego przyjaciela.

- Jak się miewa Lydia? - zagadnęła Dottie Lee.

Faith miała wrażenie, że starsza pani zna już odpowiedź.

- Zajęta. Organizuje zbiórki pieniędzy.

- Na poszukiwanie zaginionych dzieci?

- Nie. Zbiera pieniądze dla ojca, na jego partię.

- Faith nałożyła sobie kilka tartinek.

- Dziwne, nie sądzisz?

- Interesuje się tyłoma rzeczami. - Ale w nic nie wkłada pasji. Faith wątpiła, czy jej matka potrafiłaby robić coś w prawdziwym zapamiętaniu.

- Porozmawiajmy o tobie. Jakie masz plany co do domu?

- Najpierw muszę go doprowadzić do takiego stanu, żeby dało się w nim zamieszkać, a potem powoli będę wszystko zmieniała. Sama wiesz, jak bardzo jest zapuszczony.

- Twoja babka, gdyby jeszcze była na tym świecie, przełożyłaby Lydię przez kolano.

Znowu wrócił temat matki.

- Znałaś moją babkę?

- Bardzo dobrze. Ty już nie zdążyłaś jej poznać.

- Umarła, zanim się urodziłam.

- Millicent za wcześnie umarła. Na malarię, jeśli pamiętam.

- Chyba tak. - Faith nie była pewna. W domu Hustonów nie mówiło się o przeszłości.

- Była wszechstronnie utalentowaną kobietą. Możesz zapytać matkę.

Wrócił zgłódniały Alex.

- Jeśli chcesz karmić Titi, rób to tak, żeby twoja matka nie widziała. - Dottie Lee podsunęła mu dżem i masło.

Alex nałożył sobie porcję, która mogłaby przyprowadzić każdego o śpiączkę diabetyczną.

- Co to za mężczyźni, których podobizny wiszą u pani w holu? Wyglądają na bardzo ważnych.

- Przyjaciele.

Faith podniosła wzrok i napotkała promienny uśmiech Dottie Lee. Nagle zrozumiała, co miała na myśli jej matka, mówiąc, że Dottie Lee to „nieciekawa osoba”.

- Dottie Lee opowiadała właśnie o twojej prababci - zmieniła szybko temat.

- Mieszkała w naszym domu? - zapytał Alex z pełnymi ustami.

- Przez wiele lat. Urodziła się tam, w pokoju, który z pewnością wybierze dla siebie twoja mama. Millicent wyprowadziła się dopiero wtedy, kiedy wyszła za Harolda, ale jej rodzice mieszkali na Prospect Street aż do śmierci. Wkrótce potem do domu wprowadzili się twoi dziadkowie.

- Znałaś moich pradziadków? - zainteresowała się Faith.

- Moja droga, jestem kopalnią informacji. Jako mała dziewczynka siadywałam na kolanach Violet. Nauczyła mnie czytać. Jej matkę też pamiętam. Candace była dla mnie jak rodzona babcia.

Dziwne. Bliscy, o których Faith prawie nic nie

wiedziała, dla Dottie Lee byli żywymi ludźmi z krwi i kości.

- Musisz mi kiedyś o nich opowiedzieć.

- W swoim czasie. - Dottie w zamyśleniu przeżuwała tartinkę z ogórkiem. - Opowiem ci, jeśli lubisz tajemnicze historie. Lubi, Alex?

- Porwanie siostry mamy też się liczy?

- Ma się rozumieć, ale wolę pogodniejsze.

W pokoju pojawiła się Mariana z kolejnym imbryczkiem herbaty.

- Przestań się kręcić i siadaj - zakomenderowała Dottie Lee.

Mariana usiadła, mrużąc coś pod nosem, a Dottie Lee podsunęła jej talerze z jedzeniem.

Faith odetchnęła, bo nie lubiła być obsługiwana.

- Wybacz, ale tajemnice lubię tylko w książkach.

- Wyrosłaś w przekonaniu, że tajemnica to coś niemiłego. Mylisz się. Zaraz dam ci przykład. Pewnie uważasz przeprowadzkę na Prospect Street za swego rodzaju degradację? - Gdy Faith nie zaprzeczyła, dodała: - Wiedz o tym, że inni tak nie myśleli. W twoim domu znajdziesz ukryty przed ludzkim wścibstwem dowód.

Alex zrobił wielkie oczy.

- Mogłabyś powiedzieć nam coś więcej?

- Mogłabym, ale nie powiem. Dzięki temu będziesz musiał odwiedzać mnie częściej, Aleksie Bronsonie. Może zdradzę coś, kiedy żadne z nas nie będzie się tego spodziewać. Zdziwisz się, jak dużo wiem.

Faith obserwowała świeżo upieczonych przyjaciół. Cieszyła się, że ktoś wreszcie polubił jej syna. Było jej tylko smutno, że to nikt z jego rodziny.

Dottie Lee podniosła wzrok, jakby czytała w myślach Faith.

- Twoja córka przypomina urodą Lydię, kiedy była w jej wieku, ale to Alex jest taki, jak ona kiedyś.
- Dottie Lee zaśmiała się głośno. - Ot, i następna zagadka, prawda, kochanie? Miejmy nadzieję, że jeszcze trochę pożyję i zdążę ci opowiedzieć wszystko, co wiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wszyscy lubili Borisa Quinna. Zanim upadł komunizm, jego była kochanka mawiała, że wszyscy lubią Borisa, bo nikt nie musi go kochać. Twierdziła, że doskonale znał granicę między jednym uczuciem a drugim i strzegł jej, uzbrojony po zęby niczym enerdownski strażnik muru berlińskiego.

Wyjaśniał jej cierpliwie swoje stanowisko. To prawda, nosił rosyjskie imię, ale nie każdy Rosjanin musi być komunistą, a w jego rodzinie nie było żadnego. A już na pewno żaden Quinn nie pilnował muru berlińskiego, albowiem członkowie tej rodziny byli zajęci rzucaniem kamieni w Belfaście.

Patrzył z ulgą zaprawioną smutkiem, jak odchodziła. Była chilijską pięknoscią, najbardziej zmysłową spośród wszystkich jego kochanek.

Tak jak on uwielbiała dobre jedzenie, była zaborcza, pełna temperamentu i z uporem szukała w nim cech, których nie posiadał.

Potem miał inne kochanki. Uwielbiał kobiety, to,

jak się uśmiechały i mruzczały cicho, kiedy je zaspokoił, ciepło ich ciał, kiedy zasypiały w jego łóżku, zapach ich włosów, miękkość piersi. Nie powiedziałby, że wszystkie je kochał, ale uczucia, które w nim budziły, były niezwykle intensywne. Pojawiały się w jego życiu. I odchodziły.

Dzisiaj pomagał się pakować jednej z nich.

- Jesteś nie do zniesienia! - Odette wrzuciła zawartość szuflady do plastikowej torby.

- Wiem, że trudno ze mną wytrzymać. - Boris uznał, że powinien wziąć na siebie część winy.

- To oczywiście, ale ja mówię o czymś innym. - Odette otworzyła ostatnią szufladę i wyrzuciła z niej skarpetki oraz kosmetyczkę.

- O czym mianowicie?

- Jesteś jak ekran radaru bez pulsujących punkcików.

Pomyślał, że właśnie tak musiała się kończyć przygoda z kontrolerką ruchu.

- Chciałaś mieć pulsujące punkciki?

Odette wyprostowała się, marszcząc czoło.

- Każda kobieta ich pragnie. Jesteś już na tyle duży, by wiedzieć podobne rzeczy.

Miał czterdzieści jeden lat i powoli wchodził w ten okres życia, kiedy stary pies nie uczy się już nowych sztuczek. Szczególnie jeśli idzie o kobiety.

- Chciałaś kłótni? Ostrego seksu? Właśnie tego ci brakowało?

Odette westchnęła. Nie należała do zbyt uczuciowych osób.

- Nie, kłótni też nie lubię. Może chodzi o to, że nie

wywoływałam na twoim radarze pulsujących punkcików.

- Ależ wywoływałaś.

Podniosła wzrok.

- Będzie mi potrzebna jeszcze jedna torba. Nie, nie wywoływałam. Za tydzień zapomnisz, że tu mieszkałam.

- Będzie mi ciebie brakowało.

- Boris, daj spokój. - Była długonogą brunetką z włosami za łopatki i figurą jak na rozkładówkę „Playboya”. Miała nieco zbyt wyraziste, zbyt ostre rysy, ale to tylko czyniło ją bardziej pociągającą. Boris nie cierpiał doskonałości.

Wyczerpawszy zapas argumentów, poszedł do kuchni po torbę.

- Skończyłam - oznajmiła Odette. - Znikam.

- Zadzwoń do ciebie. Może zjemy razem kolację w przyszłym tygodniu?

- Nie. Nie dzwoń do mnie. - Na jej ustach pojawił się krzywy uśmiech. - Było miło. Powodzenia. I wynajmij kogoś, kto skończy remont. Twoje mieszkanie to nora.

Odprowadził ją do drzwi, otworzył szarmancko, po czym wrócił do kuchni, wyjął z lodówki butelkę heinekera i zapatrzył się w nowy zlewozmywak sterujący samotnie ze ściany.

- Jest różnica między norą a wyzwaniem - powiedział w przestrzeń.

Odette należała do osób zrywających się z łóżka bladym świtem. Miał cały długi dzień przed sobą. Upił łyk piwa i schował butelkę do lodówki. Nie potrzebował alkoholu o tej porze. Powinien coś zjeść, wypić kawę, przeczytać „Post”. Nie miał niestety nic do

jedzenia, a gazetę ktoś zwinął mu spod drzwi, zanim zdążył ją zabrać.

Mieszkał w Georgetown, gdzie jest pełno barów i restauracji, ale uznawał tylko jedną. Przeczesał palcami włosy i wyszedł z domu.

Faith wzięła ostatni prysznic w starym domu, włożyła dżinsy, T-shirt, wrzuciła do pudła resztę kosmetyków z łazienki i poszła obudzić córkę.

Remy już nie spała. Siedziała przy oknie otoczona kartonami. Nie chciała się z niczym rozstawać, zgodziła się tylko zostawić meble.

- Ludzie od przeprowadzki przyjeżdżają za pół godziny. - Faith podeszła do okna. - Jeśli weźmiesz szybki prysznic, zdążysz jeszcze coś zjeść.

- Nie jestem głodna.

Nie był to dobry moment na pocieszenie. Obie nie miały na to sił.

- Zajrzę do Aleksa. Chyba się już obudził.

- Nawet zdążył się ubrać. Jest podniecony, jakby czekała go nie wiem jaka przygoda.

- Przynajmniej on jeden się cieszy.

Gdy Faith poszła do niego, właśnie pakował książki. Kilka razy przypominała mu, żeby to zrobił. Bez skutku.

- Masz tylko pół godziny czasu.

- Prawie kończę.

Uśmiechnął się szeroko i Faith musiała odpowiedzieć uśmiechem.

- Przyjdź na dół, jak skończysz. Zjemy coś.

Zeszła do kuchni, nalała soku, wyjęła z lodówki mleko. Wszystko inne już usunęła i umyła półki. Małej

lodówki, którą zamówiła do domu na Prospect Street, jeszcze nie dostarczono. Przez kilka dni będą musieli obyć się bez niej.

Zanim skończyła przygotowywać śniadanie, odezwał się dzwonek do drzwi.

Na rogu stał David.

- Co ty tu robisz?

Pokazał torbę od McDonalda.

- Przywiozłem śniadanie. - Zbliżył się o krok.

- Faith, wiem, że wam ciężko. Chciałem pomóc.

- I uznałeś, że właśnie dzisiaj pomoże nam twoja wizyta?

- Zabiorę gdzieś dzieci, niech nie patrzą, jak rozsypuje się ich życie.

Nie wiedziała, co powiedzieć. David do tej pory się nie narzucał, a ona pozwalała decydować dzieciom, czy chcą widzieć się z ojcem. Żadne z nich nie wyraziło dotąd ochoty na spotkanie.

- Muszą przywyknąć do myśli, że wszystko się zmieniło, i muszą wiedzieć, że kocham je tak samo jak przedtem - nalegał David.

Faith z ociąganiem zrobiła mu przejście.

- Kupiłem parówki zapiekane w cieście. Alex może pochłonąć każdą ilość.

- Zaraz zejdzie. Remy będzie tkwiła w swoim pokoju. Jej jest znacznie trudniej.

- Zawsze była taka zrównoważona...

- Bo nigdy nie zetknęła się z problemami. Chowałiśmy nasze dzieci pod kloszem. Alex umie się dostosować, ale Remy przeraża wszystko, co burzy jej idealny obraz świata.

O dziwo, nie próbował wskazywać jaśniejszych

stron sytuacji. Ale to raczej Faith patrzyła na świat przez różowe okulary, a David miał klapki na oczach.

Powoli zaczął wyjmować jedzenie i kłaść je na blacie kuchennym.

- Dasz mi jakieś wskazówki?

- Pytasz mnie o radę?

- Tak - uśmiechnął się smutno.

- Gdybym wiedziała, jakiej rady udzielić, sama bym z niej skorzystała. Poruszam się po omacku.

- Dajesz sobie radę.

- Wygląda na to, że ty też.

- Budzę się codziennie rano z myślą, żeby być kimś innym. Potem przypominam sobie, że przez całe lata byłem kimś innym. Nie mogę tego znieść.

- Nie potrafię ci współczuć. Jeszcze nie teraz. Czuję tylko złość.

- Zaczekam. - Mierzyli się długą chwilę wzrokiem. - Wiesz, czego pragnę najbardziej?

- Nie, i nie chcę wiedzieć.

- Chciałbym któregoś dnia szczerze, długo z tobą porozmawiać.

- Wierzysz w to? - Gorzki, sarkastyczny ton, jak u Lydii.

Pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Musimy myśleć o dzieciach. To jedyne, z czym daję sobie radę, chociaż i to czasami mnie przerasta.

Na schodach rozległ się tupot stóp i po chwili pojawił się Alex.

- Tata. - Zamarł w progu, jakby zobaczył włamywacza.

- Cześć, synu. - David uśmiechnął się. - Przyniosłem wam śniadanie.

- Co tu robisz?

- Powiedziałem ci już.

- Nie było cię tyle miesięcy i przychodzisz właśnie dzisiaj?

- Mam kiepskie wycucie czasu.

- Idź sobie. Dość już zrobiłeś mamie krzywdy.

Faith uznała, że musi interweniować.

- Tata nie robi mi krzywdy, tylko przyszedł zobaczyć się wami. Tęskni za tobą i za Remy.

- Robi ci krzywdę. Nieraz słyszałem, jak płaczesz po nocach.

- Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Musisz to zrozumieć - próbował tłumaczyć David. - Zależy mi na uczuciach mamy.

- Tak jak na tym facecie?

Faith podeszła do syna.

- Dam sobie sama radę, Alex. Nie musisz mnie bronić. Chłopiec nie spuszczał wzroku z ojca.

- Idź sobie. Nie chcę cię widzieć.

- A ja chcę, żebyście ty i Remy spędzili ze mną cały dzień.

Alex odwrócił się i pobiegł z powrotem na górę.

- Świetnie nam poszło - mruknął David.

Faith z trudem powstrzymywała łzy.

- Nigdzie nie pojedą, jeśli będzie z tobą Ham.

- Uwierz choć trochę w mój zdrowy rozsądek.

- To mój podstawowy warunek, jeśli naprawdę chcesz widywać się z dziećmi.

- Inaczej mówiąc, nie chcesz, żeby miały świadomość, kim jestem.

- Nie chcę, żebyś uzmysławiał im to za wszelką cenę.

David wyprostował się.

- Pójdę na górę do Remy. Jeśli zachowa się tak samo jak Alex, pójdę sobie, ale jak już się urządzą, będę odwiedzał ich regularnie. Nawet jeśli będę musiał walczyć o to w sądzie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył na piętro. Faith słyszała, jak kilkakrotnie pukał do drzwi córki. Remy zamknęła się na klucz. Za nic nie chciała widzieć ojca.

Faith przyjechała na Prospect Street, zanim dotarł tam pierwszy transport. W domu została skwaszona Lydia z dziećmi.

- Pianino Violet. - Dottie Lee pojawiła się przed domem, ledwie ekipa zaczęła wyładunek.

Faith wiele lat temu dostała pianino prababki od Lydii. Teraz wracało, kosztem kilku innych mebli z McLean, na Prospect Street.

- Dobrze grała?

- Mój Boże, Faith. Miała prawdziwy talent muzyczny. To pianino podarował jej mąż w prezencie ślubnym. Tak mało wiesz o swojej rodzinie, że aż wstyd. Czy Lydia nadal gra? Odziedziczyła talent po Violet.

- Mama? - Faith nie pamiętała, by Lydia kiedykolwiek zbliżyła się do instrumentu. Nie przypuszczała, że matka potrafi odróżniać nuty. Córki też nie zachęcała do grania.

- Kiedy Lydia zapomniała, co to jest radość życia, widocznie zapomniała również o muzyce - stwierdziła Dottie Lee.

- Remy kiedyś grała. - Dlaczego przestała? Akademia mogła zaoferować tylko najbardziej podstawowe wykształcenie muzyczne, ale Remy nie narzekała. Wolała piłkę nożną i gimnastykę, dzięki temu więcej czasu spędzała z przyjaciółmi.

- Teraz nikt już na nim nie gra - ciągnęła Faith - ale chciało wrócić do domu.

- Wierzę. Cieszę się, że wysłuchałaś jego próśb.
- Dottie Lee zniknęła w swoim domu.

Ekipa, wszystkiego dwóch potężnych mężczyzn, kierowca i tragarz, właśnie usiłowała wnieść pianino po stopniach wejściowych. Mimo zastrzeżeń Faith twierdzili, że poradzą sobie sami. Faith bała się patrzeć, jak im idzie, bała się też nie patrzeć.

- Pięć dolców, że ten niżej zaraz puści - odezwał się jakiś męski głos spośród gapiów zebranych na chodniku.

Kierowca, który stał niżej i tym samym dźwigał cały ciężar, wsunął głębiej dłonie, żeby podnieść instrument. Pianino zachwiało się niebezpiecznie.

Faith wstrzymała oddech. W tej samej chwili jakiś muskularny mężczyzna rzucił się z pomocą tragarzom, przytrzymał pianino piersią i kolanami. Drugi tragarz chwycił mocniej, wszedł stopień wyżej. Pianino znalazło się w pozycji poziomej i bezpiecznie przeszło przez drzwi.

- Upuściłby, gdyby ten facet mu nie pomógł - powiedział jeden z zakładających się.

- Jesteś mi winien pięć dolców.

Faith nie czekała, jak skończy się sprawa zakładu. Kiedy weszła do salonu, mężczyźni ustawiali pianino pod ścianą.

- Bardzo panu dziękuję. - Wyciągnęła dłoń do nieznajomego. - Nazywam się Faith Bronson. To pianino mojej prababki.

Mężczyzna otarł ręce o znoszone, obcięte do połowy ud dzinsy i odwzajemnił uścisk dłoni.

- Boris Quinn. Mieszkam na O Street.

Był wielki, szeroki w barach, z powodzeniem mógłby zostać tragarzem. Miał gęste, kręcone czekoladowobrazowe włosy i oczy w takim samym kolorze. Od kilku dni się nie golił, a jego T-shirt poplamiony był farbą, ale Faith patrzyła na niego jak na bohatera.

- Cieszę się, że pan tędy przechodził.

- Dalibyśmy se radę - obruszył się kierowca.

- Nigdy nie upuścił jednego pianina. - Tragarze wyszli, żeby dokończyć rozładunek i obrócić z kolejnym transportem.

Boris rozejrzał się po pokoju.

- Właściciela tego domu należałoby zastrzelić.

Faith, szczęśliwa, że przygoda z pianinem dobrze się skończyła, nawet się nie obraziła.

- Ja jestem właścicielką. Prace w toku. Chociaż tok wątpliwy.

- To pani dom? - Zmarszczył czoło. - To znaczy, że Hustonowie po tylu latach zdecydowali się wreszcie go sprzedać?

Nie zdziwiła się. W Georgetown wszyscy znali historię domu.

- Bronson po mężu. Z domu jestem Huston. - Jeszcze nie zdecydowała, czy wróci do rodzowego nazwiska, ale myślała o tym. - Niedługo znowu Huston. Chyba.

Od razu spojrzał ciepłej.

- Rozwód?

- Tak.

- Przykre. - Niemal widziała, jak składa w całość okruchy informacji, które rzuciła.

Poczuła się zmęczona. Przeprowadzka okazała się wyczerpująca nie tylko fizycznie i cała radość z uratowania pianina ulotniła się.

- Moje życie to otwarta książka, prawda? Ciekawe, czy jest w Waszyngtonie ktoś, kto nie zna mojego rozmiaru buta?

- Przepraszam. Bardzo przepraszam. Po prostu fascynuje mnie historia naszej dzielnicy. Takie hobby. A ten dom...

Nie musiał mówić nic więcej.

- Wiem. Obiekt turystyczny.

- Tak samo jak mój. W dziewiętnastym wieku zmarł w nim w czasie uroczystej kolacji sekretarz stanu. Tak to jest, kiedy się mieszka w Georgetown. Przyzwyczaj się pani.

Próbował być miły, ale Faith nie miała siły bawić się w konwenanse.

- Zostawiła pana żona dla innej kobiety?

- Nigdy nie miałem żony.

- To nie wie pan, jak wygląda moje życie.

- Przepraszam, niepotrzebnie wsadzam nos w nie swoje sprawy.

- To ja przepraszam. Naprawdę bardzo mi pan pomógł. Ja...

- Zawsze pani przeprasza za innych?

- Zawsze.

- Zawrzyjmy pakt. Za moje gafy nie będzie pani przepraszać.

Zawstydzona własnym zachowaniem, odprowadziła go do drzwi.

- Dziękuję, że znalazł się pan we właściwym miejscu we właściwym czasie.

- Byłem na śniadaniu w „Booeymongersie”.

- I zatrzymał się pan, żeby popatrzeć na widowisko. Urządziłam dzisiaj sąsiadom cyrk.

- Przekona się pani, że tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Georgetown to wiocha w wielkim mieście.

- Powinien pan poznać moją sąsiadkę.

- Dottie Lee? - Uśmiechnął się szeroko. - Znam ją. Wszyscy ją znają. To kronikarka naszej dzielnicy.

Tragarze wnieśli kanapę i ustawili ją pod ścianą.

- To już wszystko - powiedział kierowca. - Jedziemy z powrotem do Wirginii.

Faith też musiała już jechać.

- Jeszcze raz dziękuję. Ocalił pan kawałek historii - zwróciła się do Borisa.

- Proszę wpaść do mnie, jak będzie pani w pobliżu O Street. Mieszkam na rogu Trzydziestej Pierwszej, w drewnianym wiktoriańskim domu z wieżyczką. Ale proszę się nie spodziewać, że wewnątrz jest tak samo pięknie. Ja też przeprowadzam remont. - Wyciągnął dłoń.

Kiedy Boris wyszedł, podeszła do pianina i przejechała palcami po klawiszach. Z instrumentu wydobyło się kilka fałszywych dźwięków. Przez lata był tylko meblem i rozstroił się.

Jak życie Faith.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Remy nie była pewna, czy lubi swoją babkę. Kiedy jej koleżanki opowiadały, jak ich „babunie” szyją im kostiumy na Halloween albo pieką ciasteczka, czuła się dziwnie. Lydia nigdy nie robiła podobnych rzeczy.

Nie ignorowała wnuczki. Dawała Remy prezenty na specjalne okazje, drogie, ekstrawaganckie, na przykład kolczyki z szafirami albo różowy sweter z kaszmiru. Przyjaciółki jej zazdrościły, a Remy marzyła, żeby babka zapytała ją chociaż raz, co naprawdę chciałaby dostać. Dowiedziałyby się wtedy, że wnuczka nie znosi różowego, a zamiast szafirów wolałaby rubiny, bo według horoskopu był to jej szczęśliwy kamień.

Megan rozmawiała ze swoją babcią o wszystkim, Remy nigdy nie rozmawiała z Lydią o niczym istotnym. Dlatego zdziwiła się bardzo, kiedy babka weszła do jej pokoju i przysiadła na krześle koło biurka. Faith nie wróciła jeszcze z Georgetown.

- Wszystko w porządku, Remy?
- W porządku - bąknęła. Lydia nie musi wiedzieć,

jak jej wnuczka się czuje. - Alex spakował już swoje ubrania?

- Owszem, chociaż pewnie nigdy ich już nie włoży na siebie.

Remy pomyślała, że Alex wcale nie cieszy się z przeprowadzki, jak to wszystkim wmawiał. Najlepszy dowód, jak ociąga się z pakowaniem. Równie dobrze mógłby demonstracyjnie przykuć się kajdanami do poręczy schodów.

Lydia podniosła się sztywno i podeszła do okna.

- Pamiętasz, ile miałaś lat, kiedy się tutaj wprowadziliście?

- Nie wiem.

- Chyba cztery, a Alex dwa. Nikt z nim nie mógł wytrzymać.

- Taki się jeszcze nie narodził. - Remy miała nadzieję, że babka wyjdzie, zanim temat do pogawędki się wyczerpie.

- Byłaś takim ładnym, grzecznym dzieckiem. Zupełnie jak twoja mama.

- Mam już tego dość. Wszyscy w kółko powtarzają, jaka jestem do niej podobna. - Od razu pożałowała, że tak bezmyślnie chlapnęła. Znowu narazi się babce.

- Jesteś na nią zła, prawda?

Remy pomyślała, że musiała się przesłyszeć.

- Proszę?

- Jesteś na nią zła. Udajesz tylko, że jest inaczej. Uważasz, że przeprowadzacie się z jej winy.

- Wyszła za tatę, tak? Nikt jej nie zmuszał.

- Twoim zdaniem powinna była przewidzieć, co ją czeka? - Lydia pokręciła głową, ale nie była zirytowana. Już prędzej smutna.

- Uhu. Mogła pomyśleć o przyszłości.

- Myślisz, że cię nie rozumiem, prawda? - westchnęła Lydia.

Remy czuła, że lepiej zbyć tę uwagę milczeniem.

- Wiem, że tak jest, Remy. Uważasz, że ja nic nie rozumiem. Że nie widzę, jak bardzo chcesz znaleźć winnego.

- Nieważne.

- Ważne - oznajmiła Lydia twardo.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Lydia odwróciła się na powrót do okna.

- Ja rozmawiałam o wszystkim ze swoją babcią. Przez całe lata była moją najlepszą przyjaciółką.

Trudno było sobie wyobrazić, by Lydia mogła się z kimś przyjaźnić.

- Czy była do nas podobna?

Lydia przysiadła na ławce podokiennej.

- Do nas?

- To znaczy do mnie i do mamy. Wszyscy mówią, że jesteśmy podobne do ciebie. A ty byłaś podobna do niej?

- Nie. - Lydia niemal się uśmiechnęła. Przez chwilę przypominała małą dziewczynkę. - Ani trochę. Miała rude włosy, aż pomarańczowe, nawet kiedy była już babcią. Dziadek mówił do niej Marchewka. Niezbyt oryginalne przydomko, ale w jego ustach brzmiało czule. Była drobna, jak my wszystkie, i piegowata. Mam jej zdjęcia.

- To po niej Alex odziedziczył rude włosy.

- Na pewno.

- Nikt mi o niczym nie mówi.

Lydia uniosła brew.

- Ktoś właśnie coś ci powiedział.

- Nie chcę przenosić się do Georgetown. Nie chcę mieszkać w tym domu.

- Wiem.

- Mama zachowuje się tak, jakby to był najlepszy pomysł na świecie. Nie obchodzi jej, co czuję.

- Obchodzi, tylko nie chcesz tego dostrzec.

- Gdyby ją obchodziło, znalazłaby inne wyjście.

Remy spodziewała się usłyszeć, że jest dziecinna, ale babka oszczędziła jej tego.

- Kiedy jako mała dziewczynka odwiedzałam dom na Prospect Street, było tam zupełnie inaczej. - Znowu wstała. - Opowiem ci kiedyś, jeśli będziesz miała ochotę słuchać. - Remy mocno wątpiła, czy taki moment kiedykolwiek nadejdzie. Lydia poznała to po jej minie. - Mogłabyś jednak coś zrozumieć. Twoja matka wiele przeszła w ostatnich miesiącach. Nie chcę, żeby cierpiała jeszcze przez was. Postaraj się być dla niej dobra.

Remy posłała babce złe spojrzenie.

- Martwisz się o nią, a o mnie wcale. Bardzo dobrze. Sama sobie poradzę.

- Potrzebujesz matki tak samo jak ona ciebie. Nie zamykaj się przed nią.

Zanim Remy zdążyła odpowiedzieć, rozszczękał się złoty retriever sąsiadów. Lydia wyjrzała przez okno.

- Ciężarówka wróciła.

Remy miała ochotę krzyczeć, ale wiedziała, że nikt jej nie usłyszy.

Kiedy transport dobiegł końca, Faith czuła się tak, jakby ktoś przepuścił ją przez maglownicę. Wieczorem bolała ją głowa i krzyż od noszenia pudeł. Gdyby

nie dzieci, najchętniej położyłaby się do łóżka i nakryła kołdrą po czubek głowy.

- Kto ma ochotę na pizzę? - zawołała ze sztucznym entuzjazmem, stając między pokojami Remy i Aleksa.

Alex natychmiast otworzył drzwi i wytknął głowę na korytarz.

- Pepperoni?

- Jaką tylko chcesz. Pomyślałam, że powinniśmy uczcić przeprowadzkę.

- Remy nienawidzi pepperoni.

- Może zamówić inną.

Kiedy w drzwiach pojawiła się Remy, Faith oznajmiła, że wychodzą całą trójką i nie chce słyszeć żadnych sprzeciwów.

Wybrali tani bar na M Street. Alex zamówił pepperoni, Remy wegetariańską, a Faith sałatkę, której ledwo spróbowała, zbyt zmęczona, by jeść. Kolacja upłynęła w ponurym milczeniu.

W barku zebrali się chyba ludzie wszelkich ras i nacji: jakaś sikhijaska rodzina z małą córeczką, para zapatrzonych w siebie Afroamerykanów, kilkoro młodych Koreańczyków.

Alex przyglądał się barwnemu towarzystwu zafascynowany, ale Remy nie podnosiła wzroku znad talerza, jakby bała się zetknąć spojrzeniem z „obcymi”. Faith zrobiło się nieprzyjemnie. Mieszkali przecież dotąd o kilka minut jazdy samochodem od stolicy, a jej dzieci zachowywały się, jakby przyszły na wycieczkę do zoo.

To jej wina i Davida. Pozwolili na to, być może nawet umacniali w dzieciach taką postawę.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy jej dotychczasowo-

we życie rozpadło się na kawałki, ujrzała je od podszewki. Nie był to miły widok.

Po powrocie do domu Remy bez ponaglenia wzięła prysznic, zaś Alex jak zwykle marudził, po czym obydwójce zniknęli w swoich pokojach.

Faith zabrała się do rozpakowywania pudeł, ale poddała się w połowie pierwszego. Otwierając szafkę, w której chciała ustawić szklanki, zobaczyła butelkę szkockiej, prezent od Dottie Lee.

Zanim poznała Davida, piła przy różnych okazjach towarzyskich. Ot, kieliszek wina do kolacji, kufel budweisera podczas meczu Oriolesów. Po ślubie przestała pić, musieli przecież dbać o swój nobliwy wizerunek.

Zaśmiała się głośno, odkręciła butelkę i nalała sobie whisky tak że trzy centymetry, dodała wody, podniosła szklankę w toaście.

- Za wszystkie kobiety, które mieszkały w tym domu, i za moją siostrę Hope, która powinna tu być.

Po dwóch szklaneczkach osiemnastoletniego Glenfiddicha zasnęła bez trudu.

W środku nocy coś ją obudziło. Jeszcze nieprzytomna pomyślała w pierwszej chwili, że obok niej leży David. Usiadła wyprostowana w pościeli, podciągając odruchowo kołdrę pod brodę.

- Mamo - usłyszała wystraszony głos Aleksa.

- Mamusi...!

- Co się dzieje?

- Posłuchaj.

Po chwili doszedł ją przejmujący odgłos, jakby płacz dziecka.

- Słyszysz? - Alex przytulił się do matki.

Skrzypnęły drzwi, przez pokój przemknęła drobna postać i po chwili w łóżku Faith znalazła się Remy.

- Słyszałaś, mamó? - Remy z trudem wykrztusiła pytanie.

- Uhu. - Faith przyciągnęła dzieci do siebie.

- Skąd dochodził ten głos?

Oboje równocześnie wskazali na sufit.

- Ze strychu? - szepnęła.

Płacz rozległ się znowu. Rzeczywiście dobiegał z góry.

- Czy to Hope? - W głosie Aleksa słysząc było przerażenie. Najwyraźniej stracił zainteresowanie dla duchów.

- Skądże. - Faith nie była tego wcale pewna. Nie wierzyła w duchy i nie zamierzała uwierzyć, ale nie znajdowała żadnej sensownej odpowiedzi.

- To co? - zapytała Remy. - Ty jesteś mamą.

„Ja tu jestem mamą” - tak Faith kończyła wszelkie dyskusje z dziećmi. Teraz jej słowa zwracały się przeciwko niej. Zamknęła oczy.

- Co zamierzasz zrobić? - dopytywała się Remy.

- Pójdę na strych i zrobię z tym porządek.

Dzieci chwyciły ją za ręce.

- Nie!

- Musimy sprawdzić, co tak hałasuje, bo inaczej nie zaśniemy.

- Zadzwońmy na policję. - Alex mocniej ścisnął dłoń matki.

- Na pewno bym zadzwoniła, gdyby to był włamywacz, ale to nie włamywacz.

- Ktoś mógł wdrapać się na dach i wejść przez okno.

- Byłby strasznie głupi, żeby włączyć na dach.

Faith uwolniła się od dzieci i wstała z łóżka. Remy i Alex, zaprzysięgli wrogowie, natychmiast przywarli do siebie.

- Widzę, że będę musiała iść sama. - Nałożyła szlafrok, buty, w których przechodziła cały dzień, i ruszyła ku drzwiom. Wtedy płacz rozległ się znowu.

- Mamo!

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz, zastanawiając się, gdzie szukać latarki. Zostawiła ją w domu w czasie pierwszego sprzątnia. Pamiętała, że wymieniła baterie.

Powinna być w spiżarni, ale tam mieszkał szczur Lefty. Kiedy zapaliła światło w kuchni, żarówka zamrugała i zgasła. Musiała przeszukać spiżarnię po omacku.

- Przysięgam ci, Lefty, jeśli odważysz się wyjść z nory, zginiesz marnie - przestrzegła przyjaciela Aleksa, ale szczur przezornie nie wychylał nosa ze swojej kryjówki.

Faith zapaliła latarkę, wróciła na górę i weszła do pokoju Aleksa. Znowu rozległ się przeraźliwy płacz, lecz po chwili ucichł.

Nacisnęła kontakt przy schodach, ale światło się nie zapaliło, chociaż tragarze jeszcze za dnia wszędzie wymienili żarówki.

Zawahała się. Może powinna poczekać do rana? Lecz jeśli będzie zwlekać, jej dzieci nie przestąpią więcej progu tego domu.

W wąłym świetle latarki niewiele widziała, ale nie dojrzała nic podejrzanego. Stanęła na środku poddasza i zaczęła omiatać zakamarki latarką.

- Co się tu dzieje? - rzuciła w mrok.

Gdyby ktoś odpowiedział, pewnie z miejsca padłaby trupem.

Żadnego ruchu, żadnego dźwięku, nawet śladu ducha niemowlęcia.

- Ja osobiście w duchy nie wierzę - oznajmiła głośno. - I wołałabym nie zmieniać zdania.

- Mamo?

Podskoczyła i odruchowo chwyciła się za serce, zanim zrozumiała, że to Alex woła do niej z dołu.

- Wszystko w porządku, kochanie.

- Z kim rozmawiasz?

- Mówiłam do siebie. Wracaj do mojego pokoju.

- Mogę ci się przydać...

- Dam sobie radę. Idź do Remy.

- Jestem tutaj. Zapomniałaś, że mam trochę więcej lat niż on? - obruszyła się córka.

Nagle jakaś szara zjawa przeleciała przez strych. Faith krzyknęła, zjawa też krzyknęła i znikła wśród pudeł.

- Kot - oznajmiła Faith. Nie wiedziała, że serce może bić tak szybko. - Mamy na poddaszu kota! - Słyszac kroki na schodach, poświeciła Aleksowi. Remy wspinała się na górę tuż za nim.

- Kot? - zapytał podnieconym głosem.

- Można się było tego domyślić. - Z tonu głosu Remy mogła wywnioskować, że to ona powinna była się domyślić.

Kot pojawił się znowu i znikł w szczelinie między deskami. Faith poszła za nim i poświeciła latarką. Usłyszała cichy pisk i poczuła ciarki na skórze.

- Nasz kot to kotka. Ma małe. - Uklękła koło

szczeliny i usiłowała dostać się do nich, ale miała zastawiony dostęp kartonami.

- Kociaki? - zainteresowała się Remy. Od kiedy zaczęła mówić, domagała się kota, ale David był uczulony na sierść.

- Dzikie kociaki, kochanie - ostrzegła córkę Faith.

- Dlatego narobiła tyle hałasu - stwierdził Alex.
- Jak zjawa. Nazwiemy ją Zjawa.

Sytuacja szybko wracała do normy.

- Do łóżek, dzieci. Musimy zostawić Zjawę samą. Niech zajmie się swoimi małymi. Nie przeszkadzajmy jej. Przyniosę jej trochę wody.

Remy podniosła się z ociąganiem.

- Nie zrobisz nic złego tym kociakom? Nie wyrzucisz ich?

Tak byłoby najrozsądniej, ale Faith nie potrafiła być rozsądna, kiedy chodziło o zwierzaki.

- Trzeba pomyśleć, co będzie dla nich najlepsze.

- Zjawa musi tu zostać - orzekł Alex. - Mieszka w tym domu dłużej niż my.

Faith podniosła latarkę wyżej i dojrzała na jednym ze wsporników podtrzymujących strop coś, co zwróciło jej uwagę. Podeszła bliżej.

- Ja chcę do łóżka - jęknęła Remy, widząc, że matka się ociąga.

- Poczekaj chwilę. Spójrzcie tu!

W blasku latarki pojawił się wryty w drewnie piękną kursywą napis: „Millicent Charles”.

- Millicent to moja babka. To ona musiała wyryć te słowa.

- Niesamowite! - zachwycił się Alex.

- Wielkie mi co. - Remy była znacznie mniej zachwycona. - Chce mi się spać.

- Kiedyś napisałem swoje imię na mokrym cencie, ale ktoś je zatarł, zanim cement stwardniał - przyznał się Alex.

Faith otoczyła syna ramieniem.

- Z drewna trudniej usunąć litery. Ten napis jest tu od dawna.

- Jutro tu przyjdę i poszukam innych - obiecał sobie Alex. - Dottie Lee powiedziała, że w naszym domu ukryta jest tajemnica. Może to ta tajemnica, mamo?

- Tylko zostaw Zjawę w spokoju. - Zawahała się. - Nie możemy nazwać jej Zjawą. Babcia tego nie zrozumie.

- Mnie się podoba Zjawa - upierał się Alex.

- Nazwijmy ją Duszka - podsunęła Remy.

Kiedy dzieci wróciły do swoich łóżek, Faith zniosła na strych miseczkę z wodą. Duszka nie powinna już ich więcej niepokoić.

Kiedy sama wreszcie się położyła, długo nie mogła usnąć. Myślała o kobiecie, która wyryła swoje imię na wsporniku, o Davidzie i reakcji dzieci na jego wizytę, o swojej matce, która przeżyła w tym domu tragedię, o serdecznym przyjęciu, jakie jej zgotowała Dottie Lee, i o mężczyźnie z O Street, który uratował pianino.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami jej życie było całkowicie przewidywalne. I nudne.

Zacisnęła mocno powieki.

Nikt nie mógł powiedzieć, by takie było teraz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lydia i Joe od chwili zamieszkania w Great Falls dzielili jedną sypialnię. Lydia co prawda nalegała na oddzielne, ale w gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Hustonowie dawno temu zawarli porozumienie. Jeśli była kiedyś w ich małżeństwie czułość, ulotniła się po porwaniu Hope, jednak w dalszym ciągu zachowywali przed światem pozory udanego związku. W każdą niedzielę po nabożeństwie szli na śniadanie do „Old Ebbitt Grill”, gdzie mogli być widziani, podziwiani i gdzie ustalali rozkład zajęć na najbliższy tydzień.

Tej niedzieli Lydia przekonała męża, by zjedli w domu. Nie chciała w publicznym miejscu rozmawiać o przeprowadzce Faith na Prospect Street. Joe w dalszym ciągu nie pogodził się z decyzją córki, a Lydia nie chciała scen w restauracji.

Joe wszedł do pokoju śniadaniowego, kiedy kończyła nakrywać, i bez słowa powitania nalał sobie kawy, po czym postawił kubek na stole z takim rozmachem, że kilka krople wylało się na serwetę.

Lydia zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej jednak byłoby przeprowadzić trudną rozmowę na neutralnym gruncie.

- Marley jest w kuchni - powiedziała. - Zachowuj się spokojnie, z łaski swojej. Musimy poważnie porozmawiać.

- Czego chcesz, kobieto? - burknął. - To, że Faith zamierza mieszkać w tej szurzej norze na Prospect Street, już wiem. Masz jeszcze jakieś inne rewelacje?

- Sami kiedyś mieszkaliśmy na Prospect Street. Zapomniałeś już?

- O, nie. Nie zapomniałem.

Lydia odczekała chwilę, po czym przeszła do sedna sprawy.

- Nie mam dla ciebie żadnych rewelacji, nie chcę tylko, żebyś wyładowywał swoją wściekłość na Faith i dzieciach.

- Sama jest sobie winna.

Lydia знаła ograniczone poglądy Joego, ale tym razem zdołał ją zaskoczyć.

- Słucham?

- Gdyby była kobietą jak się patrzy, David pokazałby, że potrafi być mężczyzną.

- To śmieszne.

- Gdyby nasza córka była lepszą żoną, nadal miałyby męża.

- Jeśli miałeś zamiar prawić jej podobne mądrości, dobrze zrobiła, że z nami nie zamieszkała.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakiego piwa mi nawarzyła?

Lydia nachyliła się do męża.

- Tu nie chodzi o ciebie.

Joe z furją walnął pięścią w stół, po raz drugi wylewając kawę.

- A teraz każe mieszkać moim wnukom na Prospect Street. Powiedz mi, proszę, co jej to da?

- Po pierwsze będzie tam miała święty spokój.

- Uważaj, co mówisz!

- Dlaczego? - Lydia zniżyła głos. - Twoje pogroźki już od dawna nie robią na mnie wrażenia. Zbyt dobrze cię znam. A teraz posłuchaj. Jadę zaraz z Marley na Prospect Street. Pomożemy Faith rozpakować się i posprzątać. Około południa posłaniec z kwaciarni przywiezie kwiaty z bilecikiem tej treści: „Niech ci się szczęśliwie mieszka na nowym miejscu. Tata”. Zamówiłam już elegancki bukiet.

- Jeśli sądzisz, że to coś zmieni, bardzo się mylisz. Faith wie, że jestem przeciwny jej decyzji.

- Być może. Zbyt długo z tobą mieszkała i wie, że nigdy nie wybaczasz, ale dzieci tego nie wiedzą.

- Przyszło ci do głowy, Lydio, że mieszkając na Prospect Street, Faith może odkryć kilka rzeczy, o których sama wolałabyś zapomnieć?

Spojrzała przez okno. Pod lasem, niczym posągi, stały dwa jelenie. Kiedy przenosiła się do Great Falls, miała nadzieję, że wniesie to spokój w jej życie. Łudziła się.

- Dom na Prospect Street zawsze potrafił dochować tajemnicy, czyż nie? Miejmy nadzieję, że i tym razem tak będzie, Joe.

Mężczyzna od pianina siedział w ogródku przed „Booeymongersem” i czytał gazetę. Ranek był pięk-

ny, słoneczny, a w barze ani jednego wolnego miejsca. Faith od razu zorientowała się, że musi kupić śniadanie na wynos.

Mężczyzna, którego imienia i nazwiska nie mogła sobie przypomnieć, podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry. Rozpakowała się już pani?

Faith zatrzymała się koło jego stolika.

- Przepraszam, ale zapomniałam, jak się pan nazywa.

Poderwał się z krzesła.

- Boris. Boris Quinn.

Remy nic to nie obchodziło, ale Alex natychmiast zastrzygł uszami.

- Boris? - powtórzył. - Co to za imię?

- Rosyjskie - wyjaśnił Quinn z nieskrywaną satysfakcją.

- Fajne.

- Tu w niedzielę jest prawdziwe zoo. Dosiądzie się pani do mnie?

- Och, nie. Ja... - Faith nie zdążyła dokończyć.

- Pewnie - ucieszył się Alex. - Będziemy patrzeć na ludzi.

- Czekam tu. - Boris zagłębił się w gazecie.

Kiedy wrócili z jedzeniem, karmił resztkami tosta dwa spacerujące pod stolikiem gołębie. Ubrany był jak poprzedniego dnia, w obszarpane džinsy i T-shirt, tyle że niepobrudzony farbą. Uczesany i ogolony Boris prezentował się całkiem nieźle.

- Gołębie roznoszą zarazki. - Remy postawiła swoją tacę na stoliku.

- Te mają świadectwo sanepidu. - Boris pokruszył

tost do końca i otrzepał dłonie. - Przedstawiam ci Flipa i Flapa.

- To one mają imiona? - Alex usiadł po jego prawej ręce.

- Wszystkie stworzenia boże mają imiona, trzeba się tylko dobrze skupić, żeby je usłyszeć.

- A pan co, doktor Doolittle? - prychnęła Remy.
- Bóg je nazwał Flip i Flap? Ma poczucie humoru?

- Wystarczy się rozejrzeć dookoła, żeby zobaczyć, jak wielkie.

- Nieprawda - zaproponowała Remy.

Boris uśmiechnął się. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy on też wszystko wiedział lepiej.

- Podoba ci się w Georgetown?

- Ani trochę. - Remy zajęła się swoim bajgłem.

- A pani? - zwrócił się z kolei do Faith.

- Urodził się pan tutaj?

- W Kalifornii. A ty co powiesz, młody człowieku? - zagadnął Aleksa. - Twoja siostra już wie, mama jest niezdecydowana. Podoba ci się tutaj?

- Pewnie.

- Świetnie. Co ci się podoba?

Alex namyślał się chwilę.

- Tu można być, jakim się chce.

Faith ścisnęło się serce.

- Wszędzie można być, jakim się chce.

- Nie jak się ma jedenaście lat.

Boris oparł łokcie o blat stolika i spojrzał Aleksowi w oczy.

- Masz jedenaście lat i jesteś taki, jaki chcesz być. Widzę to.

- Jestem wynalazcą.

- Dałbyś mi jeszcze minutę, a sam bym się tego domyślił.

- Naprawdę?

Faith obserwowała, jak Boris czaruje jej syna. Miał ciepłe spojrzenie i mnóstwo wdzięku, z którego tylko pozornie nie zdawał sobie sprawy.

- Interesujący chłopak, Faith.

Ocknęła się z zamyślenia.

- Zawsze tak uważałam.

- W każdej rodzinie potrzebny jest wynalazca.

Wynalazki Aleksa były jednym z nielicznych przedmiotów sporu między Faith i Davidem. David uważał, że „czas na wynalazki” powinien być nagrodą za odrobione lekcje, natomiast Faith była zdania, że Alex powinien sam decydować, kiedy i czym się zajmuje.

Teraz miała decydować sama o wszystkim.

- Ma pan jakiegoś wynalazcę w rodzinie? - zainteresował się Alex.

- Sam jestem dla siebie rodziną i sam muszę wszystko robić.

Faith była zdziwiona, że Boris nie jest żonaty, że nie ma dzieci. Przecież musiał z kimś dzielić życie. Dottie Lee powinna coś wiedzieć na ten temat.

- Wspomniał pan, że remontuje swój dom? - zagadnęła.

- Bez przerwy. Własnymi rękami.

Faith zaświeciły się oczy.

- Naprawdę?

- Czyżbym usłyszał nutę zainteresowania? Między nami fachowcami?

- Szczerze? Wiem tylko, jak trzymać pędzel. Ale wszystkiego się nauczę.

- Proszę pamiętać, że widziałem pani dom. Będzie pani musiała nauczyć się całkiem sporo.

- Instalacji elektrycznej na pewno nie wymienię. Ma pan może adresy jakichś firm remontowych?

- W tej dzielnicy pytać o ekipę, to jakby prosić kogoś o klucz do jego skrzynki depozytowej.

- Żartuje pan.

- Mam adresy. Dam je pani, ale nie za darmo. W zamian zaprosi mnie pani na domową kolację. Zgoda? - Gdy Faith roześmiała się, zapytał z przestachem: - Aż tak źle pani gotuje?

- Dobrze, ale nie widział pan mojej kuchni.

- Okropna?

- Przerażająca.

- Pozwoli mi pani obejrzeć ten koszmar? Między nami fachowcami?

Nie wiedziała, jak odmówić. Złożył przyjacielską propozycję, a ona potrzebowała fachowej rady.

- Teraz zastawiona jest kartonami. Może pod wieczór? Po prostu niech pan zajrzy przy okazji, kiedy będzie pan w pobliżu.

- Zgoda.

Faith poczuła na sobie pełne wrogości spojrzenie Remy.

- Jak pan przyjdzie, pokażę panu swój komputer - ożywił się Alex. - Lubi pan komputery?

- Pasjami. - Boris odsunął krzesło. - Pójdę już. Zainstalowałem kilka dni temu nowy zlewozmywak w kuchni i muszę podłączyć wodę. - Uścisnął po męsku dłoń Aleksa, zaś Faith i Remy skinął głową.

Ledwie zniknął, Remy rzuciła serwetkę na stół.

- Co to za facet, mamo?

- Sąsiad. Pamiętacie, opowiadałam wam, jak tragarze wnosili do domu pianino i on...

- Nie znasz go! Wiesz o nim tyle, że potrafi unieść pianino, i zapraszasz go do domu?

Faith zdjęła złość.

- Nie słyszałam, żeby po Georgetown grasował seryjny morderca, Remy. To po prostu sąsiad, a nie Kuba Rozpruwacz.

- Skąd wiesz? Żyłaś z jednym facetem przez piętnaście lat i w ogóle nie wiedziałaś, kim jest.

- Z tobą żyję od czternastu lat i wiem, że nie będę tolerowała aroganckiego zachowania.

Remy spiorunowała matkę wzrokiem, poderwała się od stolika i wybiegła na ulicę.

Zapadła cisza. Dopiero teraz Faith spostrzegła, że nawet nie tknęła swojego sandwicza.

- Ja się na ciebie nie złościę - powiedział Alex.

Faith położyła dłoń na jego dłoni, ale nie była w stanie nic powiedzieć.

Remy minęła dom, nie zatrzymując się. Nie zamierzała tam wracać i zabierać się do rozpakowywania swoich rzeczy. Zbyt wielka złość ją roznosiła. Nie była pewna, co mogłoby się stać, gdyby znalazła się teraz w czterech ścianach swojego pokoju.

Najchętniej uciekłaby gdzieś daleko stąd, tylko nie bardzo wiedziała dokąd. Gdyby mogła wrócić do McLean... Może Alex, pieścioszek mamusi, wynajdzie wehikuł czasu i odeśle ją w przeszłość? Pewnie zrobiłby to z rozkoszą.

Szła szybko przed siebie w stronę uniwersytetu.

Z naprzeciwka zbliżało się dwóch chłopaków z ogromnym czarnym kudłatym psem.

Zachowywał się spokojnie, wyglądał przyjaźnie, ale gdy była już blisko, skoczył przednimi łapami na jej ramiona, przewrócił na ziemię i zaczął lizać po twarzy wielkim jęzorem.

Krzyknęła, bardziej zaskoczona niż przestraszona, i próbowała zasłonić się przed psimi pieszczołami.

- Zabierzcie go!

Chłopak, który prowadził psa, pociągnął mocno za smycz, a jego kolega rzucił się Remy na ratunek.

- Przestań, Misiek, ty głupku!

Misiek przysiadł na zadzie, a Remy poderwała się z ziemi, wściekle odpychając wyciągniętą dłoń chłopaka.

- Zaatakował mnie!

- Nie. Jest po prostu zbyt wylewny.

- Jak nie potraficie sobie z nim poradzić, nie wyprowadzajcie go między ludzi.

- Nie zrobił ci chyba nic złego?

- Nie...

- Przepraszam. - Chłopak uśmiechnął się szeroko. Miał jasne włosy, wielkie brązowe oczy i twarz jak z obrazka. - Powinienem był przewidzieć, że tak się zachowa. Lubi ładne dziewczyny.

Remy milczała, zbita z pantałyku nieoczekiwanym komplementem.

- Zaprowadzę go do domu - oznajmił ponurym głosem ten, który trzymał Miśka na smyczy. - Mam dość jego szaleństw. Niech wraca do schroniska.

- Do schroniska? - wykrztusiła Remy.

- Siostra Selima pracuje w schronisku. Mieli uśpić Miśka, ale go uratowała i dała Selimowi.

- To dobrze. - Wcale nie wiedziała, czy dobrze. Stała z twarzą obślinioną przez psa naprzeciwko najfajniejszego chłopaka, jakiego widziała w życiu.

Gdyby jednak nie pies, nie miałyby okazji rozmawiać z nieznajomym.

- Dobrze? Nie musisz karmić tego potwora. Nie masz pojęcia, ile potrafi pochłonać. Studiujesz na Georgetown University?

Była zdumiona i okropnie dumna, że wziął ją za studentkę. Przez moment korciło ją, żeby skłamać, ale szybko doszła do wniosku, że to bez sensu.

- Nie, właśnie się przeprowadziliśmy. - Wskazała kciukiem za siebie.

- My mieszkamy tam. - Chłopak wykonał identyczny gest. Spozrzęła, że Selim wchodzi z Miśkiem do takiego samego domu, w jakim teraz mieszkała.

- A ty studiujesz?

- Tak. Za kilka tygodni zacynam zajęcia. Gdzie chodzisz do szkoły?

- Na razie jeszcze nigdzie - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Spróbuj w naszej dzielnicy.

- Pewnie tak zrobię. - Pomięła milczeniem fakt, że nawet jeszcze nie jest licealistką.

- Dokąd idziesz?

- Nigdzie. Zwiedzam okolicę.

Chłopak wyciągnął dłoń. Miał ciepły, mocny uścisk.

- Jestem Colin Fitzpatrick.

- Remy Bronson.

- Chciałabyś zobaczyć campus? Mam trochę czasu, mogę cię oprowadzić.

Remy wiedziała, co na to powie mama. Powinna siedzieć w domu, zamiast łązić po kampusie z nieznajomym.

Uśmiechnęła się prawie jak dorosła osoba.

- Myślę, że możesz.

Wybuchnął śmiechem.

- Może zobaczysz najpierw, jak mieszkamy? Skoro jesteśmy sąsiadami...

- Zgoda. - Uznała, że skoro Faith może zapraszać do domu obcych facetów, to jej wolno przyjąć zaproszenie Colina.

- Uprzedzam, wczoraj urządziliśmy imprezę. Zawsze mamy bałagan, ale dzisiaj jest gorzej niż zwykle.

Ruszyli w stronę domu. Remy nie wiedziała, z czego bardziej się cieszyć. Poznała najfantastyczniejszego chłopaka na świecie, w dodatku umierała z ciekawości, co powie Faith, kiedy przekona się, że córki nie ma w domu.

Wiele by dała, żeby zobaczyć teraz minę matki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lydia i Marley pojawiły się około południa równocześnie z posłańcem z kwiaciarni. Trudno powiedzieć, czy Faith bardziej zdziwił widok matki, czy bukiet.

Faith przyjęła kwiaty, przywitała się z Marley i cmoknęła matkę w policzek.

- Są piękne. - Uśmiechnęła się domyślnie. - Ojciec ma dobry gust. Prawie tak dobry jak ty.

- Ostatnio nie był dla ciebie zbyt miły. Te kwiaty to forma przeprosin. - Lydia niepotrzebnie urządziła tę maskaradę. Faith doskonale wiedziała, że Joe nigdy za nic nie przeprasza.

- Postawię je na stole w kuchni. To jedyne jako tako uprzątnięte miejsce.

Kiedy Faith zniknęła, Marley zaczęła rozglądać się po pokojach. Nikt nie wiedział, ile naprawdę miała lat. Lydia przypuszczała, że około pięćdziesiątki. Szczupła i wysoka, odznaczała się niewyczerpaną energią. Lydia w jej towarzystwie zawsze czuła się zmęczona.

- W tym domu jest pracy na piętnaście lat - podsumowała. - Tylko podłogi ujdą.

Marley urodziła się na Jamajce. Naprawdę miała na imię Mary Louise, ale gorąca miłość do reggae zaskarbiła jej przydomek Marley.

- Kazałam je wycyklinować i teraz są rzeczywiście ładne, prawda?

- Dzięki temu widać, w jakim strasznym stanie jest reszta.

- Załamywanie rąk niewiele pomoże.

Marley wzruszyła ramionami. Z Joem rozmawiała rzadko, ale Lydii bez ogródek mówiła, co myśli. Wiedziała świetnie, że bez niej pani senatorowa nie dałaby sobie rady.

Faith wróciła, wołając po drodze dzieci. Skrzypnęły jakieś drzwi, po czym na schodach rozległ się głośny tupot oznaczający, że to zbiega Alex.

Zatrzymał się speszony u podnóża schodów.

- Dzień dobry, babciu. - Uśmiechnął się szeroko na widok Marley. - Cześć, Marley. Mamy kociaki na górze - pochwalił się natychmiast gospodyni. - Chcesz zobaczyć?

- Kociaki?

- Kociaki?! - zawtórowała Lydia. - Postradałaś rozum, Faith? Mało masz na głowie?

- Były już tu, mamó. - Podeszła do syna. - Idź po Remy, dobrze? Czemu nie schodzi?

- Nie wiem. Drzwi do jej pokoju są zamknięte.

- Biegnij po nią, proszę. - Faith odwróciła się do matki. - Na strychu mieszka kotka z małymi. Odkryliśmy je wczoraj w nocy.

- Co robiliście w nocy na strychu?

- Sprawdzaliśmy, co tam hałasuje.
- Och. - Lydia w lot zrozumiała sens słów córki.

Duch dziecka.

Na dole znowu pojawił się Alex.

- Nie majej. Ani w pokoju, ani w łazience, ani na strychu, bo musiałyby przejść przez mój pokój.

- Może weszła, kiedy byłeś tutaj. - Faith pokręciła głową. - Pójdę sprawdzić, mamó. Zaraz wracam.

Lydia pomyślała, że to sztuka zgubić dziecko rozmiarów Remy, ale rozważnie powstrzymała się od komentarzy.

- Ułożmy plan działania - zakomenderowała.
- Alex, chcesz, żeby Marley pomogła ci rozpakowywać twoje rzeczy?

- Pewnie.

Faith wróciła z niewyraźną miną.

- Nie ma jej.

- Może zeszła do piwnicy?

- Po co?

- Pewnie nie wróciła do domu - zawyrokował Alex.

Lydię zaniepokoił wyraz twarzy córki.

- Skąd nie wróciła?

Faith uciszyła Aleksa, który rwał się wyjaśniać, co zaszło.

- Poszliśmy na śniadanie - podjęła. - Remy się obraziła. Wyszła przed nami. Widziałam, że idzie w stronę domu. Miała klucz. Pomyślałam...

- Jak dawno temu się rozstaliście? - Lydia spojrzała na zegarek.

- Wróciliśmy do domu jakieś dwie godziny temu.

- Mówisz, że się obraziła?

- Remy nie może zaakceptować nowego domu.
- Może się zgubiła? Zna na tyle dobrze dzielnicę, żeby trafić do domu?
- Zna przecież nasz adres. Prospect Street to krótka ulica. Wystarczyłoby zapytać pierwszego przechodnia o drogę.
- Jest nas trójka. Przeszukamy okolicę.
- Czwórka! - zawołał Alex. - Zapomniałyście o mnie?

Lydia swoim zwyczajem już chciała uciszyć wnuka, ale zaskoczyło ją coś w wyrazie jego twarzy. Coś nowego. Jakiś dojrzały rys, którego wcześniej u niego nie dostrzegą. Pierwszy zwiastun dorosłości.

Postanowiła to uszanować.

- Ktoś musi zostać w domu, Alex, gdyby Remy się pojawiła. Szybciej wróci, jeśli zorientuje się, że jesteś sam. Nas może się bać. Dzwon do nas, jeśli wróci, dobrze?

Nachmurzył się. Czuł, że babka próbuje go podejść.

- Dobrze - zgodził się w końcu.

Lydia dotknęła jego ramienia w podzięcie. Spojrzał na nią zaskoczony. Nie podejrzewał, że stać ją na podobny gest.

Wyprawa na campus rozeszła się po kościach. Remy i Colin po zabawie z Miśkiem zalegli na kanapie przed wielkim telewizorem, który Selim ściągnął ze sklepu swojego ojca. Powtarzano starą komedię. Dwóch studentów usiłowało po całonocnej imprezie zaciągnąć dziewczynę do łóżka.

- Nigdy tego nie widziałas? - zagadnął Colin. - To już klasyka.

Remy oglądała z koleżankami różne filmy, nie była zupełną gapa, ale to, co się działo na ekranie, stanowiło dla niej całkowitą nowość. Wykpione zostało wszystko, w co uczono ją wierzyć.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście. - Kłamstwo przeszło jej gładko przez gardło, tak naturalnie, jak własne imię.

- Myślałem, że jesteś starsza. Chodzisz do szkoły średniej?

- Uhu.

- Pewnie do ostatniej klasy?

- Uhu. - Za kilka lat.

- Napijesz się coli? - Kiedy skinęła głową, wstał, przeciągnął się i zniknął w kuchni. Był fajny, naprawdę fajny. Megan nigdy nie uwierzy, że poznała chłopaka z uniwerku. Musi jej koniecznie o tym opowiedzieć.

Czekając na powrót Colina, zerknęła w okno i zobaczyła własną babkę. Stała na ulicy i rozglądała się niespokojnie za czymś.

Raczej za kimś.

Kilka minut później, kiedy Lydia zniknęła już z horyzontu, Remy podniosła się z kanapy.

- Muszę już iść - oznajmiła, odstawiając puszkę po coli. - Mama będzie się martwiła.

- Zadzwoń do niej. Gdzieś tu powinien być telefon... chwileczkę...

- Nie, pójdę już. Powinam rozpakować swoje rzeczy.

- Nie pokazałem ci kampusu.

- Mieszkam niedaleko. Jeszcze się zobaczymy.

Colin zerknął na ekran. Jeden z chłopców na ekranie wreszcie dopiął swego.

- Chcesz, żebym cię odprowadził?

Wykluczone. Dopóki nie wiedział, w którym domu mieszka, nie było niebezpieczeństwa, że pojawi się niespodziewanie na progu ich domu.

- Nie. Obejrzyj film do końca.

- Musisz wpaść do nas kiedyś na imprezę.

- Pewnie.

Wyrzała na ulicę. Czysto. Wymknęła się szybko i ruszyła w stronę domu. Była na spacerze. Skoro ma tu mieszkać, powinna poznać okolicę. Nie zrobiła nic złego. Nic się nie stało. Nie jest przecież małym dzieckiem. Ćwiczyła odpowiedzi, które za chwilę miały wybronić ją z opałów, i zastanawiała się, kiedy znowu zobaczy Colina Fitzpatricka.

Remy nie ma dopiero od dwóch godzin, pocieszała się Faith. Kiedy uzna, że czas wracać, znajdzie drogę do domu. Obraziła się, chciała dokuczyć matce.

Na darmo uspokajała samą siebie. Remy sama w obcej dzielnicy... Nie mająca pojęcia, jak się poruszać po mieście. Zdenerwowana.

Faith zatrzymała się na rogu M Street i Trzydziestej Trzeciej i wyjęła telefon komórkowy. Alex obiecał co prawda zadzwonić, gdyby Remy wróciła, ale ona nie mogła dłużej czekać. Wystukała numer.

- Nie pojawiła się? - zapytała syna.

- Nie. Marley mówi, że wróci, jak zgłódnieje.

Oby tak było.

- Dzwoń do mnie, jeśli wróci.

- Dobra.

Co teraz? Po długiej chwili wahania odszukała w torebce notes, po czym wystukała numer Hama.

David miał prawo wiedzieć, co się stało, był w końcu ojcem Remy.

Po kilku sygnałach w aparacie odezwał się obcy głos.

- Dzień dobry - zaczęła, nie przedstawiając się.
- Chciałam rozmawiać z Davidem Bronsonem.

- Niestety, nie ma go. Mogę mu coś przekazać?

Miała ochotę rozłączyć się, ale takich zachowań jej nie uczono. Skądinąd nie nauczono jej też, jak rozmawiać z kochankiem męża.

- Mówi Faith Bronson - powiedziała oficjalnym tonem. - Chciałam zawiadomić Davida, że Remy zniknęła. To stało się niedawno, ale powinien o tym wiedzieć.

- Zniknęła? - W głosie Hama zabrzmiała wysoka nuta.

Nie miała ochoty wyjaśniać mu, co się stało. Nie należał do rodziny, cokolwiek David do niego czuł.

- Proszę mu tylko powtórzyć, jak wróci, żeby do mnie oddzwonił. - David nie miał komórki, swoją oddał Faith. Rozmawiała z niej teraz. - Może Remy znajdzie się do tego czasu.

- Spróbuję go zawiadomić.

- Nie. Nie ma potrzeby. Ona...

- Faith, proszę. David jest jej ojcem. Powinien od razu się dowiedzieć.

Przeszedł na ty bez żadnej zachęty z jej strony. Chciała mu powiedzieć, żeby zwracał się do niej per pani Bronson, ale nazwisko nie należało już do niej.

- Rób, jak uważasz.

- Wiem, że to żadna pociecha, ale przykro mi, że sprawiłem ci ból. Mam nadzieję, że kiedyś zostaniemy przyjaciółmi.

Przemknęły jej przez głowę dziesiątki sarkastycznych odpowiedzi. Wybrała najuprzejmiejsze rozwiązanie i po prostu rozłączyła się. Zamknęła oczy, przycisnęła telefon do piersi. Kiedy zadzwonił, ledwie przez łyzy widziała klawisze.

Usłyszała głos Aleksa. Remy była w domu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Siląc się na spokój, Faith wysłuchiwała długiej litanii usprawiedliwień.

- Chodziłaś sobie? Tak po prostu? Nie przyszło ci do głowy, że mogę się o ciebie martwić?

Remy wbiła wzrok w ziemię.

- Nie wiedziałam, że się tak zezłościł. Nic się przecież nie stało. Chcesz, żebym tu mieszkała, to pomyślałam, że obejrzę sobie Georgetown.

- Masz czternaście lat, nie czterdzieści. Nawet gdybyś była starsza, powinnaś mnie informować. Tak robią cywilizowani ludzie.

Remy podniosła głowę.

- Tak? Chcesz powiedzieć, że tata cię informował? Zawsze wiedziałaś, gdzie jest i co robi? Nie!

- Idź, proszę, do swojego pokoju i nie wychodź stamtąd.

- Świetnie. Wielka mi kara. Przynajmniej nie będę musiała słuchać twoich kazań.

Remy pobiegła do siebie i trzasnęła drzwiami z takim impetem, że dom zadrżał w posadach.

- Pozwalasz jej na zbyt wiele - stwierdziła Lydia, która była świadkiem rodzinnej sceny. Przewidując, co się święci, Marley zawczasu zabrała Aleksa na górę.

- Skąd wiesz?

- Co?

- Pytam, skąd możesz wiedzieć? Nie stykałaś się z takim zachowaniem. Zawsze robiłam, co kazałaś, i nie powiem, żeby takie samo posłuszeństwo chciała wpoić Remy.

Lydia przysiadła na kanapie.

- A więc to moja wina, że w twoją córkę diabeł wstąpił?

- Myślisz, że podoba mi się jej arogancja?

- Nie myślę, ale...

- Ale nie będę uczyła mojej córki, że ma być cicho, czcić Boga, Ojczyznę i zawsze szanować rodziców. Tak właśnie mnie wychowałaś i nie zamierzam powtarzać twoich błędów.

- Bardzo cię przepraszam, nie wiedziałam, że tak się nad tobą znęcałam.

- Owszem. Nie mogłam powiedzieć słowa.

- Nadrabiasz to teraz z powodzeniem. Rzeczywiście miałaś poczucie, że musisz być chodzącym ideałem? - zapytała Lydia, kiedy minęła jej złość.

- Pomyśl. Byłam córką człowieka, który walczył o wartości rodzinne, zanim ktokolwiek wiedział, co to określenie znaczy. Byłam tą, której nie wykradziono z kołyski. Musiałam starać się za siebie i za Hope.

- Żałujesz, że nie zdjęłam z ciebie tego ciężaru, wynikającego z faktu, że stałaś się moim jedynym dzieckiem?

- Nie. Żałuję, że po porwaniu Hope tak bardzo zamknęłaś się w sobie. Słyszałam, że przedtem byłaś zupełnie inna.

- Zamknęłam się w sobie?

- Ta rozmowa nie ma sensu.

- Ma. Twoim zdaniem zamknęłam się w sobie?

- Na zawsze. Nie udawaj, że o tym nie wiesz. Jest ci z tym wygodnie.

- Nie wiem, jak to przeżyłaś. Miałaś bardzo ciężkie dzieciństwo - ironizowała Lydia.

- Powiedz, co byś zrobiła, gdybym zachowała się tak, jak Remy dzisiaj? - Lydia milczała. - Wiem, za bardzo im pobłażam, ale tak mi ich żal. Remy się pogubiła, Alex usiłuje przejąć rolę Davida. Nie ma jeszcze dwunastu lat, nie powinien martwić się o mnie. Zmartwienia to moja działka.

- Nawet z mojego szczelnego zaniknięcia widzę, że nie doceniasz Aleksa. Jeśli chodzi o twoją córkę, czuje się skrzywdzona przez los, co nie oznacza, że ma się w ten sposób do ciebie odzywać. Gdzie szacunek?

- Daj spokój z szacunkiem. Ona tak naprawdę...

- Nie mówię o Remy, tylko o tobie, Faith. O szacunku do samej siebie. Odnalazłaś w sobie całe jego pokłady, gdy szło o Davida, tylko wobec córki jesteś kompletnie bezradna.

Faith nie była pewna, czy w przyganach Lydii nie kryje się przypadkiem swoście sformułowany komplement.

Powiedziała coś, czego nie zamierzała mówić:

- Zadzwoiłam do Davida. Chciałam mu powiedzieć, że Remy zniknęła. Nie było go w domu. Odebrał Abraham Stein.

- Ślicznie. Powiedziałaś mu, ile płynu do zmiękczenia ma dodać, kiedy będzie prał gatki Davida?

- Faith mimo woli parsknęła śmiechem. Niezwykłe, ale i na twarzy Lydii pojawił się uśmiech. - Czasem potrafię żartować. Jeszcze mnie nie znasz, chociaż zdaje ci się, że wiesz o mnie wszystko.

Faith położyła dłoń na dłoni matki.

- Staram się.

Lydia wprawdzie nie odwzajemniła uścisku, ale nie cofnęła dłoni.

- Przyjaźniłam się ze swoją matką. Ty i Remy też będziecie kiedyś przyjaciółkami. - Nie wspomniała o sobie i Faith. Może również im któregoś dnia uda się zaprzyjaźnić?

- Ham obiecał zawiadomić Davida. Zrobił mi małe kazanie, że Remy jest jego córką. Jakbym sama nie wiedziała.

- Skoro Remy wróciła, chyba nie grozi nam jego wizyta. - Niczym w sztuce Neila Simona, rozległo się pukanie do drzwi. - Powiadomiłaś o tym Hama?

- zaniepokoiła się Lydia.

- Zostawiłam mu wiadomość w poczcie głosowej. Musiał akurat rozmawiać z Davidem. - Faith wstała.

- Mam nadzieję, że odsłuchał.

Wyjrzała przez szybę obok drzwi, by przekonać się, że nie odsłuchał.

Otworzyła drzwi, zagradzając wejście.

- Remy wróciła. Nagrałam ci wiadomość.

Napięcie zniknęło z twarzy Davida.

- Gdzie była?

- Twierdzi, że na spacerze, ale przepadła na prawie trzy godziny. To był długi spacer.

- Długie poszukiwania. Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie wcześniej?

- Dopiero w południe zorientowaliśmy się, że zniknęła.

- Nie wiedziałaś, że nie ma jej w domu?

W głosie Davida zabrzmiało oburzenie i coś jeszcze, nuta oskarżenia. Faith zjeżyła się.

- Nie wiedziałam, Davidzie. Nie zdążyłam jeszcze zainstalować elektronicznego monitoringu.

- Nie winię cię, chcę tylko wiedzieć, co myślałaś.

- Myślałam, że zamknęła się w swoim pokoju. Nastolatki mają już taki zwyczaj.

- Nie zajrzałaś do niej?

- Nigdy jej nie sprawdzałam i nie zamierzam robić tego w przyszłości.

- Wielkie przeoczenie. Musiałaś chyba zauważyć, że dzieje się z nią coś złego.

- Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego z twoją córką dzieje się coś złego, to idź do mojej łazienki i przejrzyj się w lustrze.

- Nie możesz już zawsze zrzucać winy na mnie.

Faith straciła cierpliwość.

- A ty nie masz prawa mi mówić, jak mam wychowywać Remy. Z własnej woli odszedłeś od nas.

- Musiałaś strasznie się zdenerwować - powiedział po długiej chwili już łagodniejszym tonem.

- Chcesz wejść?

David spojrzał na siedzącą na kanapie Lydię.

- Może innym razem. - Odwrócił się, chcąc odejść, ale Faith go zatrzymała.

- Alex jest na górze. Może pójdziesz do niego?

Rozpakowuje z Marley swoje rzeczy. Spróbuj zaprosić go na lody. - Zerknęła na zegarek. - A jeszcze lepiej na lunch. Nie miał zbyt miłego dnia.

Davidowi zabłyśły oczy.

- A Remy?

- Remy ma szlaban do wieczora.

- Bardzo dobrze.

Faith nie była aż tak pewna swego, by mu powiedzieć, że nie potrzebuje jego błogosławieństwa. Podejrzewała, że pomimo rozstania nadal będzie liczyła się z jego zdaniem.

- Byłoby lepiej, gdybyś się przez te lata nade mną znęcał. Wiesz, zamykał w piwnicy, przepił mój posag. Wtedy mogłabym cię nienawidzić - powiedziała ściszym głosem.

- Nie potrafisz.

- Może potrafie się maskować równie dobrze jak ty? - Odsunęła się, robiąc mu przejście. - Pokój Aleksa jest na wprost schodów.

David rozejrzał się i bez słowa skinął głową Lydii.

- Szlachetne, stare mury, Faith.

- Owszem, ale wymagają majątku, żeby zamienić je w miejsce do mieszkania.

- Staram się o pracę.

- Masz szansę?

Wzruszył ramionami.

- Jedną na sto, ale nie tracę ducha. Niedługo będę mógł dać ci jakieś pieniądze i doprowadzisz ten dom do przyzwoitego stanu.

Faith wiedziała, że David naprawdę chce jej pomóc, ale bała się, że pewne koła polityczne nie wybaczą mu tak łatwo jego „grzechu”.

- Idź po Aleksa. A może wolisz, żebym ja po niego poszła?

- Nie, chcę zobaczyć jego pokój.
- Poproś, żeby ci pokazał kociaki.
- Kociaki?
- Sam ci opowie.

David wszedł na górę. Skrzypnęły drzwi, rozległy się stłumione głosy. Po chwili w salonie pojawiła się Marley. Faith czekała.

- Chcesz, żeby wyszedł z panem Davidem, prawda? - zagadnęła gospodyni.

Chyba chcę, pomyślała. Ze względu na Aleksa.

- Chłopcę potrzebny jest ojciec.

Usłyszała trzaśnięcie kolejnych drzwi. Alex zabrał ojca na poddasze.

Poszli do stylizowanego na lata pięćdziesiąte Rocketa. David znał restauracje tej sieci, wiedział, że dostaną tam naprawdę dobre hamburgery. Jego syn zamieszkał co prawda w dzielnicy pełnej etnicznych knajp, ale zawsze kochał „prawdziwe amerykańskie” jedzenie.

- Masz ochotę na podwójnego rocketa? - David zwracał się do Aleksa jak do obcego.

Dawniej nigdy nie pytał, co syn chce zamówić. Alex musiał ciągnąć go za rękaw, machać ręką przed nosem.

- I koktajl czekoladowy?

- Uhu.

- Ja wezmę to samo. - Poczuł wyrzuty sumienia. Ham był zaprzysięgłym wegetarianinem, dlatego David od tygodni tęsknił za kawałkiem wołowiny.

Przywołał kelnerkę, złożył zamówienie i zagadnął syna:

- Jak chcesz urządzić swój pokój?
- Nie wiem.
- Mógłbyś zająć część poddasza - spróbował z innej beczki David.

- Uhu.

- Trudno ci, prawda?

Alex podniósł głowę.

- Z czym?

- W ogóle. Wszystko się zmieniło.

- Chyba.

David westchnął.

- Trudno wytłumaczyć to, co się stało, Alex.

- Nie chcę, żebyś tłumaczył.

Przy stoliku zaległa cisza.

- A jednak muszę. Są sprawy, o których powinienś wiedzieć.

- Nie. To wstrętne. Nie chcę słuchać - powtórzył Alex ze złością.

David nie mógł wybrać gorszego czasu na zadeklarowanie swoich preferencji. Dzieci wchodziły w najtrudniejszy wiek i miały w głowach kompletny zamęt. Przede wszystkim musiały uporać się z własną, rodzącą się seksualnością, pojąć tajemniczy fenomen odmienności płci, i nie były gotowe do przyjęcia faktu, że ich ojciec na starość przemienił się w geja.

- Nie zamierzam wyjaśniać ci, czego nie chciałbyś słuchać, ale wiedz, że nie miałem wpływu na swoją decyzję. Powiedziałem sobie wreszcie, że nie mogę dłużej okłamywać siebie i innych. Cokolwiek się stało, nadal jestem twoim tatą.

- Po co się przyznałeś? Mogłeś nic nie mówić...

- Tak może byłoby łatwiej, ale prawda jest najważniejsza.

- Zrobiłeś krzywdę mamie. Tyle lat byłeś jej mężem, chociaż wcale jej nie kochałeś.

- Zawsze ją kochałem. I nadal kocham, tyle że inaczej. Wiem, że teraz trudno ci to pojąć. Kiedyś zrozumiesz.

- Ja nie jestem taki jak ty! - Alex przesunął się na kanapce, jakby chciał wyjść z boksu.

David złapał go za rękę.

- Miałem na myśli coś innego. To, że twój ojciec jest gejem, nie znaczy, że ty też nim będziesz. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Chciałem tylko powiedzieć, że zrozumiesz mnie, kiedy dorośniesz i sam się zakochasz.

Alex odepchnął dłoń Davida, ale został przy stoliku.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

David nie nalegał. Pomyślał, że najważniejsze i tak już powiedział.

- Opowiedz mi, co się dzieje z twoim komputerem. Coś w nim zmieniłeś?

- Nie będziesz zadowolony.

- Mów.

- Wyrzuciłem filtry internetowe, które założyłeś.

- Masz rację, nie jestem zadowolony. - Był zły, że Faith na to pozwoliła.

- I co zrobisz? - zapytał Alex buńczucznie.

Jeszcze kilka miesięcy temu kazałyby Aleksowi zainstalować filtry na nowo albo zabrałyby mu komputer. Kilka miesięcy temu miał sprecyzowane zdanie na każdy temat.

Wzruszył ramionami.

- Co zrobisz? Powiem ci, żebyś nie szalał w sieci i pamiętał, że komputer to tylko maszyna. Nie możesz całych dni spędzać przed monitorem, szkoda na to czasu. Świat jest taki ciekawy...

- Teraz mogę surfować po całym Internecie.

- Są strony, na które nie powinieneś wchodzić. Mogę ci zaufać?

Alex skrzywił się.

- Nigdy mnie o to nie pytałeś. Nie pomyślałeś, że sam wiem, co warto oglądać, a co sobie odpuścić.

Było tyle rzeczy, przed którymi David usiłował chronić swoje dzieci, a przecież prędzej czy później i tak musiały się z nimi zetknąć.

- Bądź ostrożny. Na to Bóg dał ci rozum, żebyś go używał.

Alex po raz pierwszy się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po rozpakowaniu ostatnich kartonów zapanował w domu wreszcie względny porządek. Alex wrócił z lunchu chmurny, ale powiedział Faith, że w piątek idzie z ojcem do kina i że Remy też jest zaproszona.

Późnym popołudniem po Marley przyjechała córka, Lydia też gotowała się do wyjścia. Faith zaproponowała na pożegnanie filiżankę herbaty.

- Chciałam coś ci pokazać, mamo. Na poddaszu - powiedziała, nalewając herbatę Ulung. - Przy okazji zobaczysz kocięta.

- Te wycieczki na górę nie wystraszą kotki?

- Nie sprawia wrażenia dzikiej. Może ostatni lokatorzy ją tu zostawili.

- Wcale bym się nie dziwiła, chociaż zabraniałam im trzymać tu zwierzaki.

Kiedy były na piętrze, Remy wytknęła głowę ze swojego pokoju.

- Przepraszam, że cię zdenerwowałam. Mogę już wyjść?

- Możesz - zgodziła się Faith. - Pójdiesz z nami obejrzeć kocięta?

- Jasne.

Zapukały do drzwi Aleksa, przeszły przez jego pokój, wspięły się na poddasze i stanęły kolo kociego legowiska.

- Ile ich jest? - zainteresowała się Lydia, zerkając córce przez ramię.

- Dwa, może trzy. Kiedy przychodzimy, mama je zasłania. Chodź, pokażę ci, co znalazłam ostatniej nocy. - Faith wskazała filar z wrytym w drewnie napisem. - Wiedziałaś, że tu jest?

Lydia przesunęła palcem po żłobieniach.

- Od lat o nim nie myślałam.

- Dottie Lee nie zapomniała. - Alex, przegnany przez kotkę głośnym fuknięciem, dołączył do rodziny.

- Powiedziała nam, że w domu jest sekret.

- Jakiś miły sekret - dodała pospiesznie Faith.

- Na pewno chciała, żebyśmy poczuli się lepiej.

- Dottie Lee jest twoją sąsiadką i musisz z nią rozmawiać, ale nie pozwól się jej spoufalać, Faith. To kobieta z przeszłością. - W ustach Lydii to wyrażenie nabierało określonej wymowy.

- Lubię ją. Wie dużo o naszym domu.

- Wiedziała na pewno o napisie. Moja matka była starsza od niej tylko o jakieś cztery, pięć lat. Traktowała Dottie Lee jak młodszą siostrę. - Lydia opuściła rękę. - Odkryłaś tylko część sekretu, jeśli ten miała na myśli.

- A gdzie reszta? - zaciekawił się Alex.

- Za duszno tutaj, żebyśmy wam opowiadała.

Nawet Remy okazała zainteresowanie.

- To zejdźmy na dół, opowiesz przy herbacie.

Lydia podjęła opowieść, kiedy z filiżanką w dłoni usadowiła się wygodnie na kanapie.

- Nie wiem dokładnie, kiedy zbudowano dom. Tyle zdążyłam zapomnieć. Tyle pokoleń kobiet z naszej rodziny tu mieszkało. Ty jesteś piątą, Faith. Przed chwilą policzyłam.

- A Remy szósta - dodała Faith.

- Mnie nie licz - prychnęła dziewczyna. - Zostałam przeniesiona siłą.

Lydia zbyła tę uwagę milczeniem, ograniczając się do ostrzegawczego spojrzenia.

- Jedne mieszkały tu dłużej, inne krócej. Ja wprowadziłam się na Prospect Street dopiero po ślubie i nie zagrzałam długo miejsca. Moja matka mieszkała tu aż do wyjścia za mąż. Z kolei moja babka, Violet, tu się urodziła i tu umarła. Przeżyła pod tym dachem osiemdziesiąt lat.

- Tutaj umarła? - powtórzył Alex. - W którym pokoju?

- W tym, w którym mieszka teraz twoja matka. Nie chciała iść do szpitala. Dziadek odszedł rok przed nią i od tamtej chwili sposobiła się na śmierć. Była kobietą o żelaznej woli. - Lydia uśmiechnęła się nieznacznie do własnych wspomnień. - Pięknie grała na pianinie. Jako dziecko często zostawałam na noc na Prospect Street i rano budziły mnie dźwięki muzyki.

Faith przypomniała sobie rozmowę z Dottie Lee.

- Dottie mówi, że ty też miałaś talent muzyczny, mamó. Nigdy nie słyszałam, jak grasz.

- Przestałam.

- Dlaczego?

Lydia przez moment ważyła w myślach słowa.

- Po powrocie ze szpitala położyłam Hope spać i zesłam na dół, usiadłam do pianina i zaczęłam grać. Muzyka mnie relaksowała. Nie wiem, ile czasu minęło, ale chyba niewiele. Oderwałam się od instrumentu, kiedy twój ojciec wrócił z jakiegoś spotkania. Poszedł na górę zajrzeć do Hope... Już jej nie było. - Lydia pokiwała głową. - Gdybym tego popołudnia nie siadła do pianina, usłyszałabym, że ktoś wchodzi do domu, i Hope siedziałyby tu teraz z nami.

Boris zatrzymał się przed domem na Prospect Street. Po drodze kupił bukiet astrów dla Faith i coś na wynos w swojej ulubionej knajpie. Było po dziewiątej, Bronsonowie pewnie już zdążyli zjeść kolację, ale kto nie połakomiłby się na kurczaczka w zielonym curry? Już sam zapach wprawiał Borisa w uniesienie.

Wszedł na ganek i cicho zapukał. Miał nadzieję, że Faith nie położyła się jeszcze spać. Po całym dniu rozpakowywania kartonów musiała być wykończona. Już miał zrezygnować z wizyty, kiedy otworzyła drzwi.

- Witaj, Borisie. - Odruchowo przeczesła palcami włosy.

Jej fryzura nie budziła zastrzeżeń, ale Boris nigdy nie przywiązywał wagi do takich drobiazków.

- Nie za późno, żebym obejrzał kuchnię? - zagadnął z miłym uśmiechem.

Faith oparła się o framugę drzwi.

- Dotrzymujesz słowa. Niestety Alex już śpi.

- Szkoda. - Chłopiec go zaintrygował. Był wolnym duchem, rzecz prawie niemożliwa, jeśli ma się za ojca Davida Bronsona, wyznawcę surowego kodeksu

etycznego, i za dziadka senatora Joego Hustona, konserwatywnego retropatriotę. - Zjrzą innym razem, ale to nie przetrzyma. - Podał Faith torbę z kurczakiem.

Zerknęła na bukiet i szybko podniosła wzrok.

- Ostrzegam cię, takie miłe gesty mogą mieć efekty uboczne.

- Jakie?

- Rozgadam się.

- Albo zaśniesz nad curry.

- Curry? - ożywiła się.

- Jak ci powiem, gdzie je kupiłem, staniesz się nałogowcem. To niebezpieczne. Jeśli jadłaś już kolację, włóż to do lodówki. Będziecie mieli na jutro.

Faith cofnęła się, robiąc Borisowi przejście.

- Musimy zjeść dzisiaj. Jeszcze nie dostarczyli lodówki. Masz ochotę?

Boris nie musiał się specjalnie poświęcać. Zawsze był głodny.

- Kupiłem butelkę białego wina. - Ponieważ Faith nie odpowiedziała, dodał: - Pewnie nie tykasz alkoholu?

- Będziemy musieli pić ze szklanek, bo jeszcze nie wypakowałam kieliszków.

Czyżby jednak Faith nie była aż tak wstrzemięzliwa, jak to zalecał David Bronson? W każdym razie Boris wolał się nie zdradzać, ile wie o jej dotychczasowym życiu.

Przeszli w głąb domu.

- Śliczne kwiaty. Dziękuję.

- Nie pierwsze, jak widzę. - Wskazał na ekstrawagancki bukiet stojący na kuchennym stole.

- To od mojej mamy, chociaż próbowała mi wmówić, że przysłał je ojciec.

Boris rozejrzał się po wnętrzu. Dopiero teraz zrozumiał, jak wielka praca czeka Faith.

- Ładne podłogi - pochwalił to, co można było pochwalić.

- Boris, przestań, bo ci nos urośnie.

Dotknął dłonią twarzy.

- Może lepiej stąd wyjdę?

Faith zaśmiała się.

- Kuchnia nie jest aż tak mała. Starczy w niej miejsca na jedno, może nawet dwa kłamstwa.

- Kiedy podłogi naprawdę są ładne.

- Ale reszta to koszmar.

- Jeśli chcesz tu gotować, to rzeczywiście.

- Gotowałam do tej pory tak, że Berty Crocker, ta pierwsza dama amerykańskiej kuchni, powinna pozwać mnie do sądu za naruszenie praw autorskich. I co mi z tego przyszło? Żadnej radości.

Z przyjemnością patrzył na nią. Nie była w jego typie, wolał bardziej egzotyczną urodę, a Faith, z rysami typowej, zdrowej, zadbanej Amerykanki, trudno było uznać za piękność. A jednak miała w twarzy coś zdecydowanie pociągającego: szczerłość, skromność, inteligencję. Niezwykle ważne cechy, które jakże łatwo przeoczyć.

- Jesteś na tyle młoda, że czeka cię jeszcze wiele radości. - Boris wyjął wino.

- Czasami o tym zapominam.

- Od dzisiaj postaraj się pamiętać.

Przechyliła głowę, zastanawiając się nad jego uwagą. Rozmawiali przecież o gotowaniu. Tylko o gotowaniu. I nagle przenieśli się w zupełnie inny, dużo ważniejszy obszar.

- Nie wiem o tobie nic, poza tym, że jesteś uczynny i mieszkasz w sąsiedztwie. Opowiedz mi coś o sobie.

- Najpierw powiedz mi, gdzie masz korkociąg.

Szybko znalazła i wręczyła mu korkociąg.

- Zajrzę do córki i zapytam, czy ma ochotę przyłączyć się do nas.

Boris znał odpowiedź. Remy Bronson od pierwszego wejrzenia zapalała do niego żywą antypatią.

- Remy zgasiła już światło - oznajmiła Faith po powrocie. - Przeprowadzka wykończyła ich oboje. W dodatku Remy za nic nie chce tu mieszkać.

- Dzieci szybko się adaptują.

- Jesteś ojcem?

- Nigdy się nie ożeniłem. - Boris dostrzegł uważne spojrzenie Faith. Domyślał się, co ją nurtowało. - To nie znaczy, że nie lubię kobiet. Zostawmy ten temat.

Faith zaczerwieniła się lekko.

- Trudno powiedzieć, żebym była dobrym sędzią, jeśli chodzi o męskie preferencje.

- Nie wiem. Moim zdaniem nie należy nikogo osądzać. I być otwartym, na ile to możliwe. - Napełnił szklanki i podał jedną Faith.

- Tak by się wydawało. Ale ludzie potrafią okłamywać samych siebie i tych, których, zdawałoby się, powinni kochać.

Jeśli tak było, pomyślał, to David Bronson musiał być mistrzem w ukrywaniu prawdy.

- Chciałaś dowiedzieć się czegoś o mnie.

- Owszem. - Faith uniosła szklankę w toaście.

- Zajmuję się komputerami. Wychowałem się w Kalifornii, studiowałem w Chicago, potem przenio-

szłem się do Waszyngtonu w poszukiwaniu szczęścia - przedstawił swój życiorys w telegraficznym skrócie.

- Dlaczego akurat tutaj?

- Mieszkałem tu jakiś czas jako dziecko. Przyjechałem zobaczyć rodzinne miasto i już zostałem. Łatwiej było tu o pracę niż w Dolinie Krzemowej. Pomyślałem, że będę miał tu większe szanse.

- Miałeś?

- Jestem sam sobie szefem, a właśnie tego zawsze chciałem.

- Opowiedz mi o swoim domu.

- To piękny dom. Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, wiedziałem, że musi być mój. Na rynku panował zastój, ludzie nie chcieli inwestować w stare nieruchomości, choć wszyscy czuli, że warto. Kupiłem dom za grosze, w opłakanym stanie, i zabrałem się za remont. Na pierwszy ogień poszła elewacja. Była kilka razy przerabiana, ale przywróciłem jej oryginalny wygląd. Wszyscy się dziwili, dlaczego najpierw elewacja, bo normalny człowiek zacząłby od wnętrza. Zrozumiesz mnie, kiedy zobaczysz efekty mojej pracy.

- Nie robiłeś chyba wszystkiego sam?

- Niemal wszystko, z wyjątkiem zdejmowania sidingu, tego plastikowego paskudztwa. Kiedy lepiej mnie poznasz, przekonasz się, że mam wysoką tolerancję na chaos. A remont to chaos. - Spozrzegł, że Faith z zafascynowaniem słuca jego opowieści. - Ale dość o mnie - zmitygował się.

- Ee, wszystko zepsułeś. - Faith zajrzała do piekarnika, gdzie podgrzewała kurczaka. - Nakryję w jadalni. Tu nie da się jeść. - Wskazała na zastawiony wypakowanymi naczyniami stół.

- A ja w tym czasie się rozejrzę. Po to w końcu przyszedłem.

- Świetnie. Wygląda na to, że trafiłam w dobre ręce. - Zaczerwieniła się znowu, czując na sobie spojrzenie Borisa. - To znaczy moja kuchnia trafiła w dobre ręce.

Dopiero teraz zrozumiał, że Faith musi zmienić wszystko w swoim życiu, przeistoczyć się z mężatki w osobę samotną.

- I ty, i kuchnia możecie mi zaufać.

- Pójdę nakryć.

Boris zajął do spiżarni i włosy stanęły mu na głowie, kiedy zobaczył nadgryzioną izolację kabli.

- Mamy się ewakuować? - zapytała Faith, wracając do kuchni.

- Nie, ale nic tu nie włączaj. - Wskazał na gniazdko koło kuchenki. - Jeśli masz taśmę, zaklej te kable. Musisz wezwać elektryka, Faith. Ta instalacja to bomba zegarowa. Podłączysz lodówkę i cały dom wyleci w powietrze. Od dawna nikt nic tu nie robił.

- Mama nie była w stanie zajmować się domem.

- Rozumiem. Porwanie dziecka musiało odcisnąć się na was wszystkich.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o domu, a tym bardziej o porwaniu. Wszystko, co o tym wiem, dowiedziałam się od obcych ludzi. A oni pewnie z gazet.

- Dziwne.

- Nie dziwiłbyś się, gdybyś znał moich rodziców.

Ostatnie zdanie powiedziała tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Rano nie odpowiedziałś mi na pytanie. Jesteś

zadowolona z przynosin? - zapytał, kiedy kończyli kolację.

Faith upiła łyk wina, zastanawiała się chwilę.

- Mówiłeś, że zajmujesz się komputerami. Nie jesteś przypadkiem dziennikarzem?

- Który zbiera materiały do artykułu o rodzinie Bronsonów?

- Coś w tym rodzaju.

- Możesz być spokojna. Moja działka to Internet, nie dziennikarstwo. Dla ciebie jestem po prostu sąsiadem.

„Po prostu sąsiadem”. Co za sformułowanie! Gdyby był po prostu sąsiadem, nie siedziałby teraz tutaj. Nie chodziłby od lat do „Booeymongersa” i nie znalazłby się na Prospect Street akurat w momencie, gdy tragarze wnosili pianino. Nie przyniósłby Faith kwiatów i kolacji.

Nie przyszedłby do domu, z którego porwano Hope Huston.

- Dobrym sąsiadem. - Faith uśmiechnęła się, zerknęła w stronę kuchni i zerwała na równe nogi.

Boris pobiegł za nią.

Całe pomieszczenie wypełniał dym wydostający się z piekarnika. Faith chciała otworzyć drzwiczki, ale Boris szarpnął ją do tyłu.

- Nie ruszaj! - Wyciągnął rękę i przekreślił kurek, odcinając dopływ prądu. Płomienie powoli dogasały.

- W środku nic nie było. Skąd ogień?

- Grzałka musiała się przepalić. Termostat pewnie też. Już w porządku, Faith - powiedział uspokajającym tonem i objął ją serdecznie. - Ogień zaraz zgaśnie. Nie ma niebezpieczeństwa, ale powinnaś kupić nową kuchenkę.

- Fatalnie. Mam wyższe ubezpieczenie niż konto w banku.

- Kuchenki nie są drogie. Pomogę ci jakąś wybrać, dobrze? - Opuścił ręce i odsunął się o krok. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, co zrobił. Prawie się nie znali, a on obejmuje ją jak stary przyjaciel. Albo kochanek.

- Wezwij jutro elektryka. Przede wszystkim zabezpiecz całą instalację, dopiero potem bierz się za dalszy remont.

- I mam liczyć, że będzie lepiej?

Nie był pewien, o co Faith pytała, ale czuł, że ma na myśli nie tylko remont. Nie był człowiekiem, który przywiązywał wielką wagę do uczuć, ale odpowiedź przyszła mu bez trudu.

- Wszystko wymaga czasu. Pomyśl, że świat się właśnie przed tobą otwiera.

- Jesteś optymistą.

- Nie wiem, nie drażę mojego charakteru. Zresztą głębi u mnie nie więcej niż na mały palec.

- Może tylko tyle pokazujesz innym? - Zaskoczyły go te słowa, ją zresztą też, bo szybko dodała:

- Dziękuję za obiad i kwiaty. No i za to, że uratowałeś dom przed spaleniem.

Czas było zakończyć wizytę. Wyciągnął dłoń.

- Rano przyniosę ci adresy fachowców. Śpij dobrze i nie zamartwiaj się.

- Śpij dobrze. - Odprowadziła go do wyjścia i zamknęła za nim drzwi.

- Boris Quinn? - Spojrzał w górę i zobaczył w oknie sąsiedniego domu Dottie Lee. Nie zamienili ani słowa. Dottie tylko pokręciła głową i zniknęła.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie spał dobrze tej nocy. Ledwie zamykał oczy, pod powiekami pojawiał się obraz Faith wpatrzonyj w dogorywający piecyk. Strata kuchenki nie była życiową katastrofą, dojrzał jednak w jej oczach coś, co dobrze znał. Coś, co zdawało się mówić: „Proszę bardzo, jeszcze i to. Dokopcie leżącej”.

Czując, że nie zaśnie, usiadł przy komputerze. Po godzinie miał kilka projektów przebudowy kuchni na Prospect Street. Zapewne Faith nie będzie mogła wszystkiego zrobić od razu, ale pokaże elektrykowi plany. Od czegoś trzeba zacząć. Wydrukował listę zaufanych firm remontowych, adresy stron internetowych, które mogły się przydać Faith, i w miarę tanich sklepów. Wreszcie mógł usnąć.

Rano był już na Prospect Street, ubrany do pracy i mocno spóźniony na umówione spotkanie. Ale też po Borisie nikt nie oczekiwał punktualności. Był wolny od tej przywary.

Kiedy otworzyła drzwi, podał jej wydruki.

- Zrobiłem kilka projektów, są też adresy firm i sklepów. - Podniósł dłoń na pożegnanie.
- Dziękuję, Boris. - Faith spojrzała na jego adidas i rozpiętą pod szyją koszulę. - Weekendowy strój w poniedziałek?
- U nas to normalne.
- Też bym chciała pracować w takiej firmie. Żadnych obowiązkowych rajstop.
- Szukasz pracy? - zainteresował się, choć powinien już jechać. - Jakie masz przygotowanie?
- Historia Europy, głównie siedemnasty wiek. Jak wiesz, na specjalistów w tej dziedzinie jest ogromne zapotrzebowanie. Bardzo ci dziękuję za wydruki. Musiały cię kosztować sporo zachodu. Raz jeszcze dzięki.
- Do usług. - Powinien teraz zerknąć na zegarek, ale nie miał go na rękę. Posiadał ich kilka, w tym roleksa, którego dostał na ostatnią Gwiazdkę od rady wykonawczej swojej firmy i zachlapał go farbą, bo zapomniał zdjąć, zabierając się do prac remontowych.
- Elektrykowi powiedz, że dzwonisz z mojego polecenia. Aha, byłbym zapomniął. - Podeszedł do samochodu i wyjął z bagażnika sporą klatkę. - Pułapka na szczury. Schwytasz swojego lokatora, nie robiąc mu krzywdy.
- Co pocznę z Leftym, kiedy tam wejdzie?
- No tak. Będziesz miała problem, skoro już nadałaś mu imię.
- I kto to mówi? Człowiek, który nadaje imiona gołębiom?
- Masz wiele możliwości rozprawienia się z nim, pod warunkiem, że dzieci nie będą tego widziały.
- Uniosła pułapkę w dwóch palcach, jakby się bała, że lada moment stanie się coś straszego.

- Jak to działa?
- Alex będzie wiedział.
- Jedź już. Jesteś spóźniony, prawda?
- Poczekają. Zdażyli się przyzwyczaić.

Z pułapką w jednej dłoni i wydrukami w drugiej patrzyła, jak stare, poobtłukiwane subaru Borisa znika za zakrętem.

Była pewna, że przynajmniej kilka dni będzie musiała czekać na elektryka, ale kiedy wspomniała, że dzwoni z polecenia Borisa, obiecał przyjść od razu. Rzeczywiście, pojawił się jeszcze przed lunchem, obejrzał instalację, pomruczał, rzucił parę przekleństw, których mury na Prospect Street dotąd nie słyszały, spojrzął fachowym okiem na plany narysowane przez Borisa, naniósł na nie własne korekty i zwrócił wydruki Faith.

- Przywiozę pani kosztorys.
- Musimy się spieszyć.
- Wpadnę pod wieczór. W tę środę możemy zacząć.
- Zaczynać?
- Nie da się na chybcika, jeżeli chce pani mieć porządnie zrobioną elektrykę.

Ledwie za fachowcem zamknęły się drzwi, w kuchni pojawił się Alex.

- Jestem głodny - oznajmił od progu. Zjadł już jabłko i dwa batony, czyli wszystko, co mogła mu zaproponować bez kuchenki i lodówki.

- Powiedz Remy, żeby zeszła na dół. Pójdziemy coś zjeść.

Ale Remy nie było w domu. r

Remy wiedziała, że nie uda się jej długo wodzić matki za nos. Postanowiła, że wracając od Colina, kupi w „Booeymongersie” muffinki. Daje Faith i powie, że chciała przeprosić za wczoraj. Na wszelki wypadek zostawiła nawet kartkę na swoim łóżku. Jeśli pójda szukać jej w „Booeymongersie”, wyjaśni, że najpierw zajrzała w kilka innych miejsc.

Kiedy dotarła do Colina, pchnęła uchylone drzwi, wetknęła głowę do środka i zawołała, ale nikt nie odpowiedział. Stała na środku holu i zawołała jeszcze raz. Z kuchni wyłonił się ciemnowłosy Enzo. Chłopcy mieszkali w czwórce: Colin, Selim, Paul i Enzo, który wyleciał z uniwersytetu i teraz pracował w sklepie z ubraniami. Mignął jej wczoraj, kiedy oglądała z Colinem telewizję.

- Co tu robisz? - ziewnął. - Która godzina?
- Dochodzi dziesiąta. Wszyscy śpią?
- Selim gdzieś wyszedł. Colin nie wrócił na noc. Paul...

- Enzo wrzucił ramionami.

To znaczyło, że są w domu sami, pomyślała i poczuła się bardzo dorosła.

- Przechodziłam tędy i pomyślałam, że zajrzę, by powiedzieć cześć.

Enzo z bardzo znudzoną miną wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

- Cześć - powtórzyła.
- Cześć - mruknął. - Zawsze jesteś taka rozświegotana?

Remy nie pamiętała, kiedy ostatnio była rozświegotana.

- To ja już sobie pójdę.
- Goni cię co?

- Mam trochę roboty.

- Chcesz kawy?

W domu Faith jeszcze nigdy nie zaproponowała jej kawy.

- Masz już zrobioną?

- Nie, ale zaraz będzie gotowa. Pracujesz? - zapytał, rozsiadając się na kanapie.

- Nie. - Usiadła na brzeжку sofy. Zaraz będzie musiała przecież iść. - A ty lubisz swoją pracę?

- Idzie wytrzymać. Dużo sprzedaję, bo mi wisi, czy ludzie kupią ten chłam, czy nie. Dlatego do mnie przychodzą, bo wiedzą, że nie będę im nic wciskał. Chwytasz?

Nie chwytala, ale skinęła głową. Zaczynała się denerwować. Robiło się późno, w domu mogli już zauważyć, że wyszła.

- Dlaczego nie pracujesz? Staruszkowie ci nie pozwalają? - zapytał, wracając z kuchni z dwoma kubkami kawy.

Usłyszała w jego głosie nutę lekceważenia, ale nie mogła mu przecież powiedzieć, że kiedy człowiek ma czternaście lat, może co najwyżej od czasu do czasu zaopiekować się małym dzieckiem sąsiadki albo wyprowadzić jej psa. Więc milczała.

- Jesteś kiepska w szkole? Dlatego?

- Mam studiować na dobrym uniwersytecie.

- Uniwersytet - parsknął Enzo. - Banda bezmózgowców. Zero myślenia. A ja myślę. - Popukał się w głowę. - Będę robił w handlu. Założę własny interes. Już handluję. Nie tylko ciuchami. - Podniósł wymownie brew.

Dopiero po chwili zrozumiała, o czym mówił. Enzo handlował narkotykami.

Podniosła się z kanapy, ale złapał ją za rękę.

- Spoko. Nie musisz u mnie nic kupować, nie? Ile masz lat?

- Na tyle dużo, żeby się dziwić, dlaczego dilujesz. Przecież mogą cię złapać.

- Za duża kasa, żebyś sobie odpuścił. - Pokiwał głową, jakby za nic nie mógł uwierzyć, że jest aż tak głupia.

- Zostań zawodowym mordercą, będziesz kosił jeszcze większą.

- Z choinki się urwałaś? Przecież nie robię nic złego. Ludzie chcą zapalić trawkę, więc dlaczego nie? To lepsze niż prozac. I niedrogie.

W domu i w szkole zawsze słyszała, że narkotyki to dzieło diabła. Uczono ją mówić „nie”, gdy stykała się z czymś, co było niezgodne z zasadami wyznawanymi przez rodziców. Jednak teraz zostały one wystawione na ciężką próbę. Jej bransoletka z napisem: „Co zrobiłby Jezus”, od dawna leżała w szufladzie.

- Nie mów mi, że nigdy nie przypaliłaś.

Znowu się podniosła, tym razem jednak jej nie zatrzymywał.

- Chłopaki wiedzą, czym się zajmujesz? Colin, Selim?

- Co im do tego? Gdyby potrzebna im była kasa, każdy sprzedałby własną babkę. Na szczęście nie muszą. Ojciec Colina jest największym dealerem samochodowym w New Jersey, a stary Selima ma trzy sklepy z elektroniką. Selim i jego siostra pracują tylko

dlatego, że zgred chce, żeby zdobywali doświadczenie, jak to określa.

- Pójdę już.

Enzio zaśmiał się.

- Powiedziałem coś nie tak?

- Nie, muszę wracać do domu.

- Pewnie, wracaj do mamusi.

- Jasne, że wrócę. Tam przynajmniej nikt mnie nie zaaresztuje.

- Mnie też. Myślisz, że gliny przejmują się takimi jak ja? Mają w nosie handlarzy marychą.

- Cześć - pokiwała dłonią. - Uważaj na siebie.

- Będę uważał, mała.

Wyrzała ostrożnie na ulicę i upewniwszy się, że może bezpiecznie wyjść, pobiegła do „Booeymongersa”. Bóg jej jednak nie ukarał, bo Faith nie czekała na nią w środku. Kupiła muffinki i kawę dla mamy, i ruszyła w stronę domu.

Po południu Alex zajął się ulepszaniem pułapki przyniesionej przez Borisa, natomiast Remy zamknęła się w swoim pokoju i wdała w długą rozmowę telefoniczną z Megan.

Udobruchana muffinkami Faith nie próbowała jej nawet zwracać uwagi, że gada już ponad godzinę. Stała przy oknie w salonie, planując dalsze porządki w kuchni, gdy dostrzegła znajomą sylwetkę. Dottie Lee wybrała się z wizytą.

- Widzę, że zdążyłaś już poznać Borisa Quinna - z miejsca przeszła do rzeczy, ledwie Faith otworzyła drzwi.

- Nie wejdiesz, Dottie Lee?

- Nie mam czasu.

Skoro rzecz się wydała, Faith postanowiła skorzystać z okazji i pociągnąć Dottie za język.

- Poznałam go w dniu przeprowadzki, pomógł mi trochę. Co o nim wiesz? Wydaje się miły, ale ty na pewno znasz go dużo lepiej.

Dottie Lee poprawiła zarzucony na ramiona purpurowy szal w słońce.

- Znam go od lat i nigdy nie usłyszałam o nim złego słowa. - Zamilkła na moment. - Ale też nikt nie wie, jaki jest naprawdę.

Faith nie ucieszyło to, co usłyszała.

- Większość seryjnych morderców można scharakteryzować w podobny sposób.

- Boris nie ma morderstw w swoim repertuarze. Jest pod stałym, dyskretnym nadzorem.

- Pod nadzorem?

- Nie wiesz, czym się zajmuje?

- Mówił, że komputerami. Chyba Internetem.

- Faith usiłowała przypomnieć sobie szczegóły wczorajszej rozmowy. - Ma firmę, tak?

- Moja droga, to więcej niż firma. Boris jest założycielem i prezesem Scavengera.

Nawet Faith, która miała o tym nikłe pojęcie, wiedziała, że Scavenger to jeden z największych portali internetowych.

Człowiek, który dał jej listę tanich firm remontowych, który siedział pół nocy przy komputerze, projektując przebudowę kuchni przy Prospect Street, który wczołgiwał się pod zlew, żeby sprawdzić stan rur, był milionerem, jeśli nie miliarderem.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Opowiadał mi, że sam remontuje swój dom.
- Nasz Borisek to ekscentryk. Nie znajdziesz chyba nikogo, kto z równą pogardą odnosiłby się do własnego statusu.

- Jeździ starym subaru.
- Bo niczym się nie przejmuje.
- To dlaczego mieszka w Waszyngtonie?
- Chyba wiem, dlaczego dotąd się nie ożenił
- oznajmiła Dottie Lee, ignorując pytanie, za to prowokując Faith do nadstawienia uszu. - Widzę, że cię to interesuje.

- Owszem.
- To największy samotnik, jakiego znam.
- Boris?
- Zaskakujące, prawda? Pod tą pocziwą powłoką bernardyna bije serce człowieka, który żyje tylko dla siebie. Nigdy nie przyznałby mi racji, ale to prawda.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Snuję przypuszczenia. Nie warto się nimi dzielić.

Dottie Lee machnęła ręką, odwróciła się i ruszyła w stronę swojego domu, zostawiając na progu oszołomioną Faith.

Wieczorem na Prospect Street pojawił się Joe Huston. Faith nie widziała się z nim od wieczornej rozmowy w McLean. Na powitanie cmoknął ją zdawkowo w policzek, co w jego przypadku oznaczało, że jest usposobiony dyplomatycznie.

- Wyglądasz na zmęczoną. Zmizerniałaś.

Choć nie schudła ani kilograma, nie wyprowa-

działa ojca z błędu. Od rozstania z Davidem jadła więcej niż zwykle, ratując się w ten sposób przed depresją.

- Przeprowadzka mnie wykończyła. Na szczęście najgorsze mam już za sobą.

Joe rozejrzał się po pokoju z taką miną, jakby najgorsze miała dopiero przed sobą.

- Nie możesz tak mieszkać. Co zamyślasz?

- Doprowadzić ten dom do porządku. Mam już projekt przebudowy kuchni. Chcesz zobaczyć? - Sięgnęła po wydruki Borisa, ale Joe lekceważąco machnął ręką.

- Rozumiem, że chcesz być niezależna, ale żeby za taką cenę?

- Nie chcę się z tobą sprzeczać.

- Wiesz, że mam rację.

- Nie. Robię to, co uważam dla siebie za najlepsze. Muszę uwierzyć we własne siły.

Joe tego nie rozumiał. W dalszym ciągu widział w Faith osobę, która nieustannie stara się zadowolić wszystkich wokół.

- Dużo przeszłaś ostatnio - podjął po chwili.

- Problemy jeszcze się nie skończyły, ale to moje problemy. Zaczynam się do nich przyzwyczajać.

- Niewiele ci pomogłem.

Faith zrobiła się czujna. Zbyt dobrze знаła ojca, by miały ją zwieść okrucieństwa ubolewania.

- Wiem, że zrobiłeś, co mogłeś. Z resztą sama muszę się uporać.

- Na dłuższą metę zapewne tak, ale mam dla ciebie doraźne rozwiązanie. Obiecuj, że mnie wysłuchasz i nie odpowiesz od razu.

- Przyrzekam wysłuchać.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- Chcesz być niezależna. Sam nie wiem, dlaczego nie zrozumiałem tego wcześniej. Musisz więc mieć pracę i dach na głowę.

- Dach na głowę już mam.

- Obiecałaś, że mnie wysłuchasz. Odeszła właśnie jedna z moich doradczyń i pilnie potrzebuję kogoś na jej miejsce

Faith omal nie parsknęła śmiechem. O jej ojcu można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że lekceważył swoje obowiązki i wyborców, a jednak prędzej weszłaby w spółkę z Puszkowym Alekiem, niż zgodziłaby się pracować dla Joego. Jako rodzic był trudny do wytrzymania, lecz jako szef byłby nie do zniesienia.

- To dobrze płatne stanowisko - ciągnął. - Z perspektywą awansu.

- Zaczną zarzucać ci nepotyzm.

- Zarzuty łatwo odeprzeć. Jesteś inteligentna, wykształcona...

- Nie wierzę, abyś chciał mieć mnie koło siebie na co dzień. Moja osoba będzie wszystkim przypominać o sprawie Davida. Twój koledzy, szczególnie ci mniej życzliwi, prasa...

- Prasie nie trzeba nic przypominać.

- Co chcesz powiedzieć?

- Widziałaś wczorajsze gazety?

- Nie. Coś straciłam?

- Abraham Stein zaczął publikować cykl artykułów o prawach gejów. Ukochany twojego męża chce wywołać falę, która podmyje podnóże Kapitolu. Przy-

tacza cytaty bez wskazania nazwiska, ale najpewniej wziął je od Davida.

Reszty mogła się domyślić. Znowu podniesie się szum wokół Davida i jego związku z Abrahamem.

- Nie rozumiem. I właśnie teraz chcesz zrobić ze mnie osobę publiczną?

- Pracowałabyś w Roanoke. - Podniósł dłoń, uprzedzając protesty córki. - Zajmowałabyś się problemami tamtego okręgu. Potrafisz słuchać ludzi, wiesz, jak z nimi postępować. Dasz sobie radę.

Ponad trzysta kilometrów od stolicy, w obcym mieście, bezpiecznie ukryta przed dziennikarzami, miałaby czekać, aż umilkną plotki.

Nie dając jej dojść do głosu, Joe zaczął wyliczać korzyści płynące z propozycji:

- Życie w Roanoke jest o połowę tańsze niż tutaj. Piękna okolica. Pożyczymy ci z matką pieniądze, wynajmiesz dom w dobrej dzielnicy, pošlesz dzieci do dobrej szkoły. Często tam bywam, a matka będzie mogła cię odwiedzać, kiedy zechcesz. Zaczyniesz wszystko od nowa.

Myślał, że skinie czarodziejską różdżką i uczyni ją niewidzialną. Nie chciał jej w Georgetown, gdzie mieszkało tylu jego kolegów. Nie chciał, żeby skandaliczny rozpad małżeństwa córki nałożył się na sensację sprzed lat, czyli porwanie Hope.

No i nie chciał też pozwolić Davidowi na zbyt częste kontakty z dziećmi.

Faith ostrożnie ważyła odpowiedź. Zbyt wiele już straciła, a wątle więzy łączące ją z rodzicami łatwo mogły ulec zerwaniu.

- Możesz myśleć co chcesz o Davidzie, ale nie

możemy zabierać mu szanse na spotkania z Remy i Aleksem. Poza tym wychowały się w Dystrykcie Kolumbii. To ich dom i nie wiem, jak przyjęłyby kolejną zmianę. Zostaniemy tutaj, cokolwiek ma to oznaczać na przyszłość. Doceniam twoją propozycję, ale na pewno znajdę jakąś pracę. Najpierw jednak musimy się urządzić.

- Tak po prostu odmawiasz? Pomyślałaś, co to znaczy dla matki, która musi odwiedzać cię w tym domu?

Faith nie chciała mówić ojcu, że Lydia właśnie na Prospect Street zdawała się bardziej odprężona i pogodniejsza. Sama tego nie rozumiała i nie przypuszczała, by Joe to zrozumiał.

- Nie mogę żyć pod twoje dyktando. Powinieneś mi trochę zaufać.

- Niby dlaczego? Po tym wszystkim, co się zdarzyło? - wybuchnął.

- Nie ponoszę winy za to, co David przed nami ukrywał. Ciebie włączając.

- To nie ja z nim sypiałem.

- Mam nadzieję. Dopiero byłby skandal. - Widząc wyraz twarzy ojca, Faith przyjęła bardziej polubowny ton. - Idź już, zanim któreś z nas powie coś, czego później miałoby żałować.

- Nie przemyślisz mojej propozycji?

Wzięła Joego za rękę i wyprowadziła z pokoju.

- Na pewno znajdziesz kogoś, kto poprowadzi ci biuro w Roanoke.

Na tyle powściągnął gniew, że rozstali się w miarę pokojowo. Dopiero kiedy zamknęła za nim drzwi, Faith puściły nerwy.

Kopnęła z całych sił zwinięty chodnik, ale był za miękki, żeby wyładować na nim wściekłość. Elektryk wspomniał, że cienką jak papier ściankę działową w kuchni, jeśli będzie chciała zrealizować najbardziej ambitny projekt Borisa, zburzy bez problemu. No to zaczęła remont. Stanęła przed nią i walnęła z całych sił pięścią. Ścianka zadrżała. Kopnęła obcasem z takim impetem, że omal się nie przewróciła. W ściance pojawiła się dziura. Faith poprawiła czubkiem buta, dziura zrobiła się większa.

- Nie będę grzeczną córeczką! Nie będę!

Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy wreszcie zrozumiała, że Joe nie jest takim ojcem, jakiego chciała w nim widzieć. Za młoda na tego rodzaju objawienia, winy szukała w sobie. Była pewna, że to z nią coś jest nie tak.

Z wiekiem zaczęła racjonalizować zachowania ojca. Mówiła sobie, że po porwaniu Hope boi się pokochać młodszą córkę.

Ponownie kopnęła ścianę, posypał się tynk i gips.

Wiek nie miał tu nic do rzeczy. Dopiero kiedy zobaczyła, jak David odnosi się do dzieci, pojęła, co to znaczy być dobrym ojcem. Uwielbiał Remy i Aleksa, godzinami mógł wysłuchiwać ich problemów, nie dlatego, że były wyjątkowe, choć były, ale dlatego, że traktował je z powagą.

Zatem to nie ona była winna temu, że nie mogła nawiązać kontaktu z Joem. To on powinien był ją kochać taką, jaka była.

Kopnęła ponownie i tym razem stopa uwięzła w dziurze. Próbowwała ją wyswobodzić, ale straciła równowagę i jak długa wyłożyła się na podłodze.

Poczuła się lżej, jakby udało się jej wykopać, choćby na krótko, coś ze swojego życia.

- O rety! - W kuchni pojawiła się zwabiona hałasem Remy.

- Dziwny widok, nie sądzisz, córko?

- Tak jakby.

- Planowałam wyburzyć tę ściankę, ale chyba trochę się pospieszyłam.

- Wyluzuj, dobra? Gdybym ja zaczęła kopać ściany, dałabyś mi szlaban do końca życia.

- Zaklinałam się. - Faith bezskutecznie usiłowała uwolnić stopę, dopiero Remy się udało. Chwyciła za kostkę, szarpnęła i wyswobodziła matkę.

- Naprawdę chcesz ją wyburzyć?

Faith obejrzała zdefasonowany obcas.

- Uhu.

- Fajnie. - Remy kopnęła. Raz, drugi. Dziura robiła się coraz bardziej imponująca.

Faith nie wiedziała, z czym rozlicza się jej córka, ale dokopywała ściance z równie potężną satysfakcją jak ona.

- Uważaj, bo też się zaklinujesz. - Przyłączyła się do Remy. Kopały teraz obie zajadle, dopóki nie opadły z sił.

Faith osunęła się na podłogę, natomiast Remy podziwiała dziurę.

- Niesamowite. - Pokiwała głową. - Teraz kuchnia wygląda jeszcze gorzej, a już myślałam, że to niemożliwe.

Zamiast przeprosić i wyjaśnić córce, że istnieją dojrzsze sposoby rozładowywania gniewu niż kopanie ścianek działowych, Faith przysunęła się do dziury i zajrzała do środka.

- Co tam jest? - zainteresowała się Remy.
- Nie mam pojęcia. Kiedyś był tu chyba korytarzyk i wejście dla służby.

- To tędy porywacz uciekł z Hope?

- Myślę, że przejście zamurowano wcześniej.

Faith dojrzała w półmroku połówki ze starości kawałek papieru. Po chwili trzymała go w dłoni.

- Co to?

- Najprawdziwszy antykwaryczny śmieć. - Faith wygładziła ostrożnie kartkę.

- Co to? - powtórzyła Remy.

- Jakieś notatki. - Zapisane wiecznym piórem na liniowanym papierze. Litery były wyblakłe, ale nadal czytelne.

- „Szanowna pani Huston...” - Faith zaczęła odcyfrowywać tekst.

- To do babci! List z żądaniem okupu! - Remy usiadła obok matki. Faith miała ogromną ochotę przytulić ją, ale córka i Duszka miały ze sobą zbyt wiele wspólnego. Spróbuj wyciągnąć rękę do którejś, a natychmiast pokaże pazurki.

- Bardzo wątpię. „Roboty durzo, to się zabieram. Jak pani prosiła, zaczne od kuchni zrywać tapety”.

- Śmieszna gramatyka - wtrąciła Remy. - A ortografia! - dodała, zaglądając matce przez ramię.

- „Za następną razą podgotuje ściany pod farbę. Z poważaniem Dominik Du...” - Faith podniosła głowę. - Reszta zamazana. - Wyprostowała się nagle.

- Dubrov. Dominik Dubrov.

- Skąd wiesz? Przecież nie można odczytać.

- Zanim się urodziłam, Dominik Dubrov remontował domy na Prospect Street.

- Skąd wiesz? - Remy zacięła się jak uszkodzona płyta. - Kiedy to było? Sto lat temu?

Faith położyła dłoń na kolanie córki.

- Dominik Dubrov był głównym podejrzanym w sprawie Hope. Jeszcze dzisiaj ci, którzy wiedzą coś na temat zniknięcia Hope, uważają, że porwał ją Dominik.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przyszła jesień, ani pytała o pozwolenie. Faith miała wrażenie, że zmiana pór roku jest jedyną rzeczą, o którą nie musi się troszczyć. Chociaż cała trójka zadomowiła się już na Prospect Street, ona nadal miała ręce pełne roboty. Zdarzały się jednak momenty, kiedy czuła dumę, tyle bowiem już dokonała.

W końcu zdecydowała się na najdroższy z projektów podsuniętych jej przez Borisa. Kazała wybić w kuchni francuskie okno do ogrodu, mimo że na razie nie miała pieniędzy na wybudowanie tarasu. Razem z Remy i Aleksem za cenę łomu i młota (a także złamanego obcasa w nowym bucie), wyburzyła ścianki działowe. Wyszło taniej niż wizyty u psychiatry.

Oczywiście to Dottie Lee wpadła na pomysł, żeby zaangażować Puszkowego Aleka do porządkowania ogrodu. Zapewniała Faith, że sama go najmowała. Alec nie żądał wiele za swoje usługi, w pracy nie pil i ponoć nawet nie przeklinał.

Do pomocy natychmiast zgłosił się Alex, który

wiecznie potrzebował pieniędzy na modernizowanie swojego komputera. Współpraca między Alekiem i Aleksem od początku ułożyła się świetnie, ku zadowoleniu obydwu stron.

Elektryk wymienił instalację, hydraulik podłączył nowy zlewozmywak i zmywarkę do naczyń. Stare szafki zostały zastąpione tanimi dębowymi. Faith dokupiła do nich blaty z ciemnoczerwonego laminatu, jak chciał Alex.

W największym wirze robót Faith uświadomiła sobie, jak mało wie o domu, o kobietach, które mieszkały tu przed nią, ich marzeniach, nawykach, tęsknotach. Właściwie nie wiedziała nic. Podobnie jak Lydia.

Lydia, która dawniej planowała wizyty u córki z taką precyzją, jakby wybierała się do fryzjera, zaczęła zaglądać na Prospect Street, ilekroć tylko była w mieście. Jeśli zastawała Faith podczas prac remontowych, co zdarzało się prawie zawsze, podwijając rękawy i sama brała się do roboty.

Któregoś popołudnia zamiast pracować, zaparzyły herbatę i usiadły w ogrodzie. Faith miała nadzieję, że w matce obudzą się wspomnienia.

- Kiedy tak tu siedzimy, nie przypomina ci się dzieciństwo?

- Niestety poza tym, co już słyszałaś, niewiele mogę ci opowiedzieć o domu. - Lydia powtórzyła znajomy refren.

- Musisz wiedzieć więcej, niż chcesz zdradzić. Tego dnia, kiedy pokazaliśmy ci kocięta, chciałaś opowiedzieć coś o swojej matce, ale się wycofałaś.

- Mało pamiętam. Kiedy wyprowadziłam się stąd,

zostawiłam za sobą wszystko, co łączyło się z tym miejscem.

- To normalne, że zapominamy.

- Ale nie rozmyślnie. Obwiniłam dom o to, co się wydarzyło w jego ścianach. Jakbym chciała zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Faith brnęła po omacku nieprzetartą ścieżką.

- Wydajesz się bardziej odprężona niż dawniej.

- Podoba mi się, co tutaj robisz. Usuwasz stare pajęczyny. Z tego domu, ze swojego życia...

- David nie był pajęczyną.

- Brakuje ci go?

- Ja... Czasami. Brakuje mi naszych wieczornych rozmów. To były najlepsze wspólne chwile.

- Ciągłe szuka pracy?

- Tak. Boli go, że nam nie pomaga.

- To dobry człowiek.

- Powiedz, skąd to wszystko?

- Nie wiem. Ciągłe jestem na niego zła, ale muszę przyznać, że postąpił szlachetnie, mówiąc, kim jest.

- Nie powiedział, tylko go przyłapałam. - Faith skrzywiła się. - W końcu jednak chyba powiedział. Nie miał już siły kłamać.

Trzasnęły drzwi i w ogrodzie pojawił się Alex.

- Remy zaraz przyjdzie.

- Prosiłam was, żebyście wracali razem - przypomniała synowi Faith.

- Ale ona tak wolno chodzi.

Remy i Alex z początkiem września poszli do nowej szkoły. Alex przyjął zmianę z właściwym sobie optymizmem, zaś Remy z rezygnacją.

- Twoja mama właśnie mnie pytała, czy pamiętam coś z historii domu - rzuciła Lydia. - Interesuje cię to?

Alex miał taką minę, jakby od odpowiedzi na pytanie babki miało zależeć jego przyszłe szczęście.

Lydia nie czekała.

- Otóż w domu kryje się pewien sekret. Powiem ci, czego powinniście szukać, pod warunkiem, że okażesz odrobinę entuzjazmu.

- Niesamowite!

- Bardziej niż niesamowite. Ale poczekajmy na twoją siostrę.

Alex zmarkotniał.

- To może potrwać. Ona nie idzie sama.

- Z koleżanką? - Faith pomyślała, że byłby to dobry znak.

- Z jakąś dziewczyną z klasy.

- W kuchni znajdziesz lemoniadę. Weź sobie i przynieś butelkę dla Remy.

Alex zniknął w domu.

- Nie męczysz cię brak lodówki? - zapytała Lydia.

Faith zrezygnowała z poprzedniej lodówki i zamówiła większą.

- Ani trochę. Zresztą mają ją dostarczyć w przyszłym tygodniu.

- Masz już chyba dość stołowania się poza domem? - dopytywała się Lydia dalej.

- Uwielbiam to. Jestem zupełnie inną kobietą. Mam dość gotowania i uczestniczenia w różnych komitetach.

- Wydawałaś się szczęśliwa.

- Może. Nie wiem. Nawet jeśli David będzie mógł płacić nam alimenty, chcę wszystko zmienić w swoim życiu.

- Mówisz o mężczyźnie?

Faith, sama tym zdziwiona, pomyślała o Borisie Quinnie. Zaglądał kilka razy w minionych tygodniach, bo był ciekaw, jak posuwa się remont. Omawiał z Faith projekt kuchni i pomagał Aleksowi zainstalować nowe programy w komputerze.

- Rozwód uprawomocni się dopiero w grudniu. Nie za wcześnie pytasz o mężczyznę?

- Twoje małżeństwo od dawna należy do przeszłości. Papierek nic nie zmieni.

- Zaskakujesz mnie.

- Życie jest zbyt krótkie, żeby apatycznie czekać na wyroki sądów.

Wrócił Alex z lemoniadą.

- Remy dzwoniła. Poszła do Billie.

- Wzięłaś numer? - zapytała Faith.

- Powiedziała, że za godzinę będzie w domu.

Faith na razie powstrzymała się od komentarza, ale postanowiła, że wkrótce poważnie porozmawia z dziećmi. Nie chciała, żeby czuły się jak w więzieniu, ale powinny się opowiadać, dokąd i na jak długo wychodzą.

- Nie opowiesz nam o sekrecie? - zwrócił się Alex do babki.

- Trochę opowiem. To jeszcze jedno imię.

Alex wyglądał na zawiedzionego, natomiast Faith była wyraźnie zaintrygowana.

- Jak to na strychu?

- Jak to na strychu. - Lydia uśmiechnęła się nieznacznie. - Tylko inne.

- Czyje?

- Niech Alex sam do tego dojdzie. A może ty je odkryjesz, kiedy zaczniesz zaprowadzać tu ład?

Alex odszedł szukać napisu na pniach drzew.

- Mamo, czy pamiętasz, jak dawniej wyglądał ogród? Na ile to możliwe, chciałabym przywrócić go do dawnego stanu.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. Pamiętam tylko, że moja babka wygrała kiedyś konkurs na najpiękniejszy ogród w Georgetown. Była taka przejęta.

- Ciekawe, czy trafię na jakiś ślad... W starych gazetach? Pamiętasz, kiedy to było? Może znajdę gdzieś opis ogrodu.

Lydii zabłyśły oczy.

- Bardzo możliwe. Byłam za mała, żeby interesować się, czy pisano o tym w gazetach, ale na tyle duża, by pamiętać, jaka była szczęśliwa. A kiedy się to działo? Chyba w 1941 roku, tuż przed naszym przystąpieniem do wojny.

- Na co jeszcze natrafie? - Faith zamyśliła się.
- Mieszkamy w końcu w stolicy i zewsząd otaczają nas historyczne pamiątki. Spróbuję wypełnić luki w twojej pamięci.

- Chce ci się?

Faith nie tylko się chciało. Coś była winna matce w zamian za klucze. Lydia, wyniosła i zamknięta, nigdy sama z siebie nie zagłębiłaby się we własną przeszłość. Faith mogła jej ofiarować ten dar.

Wrócił Alex.

- Jeśli to ogród Violet, to znaczy, że szukamy jej imienia, prawda?

Lydia uśmiechnęła się do niego. Po raz pierwszy przypominała kochającą babkę.

- Umiesz myśleć - powiedziała.

Alex odpowiedział uśmiechem.

Nie były to co prawda ciastka domowej roboty, własnoręcznie udziergany sweter, wspólna wyprawa do Disneylandu, ale oto pojawiła się nadzieja na porozumienie między Lydią i Alekssem.

Kiedy wieczorem, gdzieś koło ósmej, pojawił się Boris, Faith powiedziała mu o konkursie, w którym brała udział Violet.

Pocałował ją w policzek jak stary, dobry przyjaciel. Jak Jesse Helms albo Strom Thurmond, politycy, których znała od dzieciństwa. Jak organizator kampanii na cele dobroczynne.

Poczuła się trochę urażona, a kiedy po chwili zorientowała się, w jakim kierunku zmiierzają jej myśli, zrobiło się jej głupio.

- Wpadłem zobaczyć, jak posuwa się remont - oznajmił, ściągając przez głowę niebieski sweter, spod którego objawił się kolejny, poplamiony farbą i rozciągnięty T-shirt.

Do dziś nie powtórzyła mu, co na jego temat usłyszała od Dottie Lee. Czekwała, aż sam coś powie, ale Boris jakoś się nie kwapił.

Pokręciła głową.

- Spójrz na siebie. Wiem o tobie wszystko, Dottie Lee mi opowiadała. Nie musisz się stroić jak techniczny kapeli rockowej.

Boris znieruchomiał ze swetrem w rękę.

- Dottie Lee?

- Nie ma tajemnic na Prospect Street.

Boris nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego.

- Nie ma się czego wstydzić. Ludzie zwykle są dumni ze swoich sukcesów.

- O jakim sukcesie mówisz?
- O Scavengerze. Nie wstydzę się, ale to tylko praca. Wolę myśleć o sobie jako o facecie z O Street, który pomału remontuje swój dom.

Wybrała się kiedyś na O Street, żeby zerknąć, jak Boris mieszka, i zachwyciła ją nieregularna fasada w ciepłych brązach i szarym błękitcie, przyćmiewająca urodą kolonialne i federalne sąsiadki.

- Rozwiązałam zagadkę remontu. Przechodziłam koło twojego domu, jest wspaniały, ale ile godzin tygodniowo możesz mu poświęcić?

Ucieszył go zachwyt Faith.

- Będę miał więcej czasu, jeśli Scavengera wykupi Yahoo albo AOL.

- Rozstałbyś się z firmą?

- Dlaczego nie? Lubię nowe zadania. Następnym razem postaram się nie odnieść tak spektakularnego sukcesu.

- Mamo, ja... - Remy zamilkła na widok Borisa.

- Jak w nowej szkole? - zagadnął. - Zapuściłaś już korzenie?

- Może. Kiedyś - zbyła go i zwróciła się do Faith:

- Nie potrafię napisać wypracowania z angielskiego. Chciałam, żebyś mi pomogła, ale widzę, że jesteś bardzo zajęta.

- Na kiedy ma być gotowe?

- Najutro.

- Od jak dawna o tym wiesz?

Remy nie odpowiedziała.

- Masz rację, jestem zajęta. Musisz poradzić sobie sama.

- Przedtem nigdy nie byłaś aż tak zajęta. Ale teraz

wszystko się zmieniło. - Odwróciła się ze złością i pobiegła na górę.

- Zaimponowałaś mi. - Boris lekko dotknął dłoni Faith.

- Czym?

- Tym, że nie pozwoliłaś, żeby zrzuciła całą odpowiedzialność na ciebie. Często to robi?

- To dla niej trudny czas.

- Ty jesteś temu winna?

- Czy jestem? W jej przekonaniu tak. Nie potrafiłam podtrzymać związku, na którym opierał się cały jej świat.

- W głębi duszy wie, że nic nie mogłaś poradzić.

Po rozstaniu z Davidem Faith zerwała kontakty ze wszystkimi znajomymi. Nie chciała od nikogo pomocy ani współczucia. Bała się, że jeśli upadnie tak nisko, nigdy już się nie pozbiera. Wsparcie Borisa dodawało jej sił.

- Dzięki.

- Powinnaś gdzieś wyjść, Faith. Spędzić wieczór poza domem, odprężyć się. Wybierzmy się na dobrą kolację, posłuchajmy dobrej muzyki.

- Zapraszasz mnie?

Boris uśmiechnął się szeroko.

- Zapraszam. Jak przyjaciel przyjaciele.

Nie była pewna, czy powinna się zgodzić. Boris był zabawny, serdeczny. I bardzo seksy, jeśli ktoś lubi miśkowatych facetów o ogromnych, łagodnych oczach. Kiedy stawał w progu domu na Prospect Street, od razu poprawiał się jej nastrój. Nie chciała, żeby randka popsukała stosunki między nimi.

Odchrząknęła i dopiero po chwili zapytała:

- Co będzie, jeśli wieczór się nie uda i stwierdzisz, że jestem najnudniejszą kobietą, jaką znasz? Przeszaniez przychodzić, nie będziesz już przynosił kolacji ze swoich ulubionych knajp, Alex się na mnie obrazi, że nie pomagasz mu przy komputerze.

- Z góry obiecuję, że nie będę się z tobą nudził.

- Nie możesz nic obiecać z góry.

- Mogę obiecać, że nie przestanę przychodzić, nawet jeśli okażesz się najnudniejszą kobietą na świecie. Pozostaniemy w dalszym ciągu przyjaciółmi, choćbyś miała się potykać o własne nogi i mlaskać przy jedzeniu.

Rozległ się głośny tupot na schodach, widomy sygnał, że zaraz zjawi się Alex.

- Cześć, Boris!

- Cześć! - Boris wyciągnął dłoń i panowie przybili piątkę. - Jesz tajskie dania? Przyniosłem kolację. Zjesz z nami?

- Jajem wszystko. Chcesz zobaczyć, jak przerobiłem pułapkę?

- Szczur się już złapał?

- Jeszcze nie, ale mieszka w moim pokoju. Zrobił sobie w kącie gniazdo z gazet.

Faith otrząsnęła się. Pierwsze słyszała, że Lefty postanowił się przenieść.

- Obejrzysz pułapkę? - powtórzył Alex.

- Pewnie - przytaknął Boris. - Pozwolisz? - zapytał Faith.

- Idźcie, a ja nakryję do stołu.

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem, wiem - uśmiechnęła się.

- Co powiesz na piątek? Zaproszę znajomych,

zaczniemy u mnie, zobaczysz dom od wewnątrz,
a potem pójdziemy się pobawić.

- Muszę porozmawiać z matką, czy będzie mogła
zaopiekować się dziećmi.

- Daj mi znać.

Na co ja się zgodziłam? - pomyślała, kiedy zniknął
na górze z Alekssem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Życie może się zmienić w ułamku sekundy. Następnego dnia rano Faith wstała wcześniej i wybrała się na Wisconsin Avenue po bajgle i sok ze świeżych pomarańczy. Kiedy wróciła, Remy grała walca Szopena.

- Od lat nie siadałaś do pianina. - Faith zamknęła za sobą drzwi.

- I co z tego? - Remy zatrzasnęła wieko instrumentu.

- Bardzo lubiłam słuchać twojej gry. Nie mogłam odżałować, że przestałaś brać lekcje. Twoja nauczycielka też. Zawsze powtarzała, że masz talent.

- Chodziłam do niej z nudów.

Faith wiedziała, że jeśli powie jeszcze słowo, Remy nigdy więcej nie usiądzie do pianina.

- Kupiłam bajgle. Jeszcze ciepłe.

- Mamo, mam go! - Alex musiał sfrunąć z piętra, bo jego przybycia nie poprzedził, jak to zwykle się działo, tupot stada małych słoni.

- Kogo? - Faith niepotrzebnie pytała. - Szczura?

- Lefty siedzi w pułapce! Chodź, zobacz.

- Obrzydliwość - prychnęła Remy. - W tej norze nie da się mieszkać.

Faith nauczyła się już nie reagować.

- Alex, nie możesz go trzymać w swoim pokoju. Uprzedzałam cię.

- Najpierw zobacz. Zdziwisz się.

Faith poszła na górę, Remy powlokła się za nią.

Alex dumnym gestem wskazał klatkę, z której spoglądał na ciekawskich różowymi jak petunie ślepkami biały szczur.

- To żaden zwykły szczur, tylko laboratoryjny - oznajmił uszczęśliwiony Alex.

- Wielkie mecyje - skrzywiła się Remy. - To jego widziałam w kuchni. O co tyle krzyku?

Faith uważnie obejrzała zwierzątko, po czym wyprostowała się.

- Alex ma rację. To nie jest zwykły szczur. Takie jak on sprzedaje się w sklepach zoologicznych albo używa w laboratoriach.

- Do badań. - Aleksowi błyszczały oczy.

- Nie będziesz chyba przeprowadzał na tym biedaku eksperymentów.

- Co ty, mamó. Zbuduję mu labirynt. Będę się z nim bawił. - Alex wyczuł, że matka zaczyna się łamać. - Nigdy nie miałem żadnego zwierzaka.

- Niedobrze się robi - oznajmiła Remy ze wstrętem i wyszła z pokoju.

- Zaniosę go do weterynarza - przekonywał Alex.

Faith ujrzała w wyobraźni całe stado zbiegów z laboratoriów wydziału medycyny, roznoszących po Georgetown tajemnicze epidemie.

- Spróbuję skontaktować się ze studentami, którzy

tu mieszkali. Zapytam, czy wiedzą coś na temat Lefty'ego. Potem zdecydujemy, co dalej.

- Tylko się go nie pozbadź, zanim wrócę ze szkoły. Obiecujesz? - W głosie Aleksa zabrzmiała nadzieja.

Faith wyprawiła dzieci do szkoły, zadzwoniła do Lydii, a potem do jednego z byłych lokatorów.

Okazało się, że Lefty nie stanowi zagrożenia. Chłopak „uwolnił” go z laboratorium wydziału psychologii, zanim stworzenie zostało wysłane do szczyrznego nieba. Jeśli Alex chciał szczura, który będzie odszukiwał drogę w labiryntach, to natrafił na ideał.

Ledwie zabrała się do sprzątania kuchni, zadzwonił Boris.

- Piątek aktualny?

- Oczywiście - odpowiedziała zbył ochoczo.

Ustalili godzinę, ale Boris nie kwapił się, by kończyć rozmowę.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

Opowiedziała mu o wizycie Lydii i rewelacjach na temat Violet.

- Chcę iść do biblioteki, może znajdę coś na temat konkursu. - Zamilkła na moment. - Właściwie na temat domu. To taki prezent dla matki za to, że pozwoliła nam tu zamieszkać.

Boris długo nic nie mówił, nawet myślała, że połączenie zostało przerwane.

- Wasz dom ma bogatą historię - powiedział w końcu. - Na pewno chcesz ją poznać?

- Masz na myśli porwanie Hope? Nie chcę żyć dłużej z tym ciężarem, a już matka na pewno nie powinna. Musimy wreszcie spojrzeć z dystansu na to, co się stało.

Niemal widziała zamyśloną twarz Borisa. Kiedy się

nad czymś zastanawiał, mrużył oczy i pocierał policzek. Dziwne, że to zauważyła i zapamiętała.

- Są sprawy, które trzeba traktować ostrożnie.
- Co dzisiaj robisz? - zmieniła temat.
- Gdybym ci powiedział, pomyślałabyś, że zgłupiałem. Sam podejrzewam, że trochę mi odbiło. Tylko nie donieś moim akcjonariuszom.

Zaśmiała się i odwiesiła słuchawkę. Była zdumiona, że prosta wymiana zdań potrafiła wprowadzić ją w tak dobry nastrój.

Swoje poszukiwania rozpoczęła od biblioteki okręgowej w Georgetown. Wytłumaczyła bibliotekarce, szczupłutkiej Afroamerykance o ciemnoorzechowych oczach, o co jej chodzi.

- Może pani jeszcze raz powtórzyć adres?

Faith powtórzyła.

- Ma pani na myśli dom Hustonów? - ożywiła się dziewczyna.

- Jestem Faith Huston Bronson.
- Dorothy Waylins. - Bibliotekarka uściśnięła dłoń Faith. - Mamy sporo materiałów, ale większość z późniejszych lat.

- Związanych z porwaniem mojej siostry?
- Tak. Cała teczka wycinków. Prawo jazdy, karta kredytowa, uroczysta przysięga na Biblię i za chwilę ją pani przyniosę.

Faith uśmiechnęła się.

- Dzisiaj chciałam cofnąć się w dalszą przeszłość.
- Zobaczę, co uda się znaleźć. Myślę, że sporo. Mamy plany działek i domów, informacje o przebudowach, wyceny...

- Wygląda na to, że spędzę u was trochę czasu. Dorothy skinęła głową.
- Ostrzegam, to może przejść w nałóg. Zdażymy się zaprzyjaźnić, zanim pani skończy.

Spędziła w bibliotece trzy dni i w piątek po południu miała już naszkicowaną historię domu. Został zbudowany w 1885 roku dla Jedediaha Wheelwrighta, prapradziadka Faith, męża Candace. Jedediah nie był człowiekiem zamożnym i ciężko pracował, by postawić dom. Po jego przedwczesnej śmierci Candace, by mieć z czego żyć, otworzyła sklep z kapeluszymi. Faith znalazła nawet ogłoszenie zachęcające „prawdziwie wytworne damy” do stalowania kapeluszy w salonie Wheelwrighta.

Kiedy Candace umarła, dom odziedziczyła jej jedyna córka, Violet Atkins, i jej mąż, James. Oboje mieszkali tu do śmierci.

Millicent, matka Lydii, urodziła się na Prospect Street, ale wyprowadziła się, kiedy wyszła za Harolda Charlesa. Piastujący wysokie stanowisko w Departamencie Stanu Harold podróżował po całym świecie. To właśnie w czasie jednej z takich podróży Millicent zachorowała na malarię, na którą wkrótce umarła. Harold, znacznie od niej starszy, zginął dwa lata później w wypadku samochodowym.

Parę miesięcy po śmierci ojca Lydia zakochała się w Joem Hustonie. Osamotniona i zagubiona, szukała dla siebie oparcia, a on rozglądał się za partią, która pomoże mu w karierze. Nazwisko Lydii otwierało wiele trudnych do sforsowania drzwi w Waszyngtonie.

Faith powoli odtwarzała historię rodziny, aż doszła

do momentu, w którym poczuła, że musi poprosić Dorothy o teczkę dotyczącą porwania Hope.

Znalazłszy się w Georgetown, gdzie miał rozmowę w sprawie pracy, David postanowił odwiedzić dzieci. W domu na Prospect Street nie było nikogo. Faith widocznie pojechała odebrać Remy i Aleksa ze szkoły. Skoro już się zdecydował na wizytę, uznał, że chwilę poczeka.

Wychowany w przekonaniu, że na wszystkie problemy znajdzie odpowiedź w Chrystusie, po raz pierwszy w życiu był zupełnie bezradny. Szczególnie jeśli chodzi dzieci.

Aleksa kochał, ale nigdy nie był z nim blisko, dopiero teraz zaczęli nawiązywać kontakt. Tęsknił za synem, za przyjaźnią Faith, najbardziej jednak brakowało mu Remy. Powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby wróciła dawna więź, serdeczność, zaufanie. Powinien się pospieszyć, bo potem może być za późno i nigdy już nie odzyska córki.

Dostrzegł ich na końcu ulicy. Szli powoli, o coś się sprzeczali, sądząc z ich min i gestów. Widać Faith nie odwozi ich i nie przywozi ze szkoły, pomyślał z irytacją.

Kiedy Remy go zobaczyła, odwróciła się, jakby chciała uciec. Alex powiedział coś, czego David nie mógł dosłyszeć, w każdym razie musiał ją przekonać, bo ruszyła zmęczonym krokiem w stronę ojca.

- Cześć, tato. - W jej ustach zabrzmiało to jak obelga.
- Chciałem was zabrać na lody.
- Jak za dawnych, dobrych czasów?
- Tęsknię za tobą, Remy. Wiem, że jesteś na mnie obrażona...

- Ja, obrażona? - Zaśmiała się. - Niby o co?
 - Remy, tata próbuje... - zaczął Alex.
 - Zamknij się, pętku! - ostro obręgała brata.
- Guzik wiesz.

Alex posłał ojcu zmartwione spojrzenie. Chciał rozejmu, ale niewiele mógł zdziałać. Sama Madeline Albright nic by nie zdziałała.

- To nasz tata - nie rezygnował Alex. - Szanuj ojca swego...

Remy nie zdzierżyła dłużej. Pchnęła brata tak mocno, że omal nie upadł.

Kiedy David chwycił ją za rękę, drugą zwinęła w pięść i zdzieliła ojca w brzuch. Zanim zdążył zareagować, powtórzyła cios.

- Nienawidzę cię! - wykrzyczała. - Nienawidzę! Nie chcę cię widzieć. Nie chcę z tobą rozmawiać. Nigdy, nigdy. Zniszczyłeś moje życie. Skrzywdziłeś mamę i Aleksa! Ty pedale, ty cioto! Nie powinieneś mieć dzieci! Tacy jak ty nie powinni się rozmnażać!

Odskoczyła o krok i podniosła pięści, jakby chciała się zasłonić.

Alex rzucił się na siostrę, ale David zdążył go powstrzymać.

- Idź do domu, synu. Masz klucz?
- Tak, ale... - chlipnął Alex.
- Idź już. Później porozmawiamy.

Chłopiec wszedł na ganek i po chwili zniknął za drzwiami.

Remy ciągle stała w pozycji obronnej, z uniesionymi pięściami, chociaż pierwszy atak furii już minął. David nie wiedział, jak rozmawiać z córką. Nie znał jej takiej.

- Żebyś była nie wiem jak zła, nigdy nie podnoś na

mnie pięści - zaczął ostrożnie. - Ani na mnie, ani na nikogo innego z rodziny.

- Tak?

- Tak.

- Słyszałeś, co powiedziałam. Nie chcę cię widzieć. Odczep się ode mnie!

Być może powinien zostawić ją w spokoju, poczekać, aż trochę dojrzeje i zrozumie, co się wydarzyło. Opuścił wzrok.

- Czekałem na was i wspominałem, jak kiedyś było nam wspaniale razem. Ty i Alex to najlepsze, co otrzymałem od życia. - Remy słuchała jego słów z nieprzejednanym wyrazem twarzy. - Nie chcę tego niszczyć. Będę czekał, aż zechcesz ze mną znowu rozmawiać. Nie gniewam się na ciebie za to, co dzisiaj zrobiłaś. Nigdy się od ciebie nie odwrócę. Jestem twoim ojcem. I będę nim do samej śmierci, nawet jeśli tego nie chcesz.

- Nie chcę.

- Wyraziłaś się wystarczająco jasno.

- Czyżby? Miła odmiana. Wreszcie zaczynasz coś pojmować.

David usłyszał skryty pod sarkazmem smutek, ale też niepewność i złość. Przez trzynaście lat uczył Remy, jak powinna żyć, by na koniec zadać kłam własnym słowom. Nie wiedziała, w co wierzyć, a była zbyt przerażona, żeby pozwolić mu na wyjaśnienia.

Rozumiał to. Cierpienie Remy bolało znacznie bardziej niż jej ciosy.

- Masz mój numer telefonu?

- Nie potrzebuję go.

- Mama ma. Alex też.

- To ich sprawa.

Odsunął się na bok. Remy minęła go, weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi z głuchym łoskotem.

Ciągle stał na chodniku, niezdolny ruszyć się i zebrać myśli, gdy usłyszał za plecami głos Faith:

- David? Co tutaj robisz? - Nie uśmiechała się, ale też nie była wrogo usposobiona. - Stało się coś?

- Czy coś się stało? - Zaśmiał się gorzko. - Nasza córka mnie nienawidzi, to się stało.

Spojrzała w stronę domu, potem znowu na Davida.

- Rozmawiałeś z Remy?

- Usiłowałem. Oznajmiła, że nie chce mnie znać. Pchnęła Aleksa, a mnie uderzyła.

Faith wzięła głęboki oddech, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

- Nie...

- To ty ją tak nastawiłeś? Opowiadasz jej, że czujesz się samotna, że brak wam pieniędzy, że wasze życie stało się nie do zniesienia?

- O czym ty mówisz?

- O mojej córce! O mojej córce, która kiedyś mnie uwielbiała. Gdzieś musi być przyczyna tej nagłej zmiany.

- Chcesz powiedzieć, że to moja wina? - Faith była wyraźnie zirytowana. - Jak śmiesz! Kocham Remy. Nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego. Usiłowałam przekonać ją do ciebie, ale na to trzeba by cudu. Jest już wystarczająco nieszczęśliwa. Miałabym unieszczęśliwiać ją jeszcze bardziej? Tylko jedna osoba ponosi za to winę. Ty.

- Ale to ty z nią jesteś każdego dnia, ty się nią zajmujesz. I co, uważasz, że jej reakcje są normalne?

Że to tak sobie minie? Dlaczego nie pójdziesz z nią do psychologa?

- Remy przede wszystkim potrzebuje czasu, żeby pogodzić się ze zmianami. Ty zresztą też. Nie przychodź tutaj i nie oskarżaj mnie, że pogarszam sytuację. Że knuję przeciwko tobie.

Przez chwilę mierzyli się gniewnym wzrokiem. David skapitulował pierwszy.

- Przepraszam - wykrztusił cicho.

- Owszem, powinienesz przeprosić.

- Ona potrzebuje pomocy, Faith.

- Jak my wszyscy.

- Powiedziałem jej, że nie będę próbował się z nią widywać, dopóki sama nie będzie tego chciała.

- I ty, i ja szukamy drogi po omacku. Nie wiem, co ci powiedzieć, ale to akurat najmniej mnie martwi. Za dużo problemów na mnie spadło.

- Może jednak poszłabyś z Remy do psychoterapeuty?

- A jak mam jej to powiedzieć? Wścieknie się. Nasze stosunki pozostawiają sporo do życzenia. Nie jesteś jedyną osobą, której nienawidzi.

- Myślisz, że poradzisz sobie z nią sama?

- A jaki mam wybór?

- Pójść z nią do psychoterapeuty.

- Pójdę, jeśli będzie gorzej. A na razie muszę poskładać to, co rozbiłeś.

David przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu skinął głową i odszedł.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po spotkaniu z ojcem Remy zamknęła się w swoim pokoju i długo wypłakiwała gorzkie żale. Słyszała, jak Faith wchodzi do domu. Była pewna, że matka przyjdzie zaraz na górę. Spodziewała się kary, ale Faith ją zaskoczyła.

Wreszcie Remy zeszła na dół. Faith siedziała samotnie w salonie i patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Z ogrodu dochodziły stłumione głosy. To pewnie Alex i ten obrzydliwy włóczęga walczyli z rosnącym wszędzie bluszczem. Obecność tego człowieka stanowiła jeszcze jeden dowód, że matce, tak jak ojcu, poprzestawiało się w głowie.

- Jak mogłaś? - zaczęła Faith. - To twój ojciec. Jakim prawem go uderzyłaś?

- On mnie złapał.

- Dlatego, że popchnęłaś brata. Alex mi wszystko opowiedział.

- Skarżypyta.

- Usiłował cię bronić, ale na twoje zachowanie nie ma usprawiedliwienia.

Remy cisnęły się do głowy dziesiątki pytań, ale zadała najbardziej prozaiczne:

- Dasz mi szlaban?

Faith wskazała miejsce koło siebie na kanapie. Remy długo się ociągała, w końcu jednak usiadła najdalej jak mogła od matki.

- Nie wiem, jak z tobą postępować - powiedziała Faith. - Rozumiem, że masz żal do całego świata, ale żeby bić własnego ojca? Czy widziałaś, żeby któreś z nas kiedykolwiek podniosło na kogoś rękę?

Pomimo wszystko Remy ogarnęła skrucha. Miała jeszcze przed oczami minę ojca, kiedy zdzieliła go pięścią. Chciała się cieszyć, że zrobiła to, co zrobiła, ale w głębi duszy czuła się paskudnie.

Przypomniała sobie wszystkie te chwile, kiedy David brał ją na kolana, gdy była chora, gdy czegoś się przestraszyła.

- Żałujesz?

Korciło ją, żeby skłamać, uderzyć w pokorny ton i mieć to z głowy. Może nawet nie musiałyby kłamać, może rzeczywiście żałowała? Sama już nie wiedziała, ale kłamstwo za bardzo by jej ciążyło, nawet jeśli miałoby uczynić całe to zakichane życie odrobinę znośniejszym.

- Żałuję, że go uderzyłam - bąknęła w końcu. - Wściekłam się. Nie chcę go widzieć. Nie chcę z nim rozmawiać. Nie mogłam wejść do domu. Poczułam się jak w pułapce. Dalej się tak czuję. Jak ten głupi sznur, którego złapał Alex.

- Przecież ojciec nie miał złych zamiarów. Tęskni za tobą.

- Ale ja za nim nie tęsknię!
- Owszem, tęsknisz.
- Myślisz, że wszystko o mnie wiesz.
- Chciałabym. Chciałabym, żebyś była tym samym dzieckiem, które znałam. Żebyś nie biła i nie wyzywała innych. Umiała wybaczać ich błędy.

- Dla ciebie to tylko błąd?

- Czas, żebyś zaczęła dostrzegać coś więcej niż tylko własne cierpienie. Nie tobie jednej jest ciężko. Nasza rodzina składa się z czterech osób.

- On nie jest rodziną. Rozwodziś się z nim.

- David Bronson zawsze będzie twoim ojcem. Nadal jesteśmy ze sobą związani: ty, ja, tata, Alex.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź. Jakbyś się naczytała głupich książek o nastolatkach i rozwodach, i teraz recytowała je z pamięci.

Na twarzy Faith pojawił się ni to uśmiech, ni to grymas smutku.

- Bardzo bym się cieszyła, gdyby ktoś napisał taką książkę. Przydałaby mi się.

Remy poczuła, że uchodzą z niej resztki gniewu, jakby wyczerpała jego dzienny zapas. Zrobiło się jej żal matki.

Pokręciła głową.

- Byłam wściekła. Nie chciałam go uderzyć, ale on mnie chwycił i samo jakoś tak wyszło. Nie chcę, żebyś ty i Alex martwili się przeze mnie.

Miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały szczerze i udobruchają matkę.

- Remy, nie dam ci szlabanu, ale to nie może się powtórzyć - powiedziała Faith.

- Obiecał, że zostawi mnie w spokoju.

- Wiele go to kosztuje, ale chce ci dać trochę czasu. Tęskni za tobą. Jest mu naprawdę ciężko.

- Tak? To niech sobie przemyśli cały ten homoseksualizm.

- Podejrzewam, że przemyślał dość gruntownie.

- Chciałabym wyjść na trochę. - Remy podniosła się. - Może poszłabym do Billie.

- Nie wiem. Ja...

- Co to, więzienie? Powiedz tylko, to zamknę się w klatce razem z tym głupim szcurem Aleksa. Przynajmniej będę miała towarzystwo. W McLean mogłam wychodzić, kiedy chciałam. Jeśli i to się zmieniło, jak cała reszta, to mnie poinformuj, dobra? - Faith wahała się i Remy świetnie to widziała. Matka nigdy nie potrafiła ukryć swoich myśli. - Skoro w Georgetown jest aż tak niebezpiecznie, to nie powinniśmy tu mieszkać, no nie?

- Na kolację będzie kurczak i twoja ulubiona sałatka z fasolki. O wpół do szóstej siadamy do stołu. Nie spóźnij się. O szóstej przyjedzie po was babcia.

- Wrócę za godzinę, dobrze?

Zostawiła numer Billie. Prawdę mówiąc, Faith rozmawiała już z jej matką, by się upewnić, czy Remy może bywać popołudniami w domu koleżanki. Mama Billie, która pracowała na dwa etaty, nie miała żadnych zastrzeżeń, chociaż dotąd nie widziała Remy na oczy.

Dziewczyna ruszyła w stronę drzwi.

David chciał postawić jej lody, teraz matka usiłuje przekupić ją sałatką z fasolki. Remy w życiu nie widziała większych lamusów niż jej rodzice.

Po wyjściu z domu skierowała się w stronę Wins-

consin. Chciała zajrzeć do Lawforda, sklepu z ubraniami, w którym pracował Enzo. W piątki miał popołudniową zmianę.

Billie Wolfgard, szkolna koleżanka Remy, była dwa lata od niej starsza, bo dwa razy została na drugi rok. Nie odrabiała nigdy lekcji, Remy też nie za bardzo przykładała się do nauki, ale codziennie rano zaglądała do Billie i dawała jej odpisywać zadania, przykazawszy wcześniej Aleksowi, żeby nie mówił nic matce.

Nie lubiła Billie, ale w zamian za możliwość ściągania dziewczyna obiecała ją kryć. Gdyby Faith do niej zadzwoniła, miała powiedzieć, że Remy jest akurat w łazience i nie może podejść do telefonu, po czym oddzwonić natychmiast do Enzia, do domu albo do sklepu.

Innych koleżanek, poza Billie, Remy nie miała. W szkole patrzono na nią, jakby była cielęciem o dwóch głowach. Nawet jeśli ktoś próbował być dla niej miły, spławiła delikwentkę czy delikwenta, dając do zrozumienia, że nie potrzebuje niczyjej łaski. Nikt nie będzie się litował nad Remy Bronson. Niech sobie nie myślą, że jest byle kim. W akademii prowadziła paradę wielkanocną, najfajniejszy chłopak w szkole chciał przeprowadzać z nią doświadczenia na lekcjach chemii, codziennie jadała lunch z paczką, do której nie każdy mógł należeć.

A teraz miała za koleżankę tępą Billie, która myślała tylko o tym, żeby jak najwcześniej skończyć naukę. Rozkosze życia w Georgetown.

Zwolniła przed sklepem Lawforda. Nie wiedziała, co powie Enzo, kiedy znowu ją zobaczy, ale dokąd miała pójść? W poprzedni piątek nawet się ucieszył,

ale potraktował ją jak młodszą siostrę. Jakiś sprzedawca wyśmiał ją, bo zdumiały ją ceny. Poczowała się jak wiejska myszka z bajki, którą kiedyś czytał jej tata.

Jednak weszła do środka. Z głośników płynął głośny hiphop. Nie rozumiała do końca słów, ale muzyka dodała jej otuchy.

W pierwszej chwili nie mogła dostrzec Enzia. Znudzona ekspedientka stała koło wieszaków, przy których kręciło się kilku klientów.

Remy podeszła do gabloty, udając, że ogląda biżuterię przypominającą okowy rzymskich galerników. Pomyślała, że ciężka złota bransoleta powinna raz na zawsze unieruchomić Aleksa w jego pokoju.

- Cześć, śliczna. - Drgnęła, podniosła głowę i zobaczyła utkwione w sobie oczy Enzia. Nachylił się i pocałował ją prosto w usta. - Co jest?

Uśmiechnęła się, dumna, że z siostrzyczki awansowała na kogoś godnego zainteresowania.

- Nic, tak się bujam - rzuciła luzacko.
- Mam coś akurat dla ciebie.
- Ale ja nie wzięłam pieniędzy.

Enzio wzruszył ramionami i zniknął na zapleczu. Wrócił z zieloną spódniczką i kurtką na zamek błyskawiczny, wysadzaną kryształami górskimi.

- Przymierz.

Spódniczka ledwie zakrywała pupę. Remy wiedziała, co powiedzieliby rodzice, gdyby tak się wystroiła. Ubrania matki były tak eleganckie, że przez nikogo niezauważone niknęły w tle.

- Na pewno?
- Ej, jesteś tu ze mną. Możesz robić, co ci się podoba.

„Jesteś ze mną”. Była z kimś. Z Enziem. Jak na skrzydłach pobiegła do przymierzalni.

Od momentu kiedy Boris zaprosił ją na kolację, Faith łamała sobie głowę, co ma na siebie włożyć. Zawsze preferowała klasyczny krój, pastelowe kolory i szarości. Lubiła styl królowej Elżbiety, acz wystrzegą się przybranych kwiatami kapeluszy.

Stała przed szafą i zastanawiała się nad dwiema możliwościami: granatową suknią z lamowanymi czerwono wyłogami oraz szarym kostiumem i króciutkim łososiowym topem. Zdecydowała się na kostium, mimo że top mógł się wydać trochę zbyt odważny.

Remy zawołała z dołu, że już wróciła, po czym poszła do jadalni zjeść kolację. Alex zjadł wcześniej. Nie był zachwycony perspektywą spędzenia wieczoru w domu dziadków, ale babka przyrzekła mu, że w drodze do Great Falls będzie mógł wypożyczyć jakiś film na DVD.

Faith wkładała właśnie kolczyki, kiedy pojawiła się Lydia.

- Powinnaś pójść do fryzjera - zawyrokowała, zmierzwszy córkę krytycznym wzrokiem. - Nie musisz skracać włosów, wystarczy, żebyś je wymodelowała.

- Wyglądam jak „Vogue” sprzed miesiąca?

- Och, co najmniej sprzed kwartału - powiedziała Lydia z uśmiechem.

- Dziękuję. Potrafisz dodać otuchy.

- Nie masz nawet czterdziestki. - Zamilkła na moment dla większego efektu. - Nie musisz już

reprezentować wszystkich Amerykanek Kościoła Ewangelickiego ani prawego skrzydła Partii Demokratycznej. Możesz być sobą.

- Mogę być sobą, tak?
- Tak.
- Problem w tym, że byłam sobą.
- Potrzebujesz nowego ja.

Czy matka wie coś, czego ja nie wiem? - zaczęła się zastanawiać, kiedy Lydia wyszła. Być może właśnie dzisiaj wieczorem zrobi pierwszy krok na drodze ku nowemu ja.

Boris otworzył drzwi, ledwie pojawiła się przed jego domem. Oprowadził ją po wyremontowanych pokojach parteru, by zakończyć zwiedzanie w kuchni, jedynym wnętrzu, które nie nawiązywało do wiktoriańskich czasów.

Kiedy Faith usadowiła się przy granitowym blacie, wyjął z lodówki szampana.

- Pomyślałem, że powinniśmy wznieść kilka toastów - oznajmił.

- Jakich?

- Za przyjaźń, za nasze domy, za Georgetown. Każda okazja jest dobra, żeby napić się szampana.

- Przyniosłam pasztet.

- Świetnie. Wiesz, pierwszy raz oprowadzałem po domu kobietę, która nie pytała, dlaczego wszystko robię sam.

- Gdybyś wynajął firmę, sprzedałbyś dom po skończeniu remontu, kupił następny, równie zrujnowany i zaczął wszystko od nowa. A ty chcesz, żeby ten dom był naprawdę twój. Zgadłam?

- Popełniłem kilka błędów. Natykam się na problemy, z którymi nie potrafię sobie poradzić.
 - Moim zdaniem świetnie sobie radzisz. Twój ojciec też miał takie zmyślne ręce? Od niego się wszystkiego nauczyłeś?
 - Ojca nie znałem, ojczyma nie miałem. Matka nie wyszła po raz drugi za męż. Już nie żyje. Po jej śmierci wyniosłem się z Zachodniego Wybrzeża. Nie pozostał mi nikt z rodziny, a przyjaciół mogę mieć wszędzie.
 - Ale nie takich, których zna się od dziecka i którzy nigdy nie zawiodą w potrzebie.
 - Masz takich?
 - Odsunęłam się od nich, kiedy David odszedł.
 - Chciałaś być sama? - Boris zabrał się do otwierania szampana.
 - Tak mnie wychowano. Żebym polegała tylko na sobie. Jestem dość zamkniętą osobą. - Uśmiechnęła się. - Ej, z takimi cechami mogłabym pracować dla CIA. Nigdy o tym nie pomyślałam. - Kiedy Boris nasrożył się, parsknęła śmiechem. - Żartuję. Poza tym po ujawnieniu się Davida nie miałabym szans.
 - Potrafisz z tego żartować?
 - Nie z Davida. Nie znajdzie już takiej pracy, jaką miał dotąd. Świat polityki jest bezwzględny. Tak zwani przyjaciele potrafią dobijać tych, którym powinna się noga.
 - To imponujące, że martwisz się o niego.
 - W dodatku rozmawiam najego temat z człowiekiem, którego prawie nie znam. Chyba przestałam być córką swojego ojca.
- Boris napełnił szampanem kieliszki.
- Opowiedz coś jeszcze, proszę.

- O czym?

- O swoim ojcu. Coś mi mówi, że zaczynasz wszystko od początku.

Faith zamknęła kieliszek w dłoniach.

- Wiesz, dlaczego dał mi na imię Faith?

- Nie, ale domyślałam się, że następna miała być mała Charity. Faith, Hope, Charity... - Wiara, nadzieja, miłość. Boris zacytował trzy nasłynniesze chrześcijańskie cnoty ewangeliczne.

- Byłam dzisiaj w bibliotece i skserowałam artykuły na temat porwania Hope. Wiesz, jak brzmiał tytuł pierwszego? „Nie ma Nadziei”¹

- Uch!

- Dla ojca imię Faith stanowiło swego rodzaju deklarację. Skoro nie ma nadziei, pozostaje wiara. Joego Hustona nic nie mogło złamać. Joe Huston, człowiek z wiarą. Ostatni sprawiedliwy.

- Trudno kochać kogoś takiego.

- Nie zносиło się, by na świat przyszła Charity. Ojciec nigdy nie powiedziałby za świętym Pawłem: „Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość - te trzy: z nich zaś największa jest miłość”². - Faith upiła łyk szampana. - Nie mieli więcej dzieci. Ojciec spróbował dwa razy, na trzeci nie starczyło mu odwagi. Wyobraź sobie, co począłby pan senator, gdyby dochował się normalnej córki, która potrafi samodzielnie myśleć.

- Myślisz samodzielnie.

- Niezbyt często korzystam z tej umiejętności.

¹ W angielskim oryginale: *Hope Is Lost* (przyp. tłum.).

² *Pierwszy List do Koryntian*, 13,13. W: *Biblia Tysiąclecia*, wydanie trzecie, 1990 (przyp. tłum.).

Boris nachylił się do Faith.

- Potrafisz być znowu szczęśliwa?

Chciała się uśmiechnąć, powiedzieć coś błyskotliwego. Nie mogła. Widziała w oczach Borisa prawdziwe zatroskanie. Czekał na odpowiedź, była dla niego ważna. Dla niej też.

Zbliżyła twarz do jego twarzy i pocałowała go w usta. Pocałunek, który miał być przytaknięciem, zamienił się w pytanie.

Odsunęła się z uśmiechem.

- Nie wiem, czy potrafię, ale wiem, że chcę być znowu szczęśliwa.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Faith wróciła do domu na krótko przed Remy i Aleksem. Spędziła wieczór z Borisem i jego przyjaciółmi w „Sea Catch”, najlepszej restauracji rybnej w Georgetown. Joan i Carter Melvilowie, ludzie równie bezpośredni jak Boris, przyjęli ją serdecznie, jak kogoś bliskiego, dobrze znanego.

Niedawno kupili dom w Glover Park, na obrzeżach Georgetown. Też byli w trakcie remontu i również interesowali się przeszłością.

- Naprawdę chcesz napisać historię swojego domu? Od samego początku? - dopytywała się zafascynowana Joan.

- Tak, mam już pomysł. Szukam zdjęć, planów, dokumentów. Na okładce powinna być akwarela albo rysunek przedstawiający fasadę.

- Może napiszesz też o moim?

Faith w pierwszej chwili myślała, że przyjaciółka Borisa żartuje.

- Powiem ci, jak zbierać materiały, doradzę...

- Mówię poważnie. Napisałabyś historię naszego

domu? - Joan nie dała Faith czasu na odmowę. - Nie proszę o przysługę. Widzę, że lubisz szperać w przeszłości, znasz się na tym. Mówiłaś przed chwilą, że szukasz pracy. Dlaczego nie miałabyś zarabiać w taki sposób?

- Ludzie mieliby się czym chwalić - wtrącił Carter Melvin. - Mogliby opowiadać, kto się urodził i kto umarł w ich domach. Georgetown to kopalnia tematów. Pomyśl, ile osobistości tu mieszkało lub miało swoich znajomych...

Faith przypomniała sobie starszą panią - jak się później okazało przyjaciółkę Nancy Reagan - którą poznała w bibliotece. Ona też chętnie zleciłaby komuś fachowe opracowanie historii budynku, gdzie mieściło się prowadzone przez nią Towarzystwo Muzyczne. Takich osób było zapewne więcej.

- Ja też zamówię u ciebie szkic historyczny - zapalił się Boris. - Nie, żeby ci pomóc. Jestem ciekaw, co znajdziesz.

- Teraz rozumiem, dlaczego Scavenger odniósł taki sukces - powiedziała Faith, wywołując wesołość przy stole.

Tymczasem wcale nie żartowała. Pomysł pisania o domach Georgetown nie dawał jej spokoju przez cały wieczór. Była przecież historykiem. Specjalizowała się w historii Europy, ale co z tego? Wiedziała, jak przeprowadzać kwerendy, jak ocenić zdobyty materiał. Metodologia pozostawała ta sama. Poza tym wspaniale byłoby pracować w domu, mieć czas dla dzieci. Były coraz większe, ale nadal potrzebowały opieki i nadzoru.

Kiedy pojawili się Alex i Remy w towarzystwie babki, z trudem wróciła z chmur na ziemię.

- Wygląda na to, że chyba miałaś udany wieczór.
- Matce wystarczyło jedno spojrzenie na radosną twarz Faith.

Kiedy Lydia wróciła do Great Falls, a dzieci po sprzeczkach o łazienkę zamknęły wreszcie drzwi swoich pokoi, Faith długo jeszcze nie mogła usnąć.

Za kilka miesięcy będzie już rozwódką. Po tym, jak przyłapała Davida z Abrahamem Steinem, była przekonana, że w jej życiu nigdy już nie pojawi się żaden mężczyzna. Nadal nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby ponownie wyjść za mąż. Tak długo żyła w cieniu rodziców, a potem Davida... Teraz musiała się dowiedzieć, kim naprawdę jest.

Nagle zdała sobie sprawę, że myśli w kategoriach albo-albo. No cóż, była córką Joego Hustona. A przecież jej rola się zmieniła, ona sama się zmieniła, jej świat się zmienił. Po raz pierwszy decydowała o sobie. Jak choćby o tym, czy powinna przespać się z Borisem Quinnem.

Uśmiechnęła się do siebie. Boris, jak do tej pory, nie zaproponował jej wspólnej nocy. Był miły, rozluźniony, przyjacielski.

Wiedziała jednak, że jej pragnie.

Lekkie muśnięcia dłonią, przelotne dotknięcia. Długi pocałunek nad granitowym blatem w kuchni.

Nie była pewna, czy jest gotowa na seks. Nie miała pojęcia, czy jest dobrą kochanką, ale wiedziała, że pożądanie mężczyzny to najsilniejszy afrodyzjak, jaki można sobie wyobrazić.

Z rozmyślań wyrwał ją głośny pisk dochodzący z poddasza. Gwałtownie usiadła na łóżku i chwyciła szlafrok.

- Głupia kocica - mruknęła pod nosem i poczuła się trochę raźniej. To w końcu nie wina Duszki, że wydaje odgłosy podobne do płaczu dziecka.

- Co się dzieje? - Remy wypadła na korytarz w tej samej chwili, kiedy Faith otworzyła drzwi.

- Dlaczego ona tak krzyczy? - zawtórował Alex.

Kotka jasno dała do zrozumienia, że nie chce, by ktokolwiek się do niej wtrącał. Jedzenie, proszę bardzo. Woda i kuweta, owszem. Ale kiedy usiłowali nawiązać z nią bliższe stosunki, parskała i fukała. Faith chciała zabrać kocią rodzinę do weterynarza, na razie jednak nie miała siły walczyć z Duszką. Postanowiła poczekać, aż kotka trochę się oswoi.

- Musimy sprawdzić na górze - zdecydowała.

Duszka już czekała pod drzwiami. Ledwie je uchylili, przemknęła przez szparę z miauczącym i wierzgającym kociątkiem w pysku, i pomaszerowała prosto do pokoju Remy.

- Mamo, tutaj jest jak w łaźni. - Alex zaczął wachlować się ręką. - Kociaki się ugotują.

Faith nacisnęła kontakt. Nic.

- Wentylator nie działa. Bezpiecznik musiał się przepalić.

Cała trójka ruszyła śladem Duszki do sypialni Remy. Zdążyli zobaczyć, jak kotka wyskakuje z uchylonej szuflady w komodzie. Odczekała, aż się odsuną, i poszła z powrotem na strych.

- Ona chce je wszystkie przenieść do mnie? - szepnęła Remy, jakby się bała obrazić swoim pytaniem Duszkę.

- Na to wygląda. - Faith od miesięcy nie widziała córki tak podnieconej. Jakby dostała kucyka albo

nowy rower. Tak potrafiła się cieszyć, zanim jej życie rozpadło się na kawałki.

- Dlaczego wybrała mój pokój?

Faith miała nadzieję, że Alex zrozumie. Miał przecież Lefty'ego, który zamieszkał w nowej, luksusowej klatce.

- Potrafi poznać, kto jest jej przyjacielem.

- Ale ściemniasz.

- Wcale nie - zaproponowała Faith.

Koło ludzkiej gromady przeszła Duszka z następnym maleństwem, jaśniejszym i pulchniejszym niż poprzednie. Potem pojawiło się kolejne, wreszcie czwarte, ostatnie, i kotka mogła ułożyć się spokojnie w szufladzie. Miała o jednego kociaka więcej, niż dotąd myśleli.

- Tak kończy się historia ducha mieszkającego na strychu - powiedziała Faith. - Jutro zabieram koty do weterynarza.

Zaniosła jedzenie, wodę i kuwetę do pokoju Remy, wymieniła bezpiecznik i z uśmiechem wróciła do swojego pokoju. Pewna, że długo jeszcze nie uśnie, zaczęła przeglądać artykuły, które skserowała dla niej Dorothy - zaledwie część materiałów o porwaniu Hope zgromadzonych w bibliotece, próbka tego, jak prasa odniosła się do tragedii Hustonów.

„Nie ma Nadziei”. Pokręciła głową. Jak też wyglądałoby jej życie, gdyby Hope nie zniknęła w tajemniczych okolicznościach? Gdyby dorastały razem, zwierzały się sobie, stworzyły wspólny front przeciwko rodzicom, może teraz byłaby silniejsza?

Osiemnastego lipca nowo narodzona córka kongresmana Joego Hustona i Lydii Huston, z domu

Charles, została porwana z domu rodzinnego w Georgetown.

Faith odłożyła artykuł i sięgnęła po zbiór felietonów Dave'a Barry'ego, które zawsze ją rozśmieszały. Potrzebowała dawki śmiechu, jeśli w ogóle miała zasnąć.

Lydia zacisnęła powieki. Zastanawiała się, czy dzisiejszej nocy znowu przyśni się jej to samo. O dziwo, od kiedy Faith zamieszkała na Prospect Street, sen wracał coraz rzadziej. Być może dzięki przeróbkom? Patrzyła z radością, jak stara rezydencja wraca do życia, chociaż nie spodziewała się po sobie takiej reakcji. Oczekiwała raczej, że dom będzie jej przypominał koszmarne chwile, jednak zmiany wprowadzane przez córkę przywoływały zupełnie inne wspomnienia, kiedy to jako młoda mężatka sama z entuzjazmem zagospodarowywała swoje pierwsze rodzinne siedlisko.

To działo się tak dawno temu. Rzadko sięgała w przeszłość, bowiem wspomnienia obciążone były poczuciem winy. Ale teraz stawał jej przed oczami czas, kiedy dopiero co zyskała dom i Joego. Nie zawsze przecież miała sześćdziesiąt sześć lat. Kiedyś była pełną energii i ufności dwudziestosześcioletnią, zakochaną kobietą, która wybrała sobie męża spośród imponującej liczby konkurentów. Pełną entuzjazmu i wiary.

Jak dawno to było.

Kiedy miała usiąść z Joem do pierwszego posiłku po powrocie z krótkiej podróży poślubnej na Bermudy,

przystroiła stół różowymi świeczkami. Wypolerowała srebrne świeczniki, chociaż nie zdążyły jeszcze zmatowieć od weselnego przyjęcia. Odwiedziła kwiatarnię na Wisconsin Avenue, starannie wybrała sześć białoróżowych peonii i ustawiła je w kryształowym wazonie na środku zielonej serwety, którą dostała w prezencie ślubnym od przyjaciółki z college'u. Rozstawiła porcelanową zastawę, też prezent ślubny, a na kremowych serwetkach, podarowanych przez jedną z ciotek Joego, ułożyła delikatne srebrne sztuce.

Początek czerwca to w Georgetown pełnia lata. Tego dnia było wyjątkowo gorąco, ale stare grube mury chroniły przed upałem. Dawni architekci wiedzieli, jak projektować domy: wysokie pokoje, żeby ciepłe powietrze szło do góry, dające przewiew przeciwnieległe okna.

Chciała założyć klimatyzację, ale nie zdążyła jeszcze znaleźć odpowiedniej firmy. Ledwie wrócili z Bermudów, Joe musiał lecieć na Kubę z misją specjalną, a w drodze powrotnej miał spotkania z wyborcami w Norfolk, Roanoke i Richmond. Dziś wieczorem wracał wreszcie do domu.

Pod nieobecność męża Lydia pochłonięta była urządzaniem domu. Joe go nie lubił, chociaż Georgetown uchodziło wśród polityków za dobry adres. Wąskie, pełne drzew uliczki i urokliwą atmosferę przeszłości uważał za niepoważną ekstrawagancję.

Lydia uśmiechnęła się tkliwie. Jako człowiek praktyczny wolałby na tym miejscu widzieć funkcjonalne wieżowce. Gdyby to od niego zależało, kazałby buldożerami zrównać Georgetown z ziemią, ale był zbyt

wytrawnym politykiem, by głośno wypowiedzieć taką myśl.

Przesunęła swój talerz o milimetr i poszła do kuchni doglądnąć kolacji. W czasie miesiąca miodowego odkryła, że gusta kulinarne jej męża były równie nieskomplikowane jak jego poglądy. Wiejska szynka, chleb kukurydziany, fasola zadowalały go całkowicie. Jeśli tak mogli jadać jego wyborcy, mógł i on. Bawiło ją to, ale postanowiła zreformować mężowskie upodobania.

Dzisiaj zamierzała podać boeuf Stroganow z najlepszego kawałka polędwicy, jaki znalazła u rzeźnika, fasolkę szparagową w białym sosie na blanszowanych migdałach, na deser biszkopt z truskawkami.

Menu, które powinno zrobić odpowiednie wrażenie na mężu.

Podobnie jak zmiany w domu. Usunęła większość antyków po babce, zostawiając tylko najcenniejsze. W ich miejsce sprowadziła starannie wybrane meble ze swojego dawnego mieszkania i kilka rzeczy z rodzinnego domu Joego. Ciężkie kotary Violet zastąpiła modnymi w tym sezonie zasłonami.

Cóż z tego, że Jack Kennedy zjechał do Georgetown z własnym kucharzem? Nie każdy młody kongresman może mieć służbę i niewyczerpane konto w banku.

Kiedy kolacja była już gotowa, pobiegła na górę przebrać się w swoją ulubioną błękitną suknię i poprawić ułożony dzisiaj przez fryzjera kok. Mimo upału wyglądała ślicznie. Redaktorka rubryki towarzyskiej „Washington Post”, pisząc o jej zaręczynach, porównała patrycjuszowską urodę Lydii z urodą księżnej Grace. Życie było cudowne.

W sypialni usłyszała, że Joe wrócił do domu. A więc będzie miała efektowne wejście. Wygładziła suknię, poprawiła złoty wisior z perłą, prezent ślubny od Joego, i stanęła u szczytu schodów.

- Kongresman Joe Huston, jak się domyślam? Jak miło. Czemu zawdzięczam przyjemność goszczenia pana?

Joe uniósł wysoko brwi.

- Wyglądasz ślicznie, Lydio. Chciałoby się ciebie schrupać.

Na takie zakończenie wieczoru liczyła, więc przyjęła ten komplement za obietnicę.

- A ty wyglądasz na kogoś, komu należy się całus i mrożona herbata.

Otworzył szeroko ramiona.

- Zniszczyłem ci makijaż - zmartwił się, kiedy po długiej chwili uwolnił żonę z objęć.

- Nieważne. Zaraz go poprawię. Idź się przebrać. Kiedy wrócisz, herbata będzie już czekała.

W garniturze prezentował się dobrze, ale ponieważ był zbudowany jak jego przodkowie farmerzy, lepiej wyglądał w codziennym stroju. Do kolacji włożył oksfordzką koszulę w paski, szare spodnie i mokasyny. Przyczesał włosy, ale niesforny kogut znowu zaczął pisać.

Joe nie był przystojny i nikt nie śmiałby go tak określić, bo zabrzmiałoby to jak drwina, ale miał zdecydowane rysy, które zdawały się mówić: na mnie można polegać. Szerokie ramiona i mocna sylwetka tylko podkreślały owo wrażenie. W krótkich odstępach czasu odumarli Lydię matka, ojciec i dziadkowie, ale w godzinie potrzeby znalazła Joego.

Z zalotnym uśmiechem podała mu szklanę.

- Posłodziłam, dodałam cytrynę i odrobinę mięty.
Chyba trochę przesadziłam.

- Obawiam się, że nie jest to twoja specjalność
- zauważył Joe, wzięwszy duży haust herbaty.

- Inne rzeczy też mi się nie udały. Na przykład ta tapeta. - Skrzywiła się. - Źle położyłam. Zerwę ją i pomaluję ściany. - A gdy spostrzegła, że Joe z trudem powstrzymuje się od komentarza, dodała z niepokojem: - Nie podobają ci się zmiany w domu?

- A miałem czas się im przyjrzeć?

- To przyjrzyj się, a ja podam obiad.

- Myślałem, że pozbędziesz się tego starego stołu
- stwierdził kwaśno, gdy po kilku minutach wniosła półmiski do jadalni.

- To mahoń. Trzeba go tylko oddać do renowacji i znowu nabierze blasku.

- Nie lubię staroci. Mamy dwudziesty wiek.

Zdziwiła ją irytacja w głosie Joego, ale wytłumaczyła ją sobie zmęczeniem.

- Kochanie, mieszkamy w Georgetown i nie uciekniemy od historii. Nowoczesne meble nie pasują do tych wnętrz.

Była rozczarowana, że nie pochwalił dekoracji stołu, przyjęła to jednak z filozoficznym spokojem. Mężczyźni tacy są, mierzą się ze smokami, a po powrocie ze zwycięskich starć nadal nie potrafią się rozstać ze swoimi mieczkami. Zadaniem kobiety jest przywracać spokój, łagodzić porywy, udomowić na powrót wojownika. Niekiedy wymaga to czasu.

Spróbowała obrócić pretensje w żart:

- Zawsze powtarzasz, że świat się zmienia zbyt

szybko, że powinniśmy podtrzymywać tradycję. Spójrz na antyki od tej strony.

- Skoro je lubisz...

- Ja? Lubię mojego męża i chcę, żeby był zadowolony.

Joe wreszcie nieco się rozpogodził. Kiedy zasiedli do stołu, jemu pierwszemu podsuwała półmiski, dopiero potem nakładała sobie. Spod oka zerkała, jak też będzie mu smakował boeuf. Włożył do ust pierwszy kęs i skrzywił się ledwie zauważalnie. Przełknął, ale następnego już nie wziął, tylko zaczął jeść fasolkę.

- Nie smakuje ci boeuf Stroganow? - Nie mogła tego pojąć. Jej ojciec niemal siłą wydobył przepis od szefa kuchni „Mayflower Hotel”. Potem narzekał, że była to trudniejsza sztuka, niż zmusić Stalina do ustępstw w czasie konferencji aliantów.

- Nie lubię grzybów. Nie znoszę ich - oznajmił Joe z pretensją w głosie.

- Mój Boże, nie wiedziałam. Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- To nie jest temat do konwersacji, Lydio.

- Jesteśmy małżeństwem, kochanie, więc muszę wiedzieć o takich rzeczach. Może powinieneś sporządzić listę.

Uniósł do ust widelec z fasolką i znowu się nachmurzył.

- Nie lubię orzechów w jarzynach.

- To tylko kilka migdałów dla dodania smaku.

- Fasolka i bez tego jest smaczna.

Radość Lydii z powrotu męża i uroczystej kolacji szybko się ulatniała.

- Co jeszcze ci nie smakuje?

Joe odłożył widelec.

- Nic mi nie smakuje.

Łzy się zakręciły w oczach Lydii.

- Tak się starałam. Chciałam, żeby to był wyjątkowy wieczór.

Joe się zreflektował i ujął na powrót widelec.

- Wiem, że się starałaś. Może ja też powinienem się postarać i polubić to, do czego nie przywykłem?

Lydia wróciła do jedzenia, które zdążyło stracić cały smak.

- Co się stało ze storami? - Joe upił łyk wody. Każdy kęs spłukiwał potężnym haustem.

- Były stare i spłowiałe. Ciężka tkanina nie przepuszczała światła, a ja lubię widzieć, co się dzieje na świecie.

- Teraz każdy będzie widział, co się dzieje u nas.

- Zobaczy co najwyżej cienie przesuwane się w oknach.

- Jestem w Kongresie. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, co robię i kogo przyjmuję.

Lydia podniosła głowę.

- Jeśli ktoś cię odwiedzi, będzie musiał wysiąść z samochodu i dojść do drzwi frontowych. Ciekawski bez trudu zobaczy gościa, a ty martwisz się o cienie w oknach.

- A gdyby ktoś zaplanował zamach na mnie albo mojego gościa? Terrorysty cię wystarczy.

Lydia odsunęła krzesło i cisnęła serwetkę na stół.

- Sam kup zasłony, dobrze? Idź do sklepu i wybierz właściwe. Jeszcze lepiej postaraj się o blindy z demobilu i zaciemnij okna jak w czasie wojny. A nie

zapomnij o meblach podług własnego gustu. Nic ci się nie podoba.

- Przestań histeryzować, na litość boską. Wspomniałem tylko o wymogach bezpieczeństwa.

- Oraz o grzybach, mahoniowym stole i orzechach wjarzynach. Orzechy! - Podniosła się, chwyciła swój talerz i wybiegła do kuchni.

Przez chwilę stała nachylona nad zlewozmywakiem, usiłując się opanować. Otarłszy ostatnią łzę, zaczęła szorować garnki z taką zaciekłością, że nie usłyszała, kiedy Joe wszedł za nią.

- Przesadzasz. - W pojęciu męża miały to być zapewne przeprosiny.

- Tak się napracowałam, a ty nie powiedziałeś jednego miłego słowa.

- Przecież jestem kongresmanem, człowiekiem publicznym, i są wymogi, do których musimy się dostosować.

Odwróciła się do niego.

- Jestem córką ambasadora i znam wymogi. Pierwszą rzeczą, której ojciec mnie nauczył, to nigdy nie być okrutną dla innych, a drugą, nigdy nie myśleć, że wszystko wiem najlepiej.

- Przyznajesz zatem, że nie miałaś racji?

Nie mogła uwierzyć, że obrócił jej słowa przeciwko niej, że kompletnie nic nie zrozumiał.

- Co teraz?

- Powinnaś zasięgnąć rady fachowca. Popytam wśród kolegów, może kogoś mi polecą.

- Chcesz wydawać pieniądze na dekoratora wnętrz?

- Podsunie ci kilka pomysłów.

- Nikt nie musi podsuwać mi pomysłów. Mam poczucie smaku. I wycucie stylu.

- Poradzisz się dekoratora.

Była ciekawa, co by zrobił, gdyby odmówiła. Uka-
rałby ją?

- Proszę. - Uśmiechnął się z przymusem. - To zbyt wielkie przedsięwzięcie dla małej kobietki. Będziesz miała inne sprawy na głowie. Musimy pomyśleć o powiększeniu rodziny. Nie będziesz się wdrapywać po drabinach i truła się zapachem farb, kiedy zajdziesz w ciążę.

W tamtej chwili była pewna, że nie chce rodzić jego dzieci. Była zbyt rozgniewana i dotknięta. Odwróciła się do męża plecami.

- Zrobiłaś już wystarczająco dużo. Weź kogoś do pomocy. Będziesz miała więcej czasu dla siebie.

Dom należał do niej. Do niej! Kochała go. Żaden dekorator nie urządzi go z taką miłością jak ona.

- Dobrze, poradzę się dekoratora, ale ostateczne decyzje podejmę sama. Rozumiemy się?

- Jeśli obiecasz, że nie ruszysz ręką. Masz ważniejsze sprawy. Chcesz chyba mieć dziecko?

A on? - pomyślała. Po co mu dziecko? Żeby miał komu rozkazywać?

Przeraziła ją ta myśl. Rzeczywiście przesadza. Joe jest zmęczony, w dodatku głodny, bo niepotrzebnie podała na kolację boeuf Stroganowa. Kocha przecież tego człowieka. Wybrała go na męża.

- Dobrze, obiecuję - powiedziała. - I oczywiście, że chcę mieć dziecko. Ale nie od razu. Najpierw musimy się zadomowić.

- Zadomowimy się. - Joe położył dłonie na jej

ramionach. - Złóż jutro kilka wizyt, poznaj żony moich kolegów... Czyżbym widział truskawki?

- I biskopt. Tego też pewnie nie lubisz?

- Uwielbiam jedno i drugie. - Nachylił się i pocałował Lydię.

Przyjęła pieśczętę bez radości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Faith odłożyła słuchawkę i wbiła nieruchomy wzrok w ścianę.

- Na co patrzysz? Przecież tam nic nie ma. - Alex poklepał matkę po ramieniu, jakby chciał przywrócić ją do rzeczywistości.

- Rzeczywiście. Nawet przywoicie położonej farby - przyznała, obejmując syna. - Pokażesz mi, jak wejść do Internetu?

- Ty, w Internecie?

Nie mogła mieć pretensji do Aleksa. Z całej rodziny ona jedna przejawiała wyjątkowy brak zainteresowania komputerami.

- Wiesz, ile ludzie chcą płacić za napisanie historii ich domów? Setki, nawet tysiące dolarów.

Alex podrapał się po nosie.

- To dużo więcej, niż ja dostaję za wrywanie bluszczu.

- Zastanawiam się, czy nie powinnam zająć się pisaniem, zamiast szukać pracy w biurze. Zadzwoiłam do kilku firm, pytałam, jakie mają stawki. Nic

ciekawego. A jeśli będę dobra w tym pisaniu, zarobię na nasze utrzymanie.

- I dlatego chcesz zajrzeć do Internetu?

- Tak jest, bystrzaku. Nie wiem nawet jednej dziesiątej tego, co powinnam wiedzieć, ale nadrobię braki. Masz teraz czas?

Alex miał taką minę, jakby matka wręczyła mu klucze do zaczarowanego miasta.

Z pomocą Aleksa Faith dotarła do stron poświęconych historii, zamówiła kilka książek na temat kwerend, zajrzała do archiwów list dyskusyjnych, przeczytała biuletyny informacyjne.

Po godzinie oderwała się od komputera.

- Wspaniały wynalazek. Gdzie ja byłam?

- Gotowałam.

Zerknęła na syna z nadzieją, że żartuje. Mówił zupełnie poważnie.

- Na szczęście teraz nie mam kuchni.

- A w ogóle będziemy kiedyś ją mieli? - zapytał chłopiec z nostalgią.

- Jesteśmy na dobrej drodze.

- Może upieczesz któregoś dnia kurczaka? - Alex niezbyt dowierzał matce.

- Przede wszystkim muszę kupić sobie komputer.

- Jeśli kupisz naprawdę dobry, co najmniej przez kilka miesięcy nie będziesz musiała go modernizować.

- W ustach Aleksa zabrzmiało to jak zaleta. - Poszukam ci jakiegoś w Internecie.

Pod wieczór rozszalała się burza i zgasło światło. Cała rodzina zebrała się w salonie przy świecach, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Faith podbiegła do drzwi i otworzywszy je, zobaczyła w progu Lydię.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się. - W taką pogodę?

- Nadciąga front niżowy. Będzie lało przez resztę tygodnia. - Lydia podała córce płaszcz przeciwdeszczowy.

Miała na sobie elegancki zielony kostium z dzianiny, sznur drobnych pereł i pantofelki Ferragamo.

- Wybierasz się na przyjęcie?

- Byłam na przyjęciu wyborczym na Dumbarton Street. Straszne nudy. Ojciec jeszcze tam jest.

- Uciekłaś?

Lydia uśmiechnęła się.

- Światło zgasło, to się wymknęłam. Powiedziałam gospodyni, że zajrzę do was, bo chcę przeczekać burzę razem z rodziną.

Słowa matki ujęły Faith.

- Tata wie, że wyszłaś?

- Pewnie nawet nie zauważył. - A gdy Faith wskazała jej najwygodniejszy fotel w salonie, dodała: - W czymś przeszkodziłam?

- Opowiadałam właśnie dzieciom o Candace Wheelwright i jej sklepie z kapeluszami.

Faith oczekiwała, że matka zmieni temat, jak zawsze, kiedy w rozmowie pojawiał się temat z przeszłości, ale Lydia ją zaskoczyła.

- Skąd o tym wiesz?

Znalazła się w potrzasku. Nie chciała mówić o swoich poszukiwaniach w bibliotece i psuć niespodzianki.

- Próbowałam dowiedzieć się czegoś o konkursie na najpiękniejszy ogród - wybrnęła.

- Babka często opowiadała mi, jak pomagała matce zdobić kapelusze.
- Pamiętasz coś z jej opowieści?
Lydia podwinęła stopy. Światło świec odejmowało jej lat. A może sprawiły to odległe wspomnienia? Może wracając na Prospect Street, cofała się w czasie?
- Pamiętam jedną.
- Mama mówi, że panie nosiły wtedy ptaki na kapeluszach. - Alex ciągle nie mógł przetrwać tej informacji.
- Ta opowieść będzie o owocach. Rzecz działa się, kiedy moja babka była mniej więcej w twoim wieku, Remy. Candace miała zrobić kapelusz dla żony wiceprezydenta, ale zachorowała.
- Kto był wtedy wiceprezydentem? - Remy na moment zapomniała o naburmuszonym tonie.
- Nie mam pojęcia. Musimy sprawdzić. McKinley był chyba prezydentem, a więc sam koniec dziewiętnastego wieku.
- Mógłbym poszukać w Internecie - wyrwał się Alex. - Gdyby nie wyłączyli prądu.
- Faith czuła, że działo się coś szczególnego. Jej matka przyłączyła się do rodziny. Nie przeszkodziła w niczym, wręcz przeciwnie.
- I co zrobiła Candace? - zachęciła Lydię.
- Powiedziała mojej babce, że musi skończyć kapelusz. Żona wiceprezydenta miała go włożyć na garden party wydawane z okazji podpisania jakiejś umowy handlowej z Ameryką Południową. Szczegółów nie pamiętam. Pamiętam tylko, że chodziło o jakieś banany i że pani wiceprezydentowa chciała mieć na głowie całą sałatkę owocową.

Remy zachichotała. Od miesięcy Faith nie słyszała jej śmiechu.

- Zatem Violet musiała zaprojektować sałatkę owocową? Tak wyglądało jej pierwsze dzieło? - zapytała Faith.

- Owszem. Niestety okazała zbyt wielki zapach. Candace zamówiła cały asortyment woskowych owoców, ale babka nie mogła się zdecydować, co wybrać, i na kapeluszu znalazło się wszystkiego po trochu. Kiedy skończyła, rondo opadało pod ciężarem dekoracji. Żona wiceprezydenta przyszła przymierzyć kapelusz i grad owoców potoczył się pod stopy biednej Violet.

- Ojej! - Remy zanosiła się głośnym śmiechem.
- Wyobrażam sobie, jak ja bym się czuła na jej miejscu.

- Violet wybuchnęła płaczem, ale kiedy pierwszy szok minął, pani wiceprezydentowa zaczęła się śmiać. Wychodząc, powiedziała babce, że przyjdzie do miary jeszcze raz, nazajutrz, ale tym razem prosi o pół porcji sałatki.

- Wspomniała opowieść. - Faith postanowiła włączyć ją do swojej książki. - Wszystko dobrze się skończyło, a Candace wróciła do zdrowia.

- Żyła jeszcze dwadzieścia lat. Kapelusz udał się nadzwyczajnie, chociaż jego właścicielka narzekała podobno, że ilekroć go nakłada, nie może opędzić się od pszczoł.

Kiedy umilkły śmiechy, zaległo niewymuszone milczenie, które przerwała dopiero Faith.

- Znalazłam trochę informacji o konkursie.

Lydia poprawiła się w fotelu.

- Opowiedz nam. Muszę mieć jakieś usprawiedliwienia, żeby nie wrócić na przyjęcie.

- Nie ciebie będą wybierać. Niech tata raz sam zadba o swoją pozycję.

Lydia uśmiechnęła się.

- Dobrze powiedziane.

- Znalazłam dwa artykuły o konkursie w starych lokalnych gazetach i wzmiankę w „Washington Post”.

- Nie przypuszczałam, że zadasz sobie aż tyle trudu.

Faith machnęła lekceważąco ręką.

- Żaden trud. Jedna wizyta w bibliotece. W kwietniu 1941 roku nasz dom odwiedziły tłumy ludzi.

- Tylko po to, żeby obejrzeć ogród? - Remy nie mogła w to uwierzyć.

- Moja babka uważała to za zaszczyt - powiedziała Lydia. - Była zwyczajną kobietą, ze zwyczajnej rodziny, chociaż połączył ją z dziadkiem niezwykły romans. Wyobraź sobie - tłumaczyła zaintrygowanej Remy - Violet, która nie miała ojca, braci, prawie żadnego kontaktu z mężczyznami, pewnego dnia musiała zastąpić matkę w sklepie. Miała wtedy zaledwie siedemnaście lat. Stoi za ladą, a tu raptem wchodzi oszałamiająco przystojny mężczyzna z jakąś młodą damą.

Remy nachyliła się ku babce.

- Skąd wiesz, że był oszałamiająco przystojny?

- Widziałam fotografie. Leżą spakowane gdzieś w pudłach.

- Jak mogłaś, mamo? - obruszyła się Faith.

Lydia machnęła ręką.

- Znajdę je i dam ci. Będą dobrze wyglądały na

schodach. W każdym razie ten oszałamiająco przystojny mężczyzna chciał kupić kapelusz dla swojej narzeczonej, panny z jednej z najświetniejszych rodzin w Georgetown. James Atkins, bo tak się nazywał, był uczonym i wykładowcą, autorem głośnej biografii Lincolna. Zobaczył moją babkę i od pierwszego wejścia zakochał się w niej nieprzytomnie. Zerwał zaręczyny ze swoją narzeczoną, a pół roku później ożenił się z Violet. Był wielki skandal...

- To nudne - powiedział Alex.

Lydia poklepała go po kolanie.

- Nudne? Dobrze, tę część historii opuścimy i przejdziemy od razu do sedna. Słyszałeś o pierwszej wojnie światowej?

- Była przed drugą.

- Mam domyślnego brata - prychnęła Remy.

- Mój dziadek, James, zgłosił się na ochotnika - mówiła dalej Lydia. - Omal nie zginął na froncie we Francji od gazów bojowych. Odesłali go do domu i żył jeszcze wiele lat, chociaż nigdy już nie wrócił do zdrowia. Babcia musiała zarabiać na życie, ale nie chciała męża zostawiać samego, postanowiła więc wykorzystać jedyny swój talent. Dawała lekcje gry na pianinie, w tym pokoju, na tym instrumencie.

- Violet posiadała jeszcze inne umiejętności - wtrąciła Faith.

- Tak?

- Zajmowała się hodowlą kwiatów. Wiosną sprzedawała cebulki, a jesienią rośliny jednoroczne. Była znana w całym zachodnim Georgetown. Nic dziwnego, że zgłosiła się do konkursu.

- Babka była zawsze zapracowana. Kwiatów nie

pamiętam. Może w czasie wojny przestała je hodować, ale nigdy nie potrafiła spokojnie usiedzieć w miejscu. Ciagle wynajdywała sobie jakąś robotę.

Lydia zamilkła. Czyżby zastanawiała się, jak kiedyś będą ją wspominać jej wnuki? Pogodziła się w końcu z porwaniem córki, ale za jaką cenę?

A jak dzieci i wnuki Remy będą pamiętać Faith? Jako zgorzkniałą rozwódkę? Czy jako osobę, która potrafiła się podnieść i szukać własnego szczęścia? Chciała, bardzo chciała, żeby ten drugi wizerunek okazał się prawdziwy.

- Pora na zajęcia terenowe - oznajmiła Lydia, wstając. - Chcecie zobaczyć pamiątkę po Candace?

- Jeszcze jeden napis? - Alex poderwał się z fotela.
- W ogrodzie nic nie znalazłem.

Cała rodzina pod przewodem Lydii ruszyła do sypialni Faith.

- Po śmierci Jedediaha Candace nie chciała już tu sypiać. Zamieniła ten pokój na pracownię. Tutaj wieczorami robiła kapelusze. Stół postawiła przy oknie, by mieć widok na ulicę. Wyglądała powrotu Jedediaha.

- On przecież już nie żył - zdziwił się Alex.
- Pomieszało się jej w głowie?

- Nie. Dopóki żył, przed jego powrotem przebierała się i starannie czesała. W tym pokoju na niego czekała. Mówiła, że to najmiłszy moment dnia, gdy patrzyła, jak zbliżał się do domu. Po jego śmierci nie zmieniła zwyczajów, dzięki temu czuła się bliżej męża. - Faith łązy zakreśliły się w oczach. - Wiem, gdzie wryła swoje imię. - Lydia podeszła do okna, uklękła i zajrzała pod szeroki parapet. - Jest.

Dzieci dołączyły do Faith, ciekawe wiktoriańskiego graffiti.

- A ty wyryłaś gdzieś swoje imię, babciu? - zapytał Alex.

- Nie.

Na szczęście wśród milczenia rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Gdzie Lydia miałyby wyryć swoje imię? Pod kołyską, z której ktoś zabrał przywiezioną ze szpitala Hope?

- Jak jest słońce, nigdy nie przychodzi do nas tylu gości. - Alex pognał ku schodom. - To Boris!

Faith dostrzegła w oczach matki iskierkę zainteresowania. Kiedy zeszła na dół, Boris stał już w holu i otrząsał się jak zmoknięty spaniel.

- Witaj. Martwiłem się o ciebie i dzieci. Wygląda na to, że będziemy musieli trochę poczekać, zanim włączą prąd. Jakaś poważna awaria. Nie wiedziałem, co masz w domu, więc na wszelki wypadek przyniosłem świece, zapaliki i latarkę. - Uniósł plastikową torbę.

- To bardzo miło z twojej strony. - Odsunęła się, pozwalając zejść Lydii. - Nie poznałeś jeszcze mojej mamy. - Nastąpiła prezentacja, uścisk dłoni, wymiana grzeczności.

Boris rozejrzał się po salonie.

- Te stare domy znacznie piękniej wyglądają, gdy są oświetlone świecami.

- Rozgość się - zaprosiła Faith - ale ostrzegam, opowiadamy sobie rodzinne historie.

- Dziękuję, ale muszę wracać do domu. Dach zaczął przeciekać, muszę coś z tym zrobić.

- Boris sam remontuje swój dom - wyjaśniła

matce Faith. - Powinnaś zobaczyć, jakich cudów już dokonał.

- Ja też bym mógł? - wtrącił Alex.

- Kiedy zechcesz. Remy też.

Dziewczyna prychnęła.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi, tym razem znacznie głośniejsze, niecierpliwe.

W progu stał Joe Huston.

- Dobry wieczór, Faith - burknął, nie próbując wejść dalej niż na chodnik przy wejściu. - Powiedzia-
no mi, Lydio, że znajdę cię tutaj.

Faith ujęła ojca pod ramię, pociągnęła w głąb pokoju i przedstawiła Borisa.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Zobacysz, ile się zmieniło od twojej ostatniej wizyty.

- Nie dzisiaj, Faith - oznajmił sztywno. - Matka i ja musimy wracać do domu. Obejrzę twoje dzieło innym razem. Przy świetle.

- Przyjechaliśmy oddzielnie - przypomniała Ly-
dia. - Ty wracaj, jeżeli chcesz, ja zostanę i przeczeka-
burzę.

- Oddzielny powrót to kłopot dla Samuela.

- Powiedz mu, że wkrótce będę.

Joe zawahał się, jakby zamierzał ciągnąć sprzecz-
kę, wreszcie wzruszył ramionami.

Faith odprowadziła ojca do drzwi. Była zła, że swoim nagłym wtargnięciem zburzył ciepły nastrój rodzinnych wspominków.

- Następnym razem wpadnij na dłużej - powie-
działa, zniżając głos, by inni nie słyszeli. - I w lepszym
nastroju. Już drugi raz obrażasz mnie w moim włas-
nym domu.

Nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na tak ostre słowa. Bojąc się, że na tym nie poprzestanie, szybko zamknęła drzwi.

Czyżby Faith powoli odkrywała swoje nowe ja, które objawiało się również w jej nowych relacjach z matką i ojcem?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Biblioteka rejonowa w Georgetown otwierała swoje podwoje o dziesiątej rano. Przez następny tydzień Faith pojawiała się codziennie na stopniach gmachu równo z wybiciem tej godziny. W domu nie miała nic do roboty. Fachowcy instalowali szafki i jej obecność tylko im przeszkadzała.

Znała już dalszą historię rodziny, przysłała pora na poznanie historii Hope. We wtorek poprosiła Dorothy o komplet wycinków na temat porwania i zdumiała ją ogrom materiału. Znała co prawda kolejność wydarzeń, ale z artykułów dowiedziała się rzeczy, o których dotąd nie miała pojęcia. Chłonęła relacje o śledztwie, podejrzanych, hipotezach policji, zaczynała rozróżniać styl doniesień poszczególnych dziennikarzy.

W piątek stwierdziła, że ma coraz więcej pytań, na które nie znajduje odpowiedzi. Rodzice nie mogli jej pomóc, bowiem unikali rozmów o Hope. Dla Lydii był to zbyt bolesny temat, Joe z kolei uważał porwanie córki za osobistą porażkę.

Co prawda przyniosło mu niebywałą popularność, zaskarbiło sympatię wyborców, przysporzyło głosów

w kolejnej elekcji i pośrednio zapewniło miejsce w Senacie, nadal jednak pozostawał człowiekiem, który nie potrafił ustrzec własnego dziecka. Poza tym Joe był pamiętliwy i na pewno nie zamierzał rozmawiać z Faith, dopóki nie przeprosi go za to, co mu ostatnio powiedziała.

Na rodziców nie mogła więc liczyć. Sporządziła listę dochodzeniowców zaangażowanych w śledztwo i w piątek po południu zadzwoniła do FBI i na policję, poszukując tych, których nazwiska wymieniano w artykułach. Nie dotarła do nikogo. Prowadzący śledztwo albo byli już na emeryturze, albo pracowali gdzie indziej. Chociaż sprawa nigdy nie została formalnie zamknięta, dawno została odłożona ad acta. Pozostawali sąsiedzi i znajomi, czyli ci, którzy mogli zapamiętać szczegóły przeoczone przez dziennikarzy.

Inaczej mówiąc, Dottie Lee Fairbanks.

Chociaż Faith pod różnymi pozorami wymigiwała się od sąsiedzkich wizyt, regularnie bywała u starszej pani na środowych herbatkach. Polubiła i Dottie Lee, i Marianę. Z napomknień Dottie wynikało, że przewinęła się przez jej dom cała elita Waszyngtonu, a od niechcienia rzucane aluzje kazały się Faith domyślać, że niegdysiejsza „ulubienica” wielkich polityków gotuje stolicy kolejny pamiętnikarski skandal. Bo też pracowicie gromadziła informacje i anegdoty, jak inni kolekcjonują starożytne monety czy jajka Fabergé.

W drodze powrotnej z biblioteki Faith kupiła bukiet czerwonych róż i zapukała do drzwi Dottie Lee. Alex wybrał się z kolegami ze szkolnego kółka naukowego do Smithsonian, Remy była u Billie; Faith miała przynajmniej godzinę czasu, zanim dzieci wrócą do domu.

Dottie Lee szczerze się ucieszyła na jej widok.

- Nie mogłam się oprzeć. - Faith podała Dottie kwiaty. - Są piękne i pięknie pachną, będą się ładnie prezentowały na kominku.

Dottie powąchała bukiet.

- Spokój, Titi. Są śliczne, naprawdę śliczne. Wejdz, proszę. Nie przysłaś chyba tylko po to, żeby przynieść mi róże. Pewnie masz ochotę na mojego earl greya.

- Z przyjemnością wypiję filiżankę. Znowu wyłączyli mi prąd. Elektrycy wymieniają instalację w całej piwnicy.

- A kuchnia kiedy będzie gotowa?

- Przy odrobinie szczęścia w poniedziałek.

Faith usiadła w rzeźbionym fotelu z drzewa różanego. Nie próbowała udawać, że przysłała z towarzyską wizytą.

- Spędziłam kilka dni w bibliotece i przeglądałam stare wycinki prasowe związane z porwaniem Hope. Strasznie tego dużo.

Dottie Lee przysunęła się bliżej z fotelem.

- To miasto żyje tragediami i skandalami.

- Rodzice rzadko wspominali o zniknięciu Hope. Powiedzieli mi tylko tyle, żebym wiedziała, co odpowiadać obcym, gdyby ktoś mnie pytał.

- A nie próbowałaś dowiedzieć się czegoś na własną rękę?

- Nie chciałam. Porwanie to ciągle jątrząca rana w życiu moich rodziców.

- Skoro w ich, to i w twoim.

- Mam jeszcze drugą. Facet, z którym sypiałam przez piętnaście lat, okazał się gejem. - Faith pomyślała, że Dottie Lee okazała podziwu godny rozsądek,

nie wychodząc za mąż, tylko kontentując się kolejnymi kochankami. - To wyjaśnia, dlaczego wiem tak niewiele.

- I dlaczego przyszłaś tutaj.

- Owszem.

- Wymagasz od starej kobiety, żeby wydobyła z pamięci sprawę, o których dawno zapomniała.

Faith nachyliła się.

- Nie wymiguj się. Ty nie zapominasz. Założę się, że porwanie Hope zajmie cały rozdział w twoich pamiętnikach.

Dottie Lee uśmiechnęła się filuternie.

- O jakich pamiętnikach mówisz?

- O tych samych, o których mówiłaś kilka tygodni temu. Jeśli zechcesz, wywołasz w tym mieście niezłe zamieszanie.

- Nie... w każdym razie nie za życia.

- A potem?

- Potem możesz żałować, że mnie znałaś. Co wcale nie znaczy, że napiszę o tobie. Postanowiłam cię oszczędzić.

- Czyli, jak rozumiem, zastanawiałaś się, czy pisać o mnie, czy nie?

- O której? O tej dawnej, nudnej Faith? Czy o tej nowej, rozwiedzionej, już bez geja przy boku? Ma się rozumieć, że o tej drugiej. To pikantna historia...

- Dottie Lee!

- Powiedziałam, że nie napiszę, to nie napiszę.

- Zamilkła na moment dla większego efektu. - Ale z twoimi rodzicami to całkiem osobna sprawa.

Faith nawiązała do pamiętników, żeby sprowokować Dottie do wspomnień. Teraz była oburzona.

- Chcesz zniszczyć karierę ojca?

- Myślisz, że muszę? Joe sam się o to postara, zanim zejde z tego świata. Nie jest dobrym senatorem. Prawda, w swoim politycznym mateczniku uchodzi za alfę i omegę, ale zachowuje się, jakby był na dopingu. Te jego zaślepione przekonania... Ktoś w końcu będzie miał dość.

Faith domyślała się, jak wielu polityków z radością odsunęłoby Joego od władzy.

- Co o nim wiesz?

Dottie uniosła pytająco brew.

- Dlaczego miałabym ci mówić?

- Blefujesz?

- Możliwe. Jestem starą kobietą, niewiele zostało mi w życiu przyjemności.

Wiedziała, że nie wydobędzie z Dottie nic na temat ojca.

- Wróćmy więc do porwania. Powiedz mi, co pamiętasz?

- Dobrze, ale najpierw ty mi powiedz, co najbardziej cię interesuje.

Weszła Mariana z herbatą, zamieniła kilka słów z Dottie Lee. Dopiero kiedy zostały same, Faith odpowiedziała:

- Zdziwiło mnie kilka rzeczy. Dominik Dubrov, złota rączka, najpierw został zatrzymany, lecz potem zwolniony z braku dowodów. A jednak wiele osób było przekonanych, że to on porwał Hope, chociaż miał alibi.

- To wiedziałas już wcześniej. A czego nie wiedziałas?

- Nie wiedziałam, że pracował u moich rodziców.

- Faith opowiedziała o kartce znalezionej za ścianką

działową. - Z gazet dowiedziałam się, że miał klucz do naszego domu.

- Dlatego policja natychmiast uznała go za podejrzanego. Ale miał też klucz do mojego domu i jeszcze kilku innych.

To była nowina.

- Do twojego?

- Dominik był uroczy. Silny, inteligentny, tylko zupełnie niewykształcony. Uciekł z rodzicami ze Związku Radzieckiego, jakoś dotarli do Stanów, ale był już wtedy za stary na naukę. Źle mówił po angielsku, ale rzeczywiście miał złote ręce. Nigdy nie spotkałam równie zmyślnego człowieka. Prawdziwy rzemieślnik starej daty. - Pokiwała głową ze smutkiem. - Nie ma już dziś takich.

- A więc pracował dla ciebie?

- Dla mnie, dla sąsiadów. Miał przyjaciela Węgra, Sandora, który mu czasami pomagał. Znali się na wszystkim. Na elektryce, hydraulice, stolarce, murarce.

Jednak Faith była ciekawa nie tego, jak zdolnym człowiekiem był Dominik, ale w jaki sposób został uwikłany w sprawę porwania.

- Czy to rodzice ci go polecili?

- Nie. Powiem ci, jak to było. - Dottie Lee przez chwilę szukała odpowiednich słów, wreszcie machnęła ręką. - Nie da rady, musisz usłyszeć całą prawdę. Twój ojciec zmusił Lydię, żeby najęła Dominika.

Faith na razie nic nie rozumiała.

- Jak to?

- Zaraz po ślubie Joe zażądał zmian w domu.

Zależało mu na odpowiednim wizerunku, a nie był pewien, czy Lydia poradzi sobie z zadaniem. Przyszła do mnie po radę. Poleciłam jej Dominika. On miał wykonywać wszystkie prace, a Lydia postanowiła o wszystkim decydować.

- Dlaczego uznano go za podejrzanego? Bo mógł wchodzić do domu, kiedy chciał?

- To poważne obciążenie, nie sądzisz? Nie było śladów włamania. Ktoś dostał się do środka tylnym wejściem, wszedł na górę i zniknął z twoją siostrą.

- Dottie Lee wzruszyła ramionami. Dla niej to była zamierzchna przeszłość.

- Matka mówiła mi, że grała na pianinie. Nic nie słyszała. Gdyby Hope zapłakała, może nie doszłoby do nieszczęścia. - Coś ją zastanowiło. - Chyba że z jakichś powodów nie mogła płakać...

- Policja na pewno wzięła pod uwagę i tę możliwość.

- Myślisz, że to Dominik Dubrov ją porwał?

Dottie nie odpowiedziała wprost.

- Był wtedy u mnie. Reperował cieknącą rurę.

- Nie wychodził ani na chwilę?

- Niezupełnie.

- To znaczy?

- Wychodził kupić części. Nie było go dwadzieścia minut, może trzydzieści.

- Wystarczająco długo, żeby z sąsiedniego domu porwać dziecko.

- Owszem, ale wrócił z zakupami. Widziałam paragon z datą. Sprzedawca go zapamiętał, czas się zgadzał. Poza tym... co zrobiłby z Hope?

- Mógł przekazać ją komuś, kto czekał w pobliżu.

- Mógł. Policja jednak uznała jego alibi. Nie miał żadnych motywów, żeby porywać twoją siostrę.
- Pieniądze to dość silny motyw.
- Nikt nie zażądał okupu. Nawet zanim zatrzymano Dominika, a to trochę trwało, bo wszyscy go lubili i chronili.
- Hope mogła nie przeżyć porwania i kidnapier stracił szansę na pieniądze.
- Same domniemania.
- Musieli być inni podejrzani. Dziecko nie rozpłynęło się przecież w powietrzu.
- Oglądasz za dużo filmów. Wszystkowiedzący detektywi istnieją tylko w hollywoodzkich produkcjach i powieściach Agathy Christie.
- Co myślisz o dochodzeniu?
- Spieprzone. Obiegli dom niczym stado szarańczy. Jeśli były jakieś ślady, to je skutecznie stratowali zaraz po wejściu.
- Zgroza.
- Raczej młodzieńczy entuzjazm. Koniecznie chcieli ująć porywacza. Zakładali, że nie uciekł daleko. Przewrócili dom i okolicę do góry nogami. Kiedy odjechali, nie było już żadnego punktu zaczepienia.
- Dominik Dubrov...
- Znowu? - Dottie Lee pokręciła głową. - Może powinnaś rozpatrzeć inne możliwości?
- Pół roku później popełnił samobójstwo. Czy to nie jest równoznaczne z przyznaniem się do winy?
- Ludzie ciągle się zabijają, Faith. To epidemia. Uważasz, że każdy samobójca ma na sumieniu porwanie dziecka?
- Nie, oczywiście, że nie, ale...

- Skandal wykończył Dominika. Był dobrym, przyzwoitym człowiekiem, po staroświecku uczciwym. Policja oczyściła go z zarzutów, ale prasa i telewizja wydały na niego wyrok. Dominik tego nie zniósł. Powiesił się.

- Według ciebie był niewinny, to jasne.

- Czy powiedziałaś coś takiego?

- Nie dosłownie.

- Jeśli naprawdę chcesz dojść, co się wtedy wydarzyło, szukaj gdzie indziej.

Faith nachyliła się.

- Dottie Lee, czy wiesz, kto porwał moją siostrę?

- Po raz ostatni zadał mi to pytanie młody, źle wychowany porucznik, który pojawił się w moim domu, usiadł w tym samym co ty fotelu i wyciągnął w moją stronę palec.

- Co mu odpowiedziałaś?

- To samo, co odpowiem tobie. Nie było mnie tam. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam, a na swoje domniemania nie mam żadnych dowodów, więc nie myślę się nimi dzielić.

- Czegoś się jednak domyślałaś?

Dottie Lee uniosła filiżankę.

- Każdy człowiek z odrobiną oleju w głowie może czegoś się domyślać i snuć własne teorie. Ani się obejrzyj, jak sama zaczniesz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kuchnia była prawie skończona, należało tylko pomalować ściany i posprzątać.

- Możemy już gotować, Alex - powiedziała Faith, omiatając wnętrze dumnym spojrzeniem.

- To znaczy, że będzie kolacja?

- Coś prostego. Musimy jeszcze rozpakować naczynia. - Aleksowi wydłużyła się mina. - Co powiesz na omlet z bekonem?

- Z czym? Przecież w domu nic nie ma.

- Wiesz, istnieją sklepy spożywcze.

- Już późno. - Alex ciągle ostatnio narzekał, że jest głodny. Zbliżała się dopiero piąta.

- Pojadę do Safeway, a ty poszukaj w tych pudłach patelni. Za chwilę wracam. Znajdź talerze. Poproś Remy, żeby ci pomogła.

Na parkingu chwyciła pierwszy wolny wózek i potoczyła go dziarsko w stronę wejścia do supermarketu, uszczęśliwiona perspektywą pierwszej kolacji przygotowanej w nowej kuchni.

- Faith?

Była tak zaaferowana, że nie zwracała uwagi na mijanych ludzi.

- Pete? - Pete Conley reprezentował w senacie okręg Tidewater. Miał wszystko, czego trzeba politykowi: inteligencję, charyzmę, dobry wizerunek. Kilka lat wcześniej jego żona, z którą przeżył dwadzieścia lat, utonąła w Potomaku. Po roku żałoby stał się najbardziej poszukiwaną partią w Waszyngtonie. - Mieszkam teraz w Georgetown. - Przypomniała sobie, że on również.

- Faith, tak mi przykro... - Taktownie nie dokończył zdania.

- Mnie również. Co u ciebie? - Oczami wyobraźni widziała już swojego umierającego z głodu syna, ale powstrzymała się od zerkania na zegarek.

- Jakoś leci.

Jeśli mogła wierzyć plotkom, leciało całkiem nieźle. Lubiła Pete'a. Był bystry, wrażliwy, chociaż za bardzo, jak na jej gust, pochłonięty polityką.

- Trudno pogodzić się z odejściem ukochanej osoby. - Uśmiechnęła się na znak, że nie zacznie lać łez przy skrzynkach z mekintoszami.

- Spotykasz się z kimś? To pomaga.

- Chyba jestem na dobrej drodze.

Rozmawiali chwilę o swoich rodzinach, po czym Pete zapytał nieoczekiwanie, czy mógłby do niej zadzwonić.

Chce zadzwonić? Była w dzinsach, bez makijażu, nawet się nie uczesała przed wyjściem do sklepu. Co prawda Safeway nazywany był przez mieszkańców Georgetown „klubem”, bo robiło tu zakupy mnóstwo singli szukających towarzystwa, ale nie przypuszczała, że jej to też dotyczy.

Szybko oprzytomniała.

- Naturalnie, zadzwoń. - Przemknęło jej przez myśl, że Pete chce porozmawiać o żonie i liczy na zrozumienie.

Wyjął z kieszeni palmtop.

- Podaj mi swój nowy numer.

Podyktowała numer i adres.

- Muszę już iść. Alex umiera już pewnie z głodu. Ostatnio ma wilczy apetyt.

Pete, ojciec dwóch dorastających córek, pokiwał ze zrozumieniem głową.

- W piątek jest przyjęcie w ambasadzie francuskiej. Miałem iść z siostrą, ale wyjechała. Poszłabyś zamiast niej? Nie musimy być tam długo. Potem moglibyśmy wybrać się gdzieś na kolację. Proszę, zgódź się.

- No dobrze, zgadzam się - przystała po chwili wahania.

Pete uśmiechnął się szeroko.

- Wcześniej zadzwonię, powiem ci, o której po ciebie przyjadę.

Dopiero kiedy się pożegnali, zreflektowała się, co właśnie zrobiła. Pete Conley zaproponował wspólny wieczór, a ona się zgodziła. Ojej, przecież Pete to stary znajomy, idzie z nim na przyjęcie w zastępstwie jego siostry. A jednak chodziło o coś więcej. Potrafiła jeszcze rozumować. Pete był nią zainteresowany.

Dlaczego się zgodziła? Proste. Po pierwsze jeszcze żyje. Dobry znak. Po drugie może wreszcie się przekona, co naprawdę czuje do Borisa Quinna. Po trzecie miała okazję, by pokazać się w towarzystwie z wysoko podniesioną głową. A tego za nic nie mogła sobie odmówić.

Po czwarte niektórzy ludzie na tym przyjęciu mog-

liby stać się jej klientami, jeśli rzeczywiście zaczniesz pisać książki o Georgetown. Niech znajomi zobaczą, że jest kimś więcej niż tylko była żoną Davida Bronsona i córką Joego Hustona.

Zatrzymała się przy półkach z nabiałem i nagle sobie uświadomiła, że się uśmiecha.

- Mam zaproszenie na przyjęcie w ambasadzie francuskiej. Muszę kupić suknię wieczorową. Pomóżesz mi wybrać jakąś? W piątek? - zagadnęła córkę podczas kolacji.

Dzieci oniemiały. Matka idzie na party? Po prostu niemożliwe.

- Masz pełną szafę ciuchów - skrzywiła się Remy.

- Nawet jeśli kupisz nową suknię, nie będzie się niczym różniła od starych.

- Dziękuję za trafną ocenę mojego gustu.

- Gustu? Ubierasz się okropnie. Mama Megan nosi bardziej obcisłe szorty niż ja.

- Remy, przecież nie włożę szortów na przyjęcie w ambasadzie.

- Czasami z ciebie straszna zgredka.

Faith nie poddawała się.

- Ty też powinnaś sobie coś kupić, Remy.

- A mnie nie zapraszasz na zakupy? - obruszył się Alex.

- Ty jesteś chłopakiem. Nie weźmiesz go, mamo, prawda?

Faith zawsze mogła liczyć na rywalizację między dziećmi.

- Przecież nie znosisz zakupów, Alex. Poza tym w piątek jesteś umówiony z tatą.

- Ojej, zapomniałem.
- To co, Remy? Wybierzesz się ze mną w piątek po południu na zakupy? - upewniła się Faith.
- I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Faith po raz setny zadawała sobie pytanie, dlaczego przyjęła zaproszenie Pete'a. Nie lubiła oficjalnych przyjęć. Owszem, zdarzali się wśród polityków przyzwoici ludzie, nigdy jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że kiedy wchodzi na party, natychmiast otacza ją stado odzianych w smokingi rekinów. Doskonale wiedziała, co kryje się za zdawkowymi uprzejmościami. Układy, interesy, urabianie opinii, sondowanie, kto z kim, za co i za ile.

Zamiast cieszyć się perspektywą zakupów, była coraz bardziej podminowana.

- Może zaczniemy od Wisconsin? - powiedziała, kiedy Remy zeszła wreszcie na dół, gotowa do wyjścia z domu.

- Nie znajdziesz tam nic dla siebie.

- Wielkie dzięki. Uważasz, że jestem aż taka beznadziejna? Chciałabym coś odlotowego.

- Z kim ty właściwie idziesz? Z babcią? Nie wpuści cię do samochodu, jeśli ubierzesz się w coś odlotowego.

Faith opowiedziała o spotkaniu z Pete'em. Remy naburmuszyła się, że matka znowu wychodzi z jakimś facetem.

- Jego żona zginęła kilka lat temu, pamiętasz? Utonęła w Potomaku. Przyjaźnimy się od lat. Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego.

- Pokażesz się ludziom? Przecież wszyscy wiedzą - burknęła Remy.

- Nie mam się czego wstydzić. Niech wstydzą się ci, którzy nic nie rozumieją.

Do Wisconsin doszły w milczeniu. Faith zastanawiała się, czemu zawdzięcza towarzystwo córki, bo Remy ostatnio spędzała cały wolny czas z Billie. Faith zaprosiła ją nawet któregoś dnia do domu. Dziewczyna spędziła na Prospect Street kurtuazyjną godzinę, po czym obie panny się wyniosły. Faith zaczynała martwić ta zażyłość, bo Billie zrobiła na niej wrażenie jeszcze bardziej niedojrzałej niż Remy.

Po godzinie poszukiwań znalazły wreszcie coś odpowiedniego: prostą suknię z pomarańczowego jedwabiu, w niczym nieprzypominającą dotychczasowych kreacji Faith. Remy rozbłysły oczy. Na chwilę zapomniała, że jest obrażona na matkę.

Kiedy wyszły od fryzjera, obie w zmienionych fryzurach i beztroskich nastrojach, nie przypuszczały, że czar zaraz pryśnie.

- Przejdźmy się jeszcze, zanim wrócimy do domu - zaproponowała Faith.

Remy rozejrzała się, jakby szukała kogoś wzrokiem, wreszcie skinęła głową.

- Twoje koleżanki kręcą się tutaj? - zainteresowała się Faith.

- Jakie koleżanki?

- Ze szkoły.

- Nie wiem.

- Przychodźcie tu z Billie popatrzeć na wystawę?

- A co, nie wolno?

Faith wycofała się natychmiast.

- Myślałam, że wiesz, gdzie jeszcze mogłybyśmy zajrzeć.

Na rogu Wisconsin Remy zatrzymała się.

- Wracajmy już.

- Jesteś pewna? Może jednak kupimy jeszcze coś dla ciebie?

Z głośników zawieszonych nad wejściem do najbliższego sklepu niosła się głośna muzyka. Faith zajrzała przez szybę wystawową do wnętrza: czarne ściany, chrom, ubrania jak z niskobudżetowego filmu science fiction.

W drzwiach stał długowłosey chłopak. Na widok Remy odrzucił papierosa i zgasił niedopałek butem.

- Cześć.

- Cześć. - Remy zerknęła na matkę.

- Ładna fryzura.

Remy odruchowo dotknęła włosów.

- Tak?

- Uhu. - Uśmiechnął się, odwrócił i szybko zniknął w sklepie.

- Znasz go? - dopytywała się Faith.

- Nie znam. Pewnie tu pracuje.

- Sprawiał wrażenie, jakby cię znał.

- I co z tego? Byłyśmy z Billie kilka razy w tym sklepie. To pewnie jakiś jej znajomy.

Chłopak, znacznie starszy od obu dziewczyn, zrobił na Faith złe wrażenie. Było w nim coś odpychającego, niepokojącego. Może sposób, w jaki patrzył na córkę?

- Zaraz się rozżłościsz, ale uważaj, proszę. Nie wiadomo, co takiemu może chodzić po głowie. Nawet nie przypuszcza, jaka jesteś smarkata.

- Uważasz mnie za skończoną idiotkę? Myślisz, że nie wiem, co jest grane?

- Kochanie, masz dopiero czternaście lat. Musisz być ostrożna. To wszystko.

- Wracamy do domu?

Faith nie chciała psuć udanego popołudnia, ale nie była w stanie milczeć.

- Kocham cię - powiedziała po długiej chwili.

- Dlatego się o ciebie martwię, zrozum to.

Remy nie raczyła odpowiedzieć.

Marley i Alex rozsiedli się w salonie nad grami planszowymi. Remy, obrażona, że matka załatwiła na wieczór opiekunkę, zamknęła się w swoim pokoju i puściła głośną muzykę. Tak ich Faith zostawiła, wychodząc do ambasady.

Po powrocie zamiast Marley zastała w salonie przed telewizorem Lydię.

- Znowu uciekałam z przyjęcia - oznajmiła, zanim Faith zdążyła o cokolwiek zapytać. - Marley pojechała do domu.

- Uciekanie z przyjęć zaczyna wchodzić ci w krew, mamó. - Faith miała nadzieję, że tym razem Joe nie będzie szukał u niej żony.

- Szkoda na nie czasu. - Lydia wyglądała na wyczerpaną. Przypominała charta: zbyt szczupła, zbyt szybka, w nieustannej pogoni za złudnym, nieosiągalnym celem.

- Dobrze się czujesz?

Lydia wyłączyła telewizor.

- Marnie sypiam. Od lat. To się odbija.

- Mówiłaś o tym swojemu lekarzowi?

- Żeby przepisał mi leki, po których będę pół dnia chodziła nieprzytomna? Już wolę bezsenność.

- Może znalazłby przyczynę.
- Znam przyczynę. Jeszcze przed twoim urodzeniem moje życie potoczyło się nie tak, jak powinno. Odtąd nie śpię po nocach.

Kiedy ktoś nigdy nie mówi o swoich uczuciach, można przypuszczać, że jest ich pozbawiony. Faith zaczynała rozumieć, jak bardzo się myliła. I to nie tylko w tej kwestii.

- Masz na myśli porwanie Hope?

Lydia zreflektowała się, że za dużo powiedziała.

- Mam na myśli umiejętność znajdowania nowego szlaku, kiedy za nic nie można już iść starym. Miałaś udany wieczór?

- Z Pete'em? - Faith zdjęła zegarek, piaget, nie najdroższy model, ale cenny. Dostała go na trzydzieste urodziny od Davida i nałożyła pierwszy raz od feralnego dnia w letnim domku. - To porządny facet. A przyjęcie oszałamiające. - Ale nudne, dodała w myślach.

- Znalazłoby się w Waszyngtonie parę kobiet, które uznałyby nazwanie Pete'a „porządnym facetem” za ujmę dla niego.

- I pewnie miałyby rację. Jest czarujący, wytworny, inteligentny, i tyle jest między nami chemii, co w niedofinansowanej szkole publicznej.

- Mogę ci zaręczyć, że to nie z powodu twojego wyglądu, bo wyglądasz dziś cudownie.

Faith usiadła obok matki.

- Może zwariowałam, ale chcę czegoś więcej. Przeżyłam tyle lat z Davidem, obwiniając siebie o to, że w naszym małżeństwie brak iskry. Nie dopuszczę, żeby coś podobnego się powtórzyło. Już wolę zostać sama.

- Nic się nie powtarza.

- Ludzie z różnych przyczyn nie dogadują się ze sobą w łóżku. Fakt, że partner się samookłamuje, jest tylko jedną z nich.

- Już dawno powinniśmy tak porozmawiać, nie sądzisz?

- Nie mogę uwierzyć, że w ogóle tak rozmawiamy - powiedziała Faith ze śmiechem.

- Zauważyłam w kuchni butelkę szkockiej. Może zrobisz nam po drinku?

- Jeśli przeżyję rozmowę o seksie, to whisky mnie dobije. - Faith wróciła po chwili z butelką i dwoma szklankami. - No więc dlaczego wcześniej tak nie rozmawiałyśmy? Co cię powstrzymywało?

- Lęk przed opowiadaniem ci, jakie to wszystko prozaiczne. Małżeństwo, seks, miłość... - Lydia upiła łyk whisky.

- Obserwowałam cię i ojca przez te wszystkie lata. - Faith czuła się tego wieczoru wyjątkowo odważna. - Dlaczego jesteś z kimś, kogo nie kochasz?

- Jesteś pewna, że go nie kocham?

Faith zawahała się. Istnieje wiele rodzajów miłości. Może ją i Davida łączyła też jakaś odmiana tego uczucia? Nawet jeśli tak, to jemu nie wystarczała, a Faith całą winę za nieudany seks brała na siebie. Noc po nocy coraz mniej czuła się kobietą.

- Jestem pewna - powiedziała w końcu. - Zostałaś z nim, bo nic innego zrobić nie potrafiłaś.

- Tak było bezpieczniej.

Faith położyła dłoń na ramieniu matki.

- Jak sprawy by się potoczyły, gdyby prasa nie rozdmuchała historii Davida? Był tak skruszony, że

gdybym powiedziała słowo, najpewniej nie odszedłby od nas. Czy warto zachowywać związek za wszelką cenę? W imię czego?

- To nie to samo. Preferencje seksualne twojego ojca zawsze były jasne.

- A gdzie namiętność, oddanie?

- Faith, pamiętaj, że Joe Huston jest twoim ojcem. Przede wszystkim ojcem.

Rzeczywiście, nie miała prawa się wtrącać w relacje łączące rodziców. Sami musieli określić ich charakter na długo przed jej urodzeniem.

- Namiętność to rzecz najważniejsza - ciągnęła Lydia. - Powinam była ci to powiedzieć, kiedy wychodziłaś za Davida. Szacunek jest niezbędny. Namiętność bez szacunku jest niczym. Jednak w ostatecznym rachunku to namiętność utrzymuje związek przy życiu. Jeśli nie czujesz nic do Pere'a Conleya, daj sobie z nim spokój.

Faith pomyślała o jedynym mężczyźnie, który budził w niej namiętność. Boris Quinn był tak różny od Davida i Pete'a. Tego wieczoru przekonała się, że chodzi o coś dużo więcej niż seks. Zresztą seks jest na wyciągnięcie ręki. Pete jasno dał do zrozumienia, że gotów jest zaspokoić każdy kaprys Faith. I co? Nic. Najmniejszej iskielki zainteresowania.

- Poszłam z nim głównie dlatego, żeby się przekonać, jak zostanę przyjęta.

- Powinnaś bardziej ufać znajomym. Większość taktownie czekała, kiedy wylizesz się z ran.

- A więc wracam do życia. - Faith uśmiechnęła się. - Dziwne uczucie.

- Całkiem miłe.

- Miłe? Owszem.

- Nie rozmięń go na drobne. Znajdź to, na co zasługujesz. A zasługujesz na mężczyznę... na którego zasługujesz.

- Albo i nie.

Lydia dopiła szkocką i wstała.

- W oczach mojego pokolenia równało się to porażce. Myliłyśmy się.

Faith odprowadziła matkę do drzwi.

- Wiesz, łatwiej się z tobą rozmawia w tym domu, mamó. Łączysz z nim najgorsze wspomnienia, ale mam wrażenie, że za każdą twoją wizytą na Prospect Street coraz lepiej cię poznaję.

- Jedno straszne wspomnienie i mnóstwo dobrych. Nie równoważą się, ale może wreszcie nauczę się z tym żyć. - Lydia, rzecz dla niej niezwykła, pocałowała córkę w policzek.

Faith stała w progu, dopóki samochód matki nie zniknął jej z oczu. Długo trwała bez ruchu, myśląc o kobiecie, która zrezygnowała z namiętności dla poczucia bezpieczeństwa i teraz, mając sześćdziesiąt sześć lat, szczerze żałowała swojego wyboru.

A jak Boris spędził dzisiejszy wieczór? Z tym pytaniem zamknęła drzwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Puszkowy Alec nadal porządkował ogród. Z biegiem tygodni Faith zdążyła szczerze go polubić. Przychodził trzeźwy, ciężko pracował, Aleksem kierował z taktem i poczuciem humoru. Wybrał życie na ulicy, ale nie pozwolił, żeby go zniszczyła.

W środę pojawił się tuż po powrocie Aleksa ze szkoły. Od razu zabrali się do roboty. Faith zwykle przyłączała się do nich, ale dzisiaj zatrzymał ją telefon ze szkoły. Wyszła do ogrodu później, ponura jak chmura gradowa. Rozmawiała ze szkolną panią psycholog.

- Jeszcze godzinka i koniec - przywitał ją Alec.

Po usunięciu bluszczu ogród wydawał się nagi, praktycznie nic w nim nie zostało.

- Potrafiłbyś zidentyfikować uschnięte drzewa?

- Nie. - Alec pokręcił głową. - Lepiej zwróć się do ogrodnika.

- Chyba będę musiała.

- Co będziesz musiała? - W przerwie między krzewami żywopłotu stała Dottie Lee.

Faith skinęła dłonią, zapraszając ją na swoją stronę.

- Poprosić kogoś, żeby zidentyfikował uschnięte drzewa. Chciałabym odtworzyć chociaż w części ogród Violet. Takie to wszystko... - Wzruszyła ramionami.

- Martwe. - Dottie Lee przeszła ostrożnie między krzewami. - To właściwe słowo.

- Ponure i przygnębiające.

- Kompletnie zdewastowane. - Dottie Lee pokiwała głową z tak posępną miną, że Faith musiała się roześmiać.

- Pamiętasz coś, Dottie? Pewnie nic.

- Moja droga, zdziwisz się, ale pamiętam ten ogród doskonale, każdą roślinę.

Gdyby od tego zależało jej życie, Faith nie potrafiłaby opisać nawet kawałka swojego ogrodu w McLean. Była pełna podziwu dla pamięci Dottie.

- Poczekasz chwilę, Dottie Lee? Wezmę tylko coś do pisania i zaraz wracam.

Po drodze zadzwoniła do Billie, ale nikt nie odebrał telefonu. Rano Remy pytała, czy może spędzić u niej popołudnie. Faith się zgodziła, ale telefon ze szkoły zmienił wszystko.

Dottie Lee czekała na nią, przyglądając się pracy Aleca i Aleksa.

- Dopust boży z tym bluszczem - westchnęła.

Ledwie Faith zdążyła pomyśleć, że ma dość dopustów bożych jak na jeden dzień, rozległ się odgłos dzwonka przy drzwiach wejściowych.

- Jeszcze raz cię przepraszam, Dottie Lee, pójde otworzyć. Zaczekasz?

- Nigdzie nie idę.

Faith ponownie wbiegła do domu. Boris już odchodził, kiedy otworzyła drzwi.

- Cześć - wysapała zadyszana. - Nie słyszałam dzwonka, bo byłam w ogrodzie.

Odwrócił się z uśmiechem.

- Myślałem, że cię nie ma.

- Przecież prawie nie wychodzę z domu.

- W piątek wieczorem wychodziłaś.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się.

- Zajrzałem do was. Alex widocznie zapomniał ci powtórzyć, ale Remy nie zapomniała poinformować mnie, że poszłaś na randkę. - Nie było w jego głosie zazdrości, może tylko nuta zawodu.

- Zaraz randka... Byłam ze starym znajomym na przyjęciu w ambasadzie francuskiej.

- Masz świetną fryzurę.

- Dzięki. - Odruchowo przecesała włosy palcami.

- Wpadłem zapytać, czy nie wybralibyście się dzisiaj wieczorem na spaghetti.

- Nie mogę. Muszę poważnie porozmawiać z Remy. Nie będziemy w nastroju do ucztowania.

Odsunęła się, zapraszając Borisa do środka.

- Jakież kłopoty? Opowiesz mi?

Trochę oszołomiona obecnością Borisa, dopiero po chwili zrozumiała, że pyta ją o Remy.

- Nie będziesz chciał słuchać.

Zamierzała wejść do salonu, ale chwycił ją za rękę. Ciepła, nieco szorstka dłoń człowieka, który pracuje fizycznie, chociaż ma więcej pieniędzy niż król Midas, pomyślała bez związku.

- Przekonajmy się.

Podniosła wzrok.

- Zadzwoiła do mnie szkolna pani psycholog. Remy przestała się uczyć. Przychodzi na lekcje zupełnie nieprzygotowana, z nikim się nie przyjaźni. Jedyne koleżanka, Billie, ma na nią fatalny, destrukcyjny wpływ. Tyle. - Zamilkła na moment. - Aha, nauczycielka muzyki twierdzi, że moja córka jest geniuszem. Ma słuch absolutny. Byłabym zapomniała.

Boris przesunął rękę w górę i powoli zaczął masować kark Faith.

- Niewielu ludzi ma słuch absolutny.

Przyglądała mu się przez chwilę, w końcu parsknęła śmiechem.

- Dzięki. Zawsze to mała łyżka miodu w beczce dziegciu.

- Co zamierzasz?

Zamierzała stać tak, poddając się masażowi, do późnej starości.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zagadnął, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Nie mogę się skupić, kiedy zajmujesz się moim karkiem.

- Przepraszam.

Zanim zdążył cofnąć dłoń, ujęła ją i zaplotła palce.

- To było miłe. Z nikim nie czuję się tak dobrze jak z tobą.

- Boris pocieszyciel? Tak, zawsze byłem niezły w pocieszaniu.

Podjejrzała, że jest równie niezły w jeszcze paru innych rzeczach. Należał do ludzi, którzy lubią dotykać i być dotykani, najlepiej porozumiewał się przez kontakt fizyczny, jego ciało zdawało się reagować nawet na najlżejsze przypadkowe muśnięcie.

Nie powinna się nad tym zastanawiać.

- Zostawiłam Dottie Lee w ogrodzie. Chodźmy do niej, przywitasz się.

- Nie chcę przeszkadzać.

Nadal trzymała jego dłoń.

- Proszę, nie uciekaj. Dottie ucieszy się na twój widok. Lubi cię.

Nie wydawał się przekonany.

- Pod jednym warunkiem. - Przygarnął Faith do siebie. - W ten weekend umówisz się ze mną. Żadnych dzieci. Żadnych znajomych. Tylko ty i ja. - Nachylił się, znieruchomiał, wreszcie potarł leciutko nosem czubek jej nosa gestem, który był zaledwie zaproszeniem do pieśczoły. Faith uniosła głowę, zamknęła oczy i zarzuciła mu ręce na szyję.

Na moment zapomniała o całym świecie, zrzucając troskę o jego obroty na Borisa.

Kiedy trzasnęły drzwi, odsunęła się gwałtownie, zaś Boris odskoczył, omal nie zbijając z nóg Remy.

- Wspaniale - wycodziła. - Nie możecie tego robić gdzie indziej?

Faith wzięła głęboki oddech. Nie miała za co przepraszać.

- Szukałam cię. Bezskutecznie usiłowałam dozwonić się do Billie.

- Wyszliśmy na spacer. Wpadłam do domu, żeby coś wziąć, i znikam.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Faith spojrzała na Borisa. - Dotrzymasz przez chwilę towarzysztwa Dottie Lee? Zaraz do was dołączę.

Skinął głową bez słowa i ruszył w stronę drzwi ogrodowych.

- Milej dotrzymywać towarzystwa mamusi niż starej Dottie, co, Boris? - beczelnie zadrwiła Remy.

Boris walczył ze sobą chwilę, wahał się, czy zareagować, czy zbyć zaczepkę milczeniem.

- Wiem, że przechodzisz trudny okres, Remy - powiedział w końcu. - Rozumiem to, co nie znaczy, że możesz grać matce na nosie. Nie zasługuje na to, więc przestań się popisywać.

- Nie masz w tym domu nic do gadania. Nic a nic. Nie jesteś moim ojcem!

- I chwalić Boga, bo gdybym był, przełożyłbym cię przez kolano. Jakoś nieszczególnie przejmuję się prawami dziecka.

Remy zrobiła wielkie oczy, a Boris zniknął w głębi domu.

- Słyszałaś, co on powiedział?!

Faith trzęsa się ze złości. Całe popołudnie zastanawiała się, jak powinna rozmawiać z córką, lecz Remy sama rozwiązała ostatnie jej wątpliwości.

- Słyszałam, co ty powiedziałaś. Jak możesz w ten sposób odnosić się do gościa?

- Gość? On cię całował! Chyba jest kimś więcej niż gościem.

- Nie będziemy rozmawiały o mnie, tylko o tobie. O tym, że się nie uczysz i jesteś arogancka wobec nauczycieli. Uważasz, że skoro twoje życie się zmieniło, możesz zapomnieć o wszystkim, czego dotąd cię uczyliśmy? Nie, moja droga. Nic, absolutnie nic nie usprawiedliwia lenistwa, arogancji i kłamstw.

- Jakich kłamstw?

- Co wieczór pytam, czy odrobiłaś lekcje, i co

wieczór odpowiadasz, że tak. Rozmawiałam dzisiaj z waszą panią psycholog. Jej zdaniem to bezczelne kłamstwo.

Przez twarz Remy przemknęło coś na kształt ulgi. Ledwie zauważalny grymas pojawił się i natychmiast zniknął. Faith nie była nawet pewna, czy rzeczywiście go widziała.

- Zadają do domu jakieś idiotyzmy. Znam to wszystko na pamięć.

- Skoro znasz materiał na pamięć, dlaczego dostajesz dwóje z testów? Wydaje ci się, że możesz spocząć na laurach, bo jesteś w szkole publicznej? O to chodzi? A może chcesz ukarać mnie i ojca, dowieść nam, jakie straszne masz życie?

- Mam w nosie, co czujecie! Nienawidzę tej szkoły. Nienawidzę ludzi, którzy do niej chodzą. Nienawidzę nauczycieli. Nikt mnie nie lubi.

- Bo o to nie zabiegasz.

- Niby po co? Miałam przyjaciół, ale wszystkich straciłam.

- Nie próbowałaś podtrzymywać kontaktów. Kiedy cię zapraszają w odwiedziny, odmawiasz. Trudno, żeby przyjeżdżali tutaj.

- Wiedzą o tym! Wiedzą o wszystkim.

- Jeśli są twoimi przyjaciółmi, pozostaną nimi.

- Nie potrzebuję przyjaciół. Na co mi oni? Ojciec był moim przyjacielem i co?

- Tata mnie zranił, to prawda, ale przyjaciele potrafią sobie nawzajem wybaczać. Pewnego dnia może ja też będę potrafiła wybaczyć tacie.

- Nie wciskaj ciemnoty! I tak nie uwierzę. Same kłamstwa. Wszystko to kłamstwo.

Faith nie wiedziała, co powiedzieć. Wychowywali dzieci w czarno-białym świecie i ani ona, ani David nie pomyśleli, że natrafiwszy na różne odcienie szarości, ich córka pogubi się z kretelem.

- Masz zakaz wychodzenia, dopóki nie zdecyduję, co dalej. Muszę mieć pewność, że odrabiasz lekcje. Od jutra będę cię przywoziła ze szkoły.

- Nie możesz trzymać mnie w więzieniu.

- Spróbuję.

- Co ja powiem... Billie? Chcesz, żebym przyjaźniła się z ludźmi, ale zabraniasz mi spotykać się z jedyną przyjaciółką, jaką mam.

- Mam pewne zastrzeżenia do tej przyjaźni. Jeśli chcesz się z nią widywać, niech przychodzi tutaj.

- Nie przyjdzie. Nie podobasz się jej, mówi, że tylko się wtrącasz, zamiast zostawić nas same.

- Skoro narzekała poprzednim razem, teraz pewnie nie wytrzymałaby dwóch minut.

- Nienawidzę cię! Tego faceta też nienawidzę! Nie chcę go widzieć. Całujcie się gdzie indziej! - Remy odwróciła się i popędziła na górę.

- Znalazłem! - zawołał Alex, kiedy Faith na tyle się opanowała, żeby wyjść do ogrodu.

Nie musiała zgadywać, czego Alex szukał.

- Podpis Violet?

Dottie Lee cierpliwie czekała na powrót Faith.

- Niech ci sam pokaże.

- Wszystko dobrze? - zapytał Boris z zatroskanym uśmiechem.

- Nic nie będzie dobrze, dopóki Remy nie skończy dwudziestu jeden lat. - Faith ruszyła w głąb ogrodu,

gdzie przy jakimś zagłębieniu klęczał Alex. Po chwili dołączył do nich Boris.

- Popatrz, mamó.

Starannie ułożone płyty kamienne tworzyły niewielkie, prostokątne patio z kołem młyńskim w centrum. Przy otworze na oś, na której kiedyś obracało się koło, Violet wykuła swoje imię.

Faith nachyliła się i delikatnie przesunęła palcem po literach.

- Co tu było? - Alex uderzył czubkiem buta jedną z płyt. - Wygląda jak podłoga od czegoś.

- Posadzka szklarni. - Teraz do poszukiwaczy przeszłości dołączyła również Dottie Lee.

Faith jeszcze raz dotknęła napisu.

- Violet hodowała tu kwiaty, którymi handlowała. Powinam była się domyślić, że musiała mieć piękną szklarnię.

- James ją zbudował, a że był słaby, zajęło mu to trochę czasu. Stawiał szklarnię po kawałeczku, robił kilkudniowe przerwy, odpoczywał. Wykorzystał stare okna, stare szyby wynajdywane na śmietnikach.

- Robił w surowcach wtórnych jak Puszkowy Alec - stwierdził Alex z dumą.

- Zupełnie jak on. Miał zręczne ręce. Ślicznie mu się udała ta szklarnia, prawdziwe cacko. Nie podciągnął prądu, ale zamontował w kącie kozę. Violet chwaliła się, że nie zamarzyła jej ani jedna roślinka.

- Była niezwykle pomysłowa. - Faith udzieliła się rodzinna dumą.

- Potrafiła wykorzystać wszystkie posiadane zale-ty. Próbowalam ją naśladować.

Faith wolała nie zgłębiać sensu słów Dottie Lee.

- Do tej pory znaleźliśmy trzy imiona: Millicent, Violet i Candace.

- Dlaczego Millicent wyryła swoje na strychu?
- zapytał Alex.

Dottie Lee poklepała go po ramieniu.

- Millicent miała zmysł dramatyczny. Chciała zostać aktorką. W dzieciństwie wiecznie przesiadywała na strychu i wystawiała sztuki z dziećmi z sąsiedztwa. To był jej czarodziejski kąt.

- Ty też grałaś?

- Nie, kochanie. Byłam uroczą dziewczynką, od razu poznali się na moich talentach. Chodziłam od domu do domu i sprzedawałam bilety. Odnosiłam ogromne sukcesy na tym polu.

Faith uśmiechnęła się mimo woli.

- Boris, Dottie Lee pomoże mi odtworzyć ogród Violet.

Oderwał wzrok od posadzki.

- Mógłbym odbudować szklarnię. Może znajdziesz gdzieś fotografię starej.

- Dziękuję, ale nie zamierzam zarabiać na życie hodowaniem kwiatów.

- To małą oranżerię albo altanę, w której będziemy siadywać wieczorami i patrzeć, jak migocą światła za rzeką.

Trudno powiedzieć, czy Dottie i Alex zauważyli, jak Boris wpisuje się w przyszłość Faith.

- Nie mogę cię o to prosić.

- Nie prosiłaś i nie musisz.

- Violet na pewno by się ucieszyła. Tyle czasu tu spędzała. - Dottie Lee zatoczyła ręką wokół. - Możesz już pisać?

Faith pokazała notatnik.

- Zatem do dzieła, zanim zejść z tego świata. Pod murem domu rosły kamelie, bodaj trzy, jeśli pamiętam. Niestety nie ma po nich śladu. Ciemnoróżowa o karminowym odcieniu, biała i jasnoróżowa jak wewnątrz muszli.

Dottie Lee przymknęła oczy. Popłynęła opowieść o błękitnym świerku, dereniach, forsycjach. Rozkwitały azalie, wistarie, zmieniały się kwiaty jednoroczne. W cieniu dawno uschłej magnolii pyszniła się purpurowa róża, biały klematis o kwiatach wielkich niczym spodki oplatał nieistniejącą od lat pergolę. W upalne dni malwy i słoneczniki ocieniały przed prażącym słońcem okna szklarni.

- Najbardziej niezwykle były maki. Lydia opowiadała ci na pewno o lecie maków? - Dottie Lee spojrzała pytająco na Faith.

- Maki to takie czerwone kwiaty na długich łodygach, tak? - upewnił się Alex.

- Bywają różne, ale te rzeczywiście były czerwone. Latem 1941 roku cały Waszyngton ciągnął na Prospect Street, żeby je podziwiać.

- Wtedy właśnie odbył się konkurs - wtrąciła Faith.

- Ogród Violet od lat budził sensację w Georgetown. Krążyły o nim legendy, a kiedy wygrała, wszyscy chcieli go wreszcie zobaczyć na własne oczy.

- Dlaczego te maki były takie niezwykle? - zapytał Alex.

- Chociaż w 1941 roku na dobre już trwała wojna, Stany Zjednoczone ciągle powstrzymywały się z przystąpieniem do niej. Maki Violet miały przypomnieć

sąsiadom, że musimy walczyć. Setki maków rozkwitły w całym ogrodzie i pokryły ziemię niczym karmazynowy dywan. To był niezwykły, zapierający dech w piersiach widok.

Alex chłonał każde słowo.

- Pearl Harbor było w grudniu 41 roku, prawda? Uczyliśmy się o tym w zeszłym roku. - Zaczął deklamować:

- Czerwone maki na Flandrii polach,
a między nimi za krzyżem krzyż.
Czerwonych maków szkarłatne kwiaty
żołnierskiej się napiły krwi.

- Po tragedii, która spotkała Jamesa, Violet dobrze wiedziała, jakim nieszczęściem jest wojna. Kiedy już przyłączyliśmy się do walki, nie brakowało jej patriotyzmu, ale nie miała też powodów, by triumfować.

Wprowadzając się na Prospect Street, Faith zostawiła za sobą dawne życie i nieoczekiwanie, niemal bez jej przyzwolenia, została wpisana w inne, wypełnione postaciami kobiet, które mieszkały w tym domu i kochały go. Z ich wsparciem wszystko wydawało się możliwe.

Poczuła dłoń Borisa na ramieniu, przysunęła się do niego i natrafiła na bystre spojrzenie Dottie Lee. Starszej pani nigdy nic nie umykało.

- Wiem o tym domu więcej niż ktokolwiek - powiedziała Dottie. - Pamiętaj, Faith, możesz przyjść do mnie z każdym pytaniem. Odpowiem na wszystkie.
- Tu zerknęła na Borisa. - Kiedy już będziesz gotowa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Faith była niemal pewna, że Remy urwie się przy pierwszej okazji, jednak następnego dnia po domowej scysji czekała na matkę pod szkołą. W drodze do domu uparcie milczała, a na pytania odpowiadała co najwyżej monosylabami, ale Faith nic nie mogło zmącić dobrego nastroju.

Alex poszedł do kolegi i miał wrócić dopiero na kolację, więc Faith zabrała się do zrywania tapet w swojej sypialni. Walczyła z nimi już dobrą godzinę, gdy w drzwiach pojawiła się Remy.

- Ale paskudztwo. Chyba tego nie zostawisz?

W pasie pod sufitem, który Faith nazwała „fryzem”, spod zerwanych tapet wyłonił się stylizowany pejzaż ze skapanymi w słońcu cyprysami.

- Paskudztwo? Mnie się podoba, ale boję się, że te wszystkie warstwy tapet za bardzo go zniszczyły.

- Po co komu ścienne malowidła pod sufitem?

- Na przełomie wieków taka była moda. Znalazłam podobne dekoracje wewnątrz w Internecie.

Remy nie odzywała się. Faith już myślała, że wróciła do swojego pokoju, ale kiedy zerknęła z drabiny, córka nadal tkwiła w progu.

- Bawi cię przeszłość, co? - przemówiła wreszcie.

- Kiedy byłam mała, urządziłam sobie w szafie wehikuł czasu. Zamykałam się w nim i wyobrażałam sobie, że jestem na dworze królowej Elżbiety albo zmagam się z Hunami.

- Udawałaś żołnierza? Ty?

- Udawać można wszystko.

- Chciałabym udać dorosłą i wynieść się wreszcie z domu.

- Sama widzisz. - Faith udało się zerwać kolejny kawałek tapety.

- Tapety w moim pokoju są paskudne.

- Wiem. - Faith nie przerywała pracy.

- Sam pokój ujdzie. Wieczorem widać światła za rzeką i wtedy jest naprawdę ładnie.

Faith omal nie spadła z drabiny.

- To prawda. Masz piękny widok z okien - przytaknęła, usiłując nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie.

- Kociaki już podrosły. Można by je porozdawać ludziom.

- Zamierzałam właśnie porozmawiać z tobą o tym.

- Faith udało się wreszcie zawieźć Duszkę i małe do weterynarza. Powiedział, że są silne, zdrowe i wyznaczył daty kolejnych szczepień. Duszka nadal zachowywała wyniosły dystans, ale kociaki, dzięki Remy i Aleksowi, nie miały nic przeciwko kontaktom z ludźmi.

- Duszka jest przyzwyczajona do tego domu. Dla

niej jesteście intruzami, ale chyba pogodziła się już z sytuacją. Nie możemy jej oddać, nie przeżyłaby tego.

- Myślisz, że kiedyś da się z niej zrobić domowego kota?

- Mnie już się nie boi. Wczoraj nawet wskoczyła mi na kolana.

Faith najchętniej zesłałaby teraz z drabiny, znalazła kotkę i dała jej wielkiego całusa.

- Jeśli chcesz zatrzymać Duszkę, to zatrzymaj, ale trzeba ją wysterylizować. Koniec z kociakami.

- Chciałabym, żeby został też Pinto.

- Dwa koty?

- Będę się nimi zajmować. - Nie powiedziała „proszę”, ale ton jej głosu wystarczył.

Remy nie rozmawiała z matką, gdyby nie szło o los zwierzątek, ale fakt, że potrafi jeszcze przemówić ludzkim językiem, wydał się Faith takim objawieniem, że gotowa była pójść na ustępstwo.

- Zgadzasz się? - nalegała.

- Pod jednym warunkiem. Pozwolisz, żebym ci pomogła wyszykować twój pokój, a ja pozwolę ci zatrzymać Pinta.

- Co chcesz zrobić?

Faith zesłała z drabiny.

- Zobaczymy, ile warstw tapet musimy usunąć. Jak już się z tym uporamy, będziesz mogła pomalować ściany albo położyć nowe tapety.

- Myślisz, że sobie poradzę? - W głosie Remy zabrzmiała niepewność.

- Oczywiście. Dasz sobie radę ze wszystkim, musisz tylko chcieć. Dlatego tak martwią mnie twoje kłopoty w szkole.

- Nie chcę o tym rozmawiać.
- Porozmawiajmy o tapetach.

Dziesięć minut później siedziały już obie na podłodze w pokoju Remy ze szpachelkami i gąbkami w dłoniach.

- Ten pokój stał pusty, zanim babcia wynajęła dom, dlatego warstw tapety jest pewnie mniej - powiedziała Faith.

- Kto wybrał takie okropieństwo? - burknęła zniechęcona Remy, usiłując naruszyć wierzchnią warstwę papieru.

- Ktoś, kto chciał zaoszczędzić pieniądze. Twoja rodzona babka.

- Wiesz co? Babcia zasłoniła stare tapety, żeby nie przypominały jej o Hope.

Remy musiała myśleć o dziejach rodziny więcej, niż gotowa była przyznać.

- Pewnie masz rację, ale zanim dotrzemy do tapet z czasów Hope, będziemy musiały zerwać kilka innych. Od tamtej pory pokój był odnawiany kilka razy. Tyle lat minęło od jej porwania.

- Wszyscy zachowują się tak, jakby to stało się niedawno.

- Co masz na myśli?

- Ludzie nie lubią mówić o niedawnych nieszczęściach. U nas nigdy nikt nie mówi o porwaniu.

- Nawet nowo narodzone dziecko matka kocha tak, jakby było na świecie od zawsze. Babcia miała Hope przy sobie tylko kilka dni, ale kiedy ją straciła, to jakby straciła rękę.

- Ty też byś tak się czuła?

- Chybabym nie przeżyła, gdyby ktoś zabrał mi

dziecko. - Faith zawahała się nad następnym zdaniem.
- Babcia przeżyła, ale od tamtej chwili nie pozwala nikomu zajrzeć do swojego serca.

- To dlatego jest taka... no, nie wiem...

- Zamknięta?

- Wstrętna.

Faith uśmiechnęła się mimo woli.

- Cóż, nie wiem, jaka była wcześniej, choć słyszałam, że była zupełnie inna...

Remy zachichotała.

- Może zawsze była wstrętna.

- Odsuwa ludzi od siebie, chociaż zmieniła się, odkąd tu mieszkamy. Zauważyłaś?

- Tak ci się wydaje, bo jak tata oszczędł, tylko ona ci została.

Cud prawdziwy, że Remy z własnej woli wspomniała o Davidzie. W ogóle cała ta rozmowa była pełna cudów.

- Może to ja stałam się bardziej przystępna?

- Na mnie ciągle się wściekasz.

- Uważasz, że bez powodu?

Remy nie odpowiedziała.

Przez chwilę pracowały w milczeniu, aż dotarły do kolejnej warstwy papieru, równie brzydkiego jak poprzedni.

- Wzór z późnych lat sześćdziesiątych, niczym okładka albumu Beatlesów.

- Kiedy Hope się urodziła?

- W 1962 roku. To by znaczyło, że odkryjemy jeszcze jedną warstwę, zanim dotrzemy do tapety z pokoju dziecinnego.

- A ty jaką miałaś w swoim pokoju dziecinnym?

- Na ścianach była cała gwardia misiów, które mnie pilnowały. Ludzie z całej Wirginii przysyłali mi misie i lalki, a dziadkowie przekazali je szpitalom dla dzieci.

- Pewnie się cieszyli, że tobie nic się nie stało.

- Każdy lubi happy endy.

- Myślałam, że coś takiego nie istnieje.

- Poczekaj, a sama się przekonasz, że czasami najgorsze sytuacje kończą się szczęśliwie.

- Różne głupoty mi wciskasz, ale teraz to już przeszłaś samą siebie.

Faith wybuchnęła śmiechem.

- To się nazywa szczerłość.

Następna warstwa była granatowa w delikatny wzór z białych lilijek. Prosta, praktyczna tapeta, nadająca się bardziej do gabinetu niż do sypialni.

- Idę o zakład, że zaraz pod nią znajdziemy tapetę Hope.

Znalazły coś, czego się raczej nie spodziewały: elegancką ciemnozieloną tapetę w złoty deseń.

- A gdzie kaczuszki i kłowni? - Remy odłożyła szpachelkę.

- Bardzo dziwne - przyznała Faith. Odkryły do-
tąd trzy warstwy. Wierzchnia pochodziła najpewniej z początku lat siedemdziesiątych, co by oznaczało, że w ciągu dziesięciu lat cztery razy odnawiano pokój. - Być może ktoś zerwał tapetę Hope i położył inną.

- Studenci?

Faith skinęła głową.

- Jeszcze jedna warstwa i kończymy.

Po chwili rzecz się wyjaśniła. Najwyraźniej kocha-

jący rodzice umieścili Hope Huston w pokoju wyłożonym albo granatową, albo ciemnozieloną tapetą. Żadnych kaczuszek. Kłownów. Uśmiechniętych misiów.

- Jaką ja miałam tapetę?

- We wróżki i motyle. Szukałam odpowiedniej przez kilka tygodni.

- Ja miałam dziecinną tapetę, ty też. Dlaczego Hope nie?

Czyżby Lydia nie zatroszczyła się o urządzenie pokoju dla niemowlęcia?

- Co byś powiedziała, gdybym pomalowała ściany na czarno?

- Nie zgodziłabym się.

- To mój pokój.

- Pokój, nie jaskinia.

- To poszukam sobie tapety. Może być ciemnozielona?

- Może, ale najpierw chciałabym **ją** zobaczyć. Tak na wszelki wypadek.

- O co mnie podejrzewasz, że wybiorę graffiti gangu?

- A są takie tapety?

Remy parsknęła śmiechem. Faith objęła i przytuliła córkę, po czym zeszła na dół zająć się kolacją.

Remy zignorowała dzwonek telefonu. Na pewno to nie do niej. Megan przestała telefonować, bo Remy nie miała jej nic do powiedzenia. Nie wspomniała jej o nowych znajomych. Bała się, że Megan powtórzy mamie, a mama uzna, iż Faith powinna wiedzieć, z kim się spotyka jej córka, i wtedy Remy nigdy już nie wyjdzie z domu.

Nie rozumiała, dlaczego zgodziła się zerwać tapety w swoim pokoju ani dlaczego uwierzyła, choćby nawet przez chwilę, że Faith nie jest tylko klawiszem w domowym więzieniu. Nie znosiła swojego pokoju i była pewna, że nigdy go nie polubi. Po co opowiadała te wszystkie bzdury o światłach za rzeką? Przypominały jej tylko, że gdzieś istnieje inny świat. Świat, który będzie kiedyś należał do niej.

Teraz jednak życie miało sens tylko wtedy, kiedy udawało się jej wymknąć z więzienia, żeby spotkać się z Enziem. Niestety matka pozbawiła ją nawet tej przyjemności.

- Proszę - mruknęła apatycznie, gdy usłyszała pukanie.

- Dzwonił Alex. - Faith weszła do pokoju. - Napisali z Sammym sztukę i chcą ją nam pokazać, zanim Alex wróci do domu. Pójdiesz?

Remy tylko przewróciła oczami. Nie zamierzała odpowiadać na głupie pytania.

- Remy, mogę cię zostawić samą? To może trochę potrwać.

- Boisz się, że podpalę dom? Albo wypiję płyn do przetykania rur?

- Nigdzie nie wychodź. Nie wiem, kiedy wrócę, ale po powrocie chcę cię zastać tutaj.

- *Sieg heil!* - Remy zasalutowała.

Faith pokręciła głową na to nazistowskie pozdrowienie i wyszła z pokoju.

Kiedy trzasnęły frontowe drzwi, Remy pobiegła do pokoju matki, wyjrzała przez okno, odczekała, aż Faith zniknie za rogiem, wróciła pędem do swojego pokoju, wzięła buty, przeczesowała włosy, chociaż nowa

fryzura nie wymagała grzebienia. Remy czuła się w niej znacznie starsza, zupełnie jak dorosła osoba, która może robić, co tylko zechce.

Znalazłszy się na ulicy, ruszyła w stronę domu Enzia. Powinna go zastać, bo według jej obliczeń tego dnia miał wolne popołudnie.

Ciągle nie wiedział, ile Remy ma lat. Powiedziała mu tylko tyle, że ma psychiczną matkę, która nic, tylko każe jej siedzieć w domu i wkuwać. Musiała coś wymyślić, żeby któremuś z chłopaków nie wpadło do głowy odwiedzić ją w domu.

Faith strasznie by się ucieszyła. Przyuważyła już Enzia, kiedy wybrały się razem na zakupy. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby się dowiedziała, ile czasu córka z nim spędza. Pewnie zamknęłyby ją na strychu i wypuściła dopiero za sto lat. Remy mogłaby wtedy co najwyżej wyryć swoje imię na krokwi.

Drzwi wejściowe zastała uchylone. Pchnęła je, zawołała, że jest, i weszła do środka. W bawialni natknęła się na Selima. Właśnie nakładał obrożę Miśkowi.

- Idziesz z nim na spacer? - Remy położyła rękę na wielkim łbie psa.

- Umówiłem się nad kanałem z kumplami.

- Colin w domu? - Chciała uniknąć posądzeń, że przychodzi tylko ze względu na Enzia.

- Owszem.

- A Enzo?

- Też. - Selim skinął jej głową na pożegnanie i ruszył za wrywającym się Miśkiem.

- Remy! - Z kuchni wyszedł jak zawsze szeroko uśmiechnięty Colin. Najpogodniejszy z całej czwórki

lubił wszystkich, na ogół z wzajemnością. - Co zrobiłaś z włosami?

- Obcięłam. Podoba ci się nowa fryzura?

Podszedł, ujął twarz Remy w dłonie i długo się przyglądał.

- Fajna - zawyrokował w końcu.

- To za mało.

- Co byś chciała usłyszeć?

- Że jest wspaniała.

- Zgoda, jest wspaniała. Zostaniesz chwilę?

- Zaraz muszę wracać do domu.

- Matka krótko cię trzyma, co?

- Chce, żebym w przyszłym roku poszła na dobry uniwersytet.

- Gdzie złożyłaś papiery?

- Na University of Wirginia i w William and Mary.

- Remy wzruszyła ramionami, że niby college to dla niej pestka.

- Nie myślałaś o Georgetown?

- I co, miałabym mieszkać w domu? - Remy zastanawiała się, co powie chłopcom w przyszłym roku, kiedy zamiast zacząć studia na uniwersytecie, pójdzie do szkoły średniej. Miała jeszcze czas, żeby się martwić.

- Spieszę się do biblioteki, ale Enzo jest domu.

- Znajdę go.

Colin zgarnął ze stolika stertę książek, notatnik, raz jeszcze uśmiechnął się szeroko, trzasnął z impetem drzwiami i już go nie było.

Co oznaczało, że została sama w domu z Enziem, bo Paul, czwarty współlokator, praktycznie mieszkał u swojej dziewczyny.

- Co to za hałasy?

Na schodach pojawił się zaspany Enzo w samych tylko spodniach.

- Colin nie umie zamykać cicho drzwi.
- Gdzie Selim i kundel?
- Wyszli jeszcze przed Colinem.

Enzio usiadł na podeście schodów, jakby zejście na parter przekraczało jego siły.

- A ty co tu robisz?
- Wpadłam powiedzieć wam cześć. Nie mogę długo zostać. Matka by się wściekła, gdyby wiedziała, że tu jestem.

- Czemu pozwalasz jej rządzić sobą?
- Jeszcze tylko rok i będę miała z głowy.
- Mam coś dla ciebie.

Remy podeszła do schodów, oparła się o balustradę i zadarła głowę.

- Co takiego?
- Zaraz ci pokażę. Poczekaj.

Czekała niecierpliwie. Jeśli miał coś dla niej, to znaczy, że o niej myślał. Życie jednak nie jest takie najgorsze.

- Masz. - Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i podał jej firmową, jadownicę różową torbę od Lawforda. Remy zajrzała do środka. Dostała zieloną spódniczkę i kurtkę na zamek błyskawiczny wysadzaną kryształami górskimi.

- Enzo! - Wyjęła kurtkę i przyłożyła do ramion.
- Musiałeś strasznie dużo za to zapłacić.

Wzruszył ramionami.

- Drobnostka.
- Wcale nie taka drobnostka. Pamiętam cenę.

- Jakaś laska kupiła ten komplet, potem się rozmyśliła, a ja zapomniałem powiesić go z powrotem na wieszaku. Może być?

- Chcesz powiedzieć, że nie zapłaciłeś?

- Wyglądało mi, że panienka pochodziła w tych ciuchach, zanim je zwróciła.

Remy nie wiedziała, jakie zasady panują u Lawforda, ale uznała, że Enzo wie, o czym mówi.

- Dziękuję.

- Przymierz.

- Teraz? - stropiła się.

- Chciałbym cię w tym zobaczyć.

Spojrzała niepewnie na swoje džinsy i T-shirt.

- Sama nie wiem.

- Idź do klopa i przebierz się.

- Dobrze. Zaraz wracam. - Ruszyła do toalety koło kuchni.

W nowych rzeczach czuła się dziwnie, jak zupełnie inna, obca osoba.

Kiedy wyszła z toalety, Enzo parzył kawę. Żył kawą, przesiąkł jej zapachem. Ilekroć matka przygotowywała sobie kawę, Remy myślała o Enziu. W ogóle często o nim myślała.

- I jak? - Stanęła w pozie modelki: jedna dłoń na biodrze, druga za uchem.

- Dla mnie bomba. - Enzo uniósł brew. - Odsuń ten zamek błyskawiczny, odsłoń trochę ciała.

Dłoń Remy powędrowała pod szyję.

- Tak jest w porządku.

Enzo zaczął się śmiać.

- Wstydzimy się? Daję ci odjazdowy prezent, a ty nie chcesz pokazać kawałka obojczyka?

Poczuła się jak małe dziecko.

- Nie podchodź, to pokażę.

- Stąd też widzę.

Rozsunęła trochę zamek. W końcu miała bluzki z głębszym dekoltem.

- Czego się boisz? Nikt cię nigdy nie oglądał nagiej?

- Nie. I nikt nie będzie oglądał.

- Kończysz szkołę średnią i nadal jesteś dziewicą? To rekord świata. Dalej, mała, okaż Enziowi trochę wdzięczności.

Wiedziała, że powinna przerwać tę scenę, bo sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli.

Zamiast wycofać się póki czas, podeszła do Enzia. Czekał na to. Objął ją w pół, przyciągnął do siebie, zaczął całować w ucho, w szyję. Jego dłoń znalazła się pod kurtką, wędrowała w górę, do zapięcia stanika.

Zaszokowana Remy nie wiedziała, jak się zachować. Wszystko działo się zbyt szybko.

- Myślę, że...

- Nie myśl, mała. - Enzo przyparł ją do lodówki i rozsunał zamek do końca.

Chciała się uwolnić i uciec, chciała przytulić się do niego całym ciałem. Nie mogła się zdecydować. Pewnie dalej by się wahała, gdyby nie trzasnęły nagle drzwi wejściowe.

- Kurwa mać! - Enzo się odsunął.

Remy ledwie zdążyła zasunąć zamek, kiedy do kuchni wpadł Colin.

- Musiałem się wrócić. Enzo, nie widziałeś gdzieś tej książki o wojnie koreańskiej, którą ostatnio czyta-

łem? - Spojrzał uważnie na Remy. - Tak przyszyłaś ubrana? Że też nie zauważyłem.

Remy zrobiła się czerwona jak burak.

- To prezent ode mnie - wyjaśnił Enzo. - Jak ci się podoba?

Colin zmarszczył czoło.

- Ty jej to dałeś? - zapytał zaskoczony.

- Nic wielkiego. Mieliliśmy się tego pozbyć, to pomyślałem, że dam Remy.

Colin nadal miał zasepioną minę.

- Nic nie mówię. Fajnie wyglądasz, Remy. Naprawdę fajnie.

- Muszę już wracać do domu - bąknęła. - Tylko się przebiorę. Matka nie pozwala mi nosić krótkich spódniczek.

- Chyba wie, co mówi - zauważył Colin.

- Pieprz się, stary. - Enzo wyjął papierosy.

Colin tylko wzruszył ramionami.

Remy uciekła do toalety. Wciągnęła drżącymi rękami džinsy, z trudem zapięła stanik. Kiedy wyszła, Colina już nie było. Enzo stał oparty o zlewozmywak i palił papierosa.

- Żałuję, że muszę już pędzić. - Nie była pewna, czy rzeczywiście, ale uznała, że właśnie tak wypada powiedzieć.

- Następnym razem postaramy się, żeby ten palant nam nie przeszkodził.

Następnym razem. Poczuła, jak na tę myśl całe ciało ogarnia fala ciepła, a jednocześnie przeszedł ją zimny dreszcz.

- Dzięki za ciuchy.

Wyszła pospiesznie na ulicę. Przez jeden krótki

moment chciała, żeby matka na nią czekała w domu. Chciała jej opowiedzieć, gdzie była i co się wydarzyło. Ale w domu nie było nikogo.

Usiadła do pianina i zagrała piosenkę, której się nauczyła, kiedy była jeszcze małą dziewczynką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Chyba bardziej mi się tu podobało, kiedy rosły chwasty. Przynajmniej było zielono.

Faith i Lydia wybrały się obejrzeć imię Violet wykute na młyńskim kamieniu. Puszkowy Alec, zgodnie z obietnicą, poprzedniego dnia skończył porządkować ogród, zostawiając gołą ziemię.

- Wygląda okropnie, wiem. Na poniedziałek zamówiłam człowieka, który usunie martwe drzewa. Kosztowna operacja, ale będę miała drewna opałowego na kilka lat.

- Usunie, i co dalej?

- Dalej? Posadzimy z Alekssem nowe drzewa i krzewy, takie same jak te, które miała Violet. Wiosną wezmę szczepki od ciebie i od sąsiadów z McLean, a teraz zdążę jeszcze kupić cebulki.

- Masz ambitne plany. Dasz sobie radę?

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że będziemy mieli gdzie odpoczywać. Boris przysięga, że zbuduje altanę tam, gdzie stała szklarnia.

- Taka altana to poważne przedsięwzięcie.

- Boris już taki jest. Lubi pomagać i robi to całym bezinteresownie, nie oczekuje niczego w zamian.
- Faith nie była pewna, czy broni Borisa, czy siebie.
- Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który by czegoś nie oczekiwał. - Lydia zerknęła spod oka na córkę.
- Lubisz go, prawda?
- Dlaczego miałabym nie lubić? Jest zabawny, inteligentny, przyjacielski, nie muszę przed nim niktogo udawać.
- W taki sam sposób można opisać bernardyna. Faith wybuchnęła śmiechem.
- Gdybym poznała Borisa wcześniej, miałabym wyrzuty sumienia wobec Davida. Podoba mi się.
- Może teraz lepiej zrozumiesz swojego męża. Podobnie jak wszystkich tych, którzy zapominają o ślubnych przysięgach, nawet jeśli tylko na chwilę. Faith nie mogła uwierzyć własnym uszom.
- Od kiedyś jesteś taka liberalna, mamo?
- Pytasz, od kiedy mam własne zdanie? Czy też kiedy zdałam sobie sprawę, że świat jest bardziej skomplikowany, niż się nam wydaje?
- Jedno i drugie.
- Lydia najwyraźniej doszła do wniosku, że i tak wiele już powiedziała. Szybko odwróciła się i omiotła wzrokiem ogród.
- Moja babka byłaby z ciebie dumna. Robisz to, czym ja dawno powinnam była się zająć.
- Nikt nie może mieć do ciebie pretensji, że nie chciałaś mieć nic wspólnego z tym domem.
- Teraz znowu można tutaj mieszkać.
- Faith musiała wrócić do sprawy, która nurtowała ją od kilku dni:

- Zaczęłyśmy zrywać tapety w pokoju Remy. Zdziwiło nas, co znalazłyśmy.
- Różne są gusta.
- Ty wybierałaś tapety?
- Wszystkim zajmowała się agencja wynajmu. Faith spróbowała od innej strony.
- Pod wierzchnimi warstwami odkryłyśmy granatową i ciemnozieloną tapetę.
- Zapewne żadna nie spodobała się Remy. - Lydia spojrzała na zegarek. - Muszę wracać do domu. Mamy dzisiaj wieczorem gości. Małe spotkanie starych grzybów. Jesteś oczywiście zaproszona - dodała po chwili.
- Bardzo wątpię. Pan senator nie odezwał się do mnie od tamtego wieczoru, kiedy przyjechał szukać cię na Prospect Street.
- Nie lubi, kiedy ktoś go strofuje - przyznała Lydia. - Zaraz się boczy.
- Zachował się fatalnie, ale gotowa jestem go przeprosić. Ze względu na ciebie i na dzieci.
- Prosiły cię, żebyś pogodziła się z ojcem?
- Faith podejrzewała, że Remy i Alex nawet nie zauważyli, że dziadek jest obrażony.
- Nie musiały prosić. Nie chcę dąsów i swarów. Rodzina powinna trzymać się razem.
- Zasada, którą należałoby zweryfikować, jak wiele innych, które uznajemy za niepodważalne.
- Mamo?
- Muszę wracać do domu i dopilnować przygotowań do przyjęcia. - Po drugiej stronie żywoplotu pojawiła się Dottie Lee. - Znowu ta kobieta. Teraz naprawdę muszę zniknąć.
- Kiedyś się z nią przyjaźniłaś.

- Zostań i porozmawiaj z nią, jeśli masz ochotę.
- Lydia cmoknęła córkę w policzek i ruszyła w stronę domu, a Faith przeszła do sąsiedniego ogrodu.

Dottie Lee stała koło oczka wodnego przyozdobionego kamienną figurką przeglądającej się w lustrze wody dziewczynki.

- To ja - oznajmiła Dottie. - Mój ojciec zrobił tę rzeźbę, kiedy miałam trzy lata.

- Nie wiedziałam. - Faith była już przedtem w ogrodzie Dottie, ale nie zwróciła uwagi na kamienną figurkę.

- Przeżyć całe życie w jednym domu to w dzisiejszych czasach kompletny anachronizm. - Dottie Lee nie sprawiała wrażenia niezadowolonej.

- Nigdy nie chciałaś mieszkać gdzie indziej?

- Może raz. Wydawało mi się, że jestem zakochana. Byłam gotowa pójść za nim.

- Nie poszłaś?

- Była drobna przeszkoda. Żona.

- Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz.

- Nigdy nie żartuję. - Dottie Lee usiadła na ławce i wskazała Faith miejsce obok siebie. - Widziałam twoją matkę.

- Musiała wracać do domu. Przepraszam.

- Kochanie, twoja matka nie odzywa się do mnie od lat. Boi się tego, co wiem.

Faith szybciej zabiło serce.

- Co takiego wiesz?

- Już ci mówiłam.

- Tak, ale nie wprost. Powiedziałaś tylko, a raczej dałaś do zrozumienia, że wiesz coś, co mogłoby zrujnować karierę mojego ojca.

- Przeżyłam na Prospect Street całe życie. Mieszkałam tutaj, zanim wprowadzili się twoi rodzice. Wiele słyszałam, wiele widziałam, a co gorsza, wszystko dobrze pamiętam. Przekleństwo żywego umysłu.

Dottie zdawała się zachęcać Faith do ułożenia puzzla. Nie spieszyła się z udzielaniem informacji. Czekwała na pytania i musiały być to właściwe pytania. Faith spróbowała:

- Kilka dni temu natknęłam się na coś, co mnie zaintrygowało. Chcesz posłuchać?

- Nigdzie się nie spieszę.

- Zaczęłyśmy z Remy zrywać tapety w jej pokoju. Kiedyś należał do Hope.

- Mów dalej.

Faith nie była pewna, czy nie robi aby wielkiego halo z niczego.

- Zrywałyśmy warstwę po warstwie, ale nie znalazłyśmy tapety, której można by oczekiwać w pokoju dziecinnym. Rozumiesz coś z tego?

- Czy rozumiem? Jeśli pytasz, co ja bym zrobiła, gdybym oczekiwała dziecka...

- Nie. Pytam, co twoim zdaniem powinna zrobić Lydia. Nie wydaje ci się dziwne, że nie przygotowała pokoju dla dziecka? Prezenty bożonarodzeniowe kupuje w lipcu. W sierpniu są już zapakowane. We wrześniu ustala, jak udekoruje dom na Gwiazdkę, rysuje dokładne diagramy.

- Znamy dwie zupełnie różne Lydie.

- Chcesz powiedzieć, że nie zawsze była taka kompulsywna? Rozumiem, że porwanie Hope mogło ją odmienić, ale nie uwierzę, że nie pomyślała o urządzeniu pokoju dziecinnego. Chorowała, źle się czuła?

- Faith zawahała się. - Miała depresję? Tak nienawidziła tego domu?

- Powoli, po kolei.

- W porządku. A więc czy była chora? I dlatego nie pomyślała o pokoju dla dziecka?

- Ciężę zносиła dobrze. Nawet bardzo dobrze. W każdym razie fizycznie.

Ostatnie słowa Dottie dodała po chwili namysłu. Faith uchwyciła się ich.

- Zatem była w depresji?

- Czasami najlepiej pytać o prawdę tych, których bezpośrednio ona dotyczy.

- Matka nie będzie rozmawiała ze mną o Hope.

Dottie Lee nie odpowiedziała od razu.

- Czuła się nieszczęśliwa, kochanie. To był trudny czas w jej życiu.

Faith nie próbowała nawet pytać, dlaczego. Dottie Lee nie odpowiedziałaby na tak postawione pytanie. Spróbowała sformułować je inaczej:

- Była nieszczęśliwa przez ojca? Miała za dużo obowiązków związanych z jego stanowiskiem?

- Dlaczego przypuszczasz, że chodziło o stanowisko ojca?

Faith przypomniała sobie coś, co znalazła w wycinankach prasowych. Jakiś dziennikarz, węszący za skandalem, przeprowadził serię rozmów z przyjaciółmi rodziny, których efektem był dość zaskakujący wizerunek Hustonów. Lydia unikała oficjalnych spotkań, bywała na przyjęciach tylko wtedy, kiedy naprawdę musiała. Joe, początkowo chwalać się żoną przed waszyngtońską socjetą, miał ją ponoć zachęcać, żeby na czas ciąży zamknęła się w czterech ścianach domu.

Faith zrazu uznała artykuł za dziennikarski wymysł, jednak teraz nie była tego taka pewna.

- Wiem, że po zajściu w ciążę matka przestała udzielać się towarzysko. Jeśli nie była chora, to co? Wiła gniazdko? Też nie.

- Nie wiła gniazdka. Zanim w domu pojawiła się Hope, w pokoju dla niej przeznaczonym Joe miał swój gabinet. Twoi rodzice poprzestali na wstawieniu tam kołyski i wanienki.

- Czyżby matka nie chciała dziecka? Nie zaplanowała tej ciąży?

- Kochanie, ja nie mieszkałam w waszym domu, a już na pewno nie spałam z twoimi rodzicami w jednym łóżku.

Faith usiłowała złożyć w całość to, czego zdołała się dotąd dowiedzieć.

- Ojciec jest trudną osobą. Mamie musiało być niełatwo dostosować się do niego. Do tego jeszcze dziecko... Ciągłe jednak nie mogę uwierzyć, że nie pomyślała o urządzeniu pokoju dzieciennego. Chyba że matka chciała się rozwieść i ciąża przekreśliła jej zamiary.

- Nigdy słowem nie wspomniała o rozwodzie.

- Sądzisz, że mogła o nim myśleć?

- Twojej matce odpowiadała pozycja żony senatora. Była córką polityka. Chciała, by jak kiedyś otaczali ją wpływowi ludzie. Nie, na pewno nie myślała o rozwodzie. - Dottie Lee podniosła się. - Widziałaś zdjęcia matki z tamtego czasu?

Faith zapamiętała tylko kilka, które zostały opublikowane zaraz po porwaniu. Ojciec ze znanymi postaciami ze świata polityki: z prezydentem Kennedym,

z młodym Nixonem w trakcie nieudanej kampanii o urząd gubernatora Kalifornii. Była na nich i Lydia, ale zawsze w tle.

Dottie nie czekała na odpowiedź.

- Twoja matka była śliczną kobietą. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego wyszła za Hustona. Miała prezencję, wykształcenie, pochodzenie, koneksje. Mogła zrobić lepszą partię. Wybacz, ale tak było. Myślę, że dopatrzyła się w twoim ojcu zalet, których nie posiadał. A przecież zabiegali o jej względy inni, bardziej godni uwagi mężczyźni.

Faith też wstała.

- Chcesz powiedzieć, że miała romans? Z którymś z kolegów ojca? A może tylko chciała?

- Chcę powiedzieć, że była atrakcyjną młodą kobietą usidloną w nieudanym małżeństwie. Cięża mogła jeszcze pogłębić jej rozczarowanie.

Faith usiłowała wyobrazić sobie, jaka przed laty była matka, ta niemal aseksualna istota, która nie tolerowała pieszczot, z wnukiem witała się przez podanie ręki, a kiedy próbował ją objąć, sztywniała. Miała w młodości jakieś pragnienia? Chciała szukać spełnienia w ramionach innego mężczyzny? Niechciana ciąża przekreśliła jej nadzieje na miłość?

Dlatego Hope musiała zniknąć?

Dottie podniosła zabłąkany suchy liść z idealnie wygrabionego trawnika.

- Policja nie znalazła porywacza, dlaczego tobie miałyby się udać dojść prawdy?

Czy rzeczywiście chciała dojść prawdy?

- Nie będziesz zachwycona tym, czego się dowiesz - mówiła dalej Dottie. - Sekrety dlatego pozostawiamy

stają sekretami, że nikt nie ma ochoty się nimi dzielić. To wstrętne, namolne stworzonko. Wypuścisz je na wolność, a już nigdy nie dadzą ci spokoju. Obawiam się, że tak właśnie może stać się z tobą.

- Przyjęcie udało się nadzwyczajnie. Jak zawsze, Lydio. - Joe zdążył się już przebrać w piżamę, w której wyglądał równie sztywno jak w garniturze. Skórzanym kapciom też nic nie brakowało. Mógłby występować w nich w senacie, teraz jednak wybierał się do gabinetu, gdzie swoim zwyczajem miał przesiedzieć pół nocy nad dokumentami państwowej wagi.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony. - Lydia zgasiła światła w jadalni.

- Kładziesz się już? - Kiedy przytaknęła, nie zaproponował, żeby usiedli w salonie przy drinku, skinął tylko głową na dobranoc i wyszedł, zaabsorbowany myślą o czekającej go pracy.

Sprawdziła alarm przeciwłamaniowy, zadzwoniła do Samuela, że nic już nie będą potrzebowali, i poszła na górę.

W sypialni oparła się o drzwi, jakby chciała zaablokować wstęp do pokoju domniemanemu intruzowi. Nikt za nią nie szedł, nikt nie próbował wejść do środka. Nie pamiętała, kiedy Joe złożył jej ostatnio nocną wizytę. Po ataku serca musiał się oszczędzać, wcześniej też nie był częstym gościem w łóżku żony. W młodości cenił sobie seks, ale w miarę jak robił karierę, ta strona życia coraz mniej go obchodziła. Swoista sublimacja popędów. Na szczęście, pomyślała Lydia.

Jej miłosna przygoda z Joem Hustonem skończyła

się, zanim zaczęła. Wystarczyła krótka podróż poślubna, kilka tygodni w domu, żeby zrozumiała, jaki straszny popełniła błąd. Brała sztywność za oznakę siły, w przebiegłości dopatrywała się inteligencji, w obsesjach idealizmu. Nie miała nikogo, kto by ją ostrzegł, doradził jej. Usiłowała wylewać oliwę na wzburzone fale, ale zamiast wnieść spokój w swoje małżeństwo, dryfowała pośród burz.

I wtedy na progu jej domu pojawił się Dominik Dubrov.

Stanęła przy oknie i zapatrzyła się w skąpane w srebrnej poświacie sosny za domem. Gdzieś tam, hen, kryło się życie, które powinno było być jej udziałem. Dalekie, nieosiągalne.

Tylko ta odrobina, przedsmak, którego zdołała zaznać, zawsze miała jej towarzyszyć.

- Dominik! Nie myślałam, że przyjdiesz dzisiaj.
- Lydia odgarnęła kosmyk włosów, który ciągle wy-
mykał się spod aksamitnej przepaski i przeszkadzał
w pracy. - Byliśmy umówieni? Wydawało mi się, że
Sandor sam ma kłaść tapety.

Dominik przestąpił z nogi na nogę, ale nie, nie był zmieszany. Dobrze znał swoją wartość. Wiedział, co to grzeczność, jednak nigdy nie tracił pewności siebie. Biedny, niewykształcony, a przecież rzemieślnik, że o lepszego trudno. Dottie Lee Fairbanks twierdziła, że nikt tak nie wyremontuje domu Hustonów jak on, i Lydia jej zaufała.

- Sandor ma inną robotę, a ja wcześniej skończyłem u panny Fairbanks. - Dominik mówił z silnym obcym akcentem. Posługiwał się co prawda płynnie

angielskim, ale Lydia podejrzewała, że myśli w jakimś słowiańskim języku. Kiedyś spróbowała zagadnąć do niego po rosyjsku, przywołując wiedzę wyniesioną z uniwersytetu, ale skwitował jej wysiłki uśmiechem.

A uśmiech miał taki, że człowiek natychmiast sam odpowiadał uśmiechem.

- Chce pani, żebym zaczął ten pokój od ogrodu? Pomierzę ściany, wszystko przygotuję.

Joemu nie spodobała się tapeta, którą wybrała do jego gabinetu. Nie znosił zielonego koloru, nie mógł patrzeć na wzór w szerokie pasy. Ściągała do domu katalogi próbek, aż wreszcie zdecydował się, oczywiście nie bez oporów, na granatową tapetę w delikatne białe lilie.

Od ślubu minęły zaledwie trzy miesiące, a Lydia miała już serdecznie dość ingerencji męża w każdy najdrobniejszy detal ich życia.

Odsunęła się, robiąc przejście Dominikowi. Minął ją ostrożnie, tak by nie dotknąć bodaj rąbka spódnicy. Chciała mu powiedzieć, że spódnica jest stara, w sam raz do pracy, ale ujęła ją okazana dbałość.

Ruszyła w stronę kuchni.

- Miałam właśnie napić się wody. Nalać ci też?

Zdażyła już pomalować kuchenne ściany na słoneczny żółty kolor. W rogu powiesiła trzy ręcznie malowane talerze. Na blacie ustawiła fajansowego koguta. Joe, jak zwykle, miał własne zdanie, ale nie uległa i ocaliła ptaka.

- Kurak śmieszek? - Dominik wskazał koguta.

- Nie podoba ci się? - Lydia wyjęła lód z lodówki.

- Bardzo mi się podoba. Jest zabawny.

- Powiedz to mojemu mężowi.

- Taki poważny?

- Do przesady.

Dominik oparł się o blat i patrzył, jak Lydia wrzuca lód do szklanek i napełnia je wodą. Był potężny, muskularny, ciemnowłosy i ciemnooki, o wydatnym orlim nosie. Lydia chętnie wyobrażała go sobie w koczackiej czapce, jak mknie konno po szerokim stepie.

- Ten, co nie umie się uśmiechać, nie umie też kochać.

- Stare sowieckie przysłowie?

- Raczej powód do szczęścia.

Lydia podała mu szklanę.

- Jakby człowiek potrzebował powodów.

- Niektórzy potrzebują.

Lydia pomyślała, że Joe do nich należy.

- A ty? Jesteś szczęśliwy? - zapytała niespodziewanie. Nie zadaje się takich pytań fachowcom, którzy przychodzą do naszego domu, ale Lydia przestała już traktować Dominika jako „fachowca”. Miał w sobie spokojną mądrość i coś jeszcze, czego nie potrafiła określić inaczej jak „zwierzęcy magnetyzm”. Określenie odpowiednie dla Marlona Brando albo późnego Jamesa Deana, ale pasujące również do Dominika.

- Mam synka, Borię, i jestem szczęśliwy.

- Och - ucieszyła się Lydia. - Ile ma lat?

- Dwa. Straszny piekielnik. Tak się u was mówi?

- Tak się mówi. - Nie miała pojęcia, że Dominik jest żonaty. Nie nosił obrączki, ale mężczyźni często tak robią. Joe nosił. Zapewne tylko dlatego, że czyniła go bardziej statecznym i godnym zaufania, co przekładało się na głosy wyborców.

- Jeszcze nie miał roku, a już buzia mu się nie zamykała, taki gaduła.

Lydia miała mgliste pojęcie na temat dzieci, ale duma w głosie Dominika kazała się jej domyślić, że mały wcześniej zaczął mówić.

- Ale ja też za dużo gadam - zreflektował się. - Nie ma nikogo na górze?

- Nie, możesz zaczynać.

Dominik uniósł szklanę.

- Dziękuję.

- Myślisz, że dziecko mocniej wiąże ludzi ze sobą?

Nie wydawał się zaskoczony pytaniem.

- Tak mówią.

- A co ty sądzisz?

- Że niektórych małżeństw nic nie uratuje, żeby nie wiem co.

Musiał mieć na myśli własne małżeństwo. Dziwne, ale poczuła zadowolenie. Nie należała do osób, które cieszą nieszczęścia innych, ale myśl, że Dominik ma podobne problemy, sprawiała, że stawał się jej kimś jeszcze bliższym.

- To by znaczyło, że między mną a Joem dziecko nic nie poprawi.

Widziała, jak przez chwilę zмага się ze sobą, wreszcie zapytał:

- Pani nie jest szczęśliwa, pani Huston?

- Lydia. Znamy się już na tyle, że chyba możemy sobie mówić po imieniu, nie sądzisz?

Wzruszył ramionami w wymownym geście.

- Nie jestem szczęśliwa. - Tyle mu już dzisiaj powiedziała o sobie. Co powie jeszcze?

- Jesteś jeszcze młoda. Przywykniesz.

Pokręciła głową.

- Popełniłam błąd i teraz nie wiem, jak go naprawić.

Nie chcę się rozwodzić, nie chcę trwać w tym małżeństwie. - Łzy napłynęły jej do oczu. Może łatwiej zwierzać się komuś obcemu? Może Dominik pojawił się akurat w chwili, kiedy musiała z kimś porozmawiać?

A może chodziło po prostu o to, że Dominik był Dominikiem.

- Nie możesz się rozwieść?

- Nie uznaję rozwodów. Skoro człowiek dokonuje wyboru, powinien się go trzymać.

- Ja uważam tak samo. Moja żona jest katoliczką i nigdy by się nie zgodziła na rozwód.

- U mnie tak samo. Religia...

- Nie chciałem wtykać nosa w twoje sprawy.

- A ja nie chciałam zanudzać cię swoimi kłopotami. - Lydia uśmiechnęła się. - Za dużo gadam o sobie.

Jedna samotna łza, której nie zdołała powstrzymać, stoczyła się po policzku. Dominik otarł ją delikatnie, jakby próbował zmasać smutek z jej twarzy.

- Przepraszam. Nie wiem, co mnie dzisiaj napadło - bąknęła.

Poczuła, że otacza ją ramionami i przygarnia do siebie. Objęła go tak naturalnym gestem, jakby to on był jej mężem, a nie człowiek, który w chwili załamania poklepałby ją ze zniecierpliwieniem i zostawił samej sobie.

Przytuliła się do Dominika, pewna, że teraz rozszlocha się na dobre, ale łzy obeschły. W miejsce żalu i smutku pojawiło się inne, nowe doznanie. Było jej dobrze w ramionach Dominika.

Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale nawet nie drgnęła. Nie bała się Dominika. Z jego strony nic jej nie groziło.

Bala się własnych reakcji.

Oboje trwali pośrodku kuchni bez ruchu. Podniosła głowę i napotkała wzrok Dominika. Patrzył na nią, czekał.

Cały świat zdawał się czekać na odkrycie.

Lydia objęła się ramionami i oparła czoło o szybę. Tęskniła. Od trzydziestu dziewięciu lat tęskniła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Ubierz się wygodnie i ciepło - powiedział Boris, kiedy umawiali się na sobotę. Dzieci zaprosiła do siebie Lydia i Faith miała wolny wieczór.

Nie mogła wyciągnąć z Borisa, dokąd ją zabiera. Nie pisał ani słowa. Niewiele myśląc, nałożyła więc dzinsy i swój ukochany zielony golf. Cesała się przed lustrem, kiedy do sypialni wszedł Alex, żeby się pożegnać.

- Wszystko wzięliście?

- Mamo...

No tak, zadała głupie pytanie. I doczekała się odpowiedzi:

- Zapakowałem klocki lego, a Remy lalki Barbie.

- Bardzo zabawne. Nie chcę, żebyście się nudzili.

- Dzisiaj wieczorem idziemy do kina, a jutro jedziemy na wystawę koni do Marylandu.

Nie wiedziała, o co robi tyle hałasu. Joe wyjechał na weekend do Richmond, więc Remy i Alex powinni czuć się swobodnie u babki.

- Dobrze zamknąłeś drzwi od swojego pokoju,

żeby Duszka nie zjadła Lefty'ego? - upewniła się jeszcze.

Alex wzniósł oczy do nieba, udatnie naśladowując siostrę. Nie zapytała już, czy pamiętał o szczoteczce do zębów i majtkach na zmianę.

- Gdybyście czegoś ode mnie potrzebowali, dzwońcie na komórkę.

- Zaczekam na babcię przed domem.

- Remy zeszła już na dół?

- Nie wiem.

Faith zauważyła ostatnio, że jej syn unika rozmów o Remy. Zwykle mówił prosto z mostu, co myśli, teraz sprawiał wrażenie młodego człowieka, który woli kryć się ze swoimi opiniami. W tej chwili nie miała jednak czasu dochodzić, w czym rzecz.

- Bawcie się dobrze i do zobaczenia jutro. - Uścisnęła Aleksa i po chwili już nie było go w pokoju. Właśnie nakładała kolczyki, kiedy w drzwiach pojawiła się Remy.

- Masz wszystko?

- Co mianowicie? Czyste pieluszki i misia?

- Nie wiem, o której wrócę, dlatego musicie pojechać do babci.

- Tak, tak, jasne. Po prostu nie chcesz, żebym została sama w domu, kiedy ty będziesz na randce. - Słowo „randka” zabrzmiało w ustach Remy jak najgorszy epitet.

- Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

Remy odwróciła się do wyjścia.

- Miłego wieczoru. I nie myśl o nas.

Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo jak, otoczona miłością Remy stała się mistrzynią sarkazmu.

Trzasnęły drzwi frontowe, niemal równocześnie pojawiła się Lydia i cała trójka odjechała, zanim dzieci zdążyły się pobić na stopniach przed domem.

Faith zaniknęła okno i oparła się o szybę. Była wolna. Dzisiejszego wieczoru nikt niczego od niej nie oczekiwał.

Uśmiechnęła się do siebie. Pogodnie, beztrzesko. Nie był to ani uśmiech posłusznej córki wyćwiczony w dzieciństwie, ani porządnej panienci z dobrego domu pomocny nastolatce, ani idealnej żony, jaki przywoływała za czasów małżeństwa z Davidem.

Była gotowa, kiedy przyjechał Boris. Ubrany był rzeczywiście wygodnie: dzinsy i czerwona firmowa bluza z logo Scavengera. Dotąd nienoszona, wnosząc z braku zagnieceń i plam po farbie. Musiał mieć ich setkę.

- Nowy portal - oznajmił i podał Faith torbę. - Tu są identyczne koszulki dla ciebie i dla dzieci.

Ujął ją tym gestem. Nawet jeśli Remy swoją przeznaczy do czyszczenia butów, Alex będzie w siódmym niebie.

- Dziękuję. Nałożyłabym swoją, ale wyglądałobyś jak papużki nierozłączki. - Dopiero teraz połapała się, że trzyma gościa w progu. Odsunęła się, otworzyła szerzej drzwi. - Dzieci już pojechały.

- Jest nadzieja, że twoja matka na stałe zatrzyma Remy u siebie?

- O mamie można powiedzieć różne rzeczy, ale z całą pewnością nie jest masochistką.

- Jesteś z nią blisko?

- Ja? Na tyle, na ile mi pozwala.

- Widziałem ją tylko raz, przełomie, ale odniosłem

wrażenie, że jesteście zupełnie inne. Ty jesteś ciepła, otwarta na ludzi, łatwo nawiązujesz kontakt. Nie jestem pewien, czy o niej dałoby się powiedzieć to samo.

Faith z zapartym tchem chłonęła każde słowo własnej charakterystyki.

- Matka bardzo się zmieniła od chwili, kiedy przeprowadziłam się na Prospect Street. Jest bardziej przystępna, spokojniejsza, a można by się spodziewać czegoś przeciwnego.

- Może nie wszystko, co tutaj się zdarzyło, było złe. To był pierwszy wspólny dom jej i ojca. - Boris jakby czytał w myślach Faith. - Niekoniecznie coś dobrego?

- Może nie. - Zmieniła temat: - Powiesz mi wreszcie, gdzie jedziemy? Co to za niespodzianka?

- Musisz koniecznie wiedzieć, co?

- Przez całe życie byłam osobą cierpliwą, ale ten etap mam już za sobą.

- Bierz płaszcz. Przekonamy się, co nas czeka.

- Chyba nie jest aż tak zimno?

- Nigdy nie wiadomo.

Chwyciła wełnianą kurtkę. Zamykając drzwi, poczuła, jak opada z niej ciężar mijającego dnia.

- Jestem gotowa na wszystko.

- Trzymam cię za słowo.

Nie była przygotowana na wyprawę do Wirginii Zachodniej. Na pewno nie na jazdę drogą, która prowadziła do niegdyś jej letniego domku. A już zupełnie Boris ją zaskoczył, kiedy zatrzymał się na stacji Grangera.

Musiała usnąć w drodze. Kiedy obudziła się z drzemki, z przerażeniem stwierdziła, że są niedaleko miejsca feralnej schadzki Davida.

Szukała sposobu, by powiedzieć o tym Borisowi, kiedy zatrzymał się na parkingu Grangera. Zdenerwowana zsunęła się nisko w fotelu, żeby nikt jej nie zobaczył.

- Hej, śpiochu - odezwał się, widząc, że Faith otworzyła oczy. - Śpij dalej. Zaraz wracam.

- Co tu robimy?

- O czymś zapomniałem.

Najchętniej włożyłaby teraz czapkę niewidkę.

Boris nie wracał całe wieki. Czekąca i zastanawiająca się, czy powinna powiedzieć mu prawdę. Osunęła się jeszcze niżej, kiedy tuż obok zatrzymał się jakiś samochód. Trzasnęły drzwiczki, usłyszała kroki. Wreszcie odważyła się unieść głowę i zobaczyła utkwione w sobie spojrzenie Tubby'ego.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że stary czeka, by odsunęła szybę. Nacisnęła przycisk. Nic, silnik był przecież wyłączony. Klnąc dwudziesty pierwszy wiek, wysiadła z wozu.

- Dzień dobry, Tubby.

- Pani Bronson, jak miło panią znów witać. Cieszę się moje stare oczy.

- I mnie miło cię widzieć. - Oby wybaczone zostało jej to kłamstwo.

- Ci, co kupili wasz dom, przyjeżdżają prawie tydzień w tydzień, ale to już nie to. Z nim człowiek nie pogada jak z panem Davidem.

Co miała powiedzieć? Uciekła się do kurtuazji.

- My też lubiliśmy rozmowy z tobą.

- Jak się wiedzie?
- Dziękuję. Przeprowadziłam się.
- A co u pana Davida?

Lubiła bardzo Tubby'ego, ale była niemal pewna, że jego poglądy na homoseksualizm muszą być dość konserwatywne. Na pewno słyszał i czytał o ich rozwodzie, więc wiedział, co było przyczyną rozstania. Wolała przemilczeć pytanie.

- Znalazł pracę?
- Ciągłe szuka - powiedziała ostrożnie.
- Szkoda. Mądry człowiek i porządny. - Zrobił

taki gest, jakby uprzedzał ewentualne zaprzeczenia. - Wiem, co ludzie mówią. To musiał być wielki szok i w ogóle. Najpierw to mnie złość zdjęła, wie pani? Czemu nic nie mówił i udawał, że jest kimś innym? Ale potem zacząłem myśleć. Świat tak już jest urządzony, że człowiek nie może powiedzieć prawdy o sobie. Daliśmy mu jakiś wybór?

Faith zdumiała słowa Tubby'ego.

- Widzę, że naprawdę myślałeś o Davidzie.
- Musiałem.

Podniosła wzrok i zobaczyła zbliżającego się Bori-sa. Rodzina Bronsonów miała zgotować Tubby'emu kolejny wstrząs.

- Tubby, to mój przyjaciel, Boris Quinn.

Tubby odwrócił się.

- Jak się masz, Boris. Miło cię znowu widzieć. Rozmawiamy sobie z panią Bronson. Jesteśmy starymi znajomkami.

- Tak? - zdziwił się Boris.
- Widziała już twoją chatę?
- Właśnie tam jedziemy.

- Nie będę was zatrzymywał. - Tubby mrugnął do Faith. - Niech go pani pilnuje. Którejś nocy o mały nie puścił chałupy z dymem, jak się wiatr zmienił.

- Paliłem śmieci - wyjaśnił Boris. - Trochę za blisko domu.

- Dobrze, żeś go nie spalił, bo to najładniejszy dom w tych stronach. - Tubby cofnął się o krok. - Niech pani do nas zagłąda, pani Bronson. Będę trzymał dla pani te zielone jabłka, co je pani lubi.

- Skąd znasz Tubby'ego? - zapytał Boris, ledwie ruszyli.

- Dom? Masz tutaj dom?

- Właśnie do niego jedziemy. - Położył jej dłoń na kolanie. Przelotny, ciepły gest dla dodania otuchy. - Dobrze, teraz twoja kolej.

- My też mieliśmy dom, niedaleko stąd. To właśnie tam zastałam Davida w ramionach Abrahama Steina.

- Jezu. - Boris miał taką minę, jakby zamierzał nacisnąć na hamulec.

- Nie próbuj zawracać.

- Znajoma sceneria, co?

- Wszystko w porządku. - Zawahała się. - Może nie do końca, ale zmierza ku temu.

- Nie czujesz się jak w koszmarnym śnie?

Nie, nie czuła się jak w koszmarnym śnie. Pierwsze zaskoczenie minęło i przyszła ulga.

- Tubby powitał mnie jak starą przyjaciółkę. Nie wini mnie za nic. Mało, nie wini nawet Davida. Widzi w nas normalnych ludzi z ich wadami. Nie byliśmy aż tacy ważni, jak mi się wydawało. Nie potrafię ci powiedzieć, jakie to dobre uczucie.

- Jeśli chcesz, możemy jechać do domu.
- Owszem, do twojego domu w górach. - Zamilkła na moment. - Mam nadzieję, że to nie na Seward Road?
- Dwa szczyty dalej.
- Bezpieczna odległość. - Faith zaśmiała się. Był to dobry, oczyszczający śmiech.

Tak jak Boris przypuszczał, dom spodobał się Faith od pierwszego wejrzenia. On sam był w nim beznadziejnie zakochany. Formalnie posiadłość należała do firmy, ale Boris miał pierwszeństwo, jeśli chciał się tu schronić.

Lolly, żona dozorczy i świetna kucharka, czekała już z kolacją. Była pieczeń wieprzowa, penne z jarzynami w sosie cytrynowym, a na deser kompot z suszu. Zjedli, siedząc po turecku z talerzami na kolanach przy wielkim kominku.

Do wieprzowiny Boris wybrał węgierskie czerwone wino i wyraźnie się ucieszył, kiedy Faith po kolacji poprosiła o drugi kieliszek.

- Co to jest?
- Bikaver. Bycza krew.
- Mogłabym się do niego przyzwyczać.
- Mam jeszcze kilka butelek.
- Dziękuję, już mi szumi w głowie.
- To wyjątkowy dobry rocznik. Za czasów komunizmu tradycja węgierskich winnic podupadła, ale teraz powoli powraca.
- Dużo wiesz o winach. Ja nie mam o nich zielonego pojęcia.

Boris oparł się wygodnie o kanapę i wyciągnął nogi w stronę ognia.

- Wiem trochę o winach i nic o Węgrzech.
- Nigdy tam nie byłeś?
- W Europie owszem. Kilka razy, w interesach, ale na Węgrzech nigdy. Kiedyś chciałem się tam wybrać. Od lat planuję podróże, ale Scavenger pochłania cały mój czas.

- Do tego stopnia, że chciałbyś się wycofać?
- Dziwi cię to?
- W świecie, w którym wyrosłam, ludzie tak nie postępują. Myślą o karierach, o coraz ważniejszych stanowiskach, pną się, dopóki skandal nie przekreśli ich ambicji.

- Twój ojciec myślał o prezydenturze?

Fach obróciła kieliszek w dłoni.

- Kiedy był młodszy, jeszcze przed zawałem. Ale popełnił poważny błąd. Pozostał w Partii Demokratycznej, kiedy większość konserwatystów z niej uciekła, i stracił szansę na rozwój kariery. Dotąd nie wiem, dlaczego tak postąpił. Swoisty idealizm. Gdyby Joe Huston walczył po stronie Konfederatów, nigdy by się nie poddał.

- A może po prostu pozbawiony jest zmysłu politycznego?

Faith podniosła wzrok.

- Nie lekceważ go. Ma przerażający zmysł polityczny, ale jest przy tym strasznie uparty. Prowadzi wieczną wojnę z samym sobą. Na szczęście dla tego kraju, bo Joe Huston nie powinien rządzić.

Boris zastanawiał się, czy to wino przemawia przez Faith.

- Nie przepadasz za nim.

- To nie ma nic wspólnego z moimi osobistymi

odczuciami. Uważam po prostu, że nie potrzeba nam kogoś o takich zapatrywaniach w Gabinetcie Ovalnym. Należy do Partii Demokratycznej, ale tak naprawdę nie wierzy w demokrację. Nie obchodzą go ludzie, dba wyłącznie o własne interesy.

- To akt oskarżenia.

- Raczej bycza krew.

- Próbuję coś zrozumieć. Masz tyle do zarzucenia ojcu, a wyszłaś za człowieka o jeszcze bardziej konserwatywnych poglądach.

- Konserwatyzm Davida jest uczciwy i, nazwijmy to tak, oświecony. David wierzy ludziom, lubi ich. Nie chce, żeby rząd za nich decydował.

- A ty?

- Ja mam taki chaos w głowie, że nie wiem, na kogo będę głosowała w przyszłym miesiącu. Usiłuję zapomnieć o wszystkim, w co wierzyłam albo myślałam, że wierzę. Muszę wreszcie zacząć myśleć samodzielnie. - Uśmiechnęła się, choć to, co powiedziała, zabrzmiało gorzko. - A co z tobą?

- Ja wiem, na kogo głosować. Jestem takim liberałem, że Joe McCarthy umieściłby mnie na czele swojej czarnej listy.

- Mój ojciec jest dumny, że nosi imię Joe. - Faith uniosła kieliszek. - Twoje zdrowie, Boris. Zgrabnie zostawiliśmy na boku twoje życie i zajęliśmy się moim. Jesteś naprawdę takim dobrym słuchaczem, czy tak bardzo nie lubisz mówić o sobie? A ja niewiele wiem.

- Co wiesz?

- To test? Jako dzieciak mieszkałeś w Waszyngtonie, ale wychowywałeś się w Kalifornii. Studiowałeś gdzieś na Środkowym Zachodzie?

- W Chicago.
- Przyjechałeś odwiedzić rodzinne strony, zostałeś, założyłeś firmę. Nigdy się nie ożeniłeś, bo nie akceptujesz trwałych związków.

- Chwileczkę. To tylko hipoteza.

- Nie mam racji?

Oczywiście miała rację, ale przemilczał to.

- Teraz dom. Praca, która nie ma końca.

- Muszę mieć ciągle jakieś zajęcie, inaczej zaczynam się nudzić.

- To może kobieta?

- Znasz taką?

Ledwie to powiedział, pożałował swoich słów, ale Faith wybuchnęła śmiechem.

- Chciałbyś znaleźć kobietę, przy której nie miałbyś chwili spokoju? Kapryśną awanturnicę z nieznośnymi humorami?

- Taka mnie wychowała. Nie miałem przy niej chwili spokoju, ale było dość ponuro.

- Przepraszam. Przykro mi.

Było jej przykro. W oczach pojawiło się współczucie, w głosie smutek. Takich kobiet Boris zawsze starał się unikać.

- Rodzice przeprowadzili separację, kiedy byłem mały. Nigdy potem nie widziałem ojca. Matka ratowała się z depresji alkoholem i przez alkohol wpadała w kolejne. Błędne koło.

- Chyba mówiłeś, że umarła, zanim wyjechałeś z Kalifornii?

- Zmarnowała życie na uzalaniu się nad sobą.

- Nie zmarnowała. Miała syna.

- Czasami przypominała sobie o tym i wtedy życie

stawało się słodkie. Na chwilę. Potem znowu zaczynała pić.

- Trudne dzieciństwo.

Zapewne, choć z latami Boris nauczył się wspominać je obojętnie.

- Miało swoje dobre strony. Przesiadywałem całym dniami w szkole, żeby nie wracać do domu. Z tego samego powodu łatwo nawiązywałem przyjaźnie. Jedno i drugie złożyło się potem na sukces Scavengera.

Faith dopiła wino i odstawiła kieliszek.

- Pamiętasz ojca?

- Pamiętam, że nie było go przy mnie, kiedy dorastałem.

- Czasami wydaje mi się, że świat to wielki klub ludzi, którzy mieli nieszczęśliwe dzieciństwo.

Powiedziała to z taką powagą, że Boris musiał się zaśmiać.

- Już dobrze, Faith. Teraz jestem całkiem szczęśliwym człowiekiem.

- Boję się, że i ja mogę skrzywdzić swoje dzieci. Może już wyrządziłam im krzywdę? A może nigdy nie będą mogły zrozumieć, jak to możliwe, że ich ojciec jest gejem?

- Nie, ponieważ mają ciebie. Davida, z tego co mówisz, chyba też.

- Byłbyś dobrym ojcem.

- Tak myślisz? - Zaskoczyło go to. Jeszcze bardziej zaskoczyło go, że nigdy dotąd w ten sposób o sobie nie myślał. Sam nie miał ojca i nie widział siebie w tej roli.

- Masz świetny kontakt z Aleksem. Nawet z Remy sobie radzisz, a to naprawdę trudny test.

- Spodobała ci się moja kwestia o przełożeniu pannicy przez kolano?

- Jeszcze bardziej spodobało mi się, że tego nie zrobiłeś - odpowiedziała Faith ze śmiechem.

Boris odstawił kieliszek, zabraniając sobie kategorycznie następnego. Jeszcze jeden rozgrzały go, zniweczył zahamowania, a wtedy wiadomo, co by nastąpiło.

Wstał, przeciągnął się i podał Faith rękę.

- Chodź, przejdziemy się.

- Słońce już zachodzi.

- Mamy trochę czasu, zanim zajdzie zupełnie.

- A ja miałam nadzieję, że będziemy oglądać ostatnie promienie, a w drodze powrotnej gwiazdy.

- Kilka pewnie zobaczymy.

Podczas wstawania Faith zachwiała się i Boris objął ją ramieniem.

- Ejże! - roześmiał się.

- To nie wino. Noga mi usnęła. Dziękuję za kolację. - Spojrzała na niego tymi swoimi niebieskimi oczami i Boris zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zrezygnować ze spaceru.

Faith przez wiele lat była mężatką i nie zdążyła jeszcze zrekonstruować strategii obronnych stosowanych przez wolne kobiety. Wątpił, czy wiedziała, co się z nim dzieje, kiedy wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem.

Z drugiej strony może doskonale wiedziała?

- Cieszę się, że ci smakowała. Świeże powietrze też powinno ci zasmakować.

Zerknął kątem oka na miękkie poduchy rozłożone na dywanie przed kominkiem. Na pokój rozświetlany

ciepłymi refleksami płomieni, tonący w dźwiękach zmysłowej muzyki Liszta.

- Wezmę kurtkę - oznajmił wreszcie.

- Ja swoją zostawiłam przy drzwiach. Spotkamy się na zewnątrz.

Całą minutę szperał w szafie, powtarzając sobie, jak bardzo by chciał, żeby ta kobieta, jak wszystkie kobiety w jego życiu, nie stała się dla niego nikim ważnym.

Faith czuła się wyjątkowo ożywiona, lekka i bez-troska. Nie wiedziała, czy to zasługa wina, dobrego jedzenia, górskiego powietrza czy też, po prostu, towarzystwo Borisa tak na nią działa. Pytanie zdawało się ważne. Niepewność co do odpowiedzi także, bo odpowiedź, jakakolwiek by była, stanowiła w pewnym sensie klucz do przyszłości.

- Jest tak pięknie, jak myślałam - przerwała długie milczenie. Siedzieli na ławce w altanie zapatrzeni w purpurowy zachód słońca. W srebrny sierp księżycy. W gwiazdy zapalające się na granatowym niebie.

Boris podniósł kołnierz grubego wełnianego swetra.

- Lubię tu spędzać weekendy, kiedy z pierwszymi chłodami liście zaczynają spadać z drzew.

- Takie miejsce to wystarczający argument, żeby nie porzucać Scavengera.

- Odchodząc, mogę kupić posiadłość, mam to zagwarantowane w kontrakcie.

Faith była pewna, że odchodząc ze Scavengera, mógłby kupić choćby i całą Wirginię Zachodnią.

- Nie ma w tobie nic z bogacza, Borisie. Nigdy bym się nie domyśliła.

- Bo też się nie domyśliłaś.

- A powinnam była na widok zachlapanego farbą roleksa? To zresztą nie ma znaczenia. Jesteś normalnym facetem, i to się liczy. Bogaci ludzie zwykle zamykają się w swoim świecie.

- Dlatego że jeżdżę zdezelowanym subaru i sam remontuję dom?

- Bo przynosisz na kolację kurczaki *curry* albo tajskie *pad* i wczołgujesz się pod mój zlew, żeby zobaczyć, gdzie przecieka.

- Wiesz, ile firm internetowych plajtuje każdego roku? Scavenger był dobrym pomysłem, ale były tysiące innych wcale nie gorszych. Udało mi się. Nie wiem, dlaczego miałoby mnie to odmienić.

- Skromny do szpiku kości.

- Skromnie zaczynałem. Kiedy się urodziłem, rodzice nie mieli pieniędzy, żeby zapłacić za szpital. Chowałem się na ziemniakach i kapuście. Irlandzkie korzenie mamusi. To mnie rzeczywiście odmieniło. Nie jadam kapusty. Nie znoszę nawet jej zapachu.

- Uśmiechnął się. - Informuję cię o tym na wszelki wypadek, gdybyś kiedyś zechciała zaprosić mnie na domową kolację.

- Nie wiem, czy cię zaproszę. Daleko mi do twojej kucharki.

- Może gorzej gotujesz, ale za to w twoim towarzystwie jest milej.

Faith dotknęła jego ręki.

- Ja też lubię twoje towarzystwo. I obiecuję ci domową kolację. Gotowa nawet jestem skreślić z menu mój ulubiony kapuśniak.

- Będę ci zobowiązany. Wracamy? Odeszliśmy spory kawałek od domu.

Zrobiło się jej smutno, że wieczór dobiega końca. Znała to uczucie, poznała je aż za dobrze przez lata małżeństwa. Ile razy próbowała zbliżyć się do Davida i dostawała wprawdzie łagodną, ale jednak odprawę? Teraz oczywiście było inaczej. Boris nie był jej mężem, nigdy nie byli kochankami. Ich znajomość dopiero się zaczynała i wciąż była nieokreślona. Mogła oznaczać zaledwie przyjacielską zażyłość, nic więcej.

A jednak żal, że wieczór się kończył.

- Masz rację. - Podniosła się z ławki, pociągając Borisa za rękę. - Wrócimy tą samą drogą?

- Krótszą.

- Wstawaj, mój panie. Nie dam rady cię podnieść.

Ich spojrzenia się spotkały, chwilę wpatrywali się w siebie. Boris nadal siedział nieruchomo. Nie wiedziała, kiedy znalazła się na jego kolanach. Nie zdążyła nawet wziąć oddechu, a już poczuła jego usta na wargach.

- Faith...

Teraz i ona zaczęła go całować. Całowała tak, jak wygłodniała kobieta rzuca się na chleb: łapczywie, nie myśląc o innych ani o tym, co będzie potem. Całowała tak, jakby Boris miał rozpułnąć się w powietrzu, jeśli tylko by przestała. Wdychała jego zapach, chłonęła ciepło jego ciała, wsłuchiwała się w cichy pomruk.

Odsunął ją od siebie.

- Tu nie miejsce.

Zmierzyła w myślach odległość do domu, liczoną lękiem i wyrzutami sumienia.

- Twoja wina. - Znowu go całowała, a on przygarbiał ją do siebie, zamykał w ramionach.

Nie znała człowieka, który ściągał z niej teraz

ubranie. Duże, mocne dłonie Borisa były zręczne i delikatne. Na igliwie pofrunął sweter, buty, bluza z logo Scavengera. Nie odzywali się. Żadne nie wypowiedziało słowa. Za wcześnie było na słowa. Za wcześnie na miłość. Faith go pragnęła i tak chciała się czuć, jak kobieta, która w dziki sposób pragnie, pożąda mężczyzny.

Boris zaczął szukać czegoś w kieszeni dżinsów, coś mruknął pod nosem, wreszcie, ciągle złożycząc, wyciągnął znajomo wyglądający foliowy pakiecik.

Teraz już wiedziała, czego szukał na stacji benzynowej.

Usłyszała własny śmiech.

- A więc po to zatrzymałeś się u Grangera?
 - Niestety pudło. - Zawahał się. - Na pewno jesteś gotowa?
 - Pewność nie ma z tym nic wspólnego.
 - Ja jestem absolutnie pewny, że cię chcę.
- Faith otworzyła ramiona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Nie żałowała, chociaż instynktownie czuła, że powinna. Nie dlatego, że dopuściła się zdrady, bo według prawa nadal była mężatką. Nie dlatego, że zawsze postępowała według zasad, które narzucali jej inni. Nawet nie dlatego, że teraz musiała uporać się z konsekwencjami i na nowo układać swoje relacje z Borisem.

Nie żałowała, bo była szczęśliwa. Całe życie odmawiała sobie prawa do satysfakcji, która płynie z poczucia własnej seksualności, z kobiecości. Teraz wreszcie było inaczej.

Obudziła się rano na krawędzi łożka. Boris obejmował ją ramieniem, kolano wraził jej w plecy, rozpychał się haniebnie. Kiedy pierwszy szok minął, wiedziała, że nigdy nie będzie żałowała tej wspólnej nocy, ani że Boris okazał przezorność, kupując całą paczkę prezerwatyw, ani tym bardziej tego, że przywrócił jej pewność siebie.

Bo która kobieta wątpiłaby w siebie, jeśli ktoś taki jak Boris nie może się nią nacieszyć, nasycić? Myślała, że David ją pociąga. Nic nie rozumiała.

- Faith?

Podniosła głowę. To Lydia o coś ją pytała.

Udało się jej wrócić do domu na pół godziny przed matką i dziećmi. Zdążyła się przebrać i skasować wiadomości na automatycznej sekretarce. Na wszelki wypadek, żeby nikt się nie domyślił, że noc spędziła poza domem.

- Przepraszam. Źle spałam ostatniej nocy. Jestem trochę zmęczona. - Powściągnęła uśmiech.

- Pytałam, czy dobrze się wczoraj bawiłaś.

- Uhu.

- Gdzie jedliście kolację?

- Pojechaliśmy za miasto. Kuchnia niewymyślna, ale doskonała. - Przyłapała się na tym, że miała przygotować kawę i poprzestała na napełnieniu dzbanka wodą. Zaczęła gorączkowo szukać filtra.

- Dzieci też miały udany dzień. Remy spotkała na wystawie koni koleżanki z McLean i przepadła. Wróciła dopiero po zakończeniu pokazu.

To dobrze, że Remy znowu nawiązała kontakt z dawnymi koleżankami. Ona i Alex poszli na górę przebrać się, a potem całą trójką mieli jechać na zakupy. Wtedy na pewno usłyszy więcej o wystawie koni.

- Faith, nasypiesz wreszcie kawy do tego filtra?

- Powoli, powoli.

- Chyba rzeczywiście źle spałaś. Masz podkrążone oczy.

- Mam ostatnio tyle spraw na głowie. - Wsypała kawę i włączyła wreszcie ekspres.

- Mianowicie?

Musiała mocno się zastanowić.

- Muszę doprowadzić do porządku dom i ogród, a to wymaga wysiłku.

- Tak?

- Zostało mi malowanie ścian. Z jednej strony nie chcę zmieniać atmosfery domu, z drugiej zależy mi na wygodzie. Powinnam chyba zapytać Dottie Lee, jak wyglądały stare wnętrza. Ogród pamięta świetnie.

- Faith podniosła głowę. - Twierdzi, że wie o tym domu wszystko, ale każdą informację trzeba z niej wyciągać siłą. Czeka na właściwe pytania. Podejrzewam, że zapewnia sobie w ten sposób moje częste wizyty.

- Co to znaczy: wie o tym domu wszystko?

- Mówi, że nikt nie pamięta tyle, co ona. Jest starsza od ciebie, dalej sięga pamięcią. Mieszka po sąsiedzku od urodzenia.

Lydia zamyśliła się, milczała.

- Opowiedziała mi, jaka byłaś piękna. - Faith zauważyła, że matka lekko zadrżała. - A ja znam tak niewiele twoich fotografii z tamtych czasów. Tylko zdjęcia ślubne, potem już żadnych. - Faith zawahała się, ale nie wycofała. - Jeśli nie liczyć tych w gazetach, publikowanych po porwaniu Hope.

- Skąd ten temat?

- Pytałam Dottie o dawne czasy. Hope ciągle jest obecna w domu. Nie, nie duch - dodała pośpiesznie. - Raczej poczucie czegoś niedokończonego.

- To jest najgorsze. Że nie znamy odpowiedzi. I myśl, że dawno nie żyje, że mogła za mną płakać...

- Och, mamo, tak mi przykro. - Faith położyła dłoń na ramieniu Lydii, ale zaraz ją cofnęła po niechętnym geście matki.

- To nieja, tylko ty zaczęłaś mówić o przeszłości. Ty i ta kobieta.

- Mieszkam tu teraz.

- Nic nie da rozgrzebywanie historii porwania. Myślisz, że porozmawiasz kilka razy z Dottie Lee i rozwiążesz tajemnicę, której FBI nie mogło rozwiązać?

- Chcę cokolwiek zrozumieć. To wszystko. Chcę wreszcie wypełnić białą plamę. Była moją siostrą.

- Przetrwałam tylko dlatego, że nie myślałam o tym, co się zdarzyło. Wyrzucałam z pamięci porwanie, robiłam wszystko, żeby okresy zapomnienia stawały się coraz dłuższe. Początkowo liczyły się na minuty, potem godziny, w końcu dni.

- Wiem, jak ci ciężko, nawet teraz - powiedziała Faith, ale Lydia jeszcze nie skończyła.

- Łudziłam się, że następane dziecko zaleczy rany. Ty przysłaś na świat. Rosłaś, a ja, ilekroć patrzyłam na ciebie, zastanawiałam się, jak wyglądałaby Hope w twoim wieku. Czy zaczęłaby chodzić wcześniej, czy później? Czy lubiłaby te same zabawki? Miała ciemne włosy, jak twój ojciec. Kiedy w sklepie widziałam coś odpowiedniego dla ciemnowłosej dziewczynki, siłą musiałam się powstrzymać, żeby tego nie kupić. Kiedy szłaś do ślubu, myślałam, jak Hope wyglądałaby przed ołtarzem. - Lydia podniosła wzrok. - Kochałam cię, Faith. Nie powinnaś nigdy pomyśleć, że było inaczej, ale patrzyłam na ciebie i ciągle myślałam o twojej siostrze. Między innymi również dlatego chciałam zapomnieć. Czułam się nie w porządku wobec ciebie.

- A ja teraz jątrzę stare rany.

- Nie rób tego. Przez wzgląd na nas wszystkich.

Faith zbyt dobrze pamiętała, czego dowiedziała się od Dottie Lee. I czego się nie dowiedziała. Nie mogła się wycofać. Za dużo było niedopowiedzeń, przemilczeń, aluzji.

- Czy przed porwaniem Hope byłaś szczęśliwa?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O to, że dorastałam w smutnym domu. Czy byłoby inaczej, gdyby Hope nie zniknęła?

- Co mam ci odpowiedzieć? - W głosie Lydii zabrzmiała lodowata nuta.

- Strata dziecka to najstraszniejsza rzecz, jaka może przytrafić się rodzicom, nawet jeśli są idealnym małżeństwem.

- Zostaw przeszłość w spokoju, Faith.

Wiedziała, że matka nic więcej nie powie. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

- Przepraszam. Nie chciałam być niedelikatna. Staram się po prostu zrozumieć.

- Po co to robisz? Żeby lepiej zrozumieć samą siebie? A może nagle zaczęły cię interesować związki między ludźmi, bo przespałaś się z mężczyzną i cały twój świat stanął na głowie?

Faith zaczerwieniła się niczym pensjonarka.

- Skąd wiesz?

- Może się starzeję, ale potrafię jeszcze dostrzec, co się wokół mnie dzieje.

Lydia od prawie czterdziestu lat nie zapukała do drzwi Dottie Lee. Teraz stała przed nimi i wpatrywała się w mosiężną kołatkę w kształcie głowy smoka, w jej pojęciu krzyczące świadectwo fatalnego wprost smaku.

W progu pojawiła się sama Dottie Lee, owinięta błękitnym sari i obwieszona ciężkimi złotymi bransoletami.

- Czekałam na ciebie - stwierdziła bez cienia zdziwienia.

Lydia popatrzyła na ujadającą chihuahua, znerwicowany kłębek sierści zakończony ogonem.

- Nadal będziesz czekać, jeśli zaraz nie uciszysz tego psa.

- Titi!

Pies zamilkł.

- Alex za nią przepada - zauważyła Dottie.

- Alex nie ma dystansu.

- Faith wie, że tu jesteś?

- Zaprosisz mnie w końcu do środka?

Dottie Lee pochyliła się z wysiłkiem, wzięła Titi na ręce i odsunęła się, robiąc przejście Lydii.

Faith nie wiedziała. Pojechała z dziećmi na zakupy. Lydia została, powiedziała, że wyjdzie później, bo chce dopić kawę.

- Dużo się tu zmieniło od twojej ostatniej wizyty. Sama zobaczysz.

- Zmieniało się z każdym nowym kochankiem. Ilu ich było? Za mojej pamięci bodaj dwóch senatorów, jeden kongresman. I ambasador.

- Nie, kochanie. Dwóch ambasadorów, i obaj uroczy. Czuję się dotknięta, że tak nisko mnie oceniasz. Ludzie przypisują mi przynajmniej jednego prezydenta. Zresztą nigdy ich nie liczyłam, choć mogłabym, nawet teraz. Mężczyźni odchodzą, wspomnienia pozostają. Wszystkich ich mam we wdzięcznej pamięci.

Lydia weszła do pokoju i surowym wzrokiem omiotła wnętrze.

- Ostatni musiał sporo czasu spędzić na Dalekim Wschodzie.

- Pochodził z Dalekiego Wschodu. Zabawny, przemiły Żółtek. Wiem, że to bardzo niepoprawne politycznie tak mówić, aleśmy nigdy między sobą nie robiły ceremonii.

- A ty nigdy nie wyszłaś za mąż. Pewnie mogłaś. Oświadczyli się?

Dottie Lee wesoło się roześmiała. To prawda, była starą kobietą, jak sama lubiła o sobie mówić, ale zachowała młody śmiech.

- Często.

- Nie potrafiłaś opuścić tego domu, prawda?

- Dobrze mnie znasz.

- Czy Faith wie, że boisz się wychodzić?

- Czy wie, że nigdy nie wychyliłam nosa poza ogród? Wątpię. Byłam u was, ledwie się sprowadziła. Nie zauważyła, że nie zapuszczam się dalej. Może myśli, że nie lubię?

- Nigdy nie próbowałaś szukać pomocy?

- Nie potrzebowałam pomocy. Owszem, czasami mi to przeszkadzało i jeszcze raz owszem, zanim zapytasz, był jeden mężczyzna, może nawet dwóch wartych zachodu, ale ich nie zachęcałam. Wiele się dowiedziałam, żyjąc w tych ścianach. - Dottie Lee zatoczyła ręką. - Nie musiałam wychodzić. Oni przychodzili do mnie. Dyplomaci, mężowie stanu. Potrafiłam ich tak podejmować, że zawsze wracali. Dopóki któryś mi się nie znudził.

Lydia próbowała punktować błędy przyjaciółki.

Robiła to już tyle lat. Ale czy obie nie poddały się własnym lękom, i to mając na względzie, że rozegrały najlepiej, jak umiały, rozdane przez los karty? Ona sama w małżeństwie z Joem urodziła drugie dziecko, natomiast Dottie Lee udało się zamienić swoje więzienie w pałac.

- Nie przychodzę z towarzyską wizytą - powiedziała sucho.

- Domyślam się. Unikasz mnie od chwili, kiedy wyszłaś za Joego Hustona.

- Masz złą reputację.

- Bardzo złą. I jestem z tego bardzo dumna. - Dottie Lee posadziła Lydię na kanapie. - Poprosić Mariannę, żeby przygotowała herbatę, czy wolisz coś mocniejszego?

- Dziękuję. Nie zabawię długo.

- Mów więc, o co chodzi. Pamiętasz, jak przychodziłaś tu jako dziecko? Byłaś nieznośna. Twoja babka płaciła mi, żebym się z tobą bawiła, bo miała wtedy chwilę wytchnienia, ale mnie też potrafiłaś wykończyć. - Uśmiechnęła się. - Zupełnie jak twój wnuk Alex. Wszystkiego ciekawa, pełna pomysłów.

Lydia dobrze pamiętała te zamierzchłe czasy, zabawy w domu Dottie Lee, jej poczucie humoru i cierpliwość. Kiedy rodzice wyjeżdżali w dalekie zakątki świata, mieszkała u dziadków i mnóstwo czasu spędzała z Dottie.

- Przejdę od razu do rzeczy.

- Trudno.

- Nabijasz Faith głowę faktami, o których nie powinna wiedzieć.

- Tak ci powiedziała?
 - Twierdzisz, że wiesz wszystko o naszym domu. Po co to robisz? Niepotrzebnie rozbudzasz w Faith zaciekawienie przeszłością.
 - Twoją przeszłością, moja droga. Nie generalizuj. Chodzi o twoją przeszłość.
 - Nic dobrego z tego nie wyniknie. Chcę wiedzieć, co jej powiedziałaś i co planujesz.
 - Planuję?
 - Faith mówi, że cedzisz informacje, jakbyś czekała na właściwe pytania.
 - Tak mówi? - Dottie się uśmiechnęła. - Mądra dziewczyna. Czy wspomniałam ci już, że bardzo ją lubię? Przypomina mi twoją matkę. Byłaby wspaniałą żoną ambasadora, jak Millicent. Taka przystępna. Zawsze myśli o innych. Ale dość silna, żeby znieść polityczne szachrajstwa Departamentu Stanu. - Dottie Lee zamilkła na chwilę. - Chyba się starzeję. Faith sama mogłaby być ambasadorem. Czasy się zmieniły, czyż nie tak?
 - Nie na tyle, żebyś opowiadała jej o sprawach, które powinny pozostać tajemnicą! - Lydia nachyliła się. - Coś jej powiedziała?
 - Słyszałaś już, to mądra dziewczyna. Sama się domyśliła, że nie byłaś szczęśliwa nawet przed porwaniem.
- Lydia nie była zaskoczona. Pytania, które Faith jej zadawała, szły przecież w tym kierunku.
- A ty co na to?
 - Lyddy, nie bawmy się w kotka i myszkę. Zmarli nie wstaną z grobów. Nie powiedziałam jej, że miałaś romans z Dominikiem Dubrovem. Powinna

się dowiedzieć o tym od ciebie. W każdym razie podejrzewa, że w twoim życiu mógł być inny mężczyzna.

- Jak śmiesz!

- Nie, jak ty śmiesz! O niczym jej nie mówisz. Jesteś obcym człowiekiem dla własnego dziecka.

Lydia wyprostowała się.

- Nic nie wiesz.

- Wiem, że Dominik był dla ciebie kimś więcej niż fachowcem od remontów. Mieliście romans. Nigdy nie zająknęłaś się na ten temat, nawet kiedy zaczęto podejrzewać biedaka, że wykradł twoje dziecko.

- Chyba masz demencyjne zwidy.

- Fakty, Lyddy. Mówię prawdę, a ty próbujesz się wyłgać, zupełnie jakbyś znów miała cztery lata.

Dottie Lee położyła Titi na kanapie. Suka wsunęła się pod poduszkę i natychmiast usnęła.

- Byłam nieszczęśliwa - podjęła Lydia. - Nasza przygoda szybko się skończyła. Ja ją skończyłam, bo nie było innego wyjścia.

Dottie Lee pokiwała głową i czekała.

- Zawsze się zastanawiałam, czy wiesz.

- A ja zawsze się dziwiłam, dlaczego nie stanęłaś w obronie Dominika, kiedy policja zaczęła go podejrzewać. Zdobyłabyś się na taki gest, gdyby stanął przed sądem?

- A co by tu pomogła prawda? Poza tym, że sprawiłaby ból wszystkim?

- Dominik spędzał w twoim domu mnóstwo czasu. Był bardzo poruszony zniknięciem Hope, bardziej niż obcy człowiek powinien. To dało do myślenia policji.

- Wiesz, dlaczego nie powiedziałam. Nie chciałam

zakładać mu stryczka na szyję. Był głównym podejrzanym. W każdej chwili mógł wejść do domu. Znał rozkład wnętrza. Miał klucz!

- Ale nie miał motywu.

- Zazdrość kochanka to wystarczający motyw. Wyobrażam sobie, co powiedziałyby policja. W odwecie za to, że z nim zerwałam, porwał dziecko. Albo zabrał je, bo był nieobliczalnym Słowianinem, imigrantem i przybłędą, który liczy na okup.

- Nie było listu z żądaniem okupu.

- Bo albo Hope zmarła, albo on się wystraszył. Nie rozumiesz? Tak właśnie rozumowałiby ci z policji. Moje oświadczenie byłoby brakującym ogniwiem, którego szukali. Po co miałam się przyznawać? Żeby wyjaśnić, dlaczego bywał w moim domu? Pracował. Reszta to tylko domysły.

- Nawet wtedy, kiedy sfabrykowałam alibi dla Dominika, nadal uważałaś, że wolno ci milczeć?

- Sfabrykowałaś?

- Naprawdę wierzyłaś przez te wszystkie lata, że było inaczej?

Wstrząśnięta Lydia nie mogła oderwać wzroku od twarzy Dottie Lee.

- Skłamałaś? Nie było go u ciebie tamtego popołudnia?

- Znałam ludzi z FBI. Hooverowi strasznie zależało, żeby szybko zamknąć sprawę, więc gorączkowo szukał winnego. W godzinę po zniknięciu Hope uświadomiłam sobie, że wmanewrują biednego Dominika i że to tylko kwestia czasu. Nie widziałam powodu, dlaczego miałabym dopuścić do takiego draństwa.

- Skoro już zdecydowałaś się kłamać, trzeba było

kłamać bardziej precyzyjnie. Po co ta historia z wyjściem do sklepu? Przez ten jeden mały detal dla wszystkich pozostał podejrzany. Do dnia śmierci, a nawet po niej.

- Nie mogłam powiedzieć, że spędził u mnie całe popołudnie. Odwiedził mnie znajomy i oczywiście nie widział Dominika. Wymyśliłam więc, że poszedł do sklepu. Rzeczywiście był tam wcześniej, kupował coś dla mnie. Kazałam mu powtarzać tę historijkę w czasie przesłuchań. Nie rozumiał, niech spoczywa w spokoju, dlaczego mamy kłamać, ale przekonałam go, że nawet w wolnej, demokratycznej Ameryce niewinni ludzie trafiają do więzienia.

- Gdzie w takim razie był, skoro nie u ciebie?

Dottie Lee zachnęła się.

- Nadal go podejrzewasz, Lyddy?

- Gdzie był?

- Nigdzie w szczególności. Chodził po mieście, zastanawiał się nad swoim życiem, jakie jest, co z nim dalej robić. Żadnych świadków, ma się rozumieć. Tylko jego słowo.

Lydia nie była teraz w stanie myśleć o tym, co robił Dominik w dniu porwania Hope, ani o swoich uczuciach do niego.

- Ilu ludziom bym zaszkodziła, gdybym powiedziała prawdę?

- Wtedy?

- Przekreśliłabym karierę Joego. Nie mogłabym się pokazać z podniesioną głową w towarzystwie. Dominik miał żonę i dziecko. Zniszczyłabym to wszystko. W imię czego? Uczciwości? - Lydia zaśmiała się gorzko.

- Musiałaś się przecież zastanawiać, czy zatajając ten drobny szczegół, nie uniemożliwiłaś odnalezienia Hope.

- A ty się zastanawiałaś, czy fałszywe alibi nie utrudni śledztwa?

- Teraz twoja córka musi dochodzić prawdy, szczegół po szczególe.

- Trzymaj się z daleka od Faith.

- Nawet bez mojego udziału odkryje, co ma odkryć. Ja jestem tylko przekąźnikiem. Ty byłabyś lepszym.

- Ja! Wyobrażasz sobie, że pójdę do niej i powiem o moim romansie z biednym imigrantem? I odtąd wszystko ułoży się między nami?

- Ciągle wierzę, że dożyję dnia, w którym prawda wyjdzie wreszcie na jaw.

Lydia wstała.

- Twoja, tylko twoja wersja prawdy. Tkwisz zamknięta w tym domu i szukasz, czym by tu zająć myśli z braku lepszego zajęcia. No i trafiła ci się Faith.

Dottie Lee też się podniosła.

- Mogę zostawić Faith w spokoju, ale to nic nie da. Nie zatrzymamy biegu wypadków.

- Co masz na myśli?

- Czasami nie mamy wpływu na to, co się dzieje. Możemy tylko stać z boku i przyglądać się. I świadczyć prawdę.

Lydia ruszyła do drzwi. Powiedziały sobie już wszystko. Może zbyt wiele.

- Lyddy?

Odwróciła się w progu.

- My tutaj, na Prospect Street, jesteśmy niczym

jedna duża rodzina. Prawda, niewiele nas zostało. W naszych domach mieszkają teraz obcy ludzie. Wprowadzają się, wyprowadzają, nie zostaje po nich ślad. Ale ty i ja... łączą nas mocne więzy. Nie zamierzam ich zrywać, wiedz o tym, ale są siły, które mogą to uczynić.

- Jesteś stara, Dottie Lee. Starym ludziom zwidują się różne rzeczy.

- Przyjdź jeszcze kiedyś. Usiądziemy, dwie stare kobiety, porozmawiamy o minionych czasach.

Lydii stanął na moment przed oczami obraz dawnej Dottie Lee, młodej, uwodzicielskiej, przyciągającej do siebie wielkich tego świata. Nie, nie chciała wskrzeszać przeszłości.

Z dłonią na klamce pokręciła głową.

- Przyjdę na twoją stypę.

Nie pojechała prosto do domu. Wróciła do Faith, by sprawdzić, czy na pewno wyłączyła ekspres do kawy. Ostatnio ciągle o czymś zapominała, ale to z powodu nadmiaru zajęć, a nie demencji. Niech ją Bóg ma w swojej opiece. Przy pierwszych objawach Alzheimera Joe zamiótłby ją pod dywan jak wczorajszy kurz, a potem wygłosił serię przemówień na temat poprawy warunków w domach seniora, chociaż ilekroć jego partia proponowała reformy służby zdrowia, głosował przeciwko.

Joe Huston, ów najgorszy z wielu popełnionych przez nią błędów.

Ekspres był rzeczywiście włączony. Nalała sobie kawy i dopiero go wyłączyła. Właściwie co ona tu jeszcze robi? Powinna już jechać. Doskonale wiedzia-

ła, dlaczego zwłóczy. Ściany domu rozbrzmiewały nadal echem głosu Dominika Dubrova. Dottie Lee mogła sobie mówić, że rozmowa nie wskrzesi umarłych. Wskrzesiła. Po trzydziestu dziewięciu latach ciągle widziała jego twarz tak wyraźnie, jakby stał przed nią.

To tutaj, w kuchni, pocałowali się po raz pierwszy. Nie planowali tego, oczywiście. Miała o tyle wyższy status społeczny. Dla Dominika przekonanie, że wszyscy ludzie są sobie równi, nie było frazesem, dla niej tak. Choć z drugiej strony ona pokochała szczerze mężczyznę z niższej sfery, a on, też prawdziwie zakochany, nie sięgał zuchwale po całą Lydię, ciesząc się z kradzionych chwil, jakie były im dane. Bo było coś dużo ważniejszego od miłości. Oboje byli związani i obydwójce poważnie traktowali małżeństwo, choć dla innych powodów. Przez niego przemawiało głębokie poczucie odpowiedzialności za żonę i dziecko, a ona...

Odstawiła kubek i oparła głowę na dłoniach.

Ona? Była córką wpływowego polityka, władza miała dla niej magnetyczną moc. Przywykła do przywilejów z niej płynących, tytułów, jakie dawała, i uważała, że należał jej się mąż, który mógłby zapewnić jej jedno i drugie. Dlatego wyszła za Joego, ale zakochała się w Dominiku.

Nigdy nie miała go dość, zawsze chętnie witała go w progu domu, cieszyła się ciepłem jego ciała w łóżku. Nie prosił o nic poza kradzionymi krótkimi godzinami. Ona zaś, nawet jeśli myślała o czymś więcej, nigdy nie sformułowała tego w słowach. Nie próbowała spojrzeć w przyszłość, zbyt bowiem dobrze wiedziała, co tam zobaczy.

Nie wiedziała tylko, jak skończy się ich miłość.

Dominik żył namiętnościami. Każda chwila z nim miała intensywną barwę. Niewykształcony, znał się na wszystkim po trochu. Rozumiał istotę polityki, dostrzegał ożywiające ją iskry idealizmu, ze spokojną rezygnacją przyjmował jej kompromisy. Mógł śpiewać po włosku całe arie, kiedyś kupił jej w prezencie tanią reprodukcję „Narodzin Wenus” Botticellego, bo znalazł na niej odcień zieleni, który dobrze wyglądałby w salonie.

Wzruszała go kropla rosy na płatkach róży, złościł śmieć na chodniku. Im bardziej otwierał przed nią serce, tym bardziej go kochała. Żyła tylko dla dzielonych z nim chwil i odrzucała myśl o dniu, w którym się skończą.

Aż taki dzień w końcu nadszedł.

Dominik spóźnił się tego popołudnia. Jego syn często chorował, trzeba było szukać pomocy lekarza. Żona Dominika miała wieczne pretensje do losu o wszystko, a że los niewiele sobie z nich robił, obwinała męża. To przez niego mały ma astmę, to Dominik za mało pracuje, za wolno, w ogóle się nie przykłada i z tej biedy ona musi wyczekiwać długie godziny przed gabinetami lekarskimi. Sama nie może pójść do pracy, bo jakże zostawić chore dziecko z opiekunką? I ciągle tak pomstując na męża, szukała ujścia dla swoich żalów.

Lydia nie chciała słuchać o kłopotach małżeńskich Dominika, ze swojej strony starała się nie wspominać przy nim o Joem. Wspólne chwile miały należeć wyłącznie do nich. Joe tak wiele podróżował, tak

rzadko proponował jej, by z nim jechała, że czasami całymi tygodniami mogła udawać, że nie jest mężatką.

Wreszcie przyszedł kres fantazji.

Dominik przyszedł prawie godzinę później, niż się go spodziewała. Twarz miał ściągniętą, włosy w nieładzie, jakby je mierzwił cały dzień.

- Przepraszam, siła wyższa.

Skinęła głową i szerzej otworzyła drzwi. Wszedł, zdjął rękawiczki, rozdział zniszczoną kurtkę.

- Jesteś sama?

- Joe znowu wyjechał.

Nie objął jej. Zawsze czekał na zachętę, potwierdzenie, że Lydia naprawdę go chce.

Dzisiaj nie zrobiła żadnego gestu, tylko stała z założonymi na piersi rękoma, daleka, zamknięta w sobie.

- Twój syn znowu jest chory?

- Doktor mówi, że to przez drzewko. Musieliśmy je wystawić na śmietnik. Boria aż się popłakał. - Dominik miał taką minę, jakby zniszczył synowi dzieciństwo. - Sandor obiecał mu nowe, sztuczne małe i całe złote, ale co to za choinka?

Lydia rozumiała zatroskanie Dominika, ale nie mogła obudzić w sobie współczucia. Sama miała problemy, o których musiała mu powiedzieć.

Tylko nie wiedziała jak.

- Przykro mi. Mam nadzieję, że to przejdzie.

Dominik dotknął niepewnie jej policzka.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. - Stała sztywno, bała się, że jeśli wykona najmniejszy ruch, rzuci mu się w ramiona.

- Jesteś chora?

- Jestem w ciąży.

Opuścił rękę.

Z jego twarzy mogła wyczytać przebiegające mu przez głowę myśli. Dobrze zrobił, uciekając ze Związku Radzieckiego. Gdyby miał coś do ukrycia przed władzami, nigdy nie dokonałby tej sztuki.

- To dziecko Joego - wyjaśniła. - My zawsze uważaliśmy. - Prawdę powiedziawszy, służyły im do tego prezerwatywy Joego, których od dawna nie używał, doszedłszy do wniosku, że pora postarać się o dziecko. Lydia, mniej pewna decyzji, używała diafragmy, ale nie zawsze zdążyła ją założyć.

Joe lubił zaskakiwać żonę, podniecało go to i było jeszcze jedną wskazówką, kto rządzi w domu.

- No tak, uważaliśmy - zgodził się Dominik. - Ale jego przecież ciągle nie ma. Jak w takim razie mogłaś zajść w ciążę?

- Do tego wystarczy raz. Joe czasami jednak pojawia się w domu. - Czuła, jak zaczyna drżeć jej dolna warga. Przygryzła ją. Mocno. - On chce dziecka, Dominiku. Spałam z nim. Zabezpieczałam się, ale nie zawsze. Nie zawsze dawał mi szansę.

- Czas się zgadza?

Nie wiedziała dokładnie, od kiedy jest w ciąży. Brak miesiączki przypisywała wyczerpaniu, depresji. Ostatnio nic jej nie obchodziło, automatycznie wypełniała wszystkie obowiązki związane z domem i ze stanowiskiem Joego. Tak bardzo nie chciała dziecka, że nie dopuszczała tej możliwości do świadomości.

- To dziecko Joego - powtórzyła. - Ilekroć jest w domu, domaga się seksu. Nawet jeśli wpada tylko zmienić ubranie.

Dominik zeszywniał.

- To wszystko zmienia.
- Tak - przytaknęła drżącym głosem.
- Jak sobie poradzisz?

Jak sobie poradzi bez niego? Pytanie wypływało z autentycznej troski, bo zdawał sobie doskonale sprawę, ile dla niej znaczył. Z nim czuła się kimś, kim powinna być. Przy Joem była zaledwie dodatkiem.

- A ty?

Dominik wzruszył ramionami. Przyszedł zmęczony, teraz robił wrażenie zgnębionego. Błada twarz, pozbawione życia oczy.

- Mam Borię. A bez niego? - Znowu wzruszył ramionami.

Nigdy nie rozmawiali o dzielących ich różnicach, jakby obawiali się, że to może je pogłębić. Teraz nie było powodów obchodzić prawdy.

- Gdybym była dość silna, zostawiłabym Joego. Zrobiłabym to, ale brak mi odwagi. Znalazłabym pracę, sama wychowywała dziecko. Czekałabym na ciebie w małym mieszkaniu w śródmieściu, a ty przychodziłbyś, kiedy tylko udałoby ci się wymknąć z domu. Niestety jestem za słaba, Dominiku. Potrzebuję tego, co daje mi Joe. Zresztą on nie pozwoliłby mi odejść. Na pewno nie z dzieckiem.

- Żal.
- Musimy się pożegnać.
- W domu jest jeszcze dużo do zrobienia.
- Nie tak dużo. Sama się tym zajmę, jeśli będzie trzeba, najmę kogoś.

- Przyślę Sandora.

Chciała odmówić, powiedzieć, że każda łącząca ich nić będzie sprawiała jej za duży ból, ale zrozumiała, że

Dominik ofiarowuje jej w ten sposób część siebie. Skinęła głową i już nie była w stanie podnieść wzroku.

- Zdażyłem się przekonać, że niewiele jest szczęścia na świecie. Tylko dzięki tobie zaznałem odrobiny.

Łzy zaczęły spływać jej po policzkach.

- Lepiej już idź.

- Niech dziecko urodzi się zdrowe. Dziewczynka.

Chcesz mieć dziewczynkę?

Było jej wszystko jedno. Macierzyństwo zdawało się czymś tak odległym.

- Może...

- Zatem życzę ci, żeby to była dziewczynka.

Poczuła jego palce pod brodą. Dopiero teraz spojrzała mu w oczy.

- Zabiorę coś ze sobą na resztę moich lat - szepnął.

- Idź już, proszę.

Opuścił rękę z westchnieniem i odwrócił się. Nie włożył kurtki, chociaż padał śnieg.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Lydia się rozpłakała.

Trzydzieści dziewięć lat później znowu z jej oczu popłynęły łzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Niemal każdego ranka w drodze do pracy Boris wpadał do Faith. Przy kawie opowiadali sobie, co planują tego dnia, komentowali bałagan towarzyszący wyborom prezydenckim. Czasami, jak tego ranka, Boris nie spieszył się z wyjściem.

- Ciągle się boję, że któreś z dzieci nas przyłapie.
- Faith wyciągnęła się wygodnie na łóżku i oparła głowę na ramieniu Borisa. Był tak nienasycony, że kiedy kończyli się kochać, musiała długo wracać do przytomności.

- Przecież są w szkole.

- Wiem. Z racjonalnego punktu widzenia to oczywiście bzdura, ale jak widać, jeszcze nie do końca pozbyłam się zahamowań. Nie daj Boże, aby ktoś odkrył, że jestem istotą seksualną. A gdyby to miały być moje dzieci...

- Ty? Istotą seksualną? - Boris roześmiał się.

- Wiesz, gdybyś to ty był moim pierwszym kochankiem...

- Słucham?

- To, co uprawialiśmy z Davidem...
- Masz kłopoty ze zbudowaniem jednego pełnego zdania. Coś się stało z twoim mózgiem?
- To takie krępujące.
- Czujesz się skrępowana? Po tym, co robiliśmy przed chwilą?

Faith uśmiechnęła się. Tego ranka przerobili z Borisem co najmniej jeden rozdział z Kamasutry.

- Początkowo kochaliśmy się z Davidem często. Uważałam, że wszystko jest w porządku, chociaż brakowało radości. Czymś się dzieliliśmy, ale nic nie czerpaliśmy. Czy jasno się wyrażam?

- Bardzo jasno.

- To był pierwszy znak ostrzegawczy, zbyt mało jednak wiedziałam, żeby go odczytać.

- Ale spotkałaś mnie i drugi raz już nie popełniłabyś podobnego błędu?

Faith dała mu kuksańca za karę.

- Myślisz, że jesteś zabawny, ale skoro już wiem, czego mi brakowało w łóżku, resztę życia ułożę sobie jak Dottie Lee. Będę miała tabuny kochanków. W mieście zaczną mówić na mój widok: „to ta!”.

- Z jednej strony chciałbym to zobaczyć. Ty jako kobieta upadła. To musiałyby być naprawdę interesujące.

- A z drugiej?

- Byłoby mi żal, że nie jestem jedynym facetem, na którego czekasz rano z kawą.

- Hm... Więc może nie tak od razu zdecyduję się na rozpustne życie?

Nigdy nie rozmawiali o tym, co do siebie czują. Jeżeli nawet dla Borisa było to normalne, dla niej

z pewnością nie. Zawsze wierzyła, że seks, miłość i małżeństwo są ze sobą nierozłączne.

Jeszcze nie była gotowa na taką rozmowę. Zmieniała się, przeistaczała, i z tej przyczyny nie chciała teraz podejmować żadnych poważnych zobowiązań. Boris, jak się zdaje, nie podejmował ich nigdy. Oczywiście wobec kobiet.

- Rozumiesz teraz lepiej swojego męża?

- Pytasz, czy rozumiem fascynację Davida Abrahamem Steinem, bo zrozumiałam trochę lepiej, czym jest namiętność?

- Trochę lepiej? - udał obrażonego.

- Tycio.

Przyciągnął Faith do siebie i spojrzał jej w oczy.

- Chcesz jeszcze tego tycio?

- Ludzie, ratujcie! Toż to byłby rekord, nawet jak na ciebie.

- Biję rekordy w biznesie, mogę i w łóżku.

- Stajemy przed wyzwaniem.

- To wszystko, co czujesz?

Kiedy wyszła spod prysznic, Borisa już nie było. Wcześniej umówili się na kolację. Postanowiła, że tego wieczoru zostawi dzieci po raz pierwszy same. Spotkanie z nauczycielami córki trochę ją uspokoiło, bowiem zbuntowana panna podciągnęła się w nauce. Pani profesor od muzyki po raz kolejny powtórzyła, jak bardzo Remy jest utalentowana muzycznie.

Jeśli córka pomyślnie zda dzisiejszy egzamin z odpowiedzialności, Faith gotowa była radykalnie złagodzić restrykcje.

Wrzuciła pranie do pralki i zaczęła szykować się do

biblioteki. Kończyła szkic o swojej rodzinnej siedzibie i niedługo miała zacząć zbierać materiały o domu Joan i Cartera Melvinów. Podejrzała, że to Boris namówił Joan, by do niej zadzwoniła z oficjalną prośbą, ale było jej wszystko jedno, jak do tego doszło.

Ważne, że miała pierwsze zlecenie. Była bardzo podniecona.

- Dobrze, że jesteś - przywitała ją Dorothy. - Mam coś dla ciebie. Prosto z introligatorni. Roczник lokalnego tygodnika, który wychodził na początku lat sześćdziesiątych. Ktoś nam to niedawno przyniósł. Nakład był tak niski, że nie wiedzieliśmy nawet o istnieniu tytułu.

Faith wzięła ciężki tom do rąk.

- Dlaczego pomyślałaś o mnie?

- Bo się tym zajmujesz. To nie była zwykła gazетка, ktoś z zespołu kandydował do nagrody Pulitzera. Są tu rzetelne teksty na temat porwania. Tylko przekartkowałam, ale wygląda naprawdę ciekawie.

- Dzięki. Przejrzę i powiem ci, co znalazłam.

Nie powiedziała. Dorothy nie było akurat za biurkiem, kiedy godzinę później odniosła tom i wyszła z biblioteki.

Zebranie zarządu Scavengera przeciągnęło się niemal do szóstej.

To, co zaczęło się jako radosna twórczość kilku zwariowanych komputerowców, którzy wprawdzie mieli wspaniałe pomysły, a blade pojęcie o interesach, z czasem przerodziło się w dobrze funkcjonującą, przynoszącą krociowe zyski maszynę.

Przez ostatnie dwa lata Boris stopniowo pozbywał

się odpowiedzialności za firmę, aż, nie wiedzieć kiedy, nadszedł dzień, w którym praktycznie przestał być szefem. Pozostawał co prawda tytularnym prezesem, ale wszyscy wiedzieli, że ma taki wpływ na kierowanie Scavengerem, jak królowa Elżbieta na politykę Wielkiej Brytanii.

Miał do wyboru: albo odzyskać władzę, albo złożyć rezygnację. Co prawda Scavenger, mimo trudnej sytuacji gospodarczej, trzymał się na razie dobrze, ale coś wyraźnie zaczynało szwankować. Brakowało dawnego zapału, wiary we własne możliwości, nowych pomysłów. Było oczywiste, że stało się potrzebne silne kierownictwo, bo w innym przypadku udziałowcy zaczęną się wycofywać.

Po zebraniu Boris pojechał prosto do domu, zamiast pójść na obowiązkowego drinka z resztą zarządu. Jeszcze jeden znak, że tracił zainteresowanie Scavengerem. Kiedyś potrafił pić z kolegami do późnej nocy. Oni leżeli już pod stolikami, a on dalej całkiem przytomnie perorował o sprawach firmy. Lubił te pijatyki. Jeśli czekała na niego w domu kobieta, przypominał sobie o niej dopiero w drodze powrotnej do Georgetown.

O Faith pamiętał aż za dobrze.

Chociaż wolałby nie pamiętać. Ani o Faith, ani o decyzji, którą powinien podjąć. Najchętniej odsunąłby od siebie ten problem. Tak zawsze postępował. Za wszelką cenę unikać kłopotów, nieprzyjemnych i trudnych sytuacji, wszystkiego, co mogło wprowadzić chaos w jego życie. Żadnych radykalnych zmian, żadnych trosk.

Żadnych trwałych związków.

Wziął prysznic, przebrał się, zamierzał nawet się ogolić, ale uznał, że to przesada. W końcu wybierali się tylko na kolację do swojskiej „Filomeny”, gdzie zażywe włoskie *mammas* na oczach gości zagniatyły świeżą *pasta*.

Wiedział, że Faith nigdy tam nie była, a on bardzo chciał jej sprawić przyjemność.

Przypomniał sobie, co tego ranka powiedziała o innych „przyjemnościach”, w które samją wprowadzała. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest otwarta i jak przez to naraża się na zranienie. Była silną kobietą o miękkim sercu. Spotykał już kobiety łączące obie te cechy, ale żadna z nich nie odsłaniała się aż tak jak Faith. Niedawno, rok jeszcze nie minął, została bardzo skrzywdzona i pomimo to nie straciła ufności. Niezwykle.

Nie wrodziła się w swoją matkę. Podobnie jego matka nie poradziła sobie z osobistym dramatem. A Faith tak.

Wzuwał właśnie swoje ulubione buty, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Z Faith umówił się u niej w domu i nikogo się nie spodziewał, lecz właśnie ją ujrzał w progu.

- Cześć! - ucieszył się, jakby ktoś zorganizował mu przyjęcie-niespodziankę. Zaskoczyła go radość na widok Faith, tak różna od jego zwykłej reakcji, czyli strachu. Kiedy jakaś kobieta zaczynała pojawiać się bez zapowiedzi w domu Borisa, był to znak, że powinien skreślić ją ze swego życia.

- Cześć, Boris. Mogę wejść?

Otrzeźwiał w jednej chwili. Nie uśmiechała się. Nie pocałowała go w policzek. Sprawiała wrażenie spokoj-

nej, ale znała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że to tylko jakaś gra.

- Oczywiście. Właśnie wybierałem się do ciebie.
- Dlatego cię uprzedziłam.
- Faith, wszystko w porządku?
- Nie.
- Coś z dziećmi?
- Siedzą w domu i odrabiają lekcje.

Poczuł ulgę.

- Źle się czujesz? Jeśli tak, wcale nie musimy iść do „Filomeny”.

Minęła go bez słowa, weszła do salonu i stanęła sztywno przy kominku.

- Usiądź, proszę. Zaraz przyniosę coś do picia, chyba że chcesz zaraz wracać do domu i zapomnieć o naszym dzisiejszym spotkaniu.

- O wielu rzeczach chciałabym zapomnieć.

Zatrzymał się w drodze do kuchni.

- Chcesz...

- Niczego nie chcę od ciebie. Żadnego drinka. Żadnej kolacji. - Zawahała się, spojrzała mu w oczy.
- Nie, kłamię. Chcę jednej rzeczy.

- Mianowicie?

- Wyjaśnienia.

Zrozumiał, o co jej chodziło, a o czym on usiłował zapomnieć, wracając do domu.

- Uznałaś, że już pora?

- Chyba tak.

- Może jednak usiądziesz.

- Nie trzeba, to nie zajmie wiele czasu. Skrócę rozmowę i powiem ci, co wiem. Nie zawsze nazywałeś się Boris Quinn. Urodziłeś się jako Boris Quinn

Dubrov, jedyny syn Dominika Dubrova i Maureen Quinn Dubrov. Twój ojciec remontował nasz dom na Prospect Street i był podejrzany o porwanie Hope.

Boris usiadł, oparł łokcie na kolanach.

- Jak się dowiedziałaś?

- Ze starego artykułu w gazecie. Ktoś, kto miał bardzo dużo czasu, pracowicie odtworzył życiorys twojego ojca. Pada imię syna Dominika i panieńskie nazwisko żony.

Boris przeklinał się w duchu, że do tego doszło. Za długo zwlekał. Nie wiedział, jak postąpić.

- Mówił do mnie Boria. Tak zdrobnił moje rosyjskie imię. Matka mi o tym powiedziała w czasie jednego ze swoich pijackich ciągów. Ja nie pamiętam ojca. Zmarł, zanim skończyłem trzy lata. Wtedy mieszkaliśmy już w Kalifornii, bez niego. Matka miała nadzieję, że kalifornijski klimat zaleczy moją astmę. Zamieszkaliśmy w małym miasteczku niedaleko Palm Springs. Zarabiała sprzątaniami na nasze utrzymanie, pracowała prawie do samej śmierci.

- Wzruszające.

Sarkazm, tak niepodobny do niej, wskazywał, jak bardzo jest wściekła.

- Co jeszcze wiesz?

- Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, dlaczego mi nie powiedziałaś.

- Co miałem powiedzieć, Faith? Że wróciłem tutaj po studiach, bo musiałem sprawdzić, czego jeszcze zdołam dowiedzieć się o ojcu? Jest wiecznym podejrzany, jego nazwisko wraca w każdej dyskusji o porwaniu twojej siostry. Dlatego matka go zostawiła i zmieniła mi nazwisko. Nie mogła dłużej tak żyć.

- Zostawiła go, bo twój ojciec mógł to zrobić. A może wiedziała, że to zrobił?

- Nie natrafiłem na żaden, choćby najmniejszy dowód, który potwierdzałby winę ojca, a przeczytałem wszystko, co mogłem, na ten temat. Nawet gliny nie wierzą, że to zrobił.

- Jakie gliny? Próbowałam odszukać policjantów, którzy prowadzili sprawę, ale nie dotarłam do żadnego. Powiedziano mi, że wszyscy przeszli już na emeryturę.

- To prawda. Jednak kiedy ja zacząłem szukać, jeden z nich jeszcze pracował, a drugi został przeniesiony do Myrtle Beach. Pojechałem do niego.

- Daj mi ich nazwiska.

- Chętnie, ale ci ludzie nie mają nic do powiedzenia. Usłyszałem tylko tyle, że alibi ojca było niepodważalne i że nie znaleźli motywu porwania. Przeszukali nasze mieszkanie, furgonetkę ojca, nawet mieszkanie jego pomocnika. Nie znaleźli kompletnie nic.

Faith przesunęła palcem po gzymsie kominka.

- To dlatego zbliżyłeś się do mnie, prawda? Szukasz odpowiedzi. Chcesz dowieść raz na zawsze, że twój ojciec nie porwał Hope.

- Jestem mu to winien.

- A co mnie byłeś winien? Powiem ci: prawdę. Od samego początku.

Po raz pierwszy podniosła głos. Musiała być naprawdę wściekła. Czuł wstyd, a jednak chciał, żeby go zrozumiała.

- Jak byś zareagowała, gdybyś przy pierwszym spotkaniu usłyszała prawdę? Już to widzę. „Cześć, jestem Boris Quinn, ale naprawdę nazywam się

Dubrov. Moim ojcem był facet, o którym wszyscy myślą, że porwał twoją siostrę".

- Powiedziałybyśmy wtedy: „Jaki ten świat mały”. I nie miałabym racji. Znalazłeś się pod moim domem nie dlatego, że zainteresowało cię dwóch ludzi z pianinem, bo to dom cię interesował. Tak bardzo, że zajrzałeś do każdego kąta, pod pozorem, że chcesz mi pomóc w remoncie.

- Faith, przyjechałem do Waszyngtonu, żeby dowiedzieć się czegoś o ojcu. Niewiele znalazłem, ale zdążyłem pokochać to miasto. No i założyłem Scavengera. - Podniósł dłonie w geście prośby. - Zostałem tu i kupiłem dom w Georgetown, ale nie dlatego, że ojciec tu pracował. Tak mi się w każdym razie wydaje. Pokochałem Waszyngton, ale jeszcze bardziej pokochałem Georgetown. Czasami szedłem na Prospect Street, to prawda. Czy spodziewałem się spotkać ducha ojca? Czekałem, że ktoś mnie zaczepi i powie: „Och, przepraszam, jest pan trochę podobny do niejakiego Dominika Dubrova. Był posądzony o porwanie córeczki pewnego kongresmana, ale ja wiem swoje. Chce pan posłuchać?”.

- Tego się spodziewałeś?

- Faith, nie jestem aż tak stuknięty. Kiedy moje poszukiwania nic nie przyniosły, pogodziłem się z myślą, że nie dojdę prawdy. A potem pewnego dnia zobaczyłem wóz firmy przeprowadzkowej przed twoim domem.

- Reszta jest historią.

- Niezupełnie. - Podniósł się i podszedł do Faith. - Zrozum, wcale nie planowałem naszej znajomości. Początkowo zaintrygowało mnie, że mieszkasz na

Prospect Street. Przyjąłem to jako zrządzenie losu. Pomyślałem, że może dowiem się czegoś o naszej przeszłości, ale szybko zrozumiałem, że wiesz jeszcze mniej niż ja.

- Dlaczego wtedy mi nie powiedziałaś?

- Bałem się, że nigdy więcej nie zaprosisz mnie do swojego domu. Nie chciałem, żebyś mnie odepchnęła. Postanowiłem poczekać, aż nadejdzie odpowiednia chwila.

- A ty tymczasem będziesz mógł jeszcze trochę powęszyć? Na przykład poznać moich rodziców? Spotkanie z moją matką musiało być ekscytujące. Wreszcie zobaczyłeś kobietę, której porwano dziecko.

- To niegodny ciebie chwyt.

- A ukrywanie, kim jesteś, nie było chwytem niegodnym ciebie? Znajomość ze mną nie była?

- Jestem Borisem Quinnem od trzeciego roku życia. Boris Quinn to ja. Nie okłamywałem cię.

- Bawisz się w subtelności. Muszę już iść. - Faith zarzuciła torebkę na ramię. - Nie pokazuj się więcej, proszę.

Był jej winien coś więcej niż ciche słowa.

- Bałem się wyznać ci prawdę, Faith. Im bardziej się do ciebie zbliżałem, tym bardziej się bałem. Było mi wszystko jedno, czy poznam twoich rodziców. Wiedziałem, że od ciebie niczego się nie dowiem. Mogłem ci powiedzieć i zająć się swoimi sprawami.

- Ale?

Zaczynał się powtarzać, ale za wszelką cenę chciał naprawić błąd.

- Polubiłem cię. Polubiłem dzieci. Nie chodziło wyłącznie o przeszłość, nie myśl tak. Poczułem...

- Borisowi zabrakło słów. Te, które przychodziły mu do głowy, brzmiały obco.

- Boris, Boria, czy jak ci na imię, prawda jest prosta. Odeszłam od człowieka, który nie potrafił mi powiedzieć, kim jest. Teraz poszłam do łóżka z następnym. Chyba zupełnie nie znam się na mężczyznach.

- David kłamał, bo nie potrafił zmierzyć się z prawdą o sobie. Ja kłamałem, bo nie chciałem, żebyś ty musiała zmierzyć się z prawdą. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- W dniu przeprowadzki miałaś sposobność powiedzieć mi, kim jesteś. Nie skorzystałaś z niej. Uczę się powoli. Może jestem nieprzystosowana do rzeczywistości, ale się uczę.

Wiedział, że Faith zaraz wyjdzie i że żadnym sposobem nie potrafi jej zatrzymać. Mógł tylko powiedzieć coś, co słyszałyby jeszcze w drodze powrotnej do domu.

- Jesteś dla mnie ważna, z każdym dniem stawałaś się ważniejsza. Nie powiedziałem ci, kim był mój ojciec, bo nie chciałem cię stracić. Po prostu.

Podeszła do drzwi, ale w progu jeszcze się odwróciła.

- Straciłeś mnie, Borisie. Miałaś jednak szczęście. Kobieta, która jest tak fatalną znawczynią charakterów, to kiepski nabytek. Idź do „Filomeny” i wypij za to, że ci się upiekło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Cały tydzień Faith borykała się z sobą, kwestionowała swój charakter, rozum i umiejętność osądzania czegokolwiek, w końcu jednak doszła do wniosku, że to ona miała szczęście. Zważywszy, ile czasu zabrało jej poznanie prawdy o Davidzie, w przypadku Borisa przejrzała na oczy oszałamiająco szybko. Obeszło się bez wielkich strat. Jej serce nie zostało rozbite na kawałki, co najwyżej doznało lekkiego uszczerbku.

Straciła tylko przyjaciela i kochanka. Znowu.

Witajcie w lepszym świecie.

- Nie rozumiem, czemu mam tam jechać.

Rodzina Bronsonów, w każdym razie to, co z niej zostało, wybierała się do Great Falls z okazji urodzin Joego.

Faith odłożyła na chwilę decyzję, które buty włożyć, i podniosła wzrok na nadąsaną córkę.

- Czemu, czemu... - fuknęła zniecierpliwiona.
- Temu, że to twój dziadek.

- Jutro klasówka. Jak się nie przygotuję, znowu dasz mi szlaban. A niedługo Dzień Dziękczynienia.

- Uczyłaś się całe popołudnie, prawda?

- To za mało.

- Wiedziałaś, że mamy jechać do dziadków na przyjęcie urodzinowe. Źle sobie rozplanowałaś czas. Idź się przebrać, Remy. Za kwadrans ruszamy, a nie pojedziesz do Great Falls w tym, co masz na sobie.

- Dlaczego nie? - Czarny T-shirt Remy kończył się pięć centymetrów powyżej pępka, w którym brakowało tylko kolczyka.

- Bo jest listopad. Bo temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni i na dworze jest zimno. Bo dziadkowie nie muszą oglądać twojego pępka. Ja też nie.

- Jesteś beznadziejna.

Faith wzięła jeden but, drugi.

- Prawda. Ale nie bezradna. Tak nie pojedziesz do Great Falls. Jeśli natychmiast się nie przebierzesz, nie pojedziesz nigdzie przez następne tysiąclecie. Czaisz bazę?

Zdumiona Remy wpatrywała się w matkę jak w babę-dziwo. Groźby tak bardzo nie leżały w charakterze Faith, że sama zaczęła się zastanawiać, co za diabeł ją opętał.

- Trujesz. - Dziewczyna odwróciła się na pięcie.

- Trujesz, trujesz, trujesz! - Trzasnęły drzwi.

Faith usiadła i podparła głowę dłońmi. Ostatnio wszystko ją denerwowało, chodziła zła, dzieciom się niewinnie obrywało, ale niech ją piorun trzaśnie, za nic nie przeprosi.

Ruszyli wreszcie w drogę. Remy miała na sobie w miarę znośną spódnicę i sweter, Alex sportową koszulę i jedyne niedżinsowe spodnie, jakie posiadał. Dziadkowie powinni zaaprobować takie ubrania.

Przynajmniej ubrania. Faith miała nadzieję, że przyjęcie skończy się szybko. Żał jej było dzieci.

- Będzie ktoś jeszcze? - zapytał Alex, kiedy zbliżali się do Great Falls.

- O ile wiem, nie. Zjemy kolację, potem dziadek pokroi tort, dacie mu prezent i wracamy do domu. Jutro idziecie do szkoły.

- Dzięki Bogu! - mruknęła Remy.

- Panu od ścisłych spodobał się mój projekt na targi szkolne - pochwalił się Alex.

Faith byłaby puściła mimo uszu tę informację, ale ostatnie słowa przykuły jej uwagę.

- Targi szkolne?

- Uhu. No wiesz, już ci mówiłem w zeszłym tygodniu.

Nic nie pamiętała, ale miniony tydzień spędziła odwrócona plecami do rzeczywistości.

- Przypomnij mi.

- Chcę napisać program komputerowy, który przewiduje zachowania zwierząt. Wykorzystam Lefty'ego. Będę go obserwował przez tydzień, codziennie po kwadransie, o różnych porach. I będę obliczał, ile razy w tym czasie wchodzi na koło do biegania, ile razy pije wodę...

- Ile sady bobków - podsunęła usłudźnie Remy.

Alex potraktował siostrę jak powietrze.

- Potem wprowadzę dane do programu, a on obliczy, ile razy dziennie Lefty powtarza każdą czynność i o jakiej porze.

- Wielkie mi mecyje. Wystarczy dodać wartości, a potem je uśrednić. Każdy to potrafi obliczyć w pamięci - powiedziała Remy.

- Nieprawda. Odpowiedź jest uzależniona od określonych zmiennych. Będę stosował różne bodźce. Na przykład jak się Lefty zachowuje przy zapalonym świetle, jak przy zgaszonym...

- To głupie. Przy zgaszonym guzik zobaczysz.

- Remy! - Faith ofuknęła córkę i zwróciła się do Aleksa: - Naprawdę brzmi ambitnie. Potrafisz napisać taki program?

- Jak czegoś nie będę wiedział, Boris mi pomoże.

Nie powiedziała dotąd dzieciom o Borisie, teraz nadszedł czas.

- Boris nie będzie już do nas przychodził - zakomunikowała lekkim tonem. - Postanowiliśmy przestać się widywać.

- Jak to? A niby dlaczego? - oskarżycielskim tonem zapytał Alex. - To nie w porządku. On jest też moim przyjacielem.

- Bardzo cię lubi i to, że nie będzie już przychodził, absolutnie nie ma nic wspólnego z tobą. Sprawa między dorosłymi.

- Kochankowie się kłóca. Ale reality show - podsumowała Remy.

- Dzień, w którym zaczniesz mieć prawdziwą frajdę z nieszczęść innych ludzi, będzie najczarniejszym dniem w twoim życiu, Remy. Nie dopuść do tego. - Omal nie przegapiła zjazdu z autostrady. Zorientowała się w ostatniej chwili, za szybko wzięła zakręt i samochodem zarzuciło.

- Wspaniale, mamó. Zabij nas, co będziesz sobie żałować. - Remy miała na wszystko komentarz.

- Alex - podjęła Faith, kiedy trochę się uspokoiła.

- Tata ci pomoże pisać program. Nie zna się na

komputerach tak jak Boris, ale wie dość, żeby ci doradzić.

- Aha - przytaknął Alex bez przekonania. Nie miał nic przeciwko pomocy Davida, ale już zaczynał tęsknić za Borisem.

Faith marzyła o tym, żeby ten wieczór wreszcie się skończył.

Kilka dni przed urodzinami ojca Faith pojechała specjalnie do biur senatu, żeby go przeprosić. Wyслуchał jej z kamienną twarzą, skinał głową i już. Zapytał, jak się mają dzieci, odpowiedziała uprzejmie. Rodzinne animozje zostały zażegnane i Faith wróciła do łask, co wkrótce potwierdziły dwa telefony od sekretarki Joego. Pierwszy z pytaniem, czy chce bilet na galę w Kennedy Center, drugi z propozycją, by poprowadziła przyjęcie gwiazdkowe dla dzieci w Richmond. Biletu nie chciała, ale drugą propozycję przyjęła.

- Tutaj zawsze mi przypominasz, żebym przeżuwał z zamkniętymi ustami. - Alex wskazał pierwszy stopień prowadzący do rezydencji dziadków. Potem drugi. - A tu mi mówisz, żebym nie brał ciasta palcami.

- Podziękujesz mi pewnego dnia, kiedy zostaniesz już prezydentem i będziesz podejmował kolacją króla Anglii.

W drzwiach pojawiła się Marley.

- Jaka dziś pogoda? - zapytała Faith, kiedy dzieci, serdecznie wyściskawszy gospodynię, zniknęły w głębi holu.

- Senator lodowaty niby górski potok. Idzie sika-wica. - Marley, wielka miłośniczka reggae, nie gardziła też folkiem.

Czyli normalny stan w dzień uroczystości, pomyślała Faith.

- Najgorzej, że zapowiedział się jakiś reporter - ciągnęła Marley. - Zrobi zdjęcia rodzinne, no i pewnie będzie pytał senatora, co sądzi o opłakanym stanie kraju.

- Kiedy się zapowiedział?

- A jakiś czas temu, ale twoja mama nic nie wie.

To oczywiście, w przeciwnym razie Lydia nie omieszkałaby uprzedzić córkę, żeby „przyzwoicie” ubrała dzieci.

- Gdzie mama?

- W swoim pokoju. Przebiera się.

Faith nie pytała, gdzie jest ojciec. Z wieloletniego doświadczenia wiedziała, że zamknął się w swoim gabinecie i wyjdzie dopiero wtedy, gdy jedzenie będzie już na stole.

- Pójdę do niej.

Przeszła do skrzydła, w którym znajdowały się apartamenty Lydii, i cicho zapukała do drzwi. Rozległ się łoskot, Lydia mruknęła coś nieskładnie, wreszcie zawołała:

- Proszę.

Faith ostrożnie wetknęła głowę do pokoju.

- Coś upadło?

- Lampa. Zawadziłam o nią ręką.

- Rozbiła się?

- Chyba nie. - Lydia zaprosiła córkę do środka.

- Dopiero przyjechaliście?

- Ale zdążyłam już usłyszeć, że mamy pozować do zdjęć.

- Znasz ojca. Takie drobiazgi jak rodzinne spotkania nigdy nie przeszkadzały mu w realizowaniu swoich ambicji.

Faith zdumiała się. Nigdy wcześniej nie słyszała z ust matki komentarzy na temat atmosfery panującej w domu. Nigdy też nie była świadkiem kłótni rodziców. Spory, jeśli takowe były, rozstrzygali w kilku dobrze wyważonych słowach i powstrzymywali się od krytycznych uwag, w każdym razie w jej obecności.

- Na szczęście dopilnowałam, żeby dzieci ubrały się porządnie - powiedziała.

- Co znaczy kindersztuba. - Lydia umocowała kolczyk. - Przepraszam, że cię narażam na takie idiotyzmy. Mogłabyś ciekawiej i z ciekawszymi ludźmi spędzić czas.

Matka mówiła o Borisie.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo - stwierdziła Faith, siadając na łóżku.

- Pan Quinn wyjechał?

- Dowiedziałam się o nim czegoś, co uniemożliwia nasze dalsze kontakty.

Lydia odwróciła się gwałtownie.

- Jeśli mi powiesz, że i on jest gejem, nie uwierzę.

Faith nie miała w zasadzie powodów, by informować matkę, kim jest Boris, ale była ciekawa jej reakcji. Może niepotrzebnie wracała do sprawy, może odzywał się w niej sadyzm, ale chciała wreszcie znaleźć odpowiedź.

- Boris Quinn nie jest żadnym Quinnem - zaczęła.
- To nazwisko jego matki.

- Chcesz powiedzieć, że był, jak się wtedy mówiło, nieślubnym dzieckiem? To ma dla ciebie znaczenie? Zaskakujesz mnie.

- Nie. Był, jak się wtedy mówiło, ślubnym dzieckiem. To syn Dominika Dubrova.

Lydia pobladała, opuściła ręce, zapomniała o drugim kolczyku.

- Syn Dominika?

- Wiedziałaś, że miał dziecko?

- Synka, Borię.

Faith zdziwiła się, że matka wie i że tak dobrze pamięta.

- Boria to tylko zdrobnienie. Matka dała mu swoje nazwisko, żeby nikt nie kojarzył go z ojcem.

- No i udało się. - Lydia osunęła się na fotel przy toalecie. - To musiał być dla ciebie szok.

- Zdaje się, że dla ciebie też.

- To... To było tak dawno temu, ale ciągle wraca.

- Musiałaś zaprzyjaźnić się z Dominikiem Dubrovem, kiedy u nas pracował, skoro wiesz, jak jego syn miał na imię.

- To mały, ciasny dom, Faith. Ciągle na siebie wpadaliśmy. Rozmawialiśmy o remoncie, dyskutowaliśmy. - Lydia usiłowała nałożyć kolczyk, ale jakoś nie mogła umieścić go na właściwym miejscu. - Dominik był miłym człowiekiem. Pytałam go o żonę, o dzieci, ot, z uprzejmości. Pamiętam, że chłopiec często chorował. - Przerwała na moment. - Kto by się domyślił, patrząc na pana Quinna, że był takim chorowitym dzieckiem.

- Jak rozumiem, Dominik miał klucz do naszego domu, prawda?

- Oczywiście, że miał. Mnie częściej nie było, niż byłam, kiedy pracował. Jak Boris zareagował, kiedy usłyszał, że wiesz?

- Tłumaczył, że czekał na odpowiedni moment, żeby mi powiedzieć. Bał się, abym nie pomyślała, że wkradł się w moje życie tylko po to, by dowiedzieć się czegoś o porwaniu.

- Czego, na litość boską? Jego ojciec nie został nigdy postawiony w stan oskarżenia.

- Może chce wiedzieć, dlaczego Dominik się powiesił. - Widząc, że Lydia zamilkła na dobre, Faith wstała i ruszyła ku drzwiom. - Pójdę zobaczyć, co robią Alex i Remy.

- Faith?

- Tak?

- Kiedy Hope zniknęła, podejrzewałam wszystkich wokół. Leżałam w nocy w łóżku i wymyślałam różne scenariusze. Ten ją porwał, bo chciał zemścić się na twoim ojcu. Ta ją zabrała, bo była bezpłodna i nie mogła mieć własnych dzieci. Pomału zaczynałam wariować. Nigdy jednak nie pomyślałam, że mógł to zrobić Dominik. Był łagodnym, głęboko uczciwym i honorowym człowiekiem. Jego syn powinien o tym wiedzieć.

- Tak. Ale jego syn będzie to musiał usłyszeć od kogoś innego.

Przyjęcie skończyło się wcześniej. Faith z dziećmi wyszła o dziesiątej, zaraz po niej pożegnał się fotograf. Lydia została sama i mogła wreszcie spokojnie pomyśleć o synu Dominika.

Wiedziała, że Boria gdzieś tam żyje, ale nigdy nie

próbowała go odszukać. Co miałyby mu powiedzieć? „Byłam kochanką twojego ojca. Nikt na świecie nie kochał go tak jak ja, a już na pewno nie twoja matka. Bardzo go przypominasz”. Te słowa miał od niej usłyszeć?

Życzyła chłopcu dobrze. Miała nadzieję, że wyrósł z astmy, że ma co jeść, że może się kształcić.

Co powiedziałyby Dominik, gdyby ujrzał Borisa Quinna, twórcę ogromnej firmy internetowej? Boris Quinn, człowiek sukcesu, syn imigranta podejrzanego o głośne porwanie.

Takie rzeczy są możliwe tylko w Ameryce.

Teraz rozumiała, co miała na myśli Dottie Lee, mówiąc o działaniu tajemniczych sił, które są poza kontrolą. Musiała wiedzieć, kim naprawdę jest Boris. Może sama Lydia coś przeczuwała? Przy pierwszym spotkaniu wydał się jej dziwnie znajomy, ale gdzie mogłaby go wcześniej spotkać? Nie wiedziała. Nie był podobny do Dominika, lecz jakoś go przypominał, ta sama postawa, budowa, coś w oczach.

- Schowała już pani porcelanę? - Dojadalni wkroczyła Marley. - Nie wiem, czemu pani mi nie pozwoliła. Stłukłam coś kiedyś w tym domu?

Następnego ranka po przyjęciu Lydia rzeczywiście zabrała się do chowania swojej najlepszej zastawy.

- To nasz prezent ślubny. Półmisek na jarzyny dostaliśmy od Mike'a Mansfielda, wagę na zupę z najlepszymi życzeniami od Kennedych. Joe chciał ją natychmiast odesłać, ale za nic nie mógł tego zrobić. Co z tego, że nienawidził Jacka Kennedy'ego jak psa, ale musiał z nim współpracować, więcej, wypełniać jego polecenia. Gdyby mógł, rzuciłby mu się do gardła

i zagryzł. - Lydia podniosła wzrok i napotkała zdumione spojrzenie Marley. - No właśnie, czasami nawet mnie zdarza się powiedzieć o kilka słów za dużo.

- Nie tak znowu czasami. Bodajże pierwszy raz.

- Może nie ostatni. Nie zwracaj na to uwagi.

- Lydia cofnęła się, podziwiając ekspozycję w serwantce. - Wybieram się do miasta. Potrzebujemy czegoś?

- Niech pani zajdzie gdzieś na kawę, siądzie sobie, odpocznie. Wygląda pani na zmęczoną.

- Może tak zrobię.

- Albo niech pani jedzie do swojej masażytki.

Lydia rzeczywiście czuła się tak, jakby wszystkie mięśnie miała zawiązane w jeden wielki supeł.

Wbrew zapowiedzi, nie pojechała do sklepów w Great Falls, tylko skręciła w drugą stronę i dwadzieścia minut później zatrzymała się przed niewielkim bankiem w Reston. Odnalazła kierownika filii i powiedziała mu, o co chodzi. Po chwili stała przed schowkiem depozytowym.

Joe nie wiedział o schowku, choć prawdopodobnie coś podejrzewał. Był zarejestrowany na panińskie nazwisko Lydii, a adwokat miał dokładne instrukcje, jak po jej śmierci rozporządzić jego zawartością.

Nie wiedziała, dlaczego przyjechała tu dzisiaj. Joe w żadnym wypadku nie miał prawa dowiedzieć się o jej sekrecie, tym bardziej zdobyć klucz. W schowku przechowywała oryginały dokumentów, ale były też kopie w innych miejscach. Joe wiedział, że nie jest głupia. Jeśli chciał zapewnić sobie jej milczenie, musiał honorować układ, który zawarli dawno temu.

Czasami jednak, jak chociażby dzisiaj, musiała się

upewnić, że papiery nadal znajdują się na swoim miejscu.

Przesunęła po nich palcem, uniosła wierzchnią kartkę i usatysfakcjonowana zamknęła na powrót schowek. Oparła dłonie o drzwiczki i zamknęła oczyma w bezgłośniejszej modlitwie.

Ale nie czuła spokoju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W połowie grudnia Faith wybrała się obejrzeć pierwszy etap targów szkolnych. Rano pomogła Aleksowi przewieźć Lefty'ego, pożyczony od Davida laptop i tablicę z wykresami oraz zdjęciami.

Popołudniowa wizyta na targach miała być pierwszym od momentu separacji wspólnym wyjściem Faith i Davida, jednak plany uległy zmianie, bo o drugiej zawiadomiono ją o pilnym spotkaniu z nauczycielami Remy. Zmęczona samotnym borykaniem się z rodzicielskimi kłopotami, zadzwoniła do Davida, prosząc, żeby z nią poszedł. Zgodził się chętnie, bo znów poczuł się potrzebny.

Na R Street odruchowo chciała skręcić do biblioteki. Przez ostatnie tygodnie pracowała zawzięcie. Skończyła pisać historię domu na Prospect Street, uporała się też ze zleceniem Melwinów. Fakt, że bungalow w Glover Park należał w czasach prohibicji do głośnego przemytnika alkoholu, tak zachwycił Joan, że rozdała kopie szkicu wszystkim swoim znajomym. Reklama działa cuda i Faith szybko otrzymała

nowe zlecenia. Nikt nie mrugnął okiem, kiedy przyszło do ustalania ceny, a jeden z klientów przysłał nawet zaliczkę.

Dom na Prospect Street powoli stawał się prawdziwym domem, z każdym dniem przytulniejszym. Salon i jadalnię Faith pomalowała na ciemnozielono, kuchnia jaśniała kością słoniową, w sypialniach pojawiły się nowe tapety. Ku zaskoczeniu matki, Remy zdecydowała się na delikatny fiolet z wzorem z przełomu wieków, a Alex, z pomocą Faith, pomalował swój pokój na rdzawoczerwono.

Na ścianach zawisły wreszcie obrazy, ostatnie kartony zostały rozpakowane, a kanapa pyszniła się nowymi poduchami.

Zbliżały się święta i termin orzeczenia o rozwodzie. Faith zaczynała nowe życie. Szkopuł w tym, że witała je bez szczególnego entuzjazmu. Teraz, kiedy wreszcie mogła złapać trochę oddechu, otwierała się przed nią pustka.

David czekał na nią przed wejściem do szkoły. Wyglądał znacznie lepiej, niż kiedy widziała go ostatnim razem. Uśmiechnął się na widok Faith, ale wyraźnie nie był pewien, jak zostanie przyjęty.

- Dobrze wyglądasz, Davidzie. Robisz wrażenie odprężonego.

- Moje sprawy zaczęły się wreszcie układać. - Nie wdawał się w szczegóły.

W pobieżnych rozmowach, jakie prowadzili w ostatnich miesiącach, nigdy nie wspomnieli o Steinie, a Faith nie pytała. Teraz się zdecydowała.

- Mieszkasz nadal z Hamem?

- Tak.

- Musiał być dla ciebie dobrym wsparciem. David nie wiedział, co odpowiedzieć.
- Ty też dobrze wyglądasz, Faith.
- Jestem zmęczona. Miałam ostatnio mnóstwo pracy.
- Alex mówi mi o wszystkim. Czy to prawda, że dom prawie jest już gotowy?
- Jeśli wygram na loterii i będę mogła przebudować poddasze. To następna faza remontu.
- Trochę tu inaczej niż w akademii - zauważył David, kiedy weszli do szkoły.
- Inny świat. - Wzruszyła ramionami.
- Zmiana wyszła Aleksowi na dobre. Dawno powinniśmy byli pozwolić, żeby sam sobie wybrał szkołę. Niestety myślałem tylko o tym, na kogo chciałbym go wy kierować.
- Faith zdziwiła ta samokrytyka.
- Na kogo?
- Na kogoś takiego jak ja. - Uśmiechnął się szeroko. - Tyle że w wersji hetero.
- Nie wiem, dlaczego we wszystkim ci ulegałam. Gdybyśmy się nie rozstali, zesłabym z tego świata przekonana, że moje opinie niewarte są szarych komórek, w których się uległy.
- Zawsze szanowałem twoje zdanie.
- Pod warunkiem, że zgadzało się z twoim. - Postanowiła nieco złagodzić własne słowa: - Ale dlaczego miałbyś być inny? Byłam dorosła, mogłam się przeciwstawić. Jak tylko przyszłam na świat, ktoś uruchomił mi w mózgu program przytakiwania, i tak już zostało na długie lata. Ale teraz to się zmieni. Nigdy więcej wątplenia w sobie.

- Cieszę się. - Chyba rzeczywiście się cieszył, czym po raz kolejny wprowadził Faith w zdumienie.

Weszli do sali gimnastycznej, gdzie odbywały się targi. Ujrzeni tłumy rodziców i dzieci, na ścianach wisiały tablice prezentacyjne.

- Wiesz, gdzie Alex ma swoje stoisko?

- Nie mam pojęcia. Kiedy go rano odwiozłam, wszystko zaniósł do klasy.

Przechodzili obok wykresów opisujących właściwości izolacyjne powietrza, przewodnictwo rozmaitych cieczy, składu past do zębów. Jakiś zmyślny młody człowiek wyliczył, która marka ręczników papierowych najlepiej wchłania wilgoć. Faith odnotowała ją sobie w pamięci.

W alejce biologii znaleźli wreszcie syna w otoczeniu zachwyconych kolegów.

Faith natychmiast zrozumiała, skąd to powodzenie. Projekt Aleksa od początku był dobrze pomyślany, ale efekty okazały się zaskakujące. Chociaż pomagała mu w przygotowaniach, jeszcze nie widziała ostatecznej prezentacji.

- Ja przepraszam, ale zajawka! - Chłopiec, na oko bardziej w wieku Remy niż Aleksa, odsunął się, odsłaniając jej widok.

Lefty, a raczej jego animowany sobowtór, przebiegł przez kuchnię do lodówki, otworzył ją, wyciągnął butelkę wody i napił się cztery razy pod rząd. Machnął ogonem i mrugnął łobuzersko oczkiem.

- Według moich badań - tłumaczył Alex - w południe, kiedy w pokoju jest cisza, a okna są przysłonięte, Lefty cztery razy pije wodę ze swojej butelki. Jeśli zmienię porę i warunki - tu kliknął kilka razy myszką

- zmieni się częstotliwość picia. - Lefty trzy razy odwiedził lodówkę.

- Pani Bronson?

Faith odwróciła się i zobaczyła profesora od przedmiotów ścisłych, który uczył Aleksa. Młody, dobrze zbudowany, robił raczej wrażenie trenera niż mola książkowego. Według relacji Aleksa dzieciaki uważały, że pan Salter jest w porządku, bo kiedyś grał zawodowo w hokeja. Przedstawiła Davida i zaraz ułała się z niej matczyna duma:

- Świetne. Alex nie pokazywał mi wcześniej animacji.

- Podobno bardzo długo nad tym pracował. - Pan Salter zerknął podejrzliwie na Davida. - Pan mu pomagał?

- Niewiele.

- Ja w ogóle mu nie pomagałam. - Faith podniosła rękę. - To Alex nauczył mnie pracować na komputerze.

- Projekt jest rzeczywiście świetny i z całą pewnością zasługuje na nagrodę. Nie tylko bardzo zaawansowany, ale twórczy i mądrze zrealizowany. Państwa syn to nie byle jaki umysł.

Faith zrobiło się ciepło na sercu. Pożegnała się z panem Salterem i podeszła do Aleksa.

- Cześć, smyku. Pokażesz mi jeszcze raz, jak Lefty otwiera lodówkę?

- Cześć, mama! Myślałem, że przyjdiesz później.

- Alex zrobił wielkie oczy na widok ojca. No cóż, po raz pierwszy od roku znów byli jak prawdziwa rodzina...

- Jesteśmy z ciebie naprawdę dumni - powiedziała Faith, kładąc akcent na „jesteśmy”. - Wspaniały projekt.

- Zaskoczyłem cię?

- Czy mnie zaskoczyłeś? Nie miałam pojęcia, że przygotujesz taką skomplikowaną rzecz. - Pomyślała o Borisie, o tym, jak bardzo ucieszyłby go sukces Aleksa. Jakby go wyczarowała, bo oto szedł w ich stronę.

Teraz zrozumiała zaskoczenie syna. Nie wiedząc jeszcze o spotkaniu z nauczycielami Remy, powiedziała mu, że przyjdzie tuż przed zamknięciem pokazu, więc Alex umówił się z Borisem na wcześniejszą godzinę. Zaprosił na szkolne targi prezesa największego portalu internetowego, żeby pokazać mu biegającego po ekranie laptopa animowanego szczurka, i Boris przyjął zaproszenie.

Dostrzegł Faith w ostatniej chwili.

- Witaj.

Poczuła na sobie spojrzenia Davida i Aleksa. Zachowuj się swobodnie, nakazała sobie w duchu.

- Szukasz nowych talentów?

- Szkoła to najlepsze miejsce. - Boris zwrócił się do Aleksa: - Pochwal się, co tam masz.

Alex wyjaśnił, w czym rzecz, i Boris określił warunki: wieczór, przyciemnione światło. Po chwili Lefty rozpoczął swoje płyśy na ekranie.

- Wspaniałe.

Obaj komputerowcy wdali się w skomplikowaną dyskusję na temat animowanych gifów i apletów, z której Faith nic nie rozumiała.

- Kto to? - zapytał David cicho.

Faith przez chwilę szukała odpowiedzi.

- Znajomy z Georgetown - oznajmiła po dłuższym namyśle.

Kiedy kolejna fala uczniów odepchnęła Borisa od stołu, Faith przedstawiła go Davidowi.

- Alex wspominał mi o panu - powiedział David.

- Wasz syn ma naprawdę twórczy umysł. Może być dumny ze swojego projektu. - Boris zerknął na Faith. - Co u ciebie?

Tysiąc pytań zawierało się w tych trzech krótkich, banalnych słowach.

- Mam mnóstwo pracy. Jak twój dom?

- Remont trwa, jak zwykle.

Patrzyli na siebie bez słowa. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przez ostatni miesiąc ciężko pracowała nad tym, żeby wyrzucić Borisa z pamięci, lecz wystarczyło przypadkowe spotkanie i znalazła się znowu w punkcie wyjścia. No cóż, nie udało się zapomnieć. Dokonała tylko sublimacji, uwznioślenia swego uczucia. Spora różnica.

- To miło, że przyszedłeś - wykrztusiła w końcu.

- Alex dzwonił do ciebie?

- Odmawiam odpowiedzi, Piąta Poprawka mi pozwala.

- Brakuje mu ciebie. - Nie miała pojęcia, jakim sposobem wymknęły się jej te słowa. Czy to język nie okazał posłuszeństwa, czy serce nie było tak oziębłe, jak jeszcze wczoraj jej się wydawało?

- Mnie brakuje jego. - Zerknął na Aleksa i znów utkwiał spojrzenie w Faith. - Nie tylko jego.

Opanowała się siłą woli.

- Miło było cię spotkać. Musimy jeszcze obejrzyć inne eksponaty. Alex na pewno zrobi mi sprawdzian, kiedy wieczorem wróci do domu.

Boris skinął głową Davidowi.

- Miło było pana poznać. Ma pan wspaniałego syna.

- Dziękuję. Wiem o tym.

- Do widzenia, Faith.

Ruszyła alejką między stołami. Oczywiście nic nie widziała, na niczym nie potrafiła skupić uwagi. Sprawi zawód synowi.

- Jadłaś już lunch?

Spostrzegła, że David idzie obok niej.

- Nie zdążyłam.

- Do spotkania z nauczycielami Remy mamy jeszcze godzinę. Zauważyłem małą knajpę niedaleko stąd, moglibyśmy tam porozmawiać.

O czym mieli rozmawiać? Czasy miłych małżeńskich pogawędek dawno minęły. Nie należeli już do świata, w którym panuje ład, porządek i zasady moralne. Byli teraz wyrzutkami.

- Faith, zrobiliśmy pierwszy krok w kierunku rozejmu. Spróbujmy jeszcze nad tym popracować - przekonował David. - Aha, jeszcze coś. Czytaj nazwy mijających eksponatów, kilka na pewno zapamiętasz.

- Od kiedy to stałeś się wegetarianinem? - W samoobsługowej knajpce David wybrał dla siebie sery i owoce. - Ten człowiek ma ogromny wpływ na ciebie. - W słowach Faith nie było jadu, raczej ciekawość.

- Myślę, że o pewnych sprawach raczej nie powinniśmy rozmawiać.

- Czyżby? Gdybyśmy sporządzili ich listę, byłaby tak długa jak stąd do Nepalu. Spójrzmy prawdzie w oczy: do końca życia jesteśmy skazani na siebie. Albo ze szkodą dla dzieci będziemy obchodzić prawdę

na palcach, albo zaczniemy rozmawiać jak dwoje ludzi, którzy byli kiedyś przyjaciółmi.

- Nie chcę, żebyś znów przeze mnie cierpiała. Dość bólu ci zadałem.

- Nie jesteś już w stanie mnie zranić.

David zajął się swoim sandwiczem, Faith otworzyła chipsy.

- Czy pan Quinn ma z tym coś wspólnego? - zapytał po chwili.

Teraz Faith poczuła się nieswojo.

- Tak, Ham ma na mnie duży wpływ - podjął David, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi. - Ten facet żyje w absolutnej zgodzie z samym sobą, gdy mi się to nigdy nie udawało.

- Masz na myśli zgodę na to, że jest się gejem?

- Przede wszystkim, ale i godzenie się z własnymi wadami. Nie mówię, że z nimi nie walczy, ale potrafi akceptować siebie.

Nigdy, myśląc o Davidzie, nie zastanawiała się, jak musi wyglądać życie człowieka, dla którego własny homoseksualizm jest czymś grzesznym. Nawet jeśli zmienił sposób myślenia, ślad dawnych przekonań musiał pozostawić swoje piętno.

Otworzyła butelkę mrożonej herbaty i napełniła szklanekę.

- Za bardzo chciałeś być ideałem.

David uśmiechnął się nieznacznie.

- I zobacz, co z tego wynikło. Duch pyszny poprzedza upadek.

- Nie byłeś pyszny. Powiedziałabym raczej, że serio traktowałeś to, co robiłeś.

- Teraz wiele musiałem zrewidować.

- I Ham ci w tym pomógł. - Poczwała ukłucie bólu. Ona nie pomogła Davidowi przemyśleć na nowo jego życia. Musiał poszukać kogoś innego.

- Ham oraz to, że powiedziałem sobie wprost, kim naprawdę jestem.

- Co słyhać na froncie pracy?

- Teraz twoja kolej. Kim jest Boris Quinn?

Była zdziwiona. Davida musiało to naprawdę interesować, skoro wrócił do swojego pytania.

- Prezesem Scavengera. Pomógł mi przy planowaniu remontu.

- Alex wspominał mi o nim, ale nie powiedział, czym się zajmuje. Nie chciał widocznie wpędzać mnie w komputerowe kompleksy.

- Alex zrobił się ostatnio bardzo subtelny.

- Wyczułem jakieś vibracje między tobą i panem Quinnem. Coś jest na rzeczy?

Chwilę zastanawiała się nad pytaniem i nad samym Davidem.

- Po co chcesz to wiedzieć? Chyba nie zamierzasz się z nim umówić?

Uśmiechnął się do wesołych iskierek w oczach Faith.

- Jestem monogamistą.

- Dopóki nie dokonasz kompletnego przemeblowania w swoim życiu.

- Znowu mnie ranisz...

- Spałam z Borisem. - Gdy David podniósł wzrok, dodała: - Chciałeś wiedzieć.

- Może nie aż tyle.

- To duża satysfakcja powiedzieć ci, że był mężczyzna, który mnie chciał.

- Pazurki wysunięte?
- I naostrzone.
- Zatem?
- Zatem co? Czy było dobrze? Nie twoja sprawa.

Tego ci nie powiem.

- Spróbuj. Czujesz się szczęśliwa? Spełniona?
- To skomplikowane.
- Ty też jesteś monogamiczna.

Faith się najeżyła.

- Nie wiesz, jaka jestem teraz.
- Chyba jednak wiem.

Nie mogła wprost uwierzyć, że rozmawia o swoim kochanku z człowiekiem, który oficjalnie nadal był jej mężem. Gdyby rok temu z chmur zstąpił anioł i odśpiewał przed nią rąbek przyszłości, odesłałaby go do niebieskiego psychiatry albo poradziła pisać niebieskie opery mydlane.

- Wróćmy może do tematu mojej pracy. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać. - David wyrwał ją z oszołomienia.

- Mów. Udało ci się coś znaleźć?
- Chcę zostać pastorem, Faith.

Przez moment myślała, że się przesłyszała. Po śmierci Arnolda Bronsona rutynowo co roku ponawiano propozycję, żeby David zajął jego miejsce.

- Co? W kongregacji twojego ojca? Istnieje taka możliwość?

David skrzywił się.

- Żadnej. W kongregacji ojca w każdą niedzielę modlą się za moją grzeszną duszę. Słyszałaś kiedyś o Kościele Wspólnoty Metropolitalnej?

Nie słyszała, ale David jej wyjaśnił, co to za

Kościół. Pod względem doktryny tradycyjnie chrześcijański, ale różniący się od innych pod jednym względem. Mianowicie skupiał głównie gejów, lesbijki, biseksualistów, a także osoby mające kłopoty z samo-identyfikacją pod względem płci.

- Musisz być mocno zaskoczona. Zawsze chciałem być duchownym, ale nie widziałem dla siebie miejsca w moim Kościele, bo nie umiałem pogodzić mojej wiary z moją seksualnością.

Byli małżeństwem przez piętnaście lat i nigdy jej nie powiedział, że chce być pastorem.

- Teraz czujesz się gotowy?

- Nie do końca.

- Co cię powstrzymuje?

- Ty. - David zmiął serwetkę. - Muszę cię prosić o wybaczenie.

- Dlaczego? Umieścisz je w podaniu o pracę?

- Ledwie to powiedziała, pożałowała swojej uszczupliwości, ale David tylko pokręcił głową. Wbił wzrok w blat stołu, jakby chciał wyczytać z niego odpowiedzi na trapiące go wątpliwości.

- Potrzebuję twojego przebaczenia, bo cię okłamywałem. Jak mam pomóc innym ludziom osiągnąć spokój, jeśli sam go w sobie nie mam?

- Zaczynam rozumieć, jak musi być ci trudno

- zaczęła Faith ostrożnie. - Oboje musimy dojść do ładu ze swoim życiem. - Nie było to jeszcze przebaczenie, ale prawie.

David podniósł wzrok.

- Zrozumiałem, że jestem gejem, kiedy miałem trzynaście lat. Nie byłem z tobą nigdy szczerzy i dlatego proszę cię o wybaczenie. Okłamywałem sam siebie,

ale wiedziałem. Powinienem być powiedzieć ci o wszystkim jeszcze przed ślubem, ale nie potrafiłem. Bałem się, że cię stracę, łudziłem się, że przy tobie się zmienię, mówiłem sobie, że jesteś moją jedyną szansą. Kochałem cię. Naprawdę cię kochałem. Wierzyłem, że miłość i dom pozwolą mi uwolnić się od homoseksualizmu. Że ta część mnie umrze, jeśli się ożenię.

- Piętnaście lat temu prowadziłeś takie monologi?

- Tak. To najgorsze i ostatnie już wyznanie.

Powinna ogarnąć ją furia. Powinna przekląć go za wszystkie jego kłamstwa i za spustoszenie, które po sobie zostawił. A jednak nie potrafiła wykrzesać w sobie wściekłości. Współczuła Davidowi.

Wykorzystała ją. Tak. Zataił przed nią prawdę, kiedy prawda mogła uratować ich oboje. Nie uczynił tego przez lekceważenie, zrobił tak z miłości. Wierzył, że Faith uchroni go przed nim samym. David ją kochał.

Położyła rękę na jego dłoni.

- A jeśli nie mogłabym ci wybaczyć, co wtedy?

- Postąpisz, jak ci sumienie i serce dyktują, ale w moim życiu nie może być więcej kłamstw. - Davidowi łzy napłynęły do oczu. Jemu, który nigdy nie płakał. - Tak mi przykro. Nie dlatego, że jestem, kim jestem, tylko dlatego, że ukrywałem to przed tobą.

Faith usiłowała wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie wyszła za Davida. Nie miałyby w nim przez piętnaście lat towarzysza, na świecie nie pojawiliby się Remy i Alex. Tak, były kłamstwa, ale była też radość, ciepło, serdeczne chwile.

Czy kłamstwa Davida miały przekreślić całą resztę? Czy teraz nie powinna zrzucić z siebie **wreszcie**

brzemienia i otworzyć się na to, co naprawdę czyste i dobre? Przebaczyć?

- Spróbuję - powiedziała w końcu i zrobiło się jej lżej na sercu.

David uściskał jej dłoń.

- A ty potrafisz wybaczyć sobie? - zapytała.

- Nie jestem dla siebie już tak surowy jak kiedyś. Bardziej wierzę w łaskę i miłosierdzie Boże. I chyba mam coś ludziom do dania. Wiem, co to znaczy być gejem i nadal chcieć pozostać chrześcijaninem.

- Przyjmą cię?

- Tak. Oczywiście nie od razu zostanę pastorem, najpierw może będę kapelanem szpitalnym, ale mnie przyjmą. Jest jednak inny problem. - Nachylił się do Faith. Serdeczny, zatroskany. Nie widziała go takim od chwili separacji. - Jeśli się zdecyduję, nie będę bogaty. Wystarczy na alimenty, tyle że zarobię jakiś ułamek tego, co kiedyś. Żeby było śmieszniej, zaproponowano mi stanowisko lobbysty w firmie zajmującej się biotechnologią, gdzie dostawałbym znacznie większe pieniądze.

- To nie dla ciebie.

- Jakoś bym przeżył.

- Chcesz, żebym ja podjęła decyzję?

- Chcę, żebyś powiedziała, co myślisz, zanim ja ją podejmę.

Faith uznała, że najwyższa pora opowiedzieć Davidowi o planach pisania szkiców historycznych. Słuchał uważnie, przytakiwał z aprobatą.

- Doskonały pomysł. Oczy ci błyszczą, kiedy o tym mówisz.

- Ale ja też nigdy nie będę bogata.

- Tak, ale na czym Remy i Alex więcej zyskają? Na tym, że będziemy bogaci, czy na tym, że będą nas wzbogacać nasze codzienne zajęcia? Że będziemy mieli ludziom coś do ofiarowania?

- Ty już jesteś kaznodzieją, Davidzie. Daj mi się chwilę zastanowić.

Siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu. Żadne z nich się nie uśmiechało, ale też nie odwróciło wzroku. Wreszcie, po długim roku, znowu patrzyli sobie w oczy.

David odezwał się pierwszy.

- Za chwilę musimy wracać do szkoły. Co usłyszysz o Remy? - Głos Davida zabrzmiał ostrzejszą nutą, kiedy wymawiał imię córki.

- Trzymałam ją krótko i coś to pomogło. Nieznacznie, ale poprawiła stopnie. Złagodziłam rygor i znowu zbiera dwóje ze wszystkich przedmiotów oprócz muzyki.

- Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale uważam, że potrzebna jest jej specjalistyczna pomoc.

Faith zamiast zirytować się, rozłościć, że David obstaje przy swoim, poczuła wdzięczność. Może i nie miała męża, ale jej dzieci miały ojca, który je kochał i chciał dzielić ciężar ich wychowywania. Dobrego ojca. Dobrego człowieka.

Wystarczyło tylko otworzyć przed nim drzwi.

- Znajdziesz nam kogoś? - zapytała.

- Nam?

- Nam wszystkim. Nie chodzi tylko o Remy. Cała nasza czwórka potrzebuje rady. Dawno powinniśmy byli to zrobić. Każde z nas ma problemy, o których należałoby z kimś porozmawiać, jeśli znowu mamy być rodziną.

- Przecież wiesz, że Remy nie pójdzie nigdzie, jeśli ja też tam się pojawię.

- Nie pozostawimy jej miejsca na wybór. Niepotrzebnie pozwoliłeś jej decydować, kiedy ma się z tobą pogodzić.

- Nie było cię przy tym, kiedy się na mnie rzuciła z pięściami.

- Nie, ale na pewno będę, gdyby miało się to zdarzyć jeszcze raz. - Jeszcze raz położyła dłoń na dłoni Davida. Dłoń przyjaciela. - Tylko razem uda nam się przebrnąć kryzys. W czwórkę.

Spotkanie z nauczycielami nie było przyjemne, ale obecność Davida trochę pomogła. Wspólnie naradzili się, jak zmusić Remy do nauki, dostali adresy kilku przychodni specjalizujących się w terapii rodzinnej i pomocy nastolatkom z problemami.

Remy spędziła całe popołudnie i wieczór w swoim pokoju, wściekła, że matka przywróciła zakazy. Wykrzyczała Faith, że za parę dni zaczynają się ferie bożonarodzeniowe, a ona będzie musiała siedzieć w domu. Zabrzmiała w tym pogrożka: skoro tak, to wam też zmarnuję święta.

Na kolację Remy nie zeszła, co w najmniejszym stopniu nie popsło humoru uszczęśliwionemu sukcesem Aleksowi.

- W przyszłym roku muszę coś wynaleźć - oznajmił z pełnymi ustami. - Nowy czip do komputera albo wehikuł czasu.

- Będzie ci potrzebny nowy czip, jeśli zamierzasz wynaleźć wehikuł czasu.

Pochłonięty swoimi pomysłami dokończył kolację

w milczeniu. Być może wehikuł czasu będzie jeszcze musiał poczekać, ale cokolwiek by wymyślił na przyszłoroczne targi, zapowiadało się nadzwyczaj spektakularnie.

Po kolacji Faith zabrała się do usuwania obfitych śladów eksperymentowania z zupełnie nowym przepisem na sos do spaghetti, Alex przy kuchennym stole odrabiał matematykę.

Kiedy skończyła, zobaczyła, że syn siedzi beczynnie i wpatruje się w przestrzeń.

- Odrobiłeś wszystko?

Alex odpowiedział pytaniem:

- Bardzo jesteś zła, że zaprosiłem na targi Borisa?

- Tylko zaskoczona. Nie uprzedziłeś mnie.

- Tęsknię za nim. On wszystko wie. Rozumie mój sposób myślenia. - Alex wstał zza stołu. - Wezmę prysznic i idę spać.

- Przyjdę powiedzieć ci dobranoc.

- Możesz powiedzieć teraz.

Zrobiło się jej przykro. Do tej pory trzymali się wieczornych rytuałów: całus przed snem i życzenie „śpij dobrze”. Młody naukowiec najwyraźniej wyrastał z kolejnego etapu dzieciństwa. Pocałowała go w policzek.

- No to śpij dobrze.

- Dzięki, no wiesz, że przyszłaś z tatą.

Faith była tak zmęczona całym dniem, że nie miała siły na nic poza filiżanką herbaty. Wracała myślami do rozmowy z Davidem. Niepokoiła ją własna reakcja na widok Borisa.

Odłożyła na następny dzień redagowanie ogłoszenia

do „Georgetownera”, poczytnego lokalnego miesięcznika. Poradnik małego biznesu też musiał poczekać na stosowniejszą porę. Piła właśnie drugą herbatę, kiedy zgasło światło w holu na piętrze. Muzyka buchająca z pokoju Remy, jeszcze jedno „wszystkim na złość”, umilkła w pół frazy i dom pogrążył się w ciszy.

Miała już machnąć na wszystko ręką i wreszcie pójść do łóżka, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Wyjrzała przez okno w salonie, by stwierdzić, że przed domem stoi Boris. Wpuściła go i zamknęła drzwi na łańcuch.

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, pójdę. Nie będę się upierał.

Powiedziała mu, żeby się nie pojawiał, jednak przyszedł. A ona wcale nie miała ochoty go wyrzucać. Ruszyła z powrotem do kuchni.

- Piję właśnie herbatę. Chcesz?

- Chcę porozmawiać.

Herbata, owszem, to jakoś by przetrzymała, ale rozmowa oznaczała krok ku zbliżeniu.

- Mam dla ciebie propozycję - ciągnął. - Jeśli każesz mi wyjść, nigdy się nie dowiesz, co to takiego.

- Grasz na mojej ciekawości?

- Ja bym się na twoim miejscu nie oparł.

Przypomniała sobie słowa Aleksa: „On zna mój sposób myślenia”. Przez ostatni miesiąc Boris najpewniej rozebrał na elementy pierwsze każdy szczegół ich ostatniego spotkania, żeby zobaczyć, co znajdzie. Tak samo zwykł postępować Alex.

- Nie ciekawi cię porwanie?

Faith wskazała Borisowi krzesło, a sama oparła się o drzwi.

- Wiesz coś, czego ja nie wiem?

- Dlatego przyszedłem. Oboje chcemy odtworzyć, co się wydarzyło w dniu porwania twojej siostry. Możemy działać każde na swoją rękę, możemy razem. Osobiście uważam, że we dwójkę zdziałamy dużo więcej.

Nie była pewna, czy w ogóle powinna nadal się tym zajmować. Czego się dowiedziała do tej pory? Że niemal od samego początku jej rodzice nie byli szczęśliwym małżeństwem. Że jej matka, zawsze taka zasadnicza, taka poprawna, prawdopodobnie miała kiedyś romans. Być może nie łączyło się to w żaden sposób z porwaniem Hope, ale bała się, że im głębiej będzie drażyła, tym bardziej będzie się powiększać przepaść między rodzicami.

- Przedstawię ci swoją propozycję - powtórzył Boris. - Nie powiedziałem ci wszystkiego, co wiem. Byłaś taka zła.

- Oszukana.

- Nie oszukałem cię. Nie wiedziałem tylko, jak ci powiedzieć o moim ojcu. Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym.

Czy powinna uwierzyć? Podeszła do kuchenki, napełniła czajnik i postawiła na płytce, nie bardzo wiedząc po co. Nie zamierzała przecież pić kolejnej herbaty. W końcu odwróciła się do Borisa.

- Jak sobie to wszystko wyobrażasz? Minęło tyle lat. Nie ma tropów, nie ma świadków.

- Porównajmy to, co wiemy. Zadajmy właściwe pytania właściwym osobom.

- Dottie Lee?

- Między innymi.

- Mojej matce?
- To już zależy od ciebie.

Jeśli zaczniesz współdziałać z Borisem, będzie musiała widywać go niemal codziennie, lecz jeśli odmówi, przeszłość na zawsze pozostanie zagadką.

- Powiedz mi, co wiesz - poprosiła.

- A zgodzisz się na współpracę? Pomożesz mi złożyć fragmenty, które znamy, w całość?

- Zgodzę się, ale jeśli miałyby to komuś wyrazić krzywdę, wycofam się. - Zagwizdał czajnik i Faith zdjęła go z płytki. - Ostatnia szansa na herbatę.

- Usiądź koło mnie.

Z założonymi rękami usiadła sztywno naprzeciwko Borisa.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że długo nic nie wiedziałem o swoim ojcu, aż pewnego dnia matka znowu się upiła i zaczęła o nim opowiadać?

Pamiętała. Aż nazbyt dobrze utkwіło jej w pamięci to ponure wspomnienie przywołane przez Borisa.

- Co ci wtedy powiedziała?

- Zrobiła się strasznie wylewna. Nigdy wcześniej taka nie była. Miała przede mną tyle tajemnic. Rosłem w przekonaniu, że ojciec od nas odszedł. Wtedy usłyszałem po raz pierwszy, że się powiesił.

- Powiedziała ci dlaczego?

- Bo stracił dwie osoby, które kochał.

- Twoją matkę i ciebie.

- Nie. Twoją matkę i mnie. - Boris skinął głową na potwierdzenie swoich słów. - Tak, Faith. Twoja matka miała romans z moim ojcem. To dlatego wyjechaliśmy

do Kalifornii. To był główny powód. Nie porwanie, lecz niewierność.

- Wierzysz w to?

- Inaczej nigdy by go nie zostawiła.

- Może odeszła, bo jednak porwał Hope.

- Jeszcze na łożu śmierci zaklinała się, że tego nie zrobił. Nie miała dla niego jednego dobrego słowa, ale była pewnej jego niewinności. Jedynym jego grzechem była zdrada. Matka dowiedziała się o romansie wkrótce po porwaniu. W jaki sposób, od kogo, tego nie wiem. W każdym razie ojciec nie zaprzeczył, kiedy wykrzyczała mu prawdę w oczy. Powiedział, że rozstał się z Lydią, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży. Nie chciała niszczyć swojego małżeństwa. Ojciec próbował ratować swoje. Przekonywał matkę, żeby z nim została ze względu na mnie, ale nie zgodziła się. Rozwód dla niej, fanatycznej katoliczki, też nie wchodził w rachubę. Zastawiła obrączkę i wyjechaliśmy do Kalifornii. Nigdy więcej żadne z nas nie widziało Dominika. - Boris odchylił się do tyłu, zaplótł dłonie na karku, jakby w tej niewymuszonej pozie szukał obrony przed własnymi uczuciami. - Faith, przyjęłaś to tak spokojnie. Oczekiwałem, że będziesz zaprzeczać, mówić o dzielących ich różnicach, przekonywać, że twoja matka nie mogła się zadać ze zwykłym rzemieślnikiem. - Gdy tylko wzruszyła ramionami, dodał: - Podczas naszego pierwszego spotkania twoja matka przyglądała mi się bardzo uważnie. Mam kilka fotografii ojca, nie jestem do niego podobny, ale musiała dostrzec we mnie coś, co wydało się jej znajome.

- Kiedy jej powiedziałam, kim jesteś, osłupiała.

Ale powiedziała mi jedno. Nigdy nie uwierzyła, by twój ojciec mógł porwać Hope. Opisała go, są to jej słowa, jako człowieka łagodnego i honorowego. Chciała, żebym ci to powtórzyła.

- Nie powtórzyłaś.

- To tylko opinia, nie dowód.

- Dla mnie ma ogromne znaczenie, zważywszy, że wypowiedziała ją matka Hope.

- Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

- Naprawdę myślałaś, że tak to zostawię?

Poczuła, że ogarnia ją złość.

- Powinnam była się domyślić. Jesteś gotów zrobić wszystko, byle znaleźć odpowiedź.

- Nie mówię o porwaniu. Mówię o nas, Faith. Popełniłem błąd. Poważny, przyznaję, ale nigdy nie chciałem cię zranić. Nie zbliżyłem się do ciebie po to, żeby wyciągać informacje. Od samego początku było dla mnie jasne, że wiesz jeszcze mniej niż ja. Dlaczego nadal przychodziłem?

- Nie wiem. Ty mi to powiedz.

- Bo chciałem być z tobą.

W ciągu minionego roku Faith wiele się nauczyła, wiele zrozumiała. Nie mogła dopuścić, żeby znowu ktoś ją zranił.

- Daj mi czas na zastanowienie. Muszę przemyśleć to, co mi powiedziałaś.

Boris podniósł się.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. - Najwyraźniej oczekiwał więcej, liczył, że będzie jak dawniej.

Może ona też tego chciała, może tęskniła za godzinami, które spędzili razem w łóżku, za kimś, kto

zobaczył w niej nie tylko opokę, lecz również kobietę. Za długo jednak ufała własnemu sercu. Teraz chciała już tylko, by nadal biło.

- Możesz liczyć na jedno - powiedziała, otwierając drzwi. - Jeśli się czegoś dowiem, dam ci znać.

- Z góry dziękuję.

Zatrzymał się jeszcze na stopniach przed domem i spojrzał na świąteczny wieniec ozdobiony czerwonymi wstążkami, który Faith powiesiła na drzwiach.

- Dobranoc.

- Dobranoc, Boris. Boria - powiedziała cieplejszym tonem. - Pasuje do ciebie to zdrobnienie. Twój ojciec musiał bardzo cię kochać.

- Powiesił się w Boże Narodzenie. Nie obchodzę tych świąt.

Było to najbardziej osobiste wyznanie, jakie Faith usłyszała od Borisa. Samobójstwo ojca dotąd go prześladowało.

- Musiał być bardzo nieszczęśliwy.

- Chodzę na jego grób, mówię mu, że rozumiem, ale nie wiem, czy naprawdę rozumiem. - Wyprostował się, otrząsnął. - Powiedz Aleksowi, że się do niego odezwę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Lydia zaparkowała przed domem na Prospect Street. Przywiozła prezenty gwiazdkowe i chciała zostawić je pod choinką. W ostatnich miesiącach spędzała tyle czasu z Faith i wnukami, że świetnie wiedziała, czym może sprawić im radość. Alex bez przerwy modernizował swój komputer, kupiła mu więc talon do specjalistycznego sklepu. Miała nawet coś dla tego absurdalnego szczura: nową, wielopoziomową klatkę z labiryntami i tunelami, prawdziwy szczurzy Hilton. Kupiła ją chyba w chwili umysłowego zaćmienia, ale była bardzo ciekawa miny Aleksa.

Z Remy też poszło łatwo. Kiedy były na wystawie koni, wnuczka zapaliła się do jeździectwa, zatem Lydia sprezentowała jej dziesięć lekcji w stadninie w Great Falls. Wiosną każdej środy będzie odbierała Remy ze szkoły i zawoziła na jazdy. Dzięki temu zyskają okazję, by się lepiej poznać.

Skoro weszła już do sklepu dla zwierząt, kupiła przybłędom ze strychu słupek do drapania.

Z Faith miała więcej kłopotu, bo ostatnio życie jej

córki było jednym znakiem zapytania. Nie miała czasu na hobby, wkrótce powinna zacząć rozglądać się za pracą. Nowy kostium byłby dobrym prezentem, ale zbyt praktycznym. Lydia zaczęła szperać w pudłach ze zdjęciami i wspomnieniach. Wybrała kilka fotografii kobiet, które mieszkały na Prospect Street i kochały to miejsce. Oprawione, po renowacji, będą pięknie wyglądały na klatce schodowej.

Dwa razy musiała wracać do samochodu, zanim zadzwoniła wreszcie do drzwi. Otworzyła Faith i zrobiła wielkie oczy.

- Nie spodziewałam się jeszcze Mikołaja. Dzieci są na próbie jasełek.

- Muszę się pokazać na przyjęciu pożegnalnym w rezydencji wiceprezydenta, więc zajrzałam do was po drodze.

Faith wzięła część prezentów, Lydia resztę.

- Ślicznie wyglądasz, mamó. To nowa suknia?

Pani, która od lat załatwiała sprawunki Lydii, wybrała prostą, ciemnoczerwoną kreację.

- Specjalnie na dzisiejsze przyjęcie.

Ułożyły prezenty pod choinką obwieszoną ozdobami gromadzonymi od lat przez dzieci. Ich drzewko, w przeciwieństwie do babcinego, nie miało szans znaleźć się na stronach „Southern Living”, ale dzięki niemu cały dom tchnął świętami.

- Masz czas na *wassail*?

Kiedy w równie serdecznej, niewymuszonej atmosferze wznosiły tradycyjny świąteczny toast grzanym, korzennym napitkiem?

- Prawdziwy *wassail* czy bezalkoholowa wersja Davida?

- Bezalkoholowa wersja Davida. Mogę dodać kroplę szkockiej, którą dostałam od Dottie Lee.

- Poproszę.

- Wiesz co? Dam ci już teraz twój prezent gwiazdkowy - oznajmiła Faith, kiedy przeszły do kuchni.

- Do świąt jeszcze tydzień.

- Skorzystam, że jesteśmy same. Chcę nacieszyć się twoją reakcją. Zaraz wracam.

Faith uwielbiała robić niespodzianki. Jako dziecko zamykała się na całe godziny w swoim pokoju, rysowała laurki, tkła wstążki na dziecinnych krosnach. Lydia nie chciała psuć córce radości.

- Proszę. - Faith wręczyła Lydii pudełko.

- Twoja własna produkcja?

- A czy ja dziergam albo robię na drutach?

- Mam jeszcze szalik, który zrobiłaś, kiedy miałaś siedem lat.

- Teraz ty mnie zaskakujesz.

Lydia podniosła wzrok.

- Dlaczego?

- Bo to sentymentalne głupstwo. Raczej nie mogłabym zostać projektantką.

- Chcesz powiedzieć, że tamtego roku nie nosiło się purpur i błękitów? Oczywiście, że go zatrzymałam. Kiedyś wybiorę się w nim na Tłusty Czwartek. Praktyczna rzecz, żadne sentymentalne głupstwo.

- To bardziej ci się spodoba.

Lydia rozwiązała wstążkę, ostrożnie rozwinęła papier i zobaczyła oprawny w skórę, cienki wolumin. Na okładce wklejona była akwarela przedstawiająca dom na Prospect Street, poniżej tłoczony złotymi literami adres.

- Faith, cóż to, na Boga? - Lydia zaczęła przetrzucać kartki.

- Historia domu, mamó. Kilka miesięcy nad nią pracowałam. To podziękowanie za to, że pozwoliłaś nam tu zamieszkać.

- Ty to napisałaś? - Lydia nie posiadała się ze zdumienia. Przekładała kartkę za kartką, podziwiając staranny wydruk, zdjęcia, mapki, kopie dokumentów. Każdej z kolejnych mieszkańek domu poświęcony był osobny rozdział ubarwiony anegdotami z ich życia i, jeśli takowe były, wzmiankami prasowymi.

Faith nie spuszczała wzroku z matki.

- Wspaniałe. - Lydia zamknęła zeszyt i przytuliła go do piersi. - Jak udało ci się dotrzeć do tych wszystkich materiałów?

- Jestem już ekspertem w robieniu kwerend na temat domów. Prawdę mówiąc, zamierzam w ten sposób zarabiać. Napisałam już następny szkic historyczny, po świętach zabieram się za trzeci. I to wszystko z polecenia, bez dawania ogłoszeń.

- Nie będziesz szukała innej pracy?

- Nie. Im więcej piszę, tym mniej czasu zajmuje mi logistyka. Z czasem będę miała spory bank danych, kontakty, doświadczenie. Może nawet będę musiała zatrudnić asystentkę.

- Zadziwiasz mnie. To najwspanialszy podarunek, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Nie chciałam, żebyś traktowała to jako prezent gwiazdkowy, ale zbiegło się w czasie.

Lydia odłożyła szkic.

- Tak to po mnie widać?

- Pytasz, czy zawsze wiedziałam, jak bardzo

nienawidzisz Bożego Narodzenia? - Lydia próbowała się bronić, ale Faith podniosła dłoń, przerywając matczyne protesty. - Wiem, dlaczego te święta to dla ciebie trudny czas.

- Te wszystkie przygotowania, przyjęcia...

- Dominik Dubrov popełnił samobójstwo w Boże Narodzenie.

Lydia przez moment nie mogła zaczerpnąć oddechu.

- Nie będziemy rozmawiały na ten temat, Faith - powiedziała ze złością.

- Mamo, wiem, że Dominik był twoim kochankiem. Nie musisz już tego przede mną ukrywać. Tyle lat nic nie mówiłaś, nie mogłaś nikomu się zwierzyć. Może nie jestem najlepszą partnerką do rozmowy, ale tylko ja wiem.

- Przeszłość tak cię pochłonęła, że zaczynasz mieć przywidzenia.

- To nie przywidzenie.

- Ta kobieta kłamie. Zmyśliła wszystko.

- Dottie Lee mnie przygotowała, ale powiedział Boris. Jego matka odeszła od Dominika, kiedy dowiedziała się o waszym romansie. Stało się to kilka miesięcy po tym, jak zerwaliście ze sobą.

- Czemu mi to wszystko mówisz?

- Mam dość sekretów. Myślisz, że nie zastanawiałam się, dlaczego Boże Narodzenie w naszym domu jest zawsze takie smutne? Dlaczego z zaciśniętymi ustami przygotowywałaś święta? Wydawało mi się, że to moja wina, że jestem niedobra, niegrzeczna, że szkoda dla mnie tego całego zachodu. Nawet kiedy Boris mi powiedział, nie od razu to zrozumiałam.

- Dominik umarł, nim ty pojawiłaś się na świecie. Dlaczego nie zostawisz go w spokoju? I mnie zostaw w spokoju!

- Chyba nie. - Faith nadal mówiła spokojnie. - Zastanawiałam się, czy nie powinnam tak zrobić, ale zdążyłam przekonać się na własnej skórze, ile krzywdy potrafią wyrządzić sekrety. Nie pozwolę, żeby dłużej ważyły na moim życiu. I nie pozwolę, żeby ważyły na twoim.

- Nie wiesz, co mówisz.

- Dlaczego tak uważasz? Myślisz, że chcę wykorzystać to, co wiem, przeciwko tobie? Obserwowałam was wystarczająco długo i wiem, co to znaczy żyć z tatą. Byłaś młoda. Pewnie czułaś się samotna i zagubiona. Pojawił się Dominik. I tak się zaczęło. Kiedy jednak dowiedziałaś się, że jesteś w ciąży, rozstałaś się z Dominikiem. Rozumiem to, naprawdę. Bo niby co innego mogłaś zrobić?

Lydia była tak zła, że zapomniała o ostrożności, przestała uważać na słowa.

- Wydaje ci się, że wszystko wiesz? Jest coś jeszcze. Hope nie była dzieckiem Joego.

Po kuchni rozszedł się zapach podgrzewanego napitku.

- Wychodzę. - Lydia podniosła się zza stołu.

- O nie, jeszcze nie wyjdiesz. - Faith stanęła w drzwiach. - Skończymy, co zaczęłyśmy.

- Co ty zaczęłaś.

- A więc Hope była córką Dominika.

- Lepiej się teraz czujesz? - Lydia chwyciła historię domu i wcisnęła ją Faith w dłoń. - Umieść te rewelacje tutaj, niech wszyscy się dowiedzą.

Faith odłożyła zeszyt i ujęła dłonie matki.

- A ty jak się teraz czujesz?

Lydia drżała, zażenowana i jednocześnie wściekła, że doszło do tej rozmowy.

Panicznie się bała, że córka teraz już na pewno nie będzie jej kochać.

- Siadaj - rozkazała Faith. - Nie chcę, żebyś mi tu zemdlała.

Lydia wciąż stała bez ruchu, drżąca i dziwnie niepewna. Faith nalała napój do kubka, dodała odrobinę szkockiej i postawiła na stole.

- Wypij to.

Lydia posłusznie wreszcie usiadła, wzięła kubek w dłonie, upiła łyk.

- Boris nie wie, że Hope była dzieckiem Dominika, inaczej powiedziałyby mi o tym - podjęła Faith. - Jego matka też chyba nie wiedziała. Kto wiedział, mamó?

Lydia zaczęła mówić. Najpierw powoli, z trudem, potem słowa popłynęły same. Nigdy nie przypuszczała, że podzieli się z kimkolwiek swoją historią, a już na pewno nie z córką. Ale skoro już zaczęła, musiała powiedzieć wszystko. Zbyt długo więziona prawda domagała się uwolnienia.

Początkowo była przekonana, że jej ginekolog musi się mylić. Nie mogła być w ciąży aż tak długo, jak twierdził. Joego przez trzy tygodnie nie było wtedy w domu. Terminy się nie zgadzały.

Dominik zawsze używał prezerwatyw, Joe nigdy. Dominik obawiał się ciąży, Joe chciał potomka. Dziecko musi być jego.

Ale ciąża rozwijała się zgodnie z przewidywaniami lekarza i Lydia wreszcie musiała spojrzeć w oczy nieprzyjemnej prawdzie. Nosiła w łonie dziecko robotnika imigranta, a jej mąż senator był zbyt inteligentny, by dać się zwieść. Nie mógł wiedzieć, czyje to dziecko, ale bez trudu obliczył, że nie jego. Chyba że zdarzy się cud i Lydia przenosi ciążę o kilka tygodni.

Kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku, zaczęła zastanawiać się nad możliwymi wyjściami. Mogła zdecydować się na pokątną skrobankę i po fakcie powiedzieć Joemu, że poroniła. Wiedziała, co ryzykuje: nielegalny zabieg, zaawansowana ciąża... Taka decyzja oznaczała igranie z ogniem.

Nade wszystko jednak nie wyobrażała sobie, że mogłaby pozbyć się dziecka. Z góry wykluczyła to rozwiązanie.

Pozostawały jej trzy możliwości. Modlić się i wierzyć, że przenosi ciążę, a Joe nie będzie bawił się w skrupulatne obliczenia.

Mogła też powiedzieć mężowi prawdę, licząc, że nie zaryzykuje zrujnowana kariery i przed światem uzna dziecko za własne.

Mogła wreszcie wykorzystać małą „polisę ubezpieczeniową”, którą trzymała w zanadrzu.

Na początku szóstego miesiąca została pozbawiona wyboru. Joe, z niecierpliwością wyczekujący dziecka, troszczył się o żonę, kazał jej odpoczywać, z własnej woli przeniósł swój gabinet do innego pokoju, żeby niemowlę miało rzeński powiew od rzeki.

Aż pewnego niezwykle gorącego wiosennego wieczoru objawił się Lydii inny Joe. Jeszcze rano nadał się dumając basza, bo po raz pierwszy poczuł pod dłonią

ruchy dziecka. Nie przyznała się, że tak jest już od kilku tygodni, bo nie chciała budzić w mężu podejrzeń.

Wieczorem wrócił do domu blady, nie chciał mrożonej herbaty, którą dla niego przygotowała.

- Tym się dzisiaj zajmowałaś, Lydio? Robiłaś herbatę i stroiłaś się dla mnie?

Pomimo upału w pokoju powiało mrozem.

Lydia nakazała sobie spokój. Joe często wracał skwaszony, jeśli w senacie poszło coś nie po jego myśli.

Postawiła szklanę na mahoniowym stole babki.

- Posprzątałam w domu, pracowałam w ogrodzie, trochę czytałam. I zrobiłam potrawkę na kolację, bo nie byłam pewna, o której wrócisz.

- Straciłem apetyt około czwartej. Chcesz wiedzieć dlaczego? Oto co dała mi sekretarka. - Rzucił na stół świstek papieru.

Lydia wzięła do ręki zmięty papier, potem przez kogoś prostowany. Było na nim kilka słów nabazgranych ołówkiem, nie do odcyfrowania przy mdłym świetle.

- Nie mogę tego przeczytać.

- Wiadomość od twojego ginekologa. Jesteś umówiona jutro na wizytę?

- Tak, ale...

- Nie mogli się dodzwonić do domu, to zadzwonili do mojej sekretarki.

- Nigdzie nie wychodziłam. Tylko do ogrodu... Taki piękny mieliśmy dziś dzień...

- Pozwól, że dokończę. Twój lekarz chciał ci tylko przypomnieć, i mnie przy okazji, że kończy się szósty miesiąc. Chętnie widziałby ojca. Czeka na nas oboje.

Udała, że nie rozumie. Rozpaczliwie starała się zyskać na czasie.

- Wciąż jesteś taki zajęty, więc nie chciałam zwracać ci głowy. Pomyślałam, że później powtórzę ci, co powinieneś wiedzieć.

- Jak na przykład to, że jesteś w ciąży o miesiąc dłużej, niż twierdziłaś? Tak? Że zaszłaś, kiedy mnie nie było w domu? Tak? - wrzeszczała.

Zbliżył się do Lydii i z całej siły uderzył ją w twarz, a potem chwycił za gardło i zaczął dusić.

Próbowała się uwolnić, oderwać jego dłonie.

- Joe... - wycharczała.

Coś przemknęło przez jego twarz, jakby obudziły się w nim resztki rozumu. Pojął chyba, że jeśli udusi Lydię, jego życie odmieni się raz na zawsze. Opuścił ręce, ale nie ruszał się, stał o krok od żony.

- Zadzwońłem do twojego lekarza i powiedziałem mu, że pogubiłem się w datach. Był bardzo pomocny, przypomniał mi, kiedy nastąpiło poczęcie. To nie moje dziecko? Mów!

Pokręciła głową.

- Ty dziwko.

Z trudem łapała powietrze, jeszcze przez długą chwilę nie mogła dojść do siebie, ale nie bała się, że zaatakuje ją ponownie. Nigdy dotąd nie użył wobec niej siły. Wystarczyły słowa.

- Nie wiedziałam - zaczęła. - Kiedy ci powiedziałam, że jestem w ciąży, myślałam, że to twoje dziecko.

- Chociaż miałaś kochanka?

- My... ja uważałam. Nie przypuszczałam, że mogę zajść w ciążę.

- Przydałoby ci się kilka lekcji z biologii. - Joe założył ręce do tyłu. - Kto jest ojcem?

Milczenie.

- Dowiem się.

- To nie ma znaczenia. Nie widziałam się z nim od dnia, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

- Rzucił cię, co?

- To ja się z nim rozstałam, Joe. Myślałam, że to twoje dziecko.

- A kiedy się przekonałaś, że jest inaczej, co zrobiłaś?

- On nadal o niczym nie wie.

- Chciałaś mi wmówić, że jestem ojcem?

- Nie wiedziałam, co robić. Bardzo długo wierzyłam, że to jednak twoje dziecko. Miałam nadzieję...

- Nadzieję, nadzieję! Miałaś nadzieję!

- Rozumiem, co musisz czuć.

- Bardzo wątpię, Lydio. Ale skoro twierdzisz, że potrafisz czytać w myślach, powinnaś wiedzieć, co zamierzam.

- Jeśli się ze mną rozwiedziesz, prawda wyjdzie na jaw. Wszyscy będą wiedzieli, że Joe Huston jest rogaczem.

- Będą wiedzieli. I będą współczuli.

- Ty nie chcesz współczucia, chcesz władzy.

- Może ja stracę władzę, ale ty stracisz ludzki szacunek.

- Z czasem szkarłatna litera cudzołożnicy wyblaknie i nikt nie będzie pamiętał.

- Nie bądź naiwna. W Waszyngtonie wszyscy pamiętają wszystko.

Spróbowała zaapelować do jego lepszej strony.

- Nie chcę rozwodu. Ty chcesz?

- Nie, ale jeszcze bardziej nie chcę tego dziecka. Przemyślałem sprawę, miałem na to całe popołudnie. Wyjedziesz gdzieś, że niby masz problemy z ciążą, i nie wrócisz do Waszyngtonu aż po rozwiązaniu. Sama. Zdarzy się nieszczęście, dziecko urodzi się martwe, tak w każdym razie będziemy mówić, a ty zrób z nim, co chcesz. Zostaw je pod czyimiś drzwiami, oddaj komuś, wszystko mi jedno. Przeczekamy rok, potem rozwiedziemy się po cichu. Nikt nie skojarzy tych dwóch faktów.

- Nie oddam dziecka. I nie liczę na cichy rozwód. Dla polityka coś takiego jak cichy rozwód nie istnieje. Ktoś się zorientuje. Ktoś odkryje prawdę.

- Jeśli nasz pożałowania godny prezydent potrafiłby tuszować swoje wysoki, to i nam uda się utrzymać rzecz w sekrecie.

- Pierwej cały świat pozna prawdę, nim oddam dziecko.

W oczach Joego błysnęła wściekłość, ale ręce cały czas trzymał za plecami.

- Co w takim razie proponujesz, Lydio?

- Zostałam twoją żoną w najlepszej wierze. Myślałam, że czeka nas dobre, udane życie, ale ty nie wiesz, co to czułość, potrafisz tylko żądać i wiecznie krytykować. Nie dziw się, że szukałam miłości gdzie indziej. Nie zrzucaj teraz z siebie odpowiedzialności. Oto, co zrobimy: zostaniemy razem, uznasz dziecko za swoje. Wspólnie je wychowamy i będziesz je kochał na tyle, na ile jesteś zdolny do wyższych uczuć. A ja obiecuję być wzorową żoną polityka i wspierać cię we wszystkim. Z pozoru będziemy idealną amerykańską rodziną.

- Zwariowałaś?
- Tak myślisz? - Lydia szykowała ostatnią kartę.
- Niby dlaczego miałbym z tobą zostać? Z jakiej racji miałbym uznać bękarta?

Wyjaśniła mu, dlaczego musi tak postąpić. Widziała, jak oczy robią mu się coraz większe. Po raz pierwszy od dnia ślubu zobaczyła w nich strach.

- Oto dlaczego - zakończyła. - Rozumiesz chyba, że nie masz wyboru.

Przez długą chwilę patrzył na nią bez słowa. Czekająca na kolejny wybuch, czekała, kiedy się na nią rzuci, może nawet zabije. Nie dotknął jej nawet. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Lydia umrze, jej śmierć natychmiast ściągnie na niego podejrzenia.

Jej adwokat już by o to zadbał.

- I tak ojciec dowiedział się, że dziecko nie jest jego. - Faith podniosła wzrok. - Jednak dla jakichś powodów musiał je zaakceptować. Nie uwierzę, mamó. Joe Huston nie potrafi wybaczać. A co z Dominikiem? Powiedziałaś mu prawdę? Popełnił samobójstwo z rozpaczy, że ktoś porwał jego córkę? Czy sam ją porwał, bo uznał, że należy do niego, a potem stało się coś tak strasznego... coś, czego nie przewidział?

- Dominik sam domyślił się prawdy. Dottie Lee powiedziała mu, że mała urodziła się przed czasem, ale obie czujemy się dobrze. Od początku martwił się, czy to nie jego dziecko, chociaż uspokajałam go, że nie. Teraz uzyskał potwierdzenie. Tamtego lata, kiedy twój ojciec wyjechał na trzy tygodnie, prawie się nie rozstawaliśmy.

- Kiedy już poznał prawdę, musiał przyjść do ciebie. O czym rozmawialiście?

Jakimi słowami Lydia miała opowiedzieć Faith o swojej rozpaczycy? O tym, jak okropna była dla niej i dla Dominika myśl, że nie mogą zabrać Hope i zacząć nowego życia?

Miała w pamięci ich ostatnie spotkanie, jakby się to wydarzyło wczoraj. Dominik od dawna nie żył, ona sama cieszyła się dzieckiem zaledwie parę dni, ale tamta tragedia na zawsze wyryła się w jej sercu.

Poród nie był łatwy. W 1962 roku przyszło na świat wiele dzieci okaleczonych thalidomidem, wadliwie spreparowanym lekiem znieczulającym, i Lydia była przekonana, że jej grzech w jakiś sposób naznaczy dziecko.

Kiedy zaczęły się skurcze, Joe odwiózł ją do szpitala. Poleciał, by położna dzwoniła do jego sekretarki, i zniknął. Lydia dostała taką dawkę środków znieczulających, że lekarz musiał w końcu użyć kleszczy. Dopiero po kilku godzinach dowiedziała się, że urodziła zdrową córkę.

Pierwsze spojrzenie na Hope ukojiło wielomiesięczne lęki. Dziewczynka była śliczna: ciemne włoski, pyzate policzki. Pielęgniarki zachwycały się, że to najładniejszy noworodek na całym oddziale. Nie mogły zrozumieć, czemu Lydia wybuchnęła płaczem, kiedy przytuliła dziecko do piersi.

Wiedziała od nich, że Joe pojawił się w szpitalu, gdy jeszcze spała, obejrzał Hope, odegrał uszczęśliwionego ojca i poszedł. Zobaczyła go dopiero następnego dnia, w towarzystwie fotografa, który miał

utrwalić wiekopomny moment. Uśmiechała się posłusznie do obiektywu, pozwoliła Joemu wziąć małą na ręce. Po sesji zdjęciowej pocałował ją w czoło i obiecał przyjść nazajutrz. Nie uwierzyła mu. Była zupełnie sama w szpitalu, nikt jej nie odwiedzał, dziecko przynoszono jej tylko na czas karmienia.

Wykorzystując moment nieuwagi pielęgniarki, Lydia schowała pod poduszkę pigułkę nasenną. W chwilę potem, jak siostra zgasiła światło, skrzypnęły drzwi. Lydia podniosła głowę. Do sali bezszelestnie wszedł Dominik.

- Odczekałem, aż sobie pójdzie - powiedziała, kładąc palec na ustach. - Chyba już nie wróci?

- Na pewno nie, ale...

- To dobrze. - Oparł dłonie na metalowej barierze ochraniającej łóżko. Prosiła siostrę, żeby jej nie podnosiła, ale w szpitalu łóżka musiały być zabezpieczone nawet na oddziale położniczym. Teraz, kiedy Dominik stał przy niej, czuła się jak zwierzę w zoo.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- Chciałem zobaczyć swoją córkę.

Lydia poczuła bolesny ucisk w gardle. Chciała zaprzeczyć, powiedzieć, że to nie jego dziecko, lecz nie była w stanie.

- Długo nie wiedziałam. Kiedy powiedziałam ci, że to dziecko Joego, wierzyłam, że tak jest.

- Ale potem nie pomyślałaś o mnie?

- Co by z tego przyszło? Ona jest teraz córką Joego. W akcie urodzenia figuruje jego nazwisko.

- Twój mąż wie?

- Tak.

- Co z niego za mężczyzna, że się zgodził?

- Nie miał wyboru. - W nikłym świetle dochodzącym od ulicznych latarni Lydia zdołała dojrzeć niedowierzanie na twarzy Dominika.

Od początku zastanawiała się, czy powiedzieć Dominikowi prawdę. Pewnego dnia Joe mógł się dowiedzieć, że Hope jest córką Dominika i próbować mu zaszkodzić. To byłoby w jego stylu. Wiedząc o wszystkim, Dominik mógłby się bronić.

- W zeszłym roku, po Zatoce Świń, Joe oraz inni politycy rozważali możliwość zabicia prezydenta Kennedy'ego - powiedziała szeptem. - Joe go nienawidzi, ma go za zdrajcę, inni też. Uważają, że ponosi winę za klęskę inwazji na Kubę. Ich plan zakładał, że zamachu dokona jakiś Kubańczyk, by potem można było o zabójstwo oskarżyć Castro.

- Aż tak nienawidzi Kennedy'ego? Potrafiłby wynająć płatnego mordercę tylko dlatego, że nie zgadza się z polityką prezydenta?

- Widzi w Kennedym wysłannika piekieł. Nie zgadza się z kursem antydyskryminacyjnym, boi się, że Kennedy przeforsuje odpowiednie ustawy. Gdyby Johnson został prezydentem, nigdy na coś takiego by się nie odważył. Johnson jest z Południa, przy nim ludzie pokroju Joego czuliby się pewniej. Dla nich Kennedy jest za miękki wobec komunistów, zbyt liberalny wobec Kuby. Joe był na Kubie i kiedy mówi o wyspie, dostaje piany na ustach. Uważa, że Kennedy niszczy morale Amerykanów.

- Ale zamach na prezydenta jest według niego moralny?

- To rozwiązanie, do którego często uciekają się

amerykańscy politycy. Mordowaliśmy przywódców Gwatemali, Dominikany, Konga. Znajdziesz wielu ludzi na najwyższych stanowiskach, którzy powiedzą ci, że cel uświęca środki. Nie tylko w Związku Radzieckim ludzie giną bez sądu.

- Próbowali zorganizować zamach?

- Nie, to był tylko plan, zresztą od początku poroniony. Kubańczycy zażądali astronomicznych pieniędzy, potem jeden ze spiskowców wycofał się i zaczął grozić reszcie, że ich wyda. Do tego Kennedy ciągle zmieniał terminy wystąpień publicznych.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Mój mąż był nieostrożny. Mam jego odręczne notatki, terminarz z datami spotkań, billingi rozmów telefonicznych, list od Kubańczyków. Znalazłam to wszystko, kiedy przenosiłam jego gabinet do innego pokoju. Wyjęłam szuflady z biurka, żeby łatwiej było je przesunąć. Kiedy wyciągnęłam pierwszą, zobaczyłam teczkę schowaną pod blatem. Joe był pewien, że nikt jej tam nie znajdzie. Nie wiem, czemu trzymał te papiery, skoro odstąpili od swojego zamiaru. Może traktował je jako rodzaj zabezpieczenia przed pozostałymi kolegami, gdyby któryś z nich chciał mu grozić? Dokumenty wyglądały przekonująco.

- Masz te papiery?

- Nawet się nie zorientował, że zniknęły. Dopiero ja mu o tym powiedziałam. W teczce zostawiłam faksymile, oryginały są w moim schowku depozytowym. Co kilka lat dla bezpieczeństwa będę je przenosiła do innego.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Któraś dnia Joe może cię odnaleźć i wtedy

zacznie ci grozić. Wtedy przyjdiesz do mnie, a ja już zadbam, żeby nie zrobił ci nic złego.

- A co z nią? Kto obroni naszą córkę przed tym człowiekiem?

- Joe jej nie skrzywdzi. Tego jednego jestem pewna. Nie targnie się na dziecko. W przeciwnym razie nie zdecydowałabym się z nim zostać. Być może nie będzie jej kochał, ale wiem, że będzie bezpieczna.

- Nie możesz tak żyć. Zamieszkajmy razem. Wychowujmy ją razem. Dałaś jej na imię Hope. Nadzieja. Może jest jakaś nadzieja dla nas?

- Nie ma dla nas nadziei. Ty nie potrafiłbyś zostawić żony i syna, ja nie potrafiłabym żyć z tobą w grzechu. Jedyne, co możemy, to starać się jakoś ułożyć sobie życie. Osobno.

- Widziałem ją. Byłem tu przed południem, pokazali mi ją przez szybę. Wygląda jak Boria.

- Joe też ma ciemne włosy. Wszyscy uznają, że to jego dziecko. Z czasem może i on sam zacznie ją tak traktować.

- Nie wierzysz w to, co mówisz.

Nie wierzyła. Mogła tylko mieć nadzieję, że Joe oszczędzi jej i dziecku okrucieństwa.

- Wierzę, że to dla nas najlepsze wyjście. Jeśli będzie inaczej, zostawię Joego i zacznę wszystko od nowa. Chcę jednak spróbować.

Dominik położył dłoń na jej dłoni.

- Mam odejść, tak?

- Musisz. Joe nie wie jeszcze, kto jest ojcem Hope. Nie powinienes dawać mu powodów do podejrzeń. Niepotrzebnie tu przyszedłeś.

- Powiesz mu o mnie?

Lydia usiłowała wyobrazić sobie taką rozmowę. Nie mogła mu obiecać, że kiedykolwiek się na nią zdecyduje.

- Ona jest moją córką, Lydio. Nie oddam jej tak łatwo.

- Będę się nią opiekowała najlepiej, jak potrafię.

- Chronią ją. Nie wiem jeszcze jak, ale i ja będę nad nią czuwał.

- Zrobię wszystko, żeby była bezpieczna. - Pocałowała jego dłoń i zamknęła ją, jakby chciała, żeby zachował ten pocałunek.

Dominik stał jeszcze chwilę przy łóżku, wreszcie odwrócił się i wyszedł równie cicho, jak wszedł.

- Będę ją chroniła, mój kochany. - Słowa Lydii popłynęły w mrok.

Nie udało się jej uchronić Hope.

- Było dwóch mężczyzn, dla których narodziny Hope były tragedią, a ty wierzyłaś, że porwał ją ktoś trzeci? - Faith była zdumiona. - Dlaczego nie powiedziałaś prawdy tym z FBI? Pozwoliłaś, żeby prowadzili dochodzenie w ciemno?

Dlaczego Faith nie potrafiła zrozumieć, że ona, Lydia, próbowała ochronić obu mężczyzn? Nie dopuszczała do siebie myśli, że to któryś z nich porwał jej dziecko. Joe nie ryzykowałby własnej kariery, wiedział, że w razie jakichkolwiek podejrzeń Lydia ujawni posiadane dokumenty. A Dominik? Jakie mógłby mieć powody, żeby wykraść dziecko? Wystarczyło, że musiał się troszczyć o żonę i syna. Nie, obaj mieli zbyt wiele do stracenia.

- Przez długi czas wierzyłam, że FBI odnajdzie

Hope. Miałam powiedzieć wszem i wobec, że nie jest córką Joego? Wyobrażasz sobie, jaki wybuchłby skandal? Do końca życia byłaby bękartem. Chciałam ją chronić. Ja, Joego, Dominika.

- Chciałaś chronić siebie.

- Nie zaprzeczam.

Faith podeszła do kuchenki, nalała sobie podgrzanego napoju, dodała szkockiej, szybko wypła odwrócona plecami do matki. Była wstrząśnięta.

- Kiedy sobie uświadomiłaś, że nigdy więcej jej nie zobaczysz?

- Po wielu miesiącach.

- A potem? Dlaczego nie rozwiodłaś się z ojcem? W dodatku zdecydowałaś się na drugie dziecko? Nic z tego nie rozumiem.

Lydia szukała właściwych słów.

- Kiedy Hope... zabrali, twój ojciec wydawał się bardzo przygnębiony. Uwierzyłam pozorom, myślałam, że mi przebaczył. Nie osądzaj nas - próbowała tłumaczyć, widząc, jak Faith kręci głową. - Nie słyszałaś tych apeli do porywaczy, żeby zwrócili dziecko, nie widziałaś tragicznej twarzy Joego. Nawet w domu, gdzie nie było dziennikarzy i kamer, okazał mi wiele serdeczności. Nie byłam w stanie myśleć racjonalnie. A potem, w grudniu, Dominik popełnił samobójstwo. - Zamilkła na moment. - Mój świat rozpadł się do reszty, zaś twój ojciec był dla mnie jedynym oparciem. Mijały miesiące, zbliżyliśmy się do siebie. Z czasem i ja zaczęłam go wspierać, jak on wspierał mnie w najgorszym.

- I tak ja pojawiałam się na świecie.

- Chciałam dać Joemu dziecko. Sama rozpaczliwie

chciałam dziecka. Hope miała zaledwie tydzień, kiedy ją straciłam. Teraz wiesz już wszystko.

- Nie sędę.

Lydia spojrzała na córkę.

- Nie mam nic do dodania.

- Tylko jeszcze jedno pytanie, mamó. Twierdzisz, że chciałaś mnie mieć. Że byłaś to winna ojcu za wsparcie, które ci okazywał w najgorszych chwilach, ale ja rosłam w tym domu i nie pamiętam, żebyście okazywali sobie serdeczność czy wdzięczność. Co się stało? Mówiłaś, że chciałaś zacząć wszystko od nowa. Nie udało się?

- Zbyt wiele ci już powiedziałam.

- Co się wydarzyło? Musisz mi powiedzieć. To także moje życie.

Lydia wbiła wzrok w blat stołu i powoli przesunęła palcem po zarysowanej politurze.

- Kiedy byłam w ósmym miesiącu ciąży, twój ojciec zapytał mnie, dlaczego zdecydowałam się na następne dziecko. Posprzeczaaliśmy się wtedy o jakieś głupstwo. Źle znosiłam ciążę, byłam tego dnia rozdrażniona, w kłótlwym nastroju. Wykrzyczałam, że chcę mieć dziecko ze względu na niego. Uśmiechnął się pod nosem, dobrze to pamiętam, a potem wyraził zadowolenie, że tym razem będzie to jego dziecko, a nie majstra przybłądy.

- A więc wiedział, kto był ojcem Hope?

- Nie potrafię powiedzieć, jak i kiedy odkrył prawdę. Może tylko się domyślał. W każdym razie dodał zaraz, że ojcostwo nie ma wpływu na los dziecka i że piorun nie trafia nigdy po raz drugi w to samo miejsce, ale nie powinnam wierzyć ludowym mądrościom. To

byłaby dopiero tragedia, gdybym straciła następne dziecko. Zapytałam go, co ma na myśli. Usłyszałam, że ten, kto zabrał Hope, nie miał z tym najmniejszego kłopotu, natomiast wiele mógł zyskać przez jej zniknięcie. Radził mi uważać.

Faith pobladła.

- Praktycznie przyznał, że to on porwał Hope.

- Nie, tego nie powiedział, dał mi tylko do zrozumienia, że mógł to zrobić i że ty też nie będziesz bezpieczna, jeśli ja nie będę go słuchać.

- Miałaś przecież dokumenty dotyczące **Kennedy'ego**. Mój Boże, komisja Warrena tylko czekała na coś takiego!

- Miałam dokumenty, owszem. Ale czy mogłam powiedzieć całemu światu, że ojciec mojego dziecka planował zamach na prezydenta? Ja miałam dokumenty, Joe miał ciebie. Trzymaliśmy się wzajemnie w szachu. Nie powiedział, że stanie ci się coś złego, ale groźba była wystarczająco czytelna. Twój ojciec dał mi do zrozumienia, że nigdy nie mogę mu ufać. Byłam słaba i przekreśliłam swoją jedyną szansę na uwolnienie się od Joego. Zostawiając go, ryzykowałabym twoje bezpieczeństwo.

- I dlatego z nim zostałaś?

- Nigdy więcej mi nie groził, ale też nie miał potrzeby, prawda?

Faith łzy napłynęły do oczu.

- Może pewnego dnia coś z tego zrozumiem. Nie wiem, mamu, jestem od dawna dorosła, nic już nie może mi grozić, a jednak ty nadal trwasz w tym małżeństwie.

Na to Lydia nie miała żadnego usprawiedliwienia.

Nie musiała już chronić dziecka, nie czuła nic do męża. Być może zwykłe tchórzostwo nie pozwoliło jej odejść. Odwróciła wzrok.

- Setki razy zastanawiałam się nad rozwodem. Jestem stara. Mam tylko to życie, które zbudowałam z Joem. Nienawidzę go za to, co powiedział tamtego dnia, ale to było tak dawno temu, a ja za głęboko tkwię w swoim małżeństwie.

- Powiedz przynajmniej, że na pewno nie zostałaś z nim, gdybyś naprawdę wierzyła, że to on porwał Hope. Powiedz przynajmniej tyle.

Lydia nie wiedziała, w co wierzy.

- Miał powody, żeby ją porwać, ale jeszcze więcej, żeby się przed tym powstrzymać. W gniewie, w złości rzucił aluzję, chciał, żebym się torturowała domysłami. Nie było śladu dowodów, że to on.

- Więc nie podejrzewasz go?

Teraz w oczach Lydii pojawiły się łzy.

- Przyjście na świat Hope unieszczęśliwiło dwóch mężczyzn. Po tylu latach to jedno, czego mogę nadal być pewna.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Ham, Żyd z urodzenia, ateista z przekonań, miał dwa powody, by nie obchodzić świąt Bożego Narodzenia. Kiedy jednak David wrócił z rozmowy z dziekanem seminarium teologicznego, zastał w domu choinkę.

- Chciałem, żebyś miał coś swojskiego - przywitał go Ham. - Ale jej nie ubrałem. Bez przesady. Ozdoby są w pudle pod stołem. Dostałem je od znajomego, który wyjeżdża i nie będą mu w tym roku potrzebne.

Zdumiony David wpatrywał się w drzewko.

- Co jeszcze? Ochrzczisz się?

- Nie muszę. Jestem nowym mesjaszem.

David uściskał przyjaciela.

- Nie musiałeś tego robić.

- To pogański obyczaj. Dla ciebie mogę nawet udawać druida.

- Alex ją ubierze.

Ham aż cofnął się o krok.

- Przeprowadzisz go tutaj?

Alex miał spędzić pierwszy dzień świąt z matką

i dziadkami, ale David wynajął domek w Marylandzie, żeby spędzić świąteczny weekend z synem. Lecz Ham nie wiedział jeszcze wszystkiego.

- Rozmawiałem wczoraj z Faith. Powiedziałem jej, że chcę go tutaj przyprowadzić, zanim wyjeździemy na weekend do Marylandu. Niech zobaczy, jak mieszkam.

- Zgodziła się?

- Bez problemów. - Dla Davida był to pierwszy prezent świąteczny.

- Wyjdę po południu, żebyście mogli być sami.

- Nie, poznasz Aleksa. Faith nie ma nic przeciwko temu.

- Nie ostrzegła cię, żebyś się ze mną nie kochał przy dziecku?

- Liczy na nasz zdrowy rozsądek.

- Lepiej uważaj, bo gotowym polubić tę kobietę.

- Polubiłbyś na pewno, gdybyś ją poznał. Może nawet poznasz.

- Cuda bożonarodzeniowe?

- Przeszła trudne chwile.

- A tobie ciągle na niej zależy. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Chciałbyś, żebym zaprzeczył?

- Nie możesz zaprzeczać samemu sobie.

Faith usiłowała pomóc Aleksowi zapakować się, ale myślami była gdzie indziej. Nie zmrzywszy oka, przez całą noc przewracała się w łóżku, rozpamiętując rozmowę z Lydią. Nad ranem podjęła decyzję: powie Borisowi, co usłyszała. Przynękała, że da mu znać, jeśli dowie się czegoś nowego. Nawet gdyby nie obiecała,

postąpiłaby właśnie tak, bo przecież Hope była również jego siostrą.

- Mamo, nie potrzebuję sześciu par majtek. Sam się zapakuję. - Alex wyjął jej z rąk swoje majtki i skarpetki.

- Proszę bardzo - zgodziła się. - Lepiej wiesz, co powinieneś ze sobą wziąć.

- Tata przyjedzie po mnie dopiero o trzeciej. Mam jeszcze czas.

- Dlaczego zawsze wszystko odkładasz na ostatnią chwilę?

- Bo tak chcę.

Życie Faith z dwójką nastolatków nie zapowiadało się różowo. Alex skończył właśnie dwanaście lat. Niedługo zgnębiona matka ostatecznie się przekona, czy zdoła wytrzymać w domu, czy też będzie musiała się wyprowadzić.

- Rób, jak chcesz, tylko nie zapomnij o prezencie dla taty.

Alex sam zrobił wygaszasz ekranu ze zdjęciami szkolnymi swoimi i Remy. Faith podejrzewała, że znajdzie pod choinką kopię dla siebie.

- Myślisz, że się ucieszy? - zapytał Alex. - Może niepotrzebnie wmontowałem zdjęcia Remy?

- Potrzebnie, potrzebnie.

- Próbowałem ją namówić, żeby pojechała z nami do Marylandu.

Nie musiał mówić, co mu odpowiedziała siostra.

- To miło, że pomyślałeś.

- Pozwolisz jej spędzić święta u Megan?

Aleksa nie obchodziła polityka wychowawcza Faith i nie zależało mu na tym, żeby siostra ponosiła

kary za swoje wybryki, martwił się tylko, że również ona wyjedzie na weekend.

- Należy się jej jakaś przyjemność, podobnie jak tobie.

- Będziesz w domu sama.

- Jakoś to zniósę. Remy od wieków nie widziała się z Megan. Ja dokończę robić świąteczne zakupy, posprzątam, upiekę miętowe ciastka.

- Może Remy powinna zostać i pomóc ci?

- Tak się o mnie martwisz?

Alex tylko wzruszył ramionami.

- W moim wieku człowiek czasami lubi побыć sam w domu. - Wyszła, zostawiając Aleksa sam na sam z własnymi troskami. Była pewna, że zapomni o nich, kiedy znajdzie się w Marylandzie.

Zajrzała do Remy, by sprawdzić, jak córce idzie pakowanie. Od progu stwierdziła, że ani trochę lepiej niż Aleksowi.

- Masz wszystko, czego będziesz potrzebowała? Przygotowałam trochę ciastek dla mamy Megan.

- Mama Megan sama potrafi upiec ciastka.
- W głosie Remy było coś więcej niż odmowa.

- To podarunek. Nie cieszysz się na spotkanie z Megan? Chciałaś przecież do niej jechać.

- Wszystko mi jedno.

Faith miała nadzieję, że Remy wróci z McLean zadowolona i odmieniona. Dlaczego nie, skoro wierzyła w Niepokalane Poczęcie, trzech króli u żłóbka, anioły, pasterzy i Gwiazdę Betlejemską?

- Możesz zostać w domu, jeśli wolisz. Jest jeszcze sporo do zrobienia, pomożesz mi.

- Chcę skończyć pakowanie, okej?

Faith zeszła na dół, a że miała chwilę czasu, zadzwoniła do Scavengera i poprosiła o połączenie z Borisem. Sekretarka zapisała wiadomość, ale powiedziała, że szef prawdopodobnie nie pojawi się już tego dnia w firmie.

W domu też go nie było. Faith nagrała się na automatyczną sekretarkę i zapatrzyła w kalendarz wiszący na ścianie. Nagle coś ją tknęło.

Pobiegła do swojego pokoju, wyciągnęła z szuflady odbitki starych artykułów i znalazła ten, którego szukała. Równo trzydzieści osiem lat temu powiesił się Dominik Dubrov.

Czy Boris pamiętał o rocznicy?

Nałożyła ciepłą kurtkę, chociaż wybierała się tylko do sąsiedniego domu.

- Idę do Dottie Lee, zaraz wracam! - zawołała.

Drzwi otworzyła Mariana i oczom Faith ukazały się mało ortodoksyjne dekoracje świąteczne: barwne origami zawieszane u sufitu, mała choinka przybrana wschodnioeuropejskimi pisankami i Baba-Jaga na miotle.

- La Befana - z uśmiechem oznajmiła Dottie Lee, stając u szczytu schodów. - Na Trzech Króli przynosi grzecznym włoskim dzieciom cukierki, a niegrzecznym węgle.

- Nie wiem, czy moje czekałaby tak długo, żeby się dowiedzieć, na co zasłużyły. Przyszłam zaprosić cię na świąteczną kolację. W pierwszy dzień będziemy u moich rodziców, ale wrócimy na tyle wcześniej, żeby jeszcze sięść do stołu.

Dottie Lee chwilę się zastanawiała.

- Może przyszlibyście do mnie?

- Nie chcę przysparzać ci roboty. Bądź raz naszym gościem.

- Ja rzadko wychodzę z domu.

Faith pomyślała, że chodzi o pogodę.

- Jeśli będzie padał śnieg, przyjdziemy po ciebie.

- Faith, kochanie, od lat nie wytykam nosa dalej niż do ogrodu. Raz czy dwa zajrzałam do was i na tym się kończą moje eskapady.

- Och... - Dopiero teraz zrozumiała. - Boisz się wychodzić.

- Na to wygląda.

- Kiedyś przyniosłaś mi whisky, potem byłaś w moim ogrodzie...

- Wtedy naprawdę musiałam.

- Może jednak spróbujesz? Jesteś dla nas jak ktoś z rodziny.

Dottie Lee przygryzła wargę.

- Dobrze, przyjdę, ale nie zostanę długo, zgoda?

- Jeśli uznasz, że chcesz wracać do domu, dokończymy kolację tutaj.

- Ciekawam, czy twoja matka wie, jaką ma wspa-
niałą córkę?

Faith nie dała się wziąć na lep pochlebstw.

- Chciałam cię o coś zapytać, Dottie Lee.

- Chętnie zapomnę na chwilę o mojej nerwicy.

- Zaprosiła gestem Faith, żeby usiadła, ale ona pokręciła głową.

- Powiem krótko. Wiem, że matka miała romans z Dominikiem Dubrovem i wiem, że Boris jest jego synem. Jedno i drugie nie jest pewnie dla ciebie nowiną?

Dottie Lee rzeczywiście nie była zdziwiona.

- Czy twoja matka wie, że wiesz? - Kiedy Faith przytaknęła, Dottie odetchnęła. - To dobrze.

- Wiem też, że Dominik popełnił samobójstwo dokładnie trzydzieści osiem lat temu. Dzisiaj przypada rocznica jego śmierci. Próbowałam skontaktować się z Borisem, ale nie ma go ani w firmie, ani w domu. Wiesz może, gdzie jest pochowany jego ojciec?

- Myślisz, że Boris poszedł na cmentarz?

- Możliwe. - Mówił jej przecież, że odwiedza grób ojca. Mógł się tam wybrać, szczególnie w taki dzień. - Nawet jeśli nie... - Po co właściwie miałyby tam iść? Romans matki fatalnie zaważył na jej dzieciństwie, a jednak nie mogła przestać myśleć o tym nieszczęśliwym człowieku, który odebrał sobie życie, żeby uciec od cierpienia.

Dottie Lee przerwała jej rozmyślenia.

- Masz mu coś do przekazania? Znaczy się, Dominikowi?

Chyba jednak miała mu coś do przekazania.

- Wiem, co powiedziałaś policji, ale czy jesteś pewna, że to nie on porwał Hope? - Nie dodała, że Hope była córką Dominika. Dottie Lee musiała się tego domyślać, ale Faith nie miała prawa dzielić się z nią sekretami matki.

- Jestem pewna jednego: że tamtego strasznego dnia do domu nie wszedł nikt obcy.

- Zapewniłaś Dominikowi alibi - drażnyła Faith.

Dottie nie próbowała jej przekonywać, że alibi było prawdziwe, ale też nie przyznała wprost, że skłamała.

- Gdybym nie powiedziała policji tego, co powiedziałam, być może Dominik żyłby nadal. W więzieniu nie tak łatwo odebrać sobie życie. Kiedy nikt nie

zgłosił się po ciało, ja je zabrałam. Pochowałam go w rodzinnej kwaterze na Oak Hill, obok senatorów i mężów stanu. Zasługiwał na coś lepszego niż wspólna mogiła gdzieś pod płotem. Cokolwiek o nim myślisz, był dobrym człowiekiem. Powtórz mu to ode mnie, dobrze?

Remy nie chciała jechać do Megan. Z góry wiedziała, jak tam będzie. Zbiegną się wszystkie jej dawne przyjaciółki i będą gadały o swoich sprawach, w których ona nie miała już udziału.

Spotkała kilka z nich na wystawie koni. Wprawdzie przywitały ją serdecznie, ale potem na pewno obgadały. Poza tym wydawały się takie dziecinne. Interesowały się jakimś smarkaczami. Przecież nie będzie opowiadała im o Enziu. Megan wygada swojej mamie, a ta powtórzy Faith i od razu będzie kosmiczna awantura.

Co prawda miała zakaz wychodzenia z domu, ale wymykała się, kiedy matka gdzieś wychodziła i zostawiała ją samą z Alekssem.

Alex oczywiście wiedział, że siostra się urywa, ale nie mówił nic Faith, bo wiedział, że Remy znienawidziłaby go do końca życia. Wydawało mu się, że jest strasznie dorosły i w porządku z niego facet. Żałosny palant. Ale chociaż niepotrzebnie nie kłapał dziobem.

Leżała na łóżku, wpatrywała się w sufit i wymyślała, co opowie o sobie koleżankom, kiedy do pokoju wszedł Alex.

- Jedziesz do Megan?
- I co z tego?

- Mogłabyś jechać ze mną i z tatą do Marylandu.

- Z nim? Na pewno nie.
- On za tobą tęskni, Remy.

Guzik ją obchodzi, czy ojciec za nią tęskni, czy nie. A jednak coś ścisnęło ją za gardło.

- Nie pojedę.
- Jezus mówił, że trzeba wybaczać.
- No to niech mu wybacza. Kiedy zrobił się z ciebie taki kaznodzieja?
- To nasz tata. Taki sam jak dawniej.
- Taki sam, taki sam. Tylko troszkę spedałony.

Zaskrzypiały drzwi wejściowe i po chwili rozległ się głos Faith:

- Jesteście tam?

- Nie, nie ma nas - skrzywiła się Remy i wzięła na ręce Duszkę, która przewracała się po łóżku, jakby należało do niej. Gdyby nie kotka i mały Pinto, Remy w ogóle nie miałyby ochoty wracać do domu.

- Jesteśmy! - odkrzyknął Alex.

- Wiesz, pewnego dnia odkryjesz, że matka jest jak policjant. Te jej głupie pytania...

- Ty wszystkich nienawidzisz - powiedział Alex z niesmakiem.

- Owszem, a ciebie najbardziej.

- Wiesz, kiedyś chciałem być taki jak ty. Teraz już nie chcę. - Alex wyszedł z pokoju.

Remy pomimo wszystko poczuła się dotknięta. Nie chciała się przyjaźnić się z Alekssem, ale fajnie było myśleć, że mu imponuje.

Żeby zapomnieć o bracie, wróciła do pakowania. Prawie kończyła, kiedy pojawiła się Faith.

- Niedługo przyjedzie Sally.

- Nie musisz mi przypominać, mamó.

- Alex też już jest gotowy, a ja mam coś jeszcze do załatwienia. Mogę zostawić was samych?

Remy położyła rękę na piersi, jakby zaraz miała ją powalić zawał.

- Naprawdę zostawisz mnie bez nadzoru na cały kwadrans?

- Może jednak nie. - Faith zmrużyła oczy.

Remy szybko się zreflektowała. Chyba trochę przesadziła.

- Oczywiście, że możesz nas zostawić, mamo. Damy sobie radę. Obiecuję, że nie spalę domu i nie zajaram trawki.

- Czy ty słyszysz, co mówisz, Remy? Dlaczego wieszcznie zachowujesz się tak, jakbyś chciała, żeby wszyscy dookoła cię znienawidzili?

Najpierw Alex, teraz matka. Jakby się umówili.

- Daj mi spokój! - Remy chwyciła poduszkę i przygarnęła do piersi.

- Porozmawiamy, jak wrócisz od Megan.

- Nie chcę rozmawiać.

Faith zrezygnowała z ostrej riposty.

- Baw się dobrze.

Po chwili Remy usłyszała odgłos zamykanych drzwi frontowych. Wyrzała przez okno w sypialni Faith, odczekała, aż matka wsiądzie do samochodu i odjedzie, po czym pobiegła do telefonu.

Megan podniosła słuchawkę po czwartym sygnale.

- Cześć, Meg. Już się bałam, że nie ma cię w domu.

Megan zaczęła rozwlekle wyjaśniać, gdzie była i dlaczego tak długo nie odbierała. Czasami potrafiła być okropna.

- Nie mogę przyjechać - oznajmiła Remy, kiedy

przyjaciółka wreszcie zamilkła. - Trochę źle się czuję. Może zjawię się później. - Miała nadzieję, że starczy jej pieniędzy na taksówkę do McLean. Nie kupi wtedy co prawda nic pod choinkę Aleksowi, ale nie zasłużył sobie na prezent. - Muszę kończyć, Meg. Zadzwoń później. Ty nie dzwoń, bo chcę się trochę przespać. - Szybko odwiesiła słuchawkę.

Miała dla siebie całe popołudnie. Nie mogła wprost uwierzyć we własne szczęście. Spędzi kilka godzin z Enziem, a wieczorem pojedzie taksówką do McLean. Faith o niczym się nie dowie.

Selim i Paul wyjechali na święta, a Colin przesiadywał całe dni w bibliotece. Tak więc Enzo miał cały dom dla siebie. I dla niej.

Zbiegła na dół. Alex siedział przy pianinie i jednym palcem wystukiwał jakąś melodię.

- Wychodzę. Umówiłam się z mamą Megan na rogu, żeby nie musiała szukać miejsca do parkowania.

- Kłamiesz. Słyszałem, jak rozmawiałaś przez telefon. Powiedziałaś Megan, że źle się czujesz i że nie przyjedziesz.

- Przesłyszałaś się.

- Nie jestem głuchy. Mój pokój jest obok pokoju mamy. Wszystko słyszałem.

- Powtarzam, wychodzę. Nie chcę spotkać się z twoim ojcem. Zaczekam na mamę Megan na ulicy.

Puścił mimo uszu, że powiedziała „z twoim ojcem”.

- Gdzie idziesz?

- Już ci mówiłam. - Remy zatrzymała się w progu. - I lepiej nie opowiadaj nikomu, co ci się wydaje. Ja też potrafię nakłamać o tobie i wtedy będziesz miał

taaakie kłopoty. - Zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążył odpowiedzieć.

Nie czuła wcale radości z odzyskanej swobody, bo Alex wszystko popsuł. Alex i te jego durne, zatroskane oczy. Głupek. On chce ją uczyć, co powinna robić i jak się ma zachowywać!

Jest od niego starsza i więcej wie niż ten smarkacz. Jest na tyle duża, że zainteresował się nią ktoś taki jak Enzo. Sama potrafi podejmować decyzje. Wszyscy traktują ją jak dziecko, ale koniec z tym. Enzo jest może trochę za stary dla niej, ale nie szkodzi, da sobie z nim radę. Da sobie radę ze wszystkimi. Nie będzie nikogo słuchać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Założony w dziewiętnastym wieku pejzażowy cmentarz Oak Hill był jedną z tych wielkomijskich nekropolii, które w epoce nowoczesności zaczęły wypierać przykościelne miejsca pochówku.

Kierując się wskazówkami Dottie Lee, Faith szła w kierunku kwatery Fairbanksów, rozmyślając o Dominiku.

Już z daleka dostrzegła Borisa. Stał przy grobie ze spuszczoną głową, zatopiony w zadumie.

Poczuła się jak intruz. Mimo że nie pamiętał ojca, nie nosił nawet jego nazwiska, śmierć Dominika ukształtowała całe życie Borisa. Faith zbliżyła się do grobu dopiero wtedy, kiedy Boris naciągnął na głowę wełnianą czapkę, którą dotąd trzymał w dłoniach. Nie zdziwił się na jej widok i nie ucieszył. W jego oczach dostrzegła czujność.

- Faith? Co tutaj robisz?
- Chciałam zobaczyć grób twojego ojca. Dottie Lee powiedziała mi, jak tu trafić.
- Nie ma co oglądać. Zwykła tablica nagrobna.

- Jak dawno temu dowiedziałeś się, gdzie jest pochowany?

- Wkrótce po przyjeździe, z mikrofilmu ze starymi nekrologami. Mogłem postawić na grobie inną, okazałą tablicę, ale potrzebowałbym na to zgody Dottie Lee.

- Nie chciałeś, by się dowiedziała, że jesteś synem Dominika, tak? Kiedy jej dzisiaj o tym powiedziałam, nie była zaskoczona.

- Domyśliła się sama.

- Dlaczego trzymałeś to przed nią w tajemnicy? Chciałeś przecież dowiedzieć się czegoś o ojcu, a ona była z nim zaprzyjaźniona.

- Pomyślałem, że lepiej się powstrzymać.

Faith miała ochotę zasunąć zamek kurtki Borisa. Wyglądał na zmęczonego, jakby nie spał kilka nocy. Bała się, by nie wpadł w depresję jak jego ojciec.

- Chyba będę mogła wynagrodzić twoją cierpliwość.

- Co masz na myśli?

- Dowiedziałam się od matki czegoś, co powinienś wiedzieć. Dlatego cię szukałam.

- A nie po to, żeby mnie pocieszyć?

Pocieszyć też, pomyślała. Nadal czuła się związana z Borisem nie tylko dlatego, że łączyła ich zawiłana przeszłość.

- Hope była tylko moją przyrodnią siostrą. - Założyła ręce na piersi. - Twoją też.

Przez chwilę miał wyraźne kłopoty ze zrozumieniem słów Faith, wreszcie pojął.

- Była dzieckiem mojego ojca?

Faith powtórzyła mu, co usłyszała od Lydii.

- A więc mój ojciec wiedział? Twój też?

Nie powiedziała mu wprost, że matka szantażowała Joego. Wyraziła to oględniej, omijając słowo, które wydawało się tandetne niczym z kiegoś filmu:

- Ojciec miał swoje sekrety, które matka wykorzystała przeciwko niemu. Przyciśnięty do muru, zgodził się uznać Hope za swoje dziecko.

- Można powiedzieć, szczęśliwy traf. Ciekawe, czyja rodzina była bardziej poplątana?

- To stawia wszystko w innym świetle - ciągnęła Faith. - Twój ojciec na pewno nie porwał Hope z chęci odwetu, mógł ją jednak wykraść z innych powodów. Dzisiaj Dottie Lee przyznała, że kłamała, zapewniając Dominikowi alibi. Miałam się domyślić, że nie było go tego popołudnia u niej.

Boris nie wydawał się zaskoczony.

- Chcesz powiedzieć, że postanowił sam wychowywać córkę?

- Albo próbował ją chronić.

- Przed twoim ojcem?

- Matka zmusiła ojca, żeby uznał Hope, ale senator nie jest człowiekiem, który łatwo się poddaje. Dominik mógł zdawać sobie z tego sprawę. A może wcale jej nie zabrał? Może później domyślił się, że Joe sfingował porwanie? I wyrzucał sobie, że nie uczynił nic, by temu zapobiec.

- Dominik nie odpowie już na żadne pytanie.

- W głosie Borisa słychać było zmęczenie. - Zabrał swoje tajemnice do grobu.

- Jego samobójstwo nie daje mi spokoju. Trudno mi uwierzyć, że znalazł się w tak ostatecznej sytuacji, by nie widzieć dla siebie innego wyjścia.

- W dalszym ciągu nie rozumiesz, dlaczego mógł się załamać?

- Stereotyp mrocznej rosyjskiej duszy, tak? Czy twój ojciec rzeczywiście popadł w depresję? A może dowiedział się czegoś tak straszliwego, że nie mógł z tym żyć?

- Był jeden człowiek, który mógłby rozwiązać nasze wątpliwości, ale przepadł bez śladu. To Sandor, daleki kuzyn mojego ojca. Był jego pomocnikiem. FBI go przesłuchiwało, tyle wiem. Przysięgał, że ojciec nigdy nie porwałby dziecka.

- Mówisz, że był kuzynem Dominika. Może po prostu go osłaniał? - Zamilkła na moment. - Powiedziałaś, że przepadł bez śladu?

- Mężczyźni z mojej rodziny łatwo odchodzą. Sandor ożenił się kilka lat po śmierci ojca. Miał dwójkę dzieci. Zanim poszły do szkoły, zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Jego żona w końcu wyszła po raz drugi za mąż, odchowała dzieci. To od nich wiem, że FBI przesłuchiwało Sandora, ale tylko tyle. Nie chcą rozmawiać o swoim ojcu, nie chcą kontaktów z jego rodziną. Raz się spotkaliśmy i więcej ich już nie widziałem.

- Jeśli ktoś będzie wiedział, co się stało z Sandorem, to tylko Dottie Lee - powiedziała Faith. - To ona poleciła Dominika mojej matce. Pracował dla niej. Sandor na pewno też.

- Nawet jeśli coś wie, czy ci to powie?

Dottie Lee oszczędnie szafowała posiadanymi informacjami, ale może nie czyniła tak wyłącznie z chęci zwrócenia na siebie uwagi.

Mogła mieć ważniejsze powody.

Faith dopiero teraz to sobie uświadomiła. Podniosła wzrok na Borisa.

- Ona kogoś chroni. Powinnam była dawno już na to wpaść.

- Chroni mojego ojca. Pochowała go w rodzinnej kwaterze.

- Twój ojciec leży w grobie. Dottie Lee jest stara, ale nie karmi się przeszłością. Chroni kogoś, kto nadal żyje.

- Twoją matkę?

Faith nie była pewna.

- Wypij ze mną kawę. Przemarzałam na kość. Porozmawiamy i zastanowimy się, co robić dalej. Musimy znaleźć sposób, żeby sprowokować Dottie Lee do mówienia.

- Dawno już nie siedzieliśmy przy jednym stole.

Faith usłyszała w słowach Borisa coś, czego nie powiedział wprost. Tęsknił.

Ona też.

- To tylko filiżanka kawy - ostrzegła.

- Wypiję.

Na drzwiach domu, w którym mieszkał Enzo, nie było świątecznego wieńca ani kolorowych lampek na wynędzniałych krzewach przy ganku, ktoś tylko przykleił do szyby frontowego okna wycięte z kartonu płatki śniegu. Remy podejrzewała, że to inicjatywa Colina. Miał zajęcia z pierwszakami w jakiejś szkole katolickiej w śródmieściu i śnieżynki były pewnie dziełem któregoś z jego uczniów. Ciągłe opowiadał o problemach związanych z koordynacją oka i ręki.

Dom sprawiał dzisiaj odpychające wrażenie, pogrążony w ciemnościach, niegościnnie. Remy zaczęła

się nawet zastanawiać, czy nie zmienić planów. Mogła jeszcze zawrócić, zadzwonić do Megan i powiedzieć, że zaraz przyjedzie.

Nie musi odwiedzać Enzia.

Nie wiedziała, skąd brał się niepokój. Czy to przez Aleksa, czy dlatego, że skłamała. A może chodziło o samego Enzia? Od tamtego dnia, kiedy niemal ściągnął z niej ubranie, nigdy nie byli sami dłużej niż kilka minut, ale dotknięcie jego rąk utkwіło jej w pamięci. To co, że ma tylko czternaście lat? Dziewczyny robiły różne świńskie rzeczy. Billie ciągle się przechwała, ilu facetów już zaliczyła.

Remy wołała nie zostawać z Enziem sam na sam, lecz zarazem coś ją korciło. Wiedział, co jest grane, a ona była kompletnie zielona. Nie miał pojęcia, że jest aż taką małolată, i bardzo dobrze. Kiedyś przecież musi zacząć. Rodzice kładli jej do głowy, że trzeba żyć w cnocie, i jak na tym wyszli?

Ciekawe, co by powiedzieli, że dorosły chłopak ma ochotę przelecieć ich córeczkę?

Zastukała mosiężną kołatką, czekała długą chwilę, wreszcie w drzwiach stanął Enzo. Oczy zaświeciły mu się na jej widok. Wciągnął ją do środka.

- Przyszłaś w samą porę - powiedział, cedząc każde słowo.

- Dlaczego?

- Mam taaaki towar, właśnie przypaliłem.

- Maryśka? - Usiłowała nadać swojemu głosowi nonszalanckie brzmienie.

Enzio zaśmiał się z politowaniem.

- Chyba w życiu nie przypalałaś. Spróbuj, a zobaczysz, jaki to odjazd.

Była ciekawa, jak to jest. Odjechać? Pewnie. Zostawić to przekłete Georgetown, wszystko, co się stało przez ostatni rok. Żadnych ojców. Matek. Przemądrałych braciszków.

Spróbuje. Nie jest przecież dzieckiem.

- Gdzie to masz?

- Na górze, w pokoju.

Musiała mieć nietęgą minę, bo wybuchnął gromkim śmiechem.

- Zostawimy drzwi otwarte. Rany, ale z ciebie smarkata.

Nie chciała być smarkatą. Chciała mieć dziesięć lat więcej i być całkiem dorosła.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Prowadź.

David nacisnął dzwonek i nic. Wbrew zapewnieniom Faith, dom wymagał jeszcze sporo nakładów. Chociażby ten dzwonek... Zapukał, odczekał chwilę, zapukał jeszcze raz. Nikt nie podchodził do drzwi.

Był pewien, że powiedział Aleksowi, o której przyjedzie, Faith też znała godzinę. Przez moment już myślał, że zrobiła to specjalnie. Nie zasługiwał na żadne względy. To z jego winy po raz pierwszy nie będą świętowali razem.

Nie, Faith nie dałaby mu w ten sposób odczuć swojego żalu.

Poczeka kilka minut, potem zadzwoni do Faith na komórkę.

Próbował skrócić sobie oczekiwanie wspomnieniami. Siedem lat temu Alex dostał pod choinkę swój pierwszy rower. Nie chciał bocznych kółek,

choć kilka razy się przewrócił, zanim złapał równowagę.

Dziewięć lat temu David zbudował dla Remy dom dla lalek, Faith go pomalowała i dokupiła maleńkie meble. Ciekawe, co się z nim stało? Może Remy nie wyrzuciła domu na śmietnik w porywie niszczenia wszystkiego, co kojarzyło się z wyrodnym ojcem. Kiedyś mogłaby przekazać jego dzieła swoim dzieciom.

Stuknęły targane wiatrem okiennice. Na wieczór zapowiadano opady śniegu. Jeśli nie chcieli utknąć w zaspach, powinni już wyjeżdżać. David zerknął na zegarek, było później, niż przypuszczał. Podszedł do samochodu, który pożyczył od Hama na weekend.

W tej samej chwili zobaczył Aleksa. Wlókł się ulicą ze spuszczoną głową. Coś musiało go trapić.

- Cześć.

Alex spojrzał zdumiony, jakby zupełnie zapomniał, że umówił się z ojcem.

- Tata?

- Gdzie byłeś?

Alex zamiast odpowiedzieć, zrobił niezdecydowaną minę.

- Czekam na ciebie.

- Ja... usłyszałem coś na końcu ulicy. Jakiś łoskot. Poszedłem zobaczyć, co się stało.

Alex nigdy nie kłamał, prędzej zanudził człowieka szczegółową relacją, niż minął się z prawdą choćby w jednym detalu, ale teraz nawet David, ze swoją łatwowiernością, dostrzegł, że coś jest nie w porządku.

- I co? - zapytał.

- Nic. Zdawało mi się.

- Gdzie mama?

- Musiała gdzieś pojechać. Zostawiła nas... mnie.
Mówiła, że zaraz przyjedziesz.

- Remy w domu?

- Nie.

- A gdzie?

- Ma jechać do Megan na weekend.

David czuł, że zbliża się do prawdy, ale za długo to trwało. Zdażył już zmarznąć na kość.

- Gdzie jest Remy?

Alex wzruszył ramionami.

- Może też usłyszała hałas.

- Powiedziałyby ci chyba, że wychodzi?

- Nie wiem.

Wiedział. David był tego pewien. Alex coś przed nim ukrywał i wcale nie czuł się z tym dobrze.

- Niełatwo mieć siostrę. - Kiedy weszli do domu, David podjął na nowo przesłuchanie. - Człowiek chce być lojalny i wobec niej, i wobec rodziców. Czasami trudno rozstrzygnąć, co ważniejsze.

Alex milczał.

- Ale czasami to zupełnie proste. Na przykład kiedy wiadomo, że mogłyby napytać sobie biedy.

- Ona mi nic nie mówi. Myśli, że jestem przemądrzały. Nienawidzi mnie.

- Na pewno nie. Któregoś dnia będziecie prawdziwymi przyjaciółmi.

- Jak ci powiem, to nigdy nie będziemy.

- Jak co mi powiesz?

Alex był rozdarty.

David ułatwił mu podjęcie decyzji.

- Jestem twoim tatą. Musisz mi powiedzieć. Nie masz wyboru.

- Będę miał kłopoty.
- Dlaczego? Dlatego, że wcześniej nic nam nie powiedziałeś? - Kiedy Alex skinął głową, dodał: - Po prostu nie wiedziałeś, jak postąpić, ale teraz już wiesz.
- Remy okropnie kłamie.
- David wolałby tego nie słyszeć.
- Mianowicie?
- Nie mówi prawdy, gdzie idzie, jak wychodzi z domu. Na naszej ulicy mieszkają tacy chłopacy, chyba studenci. I Remy zawsze tam chodzi, kiedy tylko może. Wcale nie chodzi do Billie, tylko tam. Jeden z tych chłopaków pracuje w sklepie z ubraniami. Ona tam też chodzi.
- Jest teraz u tych chłopców? - David nie rozumiał, jak Faith mogła zostawić dzieci same.
- Miała jechać do Megan. Wszystko było umówione, ale jak tylko mama wyszła, to ona zadzwoniła do Megan i powiedziała, że źle się czuje. Potem wzięła swoją torbę i poszła do tego domu. Czekałem, myślałem, że zaraz wyjdzie, ale nie wyszła.
- Stamtąd wracałeś?
- Poszedłem za nią, bo chciałem sprawdzić, czy znowu skłamała. Powiedziała mi, że źle usłyszałem i że umówiła się z mamą Megan na rogu. Wcale nie.
- David był coraz bardziej zaniepokojony.
- Mama o niczym nie wie?
- Alex wbił wzrok w podłogę.
- Nie wie. Naprawdę pilnuje Remy, ale ona ją ciągle okłamuje, a mama próbuje jej ufać. Chciałem powiedzieć, tylko się bałem, że Remy się na mnie wścieknie.
- Nie martw się. Dobrze zrobiłeś, że wreszcie powiedziałeś. Idziemy po nią.

- Chcesz tam iść?

- Mama ma przy sobie komórkę? Zadzwoń do niej, niech zaraz wraca do domu.

Alex pobiegł do kuchennego aparatu. Wrócił po chwili, kręcąc głową.

- Tylko dzwoni i dzwoni. Potem odezwała się poczta głosowa.

- Zostawiłeś wiadomość?

- Tak, ale to na nic, bo nigdy nie odsłuchuje poczty głosowej.

David położył dłoń na ramieniu syna i popchnął go lekko ku drzwiom.

- Idziemy.

Minęli jedną przecznicę, drugą. Zanim doszli do trzeciej, Alex zwolnił.

- To ten szary dom.

- Jesteś pewien?

- Kilka razy widziałem, jak tu wchodziła.

- Dobrze. Wracaj teraz do domu i spróbuj jeszcze raz zadzwonić do mamy. Siedź przy telefonie, może sama oddzwoni.

- Nie chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie, sam ją przyprowadzę.

Aleksowi wyraźnie ulżyło na duszy. Szybko odwrócił się i pobiegł do domu.

David przygotował się na czekającą go konfrontację. Zapukał, po chwili jeszcze raz, głośniej, ale nikt nie zareagował. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Wrócił na chodnik i zawołał:

- Remy!

- Mogę w czymś pomóc?

Zobaczył zbliżającego się do niego chłopaka o jasnych włosach i miłej twarzy.

- Szuka pan kogoś? - Chłopak wprowadził uśmiechał się uprzejmie, ale mierzył Davida czujnym spojrzeniem.

- Mojej córki.

- Córki?

David wyciągnął dłoń, chociaż najchętniej chwyciłby chłopaka za kark i mocno nim potrząsnął.

- David Bronson, ojciec Remy Bronson.

- Colin Fitzpatrick. A więc pan jest tatą Remy? Myślałem, że jej tata nie żyje.

- Chciałaby, żeby wszyscy wokół w to wierzyli. Jest u was?

- Nie wiem. Przez cały dzień byłem w bibliotece. Może jest u Enzia. Często się spotykają.

- To mogą być kłopoty. Chyba że Enzo też ma czternaście lat.

- Czternaście?

David widział, że Colin nie udaje, tylko naprawdę był zaskoczony. Zaskoczony i przerażony.

- Tak jest, czternaście. Jeśli powiedziała wam coś innego, kłamała.

- Mówiła, że robi w tym roku maturę.

- Nie zdziwiliście się?

- Jest niewysoka, ale wygląda na dużo więcej niż czternaście lat. Dlaczego miałyby kłamać?

- Bo wiedziała, że odesłalibyście ją do domu, gdyby się przyznała, że jest w ósmej klasie.

- W ósmej klasie? - Colin był już nie na żarty przerażony.

- Ma do mnie wyjść. Natychmiast.

Colin wyciągnął klucz z kieszeni i włożył go do zamka.

- Dlaczego nie zareagował pan wcześniej?

- O niczym nie wiedziałem. Okłamywała nas wszystkich.

- To dobry dzieciak.

Pomimo mrozu David miał spocone dłonie. Otwieranie drzwi trwało w nieskończoność. Jeśli Enzo był podobny do Colina, być może nie stało się nic złego, ale nie każdy student musi być porządnym chłopakiem.

- Ja i Remy nie dogadujemy się najlepiej - wyjaśnił David. - Nie będzie chciała ze mną pójść, ale musi. Nie stawaj w jej obronie, proszę.

- Na pewno nie będę jej zatrzymywał. - Colinowi udało się wreszcie otworzyć drzwi.

- Remy! - zawołał, wchodząc do holu, ale odpowiedziało mu milczenie. - Sprawdzę w pokoju Enzia.

- Idę z tobą - oznajmił David.

Colin zmieszał się.

- Nie wiem, co zastaniemy. Kiedyś wróciłem do domu i...

- I co?

- Pomyślałem, że trochę się zagalopowali. Byłem zadowolony, że im przeszkodziłem. Próbowałem potem pytać Enzia, ale mnie zbył.

- Chodźmy tam.

Colin przeskakiwał po dwa stopnie.

- Remy, ktoś chce się z tobą zobaczyć. - Zatrzymał się przed drzwiami. - Enzo, jesteście tam?

David nie był równie układowy. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

- Remy? Tu tata. Jesteś tam?

Usłyszał coś jak stłumiony okrzyk. To mu wystarczyło. Odsunął Colina i kopnął drzwi. Ustąpiły dopiero za trzecim razem, ale ustąpiły.

W pokoju panował półmrok, zdołał jednak dostrzec Remy na materacu i szczupłego chłopaka wciągającego w kącie spodnie.

Nie wiedział, kiedy znalazł się przy nim. Chwycił go za ramiona i z całych sił zaczął uderzać smarcaczem o ścianę.

- Ej! - Enzo na próżno usiłował mu się wyrwać.
- Nic nie robiliśmy, facet.

David pchnął go tak mocno, że głowa Enzia odbiła się od ściany jak piłka i ogłuszony chłopak osunął się na podłogę, a David natychmiast przypadł do materaca.

- Nic ci nie jest?

- Tato... - Remy z rozpaczliwym szlochem rzuciła mu się na szyję.

- Już dobrze, kochanie. Już dobrze. - Nigdy w życiu nie pragnął bardziej, żeby jego słowa okazały się prawdą.

Colin zaczął potrząsać Enziem.

- Ona ma czternaście lat!

- Powiedz, co się tu działo, Remy - tłumiąc strach, poprosił David. - Muszę wiedzieć, czy mam wezwać policję.

Rozszłochała się tak strasznie, że nie był pewien, czy będzie mogła wykrztusić choćby słowo.

- My... przyszedliśmy tutaj... ja... wypaliłam dwa skrzyty... i... chyba usnęłam. Kiedy się obudziłam... zdejmował... ze mnie ubranie.

- Zgwałcił cię, Remy?

- Nie. Chciał mi ściągnąć... - Zniosła się łkaniem.

- Wtedy ty... zawołałaś. Kazał być mi cicho... Ja... też cię wołałam... ale ty nie słyszałaś.

Enzio usiłował odepchnąć Colina.

- Głupia kurewka! Powiedziała mi, że ma osiemnaście lat.

David zamknął oczy.

- Zabierz go stąd, Colin, zanim go zabiję.

- To moja wina! Moja wina! - Remy przywarła do Davida.

Głaskał ją po głowie, uspokajał, ale nie mógł zaprzeczyć, że po części sama jest sobie winna.

Kiedy trochę doszła do siebie, pomógł jej ogarnąć się, wzuć buty. Postawił ją na nogi, podniósł z podłogi kurtkę i plecak.

- Dasz radę zejść na dół?

Skinęła głową.

- Przepraszam, tato... Ja...

- Wiem. Chodźmy stąd.

Colin był na dole sam. Miał tak nieszczęśliwą minę, jakby to on wszystkiemu zawinił.

- Gdzie twój kolega? - zapytał David.

- Wyszedł.

- Jeśli nie chce mieć kłopotów z wymiarem sprawiedliwości, niech się stąd wyniesie raz na zawsze.

- Dopilnuję tego. My też mamy go dosyć.

- Powiedz mu, że przyjdę tutaj w poniedziałek. Jeśli do tego czasu się nie wyprowadzi, będzie odpowiadał za próbę gwałtu na nieletniej.

- Wyprowadzi się. - Colin zerknął na Remy. - Hej, wszystko w porządku, Remy?

Remy tylko beczała.

- To dobry dzieciak - powtórzył Colin. - Chciała udawać starszą, niż jest. Nie wiedziała, czym się to może skończyć.

- Teraz już wie. - David mocniej objął córkę.
- Idziemy, kochanie.

- Czy... powiesz mamie?

- Wiesz, że tak.

- Znienawidzi mnie. Jak jej powiesz, już nigdy mi nie uwierzy!

- Nie znienawidzi cię. - Z zaufaniem mogło być gorzej.

Zdenerwowana Faith czekała już na nich w domu. Razem z Borisem.

- Remy? - Dziewczyna znowu się rozszlochała. Faith chwyciła ją za rękę, potem przytuliła. - Remy, nic ci się nie stało? Davidzie, wszystko w porządku?

Stało się, owszem, ale David po raz pierwszy był absolutnie pewien, że kiedy minie szok, wszystko będzie w porządku.

- Mało brakowało - powiedział. - Poznała jakichś chłopaków, mieszkają niedaleko stąd. Nakłamała im, tak jak okłamywała ciebie. Jeden z nich o mało jej nie zgwałcił.

Faith mocniej przytuliła Remy.

- A co z tym chłopakiem? - zapytał Boris.

Jedno spojrzenie na Borisa wystarczyło, by David przekonał się, że ma w nim sprzymierzeńca. Gdyby trzeba było, ten człowiek stanąłby w obronie Remy, jak przed chwilą uczynił to on sam.

- Zająłem się tym chłopakiem - uspokoił Borisa.
- Wyprowadzi się stąd.

Boris skinął głową.

- Niech by tylko spróbował tu zostać.

- Jak się to stało? - Faith usiłowała dowiedzieć się czegoś od Remy, ale David uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

- Sam ci wszystko opowiem. Ona nie jest teraz w stanie mówić.

- Miała jechać do Megan. Myślałam, że tam jest. Wróciłam do domu i Alex powiedział mi...

David nie dał jej dokończyć.

- Remy i Alex pojedą ze mną na weekend do Marylandu.

- Nie, Davidzie. Remy jest zupełnie roztrzęsiona, nie może jechać w takim stanie.

Dziewczyna uwolniła się z objęć matki.

- Pojadę z tatą. Ja... chcę jechać.

Przez twarz Faith przemknęły rozmaite odczucia, wreszcie pojawiło się przyzwolenie. Odgarnęła córce włosy z czoła.

- Rozumiem. Jedź. Wrzucę ci kilka ciepłych rzeczy do plecaka.

- Dziękuję - siąknęła Remy.

- Idź, umyj twarz, zanim mama cię spakuje. - David pchnął ją delikatnie w stronę łazienki.

- Poczekasz?

- Wprawiliem się w czekaniu na ciebie.

Spojrzała na ojca i uśmiechnęła się niepewnie. Tak na początek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Zanim David ruszył z dziećmi do Marylandu, opowiedział Faith, co się wydarzyło. Teraz już znała całą historię. Stała w oknie jeszcze długo po tym, jak samochód Hama zniknął na końcu ulicy.

- Bardzo martwię się o Remy. Tyle przeszła, teraz jeszcze to.

- Jesteś wspaniałą matką. - Boris stanął obok Faith. - Inna na twoim miejscu byłaby wściekła.

- Pewnie, że jestem. Okłamywała mnie. Kłamała, a ja nic nie widziałam. Niczego nie podejrzewałam. Zachowałam się jak naiwna idiotka.

- Wszystko dobrze się skończyło. Remy jest już bezpieczna, Faith. Dostała nauczkę, teraz na pewno będzie już ostrożna.

- A ja? Kiedy w końcu czegoś się nauczę? - Odwróciła się twarzą do Borisa. - Kiedy zrozumiem, że nikt nie jest taki, jakim mi się wydaje? Nawet moje własne dziecko. Nikt nigdy nie mówił mi prawdy. Rodzice. Mąż. Córka.

- Ja też - szepnął Boris.

- Ty też. - W głośnię Faith narastała złość, wreszcie przerodziła się we wściekłość.

Remy otarła się o katastrofę, a ona nie potrafiła w porę zainterweniować, zapobiec temu, co mogło się zdarzyć, chociaż na szczęście się nie zdarzyło. Jak mogła tak strasznie się pomylić w ocenie sytuacji? Była wściekła na samą siebie.

Boris przechylił głowę, niczym widz obserwujący burzę.

- Jak to się dzieje, Faith, że ludzie cię okłamują? Może urodziłaś się łatwowierna? Jak myślisz? Chyba że to spisek. My wszyscy, którym na tobie zależy, spotykamy się regularnie i radzimy, jak najlepiej cię zwieść. Takie tajne stowarzyszenie kłamców, którego jedynym celem jest zachwiać wiarą Faith Bronson w samą siebie.

Boris mówił bez ironii, stawiał pytania, jakby oczekiwał, że usłyszy na nie odpowiedź.

- Jak śmiesz! - Faith zacisnęła dłonie. - Myślisz, że to takie zabawne, co zrobiłeś? Że to zabawne podawać się za kogoś, kim się nie jest?

- Nie jestem psychologiem, ale wiem jedno. W innych nienawidzimy najbardziej tego, co nie podoba się w nas samych.

- Ja... jestem uczciwa. Nie kłamię, że jestem kimś innym, niż jestem.

- Na pewno? Myślisz cały czas, kto cię okłamał, kto cię oszukał, ale nie widzisz, jak bardzo okłamujesz samą siebie.

- Ja? Okłamuję siebie?! - wykrzyczała.

- Faith, powiedz, co czujesz oprócz złości? Oprócz żalu, że znowu ktoś cię okłamał? - Boris położył jej ręce na ramionach. - Co, do cholery, czujesz?

- Zostawili mnie samą! - Zaczęła okładać Borisa pięściami. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że wypowiedziała te słowa na głos, dopóki nie poczuła, że Boris mocniej zaciska dłonie na jej ramionach.

- Zostawili cię?

Dopiero teraz, po raz pierwszy, uświadomiła sobie, jak musiał czuć się David od chwili rozstania. Owszem, miał Hama, ale stracił wszystkich, których kochał. Został sam.

Chciała, żeby tak było. Okłamywała się od tamtego dnia w domku w górach. Chciała, żeby David cierpiał. Była, jak każdy człowiek, pełna wad, nieuczciwa wobec siebie, nieskora wybaczać.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo pragnęłam go ukarać - wykrztusiła. - Myślałam, że jestem ponad to. Że rozwiodę się bez nienawiści, stworzę dzieciom wzorowy dom, zacznę życie od nowa i wszystko świetnie się ułoży. - Faith płakała. - Tymczasem chciałam, żeby David cierpiał... chciałam odizolować go od rodziny... Chciałam dowieść, że jestem tą jedyną, na którą można liczyć.

- Obserwowałem cię, Faith, pamiętaj o tym. Może tak czułaś, ale tak się nie zachowywałaś. Nie skrzywdziłaś Davida. Zgoda, może nie wyciągnęłaś do niego ręki, ale otworzyłaś mu drzwi, kiedy tylko znalazł powrotną drogę.

Boris przygarnął ją do siebie.

- Faith, Faith. Nawet nie wiesz, o ile jesteś wspanialsza od innych ludzi.

Nieprawda. Była taka sama jak każdy. Niedoskonała. Musiała powiedzieć, wyrzucić z siebie najgorsze wyznanie.

- Zawsze byłam przekonana... ciągle tak myślę... że muszę być doskonała... żeby ktoś mógł mnie... pokochać.

- I wmawiałaś sobie, że jesteś doskonała i cudowna. A im bardziej wszyscy cię okłamywaliśmy, tym bardziej wątpiałaś w siebie, bo gdybyś była jeszcze odrobinę bardziej doskonała, to nikt by cię nie okłamywał, tak?

- Mogłam pomóc Remy. Mogłam... posłać ją na terapię. Wszyscy wybieramy się po feriach, ale mogliśmy wcześniej. Może bałam się, że to pomoże?

Boris cofnął się o krok.

- Spójrz na mnie.

Faith wytarła nos, chlipnęła.

- Okropnie wyglądam.

- Podobasz mi się taka. Spójrz na mnie. Byłaś zła na Davida. W porządku. Ale jesteś dobrą matką. Zawsze robiłaś to, co uważałaś za słuszne.

- Okłamywałam się.

- Witaj w klubie.

Wzięła głęboki oddech, następny. Spróbowała się uśmiechnąć. Nie udało się, ale zrobiła pierwszy krok.

- Jak wy wszyscy mogliście to znieść?

- Lata praktyki. Większość z nas dawno odkryła swoje niedoskonałości i byjakoś żyć, potrafimy wybaczać samym sobie.

I tak przyszło wzajemne wybaczenie. Boris nie ubrał go w słowa, ale Faith je usłyszała.

Nie mówili już o Remy. O Davidzie. O kłamstwach Lydii i Joego. Mówili o sobie. O przyszłości.

Nie można zmienić przeszłości, ale można kształtować przyszłość. Wreszcie to zrozumiała.

Czuła się oczyszczona i jednocześnie pusta. Nie wiedziała, co ma do zaofiarowania. Nie wiedziała, kim jest. Ani o co ma prawo prosić.

Boris rozumiał. Zobaczyła to w jego oczach, zanim ją pocałował.

- Zaczęliśmy w złym punkcie i ciągle nie znamy odpowiedzi na zbyt wiele pytań, Faith. - Boris odsunął się z ociąganiem. - Chcę być z tobą, ale musimy poczekać, dopóki nie będziemy pewni, że nie ma już żadnych tajemnic, żadnych kłamstw. Przeszłości, której nie pojmujemy.

Dopóki Faith nie zrozumie siebie trochę lepiej. Nie powiedział tego, ale wiedziała, że to najważniejszy powód. Nie chciał wykorzystywać chwili jej słabości, ryzykować prawdy, którą usiłowali wspólnie znaleźć i wszystko odbudować od początku.

- Możemy nigdy nie poznać odpowiedzi, pomyślałaś o tym?

- Kiedyś będziemy musieli zostawić w spokoju sprawy naszych rodziców, ale jeszcze nie teraz. A i ty jesteś zbyt obolała, żeby komplikować swoje.

- Ty jesteś komplikacją.

- Stań na nogi. Będę blisko.

Wiedziała, że Boris ma rację. Pragnęła go bardzo, ani na chwilę nie przestała pragnąć, ale miał rację i była mu wdzięczna za jego przenikliwość. Wiedziała przy tym, jak trudno będzie mu czekać.

- Pójdę już, dopóki pamiętam, jak stąd wyjść. Powinnas zostać teraz sama. Z Dottie Lee porozmawiamy kiedy indziej.

Nie chciała, żeby Boris wychodził. Co będzie robiła przez cały długi weekend? Zastanawiała się, jak mogła

przez tyle czasu oszukiwać samą siebie. Zadawała sobie pytanie, dlaczego wiele miesięcy temu nie poszła z Remy do terapeuty. Dręczyła się myślą, co by się stało, gdyby David w porę nie znalazł dzisiaj Remy...

Próbowała sobie odpowiedzieć, kim chce być, kiedy już się dowie, kim dotąd była. I czy chce, żeby Boris był świadkiem tej konfrontacji i przemiany?

Położyła rękę na jego dłoni.

- Nie chcę, żebyś szedł. Proszę.
 - Jesteś pewna? - Czekał, aż Faith skinie głową.
 - Zatem zostanę.
 - Umyję twarz i pójdziemy do Dottie Lee. Im szybciej, tym lepiej.
 - Możemy usłyszeć coś niedobrego.
 - Miejmy to za sobą, cokolwiek Dottie powie.
 - Dobrze. Obyśmy zastali ją w domu.
- Faith ścisnęła dłoń Borisa.
- Tego jednego możemy być pewni. Powiem ci, dlaczego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Dottie Lee, zabrnęliśmy w ślepy zaułek - zaczęła Faith bez wstępów. - Nie wiemy, gdzie szukać prawdy o porwaniu.

- Co jeszcze wiesz, poza tym, że twoja matka miała romans z Dominikiem?

Faith spojrzała na Borisa, ale on tylko wzruszył ramionami na znak, że sama musi decydować, co ma powiedzieć Dottie Lee.

- Wiemy, że Dominik był ojcem Hope. - Faith pomodliła się w duchu, żeby matka jej wybaczyła.

- Matka ci powiedziała? - W głosie Dottie Lee nie zabrzmiała najłżejsza nuta zaskoczenia.

- Tak. Powiedziała mi też, że ojciec o wszystkim wiedział. Wiemy, że skłamałaś, zapewniając Dominikowi alibi, ciągle jednak nie rozumiemy, dlaczego popełnił samobójstwo.

- Moim zdaniem jest ktoś, kto mógłby nam pomóc - podjął Boris. - Mój ojciec miał kuzyna, który z nim pracował...

- Sandor - wtrąciła Dottie Lee.

- Wiesz może, co się z nim stało? Jak możemy go znaleźć?

- Wiem, co się z nim stało. Ty też wiesz, Faith. Ale gdzie go znaleźć, to już trudniejsza sprawa.

- Znam go? - zdziwiła się Faith.

- Sandor, czyli inaczej Aleksander, kochanie. Jeszcze inaczej Alec. Alec Babin albo Puszkowy Alec.

- Dottie Lee zwróciła się do Borisa. - Poznałeś go u Faith, kiedy wrywał powój w ogrodzie.

Faith z trudem mogła uwierzyć.

- Moja matka nic nie wie?

- Bardzo się zmienił. Przed wielu laty pojawił się u mnie, szukając pracy. Zleciłam mu jakieś drobne roboty. Minał cały tydzień, zanim uzmysłowiłam sobie, kto zacz. To nie ten sam człowiek, co kiedyś.

- Dlaczego tu wrócił?

- Nigdy mi tego nie powiedział, ale na pewno nie przez przypadek, tego możemy być pewni. Nie wierzę w przypadki.

- Co jeszcze wiesz? - Boris nie bawił się w grzeczności.

- Myślicie, że wiem wszystko, prawda? Nie przyszło wam do głowy, że gdybym wiedziała, poszłabym na policję? Jestem stara i zdziwaczała, ale szanuję prawo.

- Jednak osłaniałaś Sandora - zauważyła Faith.

- Przed kim? Nigdy nie był poszukiwany. Policja raz go przesłuchała i zostawiła w spokoju. Rodziny nie chciałam zawiadamiać, bo wiedziałam, że Sandor natychmiast by znikł i nigdy już bym go nie zobaczyła. Siedziałam więc cicho i kiedy tylko mogłam, dawałam mu pracę.

- Sypiał w twojej piwnicy.

- Tak, przez wiele lat. W tym roku też na niego czekałam, ale się nie pokazał. Nie widziałam go od wielu tygodni.

- Powiedział ci coś, co miałoby dla nas znaczenie?

- zapytał Boris.

- Wszystko co wiem o romansie Dominika i Lydii, wiem od Sandora. Miałam swoje podejrzenia, a on je potwierdził. Bardzo lakonicznie. Potem nigdy już nie chciał rozmawiać o przeszłości, ale, moim zdaniem, ma wiele do powiedzenia. Dlatego się tu pojawił po latach, tylko bał się mówić. - Dottie odprowadziła gości do drzwi. - Nie wiem, ile butelek whisky ten człowiek wypił, ale na dnie żadnej nie znalazł odwagi, by wyznać prawdę.

- Gdzie go szukać? - zapytał jeszcze Boris.

- Nie wiem. Na pewno nie w schronisku. Alec ceni sobie samotność. Kiedyś mi wspominał, że są w mieście organizacje, które rozdają bony uprawniające do noclegu w hotelu. To zakazane miejsca, ale człowiek może się wykapać i przespać w osobnym pokoju.

Nie znaleźli Aleca w żadnym z hoteli, do których trafili.

- Jeszcze ten jeden i kończymy na dzisiaj - zakomenderował Boris późnym popołudniem. - Wyglądasz na wykończoną.

Ostatni hotel okazał się najprzyzwoitszy ze wszystkich dotychczas odwiedzanych. W recepcji nie zastali nikogo. Szybko wyjaśniło się dlaczego. Mianowicie w niewielkim pokoju na zapleczu trwało przyjęcie świąteczne.

Faith od razu dostrzegła Aleca. Właśnie podszedł do stołu, przy którym tłoczyła się gromada mężczyzn, wziął szklaneczkę ponczu i ciastko. Nic więcej. On też dostrzegł Faith. Przez moment trwał bez ruchu, po czym ruszył powoli w jej stronę.

- Wesołych świąt. - Faith przywołała uśmiech na twarz.

- Co pani tu robi, pani Bronson? - Borisa zupełnie zignorował.

- Moglibyśmy gdzieś porozmawiać, Alec? Nie chcę cię wyciągać z przyjęcia, ale...

- Mogę wyjść. Ciastko już sobie wziąłem.

Pokój Aleca okazał się niewiele większy od więziennej celi. Wąskie, przykryte kocem łóżko, mała komoda, plastikowe krzesło i półka stanowiły całe wyposażenie. Ściany były jednak świeżo malowane, a wykładzina na podłodze prawie nowa. W sumie wnętrze spartańskie, ale czyste i wygodne.

Alec wskazał Faith krzesło, Borisa posadził na łóżku, sam oparł się o ścianę.

- Stara lady powiedziała, tak?

- Powiedziała mi, że nazywasz się Sandor Babin i jesteś kuzynem Dominika Dubrova.

Alec z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Alec, to Boris Quinn, syn Dominika. Ty musiałeś go znać jako Borię.

Alec po raz pierwszy spojrzał na Borisa.

- Wiem, kim jesteś.

- Domyśliłeś się, kiedy zobaczyłeś mnie w ogrodzie Faith?

- Tak. Matka zmieniła ci nazwisko, co?

- Chciała uciec przed wstydem.
- Nie było przed czym uciekać. Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Znacznie lepszym niż wielu innych.
- Cieszę się, że to mówisz.
- Ale słabym. Może to cecha rodzinna.
- Co masz na myśli? - zapytała Faith.
- Moja rodzina uciekła z Węgier, jego ze Związku Radzieckiego. Widać nauczyliśmy się podwijać ogon, kiedy robi się nieprzyjemnie. Sam nie wiem.
- Mój ojciec nie uciekł. Popełnił samobójstwo
- zachnął się Boris.
- Co za różnica? Kiedy człowiek nie widzi innej drogi, wybiera jedyną, jaka mu została.
- Co pchnęło ojca do tego, żeby targnąć się na swoje życie?
- Po co wam wiedzieć? - Alec spojrział na Borisa, potem na Faith.
- Hope była naszą siostrą. Córką Dominika. Lydia to potwierdziła, kiedy poszedł do niej do szpitala. Mój ojciec jakimś sposobem doszedł prawdy. Teraz rozumiesz, dlaczego chcemy wiedzieć? Ja podejrzewam o porwanie swojego ojca, Boris swojego. Nie możemy z czymś tak trudnym i ciężkim dalej brnąć przez życie.
- Czego chcecie ode mnie?
- Żebyś powiedział nam, co wiesz. Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc.
- Co wiem, może zaszkodzić, zamiast pomóc.
- Nie tobie o tym decydować, Alec - powiedziała Faith łagodnie. - Już nie. Domyślałam się, że kogoś chronić, ale czas wreszcie powiedzieć prawdę. Pozwól nam zdecydować, co dalej.

Alec zamknął oczy, toczył z sobą trudną, wewnętrzną walkę.

- Muszę się napić.

- Nie teraz, proszę - powiedziała Faith.

- Wiem dużo - zaczął Alec powoli, z napiętą twarzą. - Twoja matka, Faith, była jeszcze w szpitalu, kiedy senator, wtedy żaden senator, tylko kongresman, wytropił Dominika. Opłacił, drań, ludzi. Przyczaili się w szpitalu, na noworodkach, i czekali, czy ktoś przyjdzie do Hope. Huston dobrał się do Dominika, zaczął mu grozić, że każe go deportować. Dominik wierzył, że może do tego dojść.

- I dlatego popełnił samobójstwo? Bał się deportacji? - Boris nie zdawał się przekonany. - Nie wierzę. Musiał wiedzieć, że władze imigracyjne...

- Matka obiecała go chronić w razie gróźb - wtrąciła Faith.

- Senator mówił coś jeszcze. - Alec otworzył oczy i spojrzał na Faith, jakby ważył w myślach słowa.

- Chcę znać całą prawdę. Wiem, do czego mój ojciec jest zdolny.

- Groził, że coś może stać się dziecku.

Faith wiedziała, że jeśli się teraz zachnie, nie wydobędzie nic więcej z Aleca.

- Mów dalej - poprosiła, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Powiedział Dominikowi, że uznał dziecko, bo nie miał wyboru, ale że dzieciom przytrafiają się różne nieprzyjemne rzeczy. Czasami takie maleństwo umiera i nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego. Nagle niemowlę przestaje oddychać, jakby ktoś położył mu poduszkę na twarz i dusił... dusił.

Alec osunął się na podłogę i zaczął się miarowo kołysać. Faith łzy spływały po twarzy, lecz nawet ich nie poczuła.

- Alec, czy mój ojciec zabił Hope?

Kołysał się nadal, nie otwierając oczu.

- Dominik nie mógł iść do twojej matki. Bała się o Dominika, ale myślała, że dziecko jest bezpieczne. Gdyby powtórzył jej, co mówił senator, pomyślałaby, że wymyślił to wszystko, by odeszła od męża. Nie miał dowodów, że Huston z nim rozmawiał.

- Dlatego mój ojciec porwał Hope? Bo nie miał innego wyboru? - zapytał Boris.

Alec otworzył oczy i spojrzał na Borisa.

- Myślisz, że bardziej kochał dziecko niż matkę? Że mógłby wyrzucić pani Huston taką krzywdę? Widziałem, jak cierpi. Nie wiedział, co robić. Podjąłem za niego decyzję. - Alec utkwiał wzrok w Faith.
- Ja ją wziąłem.

Faith wpatrywała się w Aleca nieruchomo. Miała przed oczami odpowiedź na swoje pytania. A dotąd była pewna, że któreś z nich, ona albo Boris, wyjdzie z pokoju Aleca jako dziecko porywacza. Poczowała na ramieniu dłoń Borisa.

- Ty?! - Boris był wstrząśnięty.

- To nie było takie trudne, jak pisali w gazetach, chociaż musiałem się spieszyć. Wziąłem klucz od Dominika i wszedłem tylnymi drzwiami. Dziecko spało, kiedy wyjąłem je z kołyski. Twoja matka, Faith, grała na pianinie. Nie przerwała, nawet kiedy zamknąłem za sobą drzwi. Miałem już umówioną mamkę, zaufaną kobietę. Zgodziła się pomóc, kiedy wszystko jej opowiedziałem. Znalazłem miejsce dla małej.

- Gdzie? - zapytał Boris.

- W Ontario, jedno węgierskie małżeństwo, moi rodzice znali się z nimi jeszcze ze starego kraju, potem mieszkali po sąsiedzku, zanim przenieśli się tutaj, do Stanów. Tamci nie mogli się doczekać własnego dziecka, choć starali się całymi latami. Papiery łatwo szło podrobić. Oni sami już o to zadbali, z kim trzeba porozmawiali, zapłacili komu trzeba. - Mówił teraz szybciej, jakby chciał wreszcie zrzucić z siebie zbyt długo dźwigany ciężar i teraz się bał, że nie zdąży dokończyć swojej opowieści. - Mamka wywiozła małą do Kanady. Posłużyła się papierami swojej córeczki i zostawiła Hope u tych ludzi z Ontario. Powiedziała, że to dziecko nieślubne, że matka sama jeszcze jest dzieckiem i że rodzice by ją wygnali precz z domu, gdyby poznali prawdę. Że niby urodziła na wsi, z dala od ciekawych oczu, i nikt nigdy o niczym się nie dowie. Tak chcieli dziecka, że nie zadawali żadnych pytań. Wiedziałem, że Hope nie może zostać w Stanach, bo Huston by ją znalazł. Zrobiłem, co zrobiłem, dla Dominika. Był dla mnie więcej jak bratem. Chciałem chronić jego córkę, a wiedziałem, że sam nigdy nie ważyłby się zabrać jej matce.

- I nikomu nie zdradziłeś swojej tajemnicy? Przez tyle lat?

Alec przestał się kołysać.

- Czy nie powiedziałem? Nie powiedziałem. Ale Dominik się domyślił.

- Nikt inny nie wiedział? Poza kobietą, która ci pomogła? Nawet ci, co ją wychowywali?

- Po co ktoś miałby wiedzieć? Dość, że ja wiedziałem, że dobrze zrobiłem. Zapobiegłem zbrodni. Hope

była tylko maleńkim dzieckiem. Dzieckiem Dominika. Nie mogła umrzeć.

- A jednak dręczyło cię to? - powiedział Boris.
- Tak jak dręczyło mojego ojca, aż wreszcie zabił się ze zgrzyoty.

- Dominik zrozumiał, że nie było dobrego wyjścia. Hope znalazła bezpieczny dom, ale pani Huston odchodziła od zmysłów. Twój ojciec tego nie przeżył. Nie mógł mnie wydać policji, byłem jego kuzynem. Nie mógł powiedzieć pani Huston. Nie mógł przywieźć Hope z powrotem, bo obawiał się o jej życie.

Faith nie mogła tego słuchać.

- Mój Boże, tyle cierpienia, tyle nieszczęścia, a ty ciągle uważałeś, że słusznie postąpiłeś? Że dobrze uczyniłeś?

Nieruchomą twarz Aleca ściągnął ledwie dostrzeżalny skurcz.

- Byłem pewien, że dobrze uczyniłem, aż dochowałem się własnych dzieci. Pewnego razu popatrzyłem na nie innym okiem i zrozumiałem. To wtedy zacząłem pić.

Nadal pozostawało wiele pytań, wśród nich to jedno, najważniejsze, ale Faith nie była jeszcze gotowa, by je zadać. Jeszcze nie.

- Dlaczego wtedy nie powiedziałeś? - natarł na Aleca Boris. - Dlaczego nie zgłosiłeś się na policję, skoro rozumiałeś, ilu ludziom zniszczyłeś życie?

- Myślisz, że to tak łatwo?

- Odpowiedz.

- Nadal się bałem, że senator zrobi krzywdę małej. Hope była jeszcze małą dziewczynką. Taka śliczna. Szczęśliwa w nowym domu. Nie byli bogaci, ale dali

jej wszystko, co tylko mogli. Gdybym zgłosił się na policję, unieszczęśliwiłbym tych ludzi, żeby naprawić krzywdę wyrządzoną innym. Jak bym mógł? W końcu nic nie mogłem. Jak Dominik.

Faith wreszcie zdobyła się na odwagę.

- Alec, co się teraz dzieje z Hope?

- Żyje. Ma się dobrze.

- Proszę. To nasza siostra. Moja i Borisa. Nie musisz już jej chronić. Powinna poznać prawdę i sama postanowić, jak sobie z tą prawdą poradzić.

Alec siedział bez ruchu, namyślał się. Faith niemal bała się oddychać. Wstał wreszcie, podszedł do komody, wysunął szufladę i wyjął coś spod starannie złożonych ubrań.

- To ona. - Podał zdjęcie Faith.

Spodziewała się zobaczyć niemowlę, to samo, które widziała na zdjęciach w prasie, tymczasem z pożółkłego kawałka czerpanego papieru spoglądała na nią ładna kobieta o ciemnych, kręconych włosach, słusznej tuszy, ciepłym uśmiechu i roześmianych oczach. Z obu stron tuliła się do niej dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka.

- To jest Hope? - Nie mogła oderwać oczu od dziwnie znajomej twarzy. Poczowała, że przysuwa się do niej Boris, tak samo jak ona ciekaw siostry.

- Już gdzieś ją widziałem.

- Pisze książki dla dzieci. Czasami idę do księgarni i przeglądam je sobie. Wyrwałem to zdjęcie z jednej.

Faith spojrzała jeszcze raz.

- Czy to nie Karina Gililand?

- Tak się nazywa.

Boris wyjął jej fotografię z ręki.

- Wiesz coś o niej?

- Czytałam jej książki dzieciom, kiedy były małe. Była ich ulubioną autorką, to jedyna rzecz, co do której się zgadzali. Wszyscy się zgadzaliśmy. Trzymam te książki dla wnuków. Leżą zapakowane na strychu. Na moim strychu. W kącie pod filarem, na którym moja babka wycięła swoje imię.

Rozpłakała się. Poczuła, jak Boris otacza ją ramieniem i wcale nie była pewna, które z nich bardziej potrzebuje ciepłego gestu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Choinka w domu Hustonów przybrana była sopłami z delikatnego szkła, staroświeckimi niemieckimi ozdobami antykwarycznej, a jakże, wartości, paczkami cynamonu, taftowymi wstążkami, suszonymi plasterkami pomarańczy i cytryny. Lydia usiadła obok drzewka i zagłębiona w myślach czekała na Faith.

Zegar wybił północ. Nietypowa pora na wizytę, nawet dla Faith, która dobrze znała obyczaje matki. Remy i Alex wyjechali z domu, była sama, ale i to nie tłumaczyło jej późnego telefonu. Niczego nie wyjaśniła, tylko zapowiedziała, że zjawi się za godzinę.

- Nie śpisz jeszcze? - Lydia spojrzała na męża. Stał w progu salonu, zły, że ktoś mu przeszkadza w pracy. - Faith chce wpaść.

- O tej godzinie? - zirytował się jeszcze bardziej.
- Powinnaś była nauczyć ją lepszych manier.

- Manierom Faith trudno coś zarzucić, natomiast twoje przeszkadzają mi coraz bardziej.

- Nie mam ochoty się z nią widzieć. Powiedz

swojej córce, że poszedłem spać. I niech nie siedzi za długo. Jutro mamy śniadanie w Mayflower.

- Będę nalegała, żeby została na noc.

Joe sarknął pod nosem i wyszedł bez słowa.

- Co ty wyrabiasz? Jechać nocą taki szmat drogi? W taką zawieję? - Lydia wprowadziła zmarzniętą Faith do salonu.

- Nie mogłam dłużej czekać.

- Dzieci szczęśliwie dotarły na miejsce?

- Owszem. Oboje są z Davidem.

Zdumiona Lydia zatrzymała się w pół kroku.

- Żartujesz.

- Nie. Remy chciała z nim jechać. Przeżyła pas-kudną przygodę. - Faith pokrótce opowiedziała, co się wydarzyło.

- Teraz rozumiem, że nie mogłaś znaleźć sobie miejsca w domu.

- Nic jeszcze nie wiesz, mamó. Wcale nie dlatego przyjechałam.

- Coś jeszcze?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Lydie szybciej zabiło serce.

- Nie można gorzej zacząć rozmowy. Mówże.

Faith nachyliła się i ujęła dłoń Lydie.

- Znaleźliśmy Hope, mamó.

Rano Boris poleciał do Kanady.

Faith, mimo protestów matki, wróciła na noc do domu. Chciała zostawić rodziców samych z wiadomością o odnalezieniu Hope. Lydia odprowadziła ją do drzwi, pocałowała w policzek i chwilę patrzyła za

odjeżdżającym samochodem, a potem przez wiele godzin dochodziła do siebie. Długo leżała w łóżku wpatrzona w sufit. Kiedy usnęła wreszcie nad ranem, wrócił znajomy koszmar, ale teraz muzyka była łagodna, a pokoje rozświetlone promieniami słońca. Tym razem dotarła do pokoju dziecinnego, gdzie w kołysce spokojnie spało niemowlę.

Nie wiedziała, jak przekazać nowinę mężowi, ale Faith miała rację. Ta rozmowa powinna odbyć się bez świadków.

Joe zszedł do kuchni o wpół do ósmej.

- Siadaj - przywitała go. - Mam z tobą do pomówienia.

- A ja mam kilka ważnych rozmów telefonicznych do odbycia. Musisz akurat teraz?

- Muszę.

- Chodzi o Faith?

- Nie, Joe. Chodzi o Hope.

Zachmurzył się.

- Chyba już wszystko sobie powiedzieliśmy na ten temat.

- Z wyjątkiem jednego. Że się odnalazła.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się na jotę. Nie uwierzył.

Lydia na miękkich nogach podeszła do stołu i osunęła się na krzesło.

- Nazywa się teraz Karina Gililand. Chcesz zobaczyć jej zdjęcie?

- To jakiś absurd!

- Siadaj, Joe, i słuchaj. Hope mieszka w Kanadzie. Od początku mieszkała w Kanadzie. Ludzie, którzy ją wychowali, byli od nas znacznie starsi. Już nie żyją.

Boris Quinn znalazł w Internecie trochę informacji o Karinie. Wyszła za męża za niejakiego Boba Gililanda, mają dwójkę dzieci, teraz są rozwiedzeni. Karina pisze książki dla dzieci. Faith ma wszystkie. Kilka sama czytałam Remy i Aleksowi.

- Pleciesz bzdury! - Joe podszedł do bufetu i nalał sobie kawy. - Dlaczego niby ta kobieta miałaby być Hope?

- Człowiek, który ją porwał, opowiedział wszystko Faith. Oczywiście sprawdzają z Borisem to, co od niego usłyszeli, ale nie ma powodów nie wierzyć w jego słowa. Wszystko się zgadza.

- Ty uwierzyłabyś nawet, że dziecko porwali kosmici, gdyby jakiś bałwan żywcem wyjęty ze „Star Trek” powiedział ci, że widział tamtej nocy światełko na niebie.

- Nie uwierzyłabym. Ale w to wierzę.

Joe usiadł wreszcie i postawił z łoskotem kubek na stole.

- Kto ją porwał?

- Sandor Babin, kuzyn i pomocnik Dominika. Dominik nie miał z tym nic wspólnego. Dowiedział się znacznie później.

- Dlaczego to zrobił? Nie żądał okupu.

- Bo groziłeś, że może stać się jej coś złego. Straszylesz Dominika deportacją, a potem zaczęlesz opowiadać, jak łatwo udusić dziecko i...

- Nic takiego nigdy nie powiedziałem! - Furia Joego nie była do końca przekonująca.

Lydia obserwowała go uważnie. Nie kochała Joego Hustona, nawet go nie lubiła, ale chciała wierzyć, że nie planował morderstwa jej dziecka.

Jak mogłaby żyć z taką świadomością?

Powiedziała twardo:

- Jeśli okaże się, że Karina Gililand to rzeczywiście Hope, świat musi się o tym dowiedzieć. Zaraz po tym, jak się z nią skontaktujemy.

Joe zerwał się z krzesła.

- Na pewno się nie skontaktujemy i świat o niczym nie będzie się dowiadywał. Chcesz rozgłosić wszem i wobec o swoim romansie? Opowiedzieć o Dubrovie? Przyznać, że urodziłaś bękarta? Zapomnij, Lydio! Zapomnij o tej kobiecie!

- To moje dziecko. Co mnie obchodzą ludzkie opinie? Jeśli będzie chciała mnie znać, przyznam, że jestem jej matką. Nie pozbawisz mnie tego.

- Ja, ja, ja! Tylko ja! Myślisz tylko o sobie! A moja kariera? Gdybym chciał, żeby świat wiedział o Hope, dawno powiedziałbym prawdę.

- Wtedy nie miałeś powodów. Po co miałbyś rozgłaszać, że żona cię... - przerwała w pół słowa.

Wściekłość Joego zaprawiona była czymś, czego nie potrafiła określić. Ostrożnością? Przewornością?

Nagle zrozumiała.

Cała drżąc, podniosła się zza stołu.

- Nie chodzi ci o moją zdradę, prawda? Od początku wiedziałeś, kto ją zabrał. Wiedziałeś!

- Oczywiście, że nie wiedziałem. Mówiłem o tobie i o Dubrovie. Ja...

- Kłamiesz! Wiedziałeś, że moje dziecko żyje, ale ukrywałeś to przede mną. Patrzyłeś latami, jak się wykrwawiam, jak moje serce zamienia się w lód. Ty łajdaku!

Tym razem nie próbował zaprzeczać. Na jego twarzy pojawiło się coś bliskiego satysfakcji.

- Zasłużyłaś sobie na to. Owszem, wiedziałem. Ten Babin był durniem. Zgubił medalik. Znalazłem go w kołysce, z boku materacyka, kiedy ty wzywałaś policję. Święta Elżbieta, patronka ubogich. Węgierska święta. Pomocnik Dubrova był Węgrem. Widziałem go kilka razy, bo kręcił się po domu. Równie dobrze mógł zostawić w kołysce swoją wizytówkę.

Lydia wpatrywała się bez słowa w człowieka, którego żoną była tyle lat. Któremu urodziła dziecko. Z którym została nawet wtedy, kiedy dowiedziała się o planie zamachu na Kennedy'ego. A który w bezlitosny sposób torturował ją przez dziesięciolecia swoim milczeniem.

- Musisz odejść z senatu - powiedziała w końcu.
- Wytłumaczysz to przebytym zawałem. Bardzo dobre usprawiedliwienie. Jeśli tego nie zrobisz, wszyscy dowiedzą się prawdy o tobie.

- Nikt ci nie uwierzy.

- Bardzo możliwe, ale ja mam swoje córki. I czworo wnuków, które mnie potrzebują. To mi wystarczy, to więcej niż mogłam kiedykolwiek pragnąć. A ty znikniesz z mojego życia. W dniu, w którym odejdziesz z senatu, ja wniosę o rozwód.

Boris wiedział, że w Toronto jest zimno, ale nie oczekiwał aż takiego mrozu. Skąd mógł wiedzieć, że on, zażarty pacyfista, będzie musiał toczyć wojnę ze ścinającym świat lodem? Już po zmroku dotarł do hotelu „Park Hyatt” w Yorkville. Karina mieszkała niedaleko, w pobliżu uniwersytetu. Podstępem zdobył

jej telefon i tego samego podstępu chciał użyć przy pierwszej rozmowie z siostrą.

- Tylko jej nie wystrasz, Borisie - słyszał jeszcze słowa Faith wypowiedziane podczas pożegnania przed odlotem. - Najpierw trochę ją poznaj. Niech się poczuje swobodnie. Potem możesz jej powiedzieć, że cała przeszłość to jedno wielkie zmyślenie.

- I że od tej chwili prasa nie da jej spokoju - uzupełnił skwapliwie.

- I że matce pęknie serce, jeśli Hope, Karina, powie, że nie chce jej znać.

- I tym sposobem, jeżeli pozwoli się zaprosić na kolację, na przystawkach skończymy.

„Nie wystrasz jej”. Boris sam był wystraszony. Podobnie jak Faith. Dotąd był sam na świecie i nie uskarżał się na los, a swoich rodzinnych doświadczeń wolał nie przywoływać. Ojciec, który popełnił samobójstwo, matka, która zapiła się na śmierć... Dalecy kuzyni, którzy zamknęli mu drzwi przed nosem, i ich bezdomny ojciec, który zapewne zniknął na dobre.

Sandor, Puszkowy Alec, miał dość rozsądku, żeby pożegnać się z Waszyngtonem. Boris i Faith życzyli mu powodzenia. Boris dał mu wszystko, co miał w portfelu, dodał jeszcze zachlapanego farbą roleksa. Alec mógł zacząć życie od nowa, zanim informacje o Karinie przedostaną się do wiadomości publicznej. Boris był pewien, że nikt nigdy już o nim nie usłyszy.

Zastanawiał się, czy Karina okaże się jego następną kłęską rodzinną. Dotąd nie udało mu się być synem ani kuzynem. Czy będzie miał szansę przekonać się, czy się nadaje na brata?

Podniósł w końcu słuchawkę i wystukał numer,

który zdobył od nowojorskiej agentki Kariny. Na szczęście miał trochę znajomych w świecie wydawniczym.

Telefon odebrało dziecko. Pewnie jego siostrzenica. Dziewczynka o melodyjnym, słodkim głosiku.

Czekając, aż Karina podejdzie do telefonu, odchrząknął raz, drugi. Kiedy się odezwała, odchrząknął po raz trzeci, przerażony, jeśli to możliwe, własnym strachem.

Przedstawił się. Jest prezesem Scavengera, przyjechał do Toronto w interesach. Tu uciekł się do przygotowanego kłamstwa. Przygotowują portal dla dzieci: trochę gier, podstawy wiedzy komputerowej, książki elektroniczne, programy edukacyjne. Długo rozwodził się nad wcale dobrym skądinąd pomysłem. Aleksowi na pewno by się spodobał. No więc myślą o portalu dla dzieci, kończył, i dlatego chciałby zapytać, czy Karina miałyby ochotę zostać konsultantem projektu.

Odpowiedziała spokojnie, jak osoba pewna siebie, która zna swoją wartość i nie musi niczego dowodzić ani sobie, ani innym.

- Mary Ann mówiła, że może pan zadzwonić.

- Przepraszam, że tak w ostatniej chwili, w dodatku przed samymi świętami, ale wyjazd do Toronto wypadł zupełnie niespodziewanie, a że mam dzisiaj wolny wieczór, może omówilibyśmy szczegóły przy kolacji?

Karina nie mogła przyjąć zaproszenia na kolację, ale zgodziła się wpaść do hotelu na drinka, jeśli sąsiadka zgodzi się zająć dziećmi.

Zobaczył ją, ledwie weszła do „Roof Lounge”: bu-rza ciemnych włosów, długa prawie do kostek, wygodna suknia z dżerseju, przerzucona przez ramię zimowa peleryna. Kiedy wstał, podeszła z wyciągniętą dłonią.

- Pan Quinn?

- Boris.

Usiedli na kanapie przy wielkim kominku.

- „RoofLounge” ma opinię knajpy, gdzie tankują bogaci pisarze. Powiem więc od razu, że ja rzadko tu bywam.

- Nie zarabia się na książkach dla dzieci?

- Gdybym wymyśliła Harry'ego Pottera wcześniej niż Rowling, to może. - Była absolutnie swobodna, otwarta.

Starannie przygotowany fortel Borisa gdzieś się rozpułynał.

- Nie powiedziałem ci, dlaczego naprawdę zaprosiłem cię tutaj.

Uniosła brew.

- Nie jesteś tym, za kogo się podałeś?

- Oczywiście jestem prezesem Scavengera, a nie żadnym psychopata, ale nie chciałem zobaczyć się z tobą w interesach. To sprawa osobista.

Patrzyła na niego przez moment, wreszcie uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jesteśmy rodziną, Borisie?

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni płakał. Może na pogrzebie matki, a może nie. Teraz jednak oczy zaszyły mu łzami. Na moment odebrało mu mowę. Skinął głową.

Poczuł na swojej dłoni jej dłoń. Dłoń siostry.

- Czekałam, kiedy mnie odnajdziesz. Dlaczego to tak długo trwało?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Lydia postanowiła, że spotkanie musi się odbyć na Prospect Street, i Faith od razu zaaprobowała ten pomysł.

Od świąt minęło dziesięć dni. Alec i Remy cały ranek spędzili na strychu, szukając w pudłach zabawek na przyjazd Jody i Jeremy'ego. Oczywiście pod choinką czekały prezenty dla Kariny i dzieci, ale najmłodszy przedstawiciel rodziny Bronsonów nie dali się przekonać, że kuzynostwo będzie wystarczająco zafrapowane grami komputerowymi i Lincoln Logs.

Faith namawiała matkę, żeby przyłączyła się do przeszukiwania strychu, ale Lydia stanowczo odmówiła. Bała się, że imię jej matki, tak pięknie wycięte w drewnie, wykończy ją definitywnie. I tak ledwo się trzymała.

Rozmawiała z Kariną dwa razy. Po raz pierwszy w dzień po wizycie Borisa w Toronto, drugi raz, kiedy ustalały termin spotkania. Nie bardzo pamiętała, o czym rozmawiały.

- Wypij to. Dobrze ci zrobi. - Boris podał Lydii

filiżankę herbaty i usiadł obok niej na kanapie. - Nie denerwuj się, bo nie ma powodu. Karina przyjęła wszystko spokojnie, nawet fakt, że jest głośną w swoim czasie Hope Huston. Jest szczęśliwa, że ją odnaleźliśmy. Wiele lat czekała, że wreszcie odszuka ją ktoś z rodziny. Tak naprawdę spodziewała się mojej wizyty.

- Dziękuję ci, Borisie.

- Nie masz za co dziękować, bo zrobiłem to dla siebie. Szukałem odpowiedzi.

- Zawsze tak postępujesz?

- Jak?

- Składasz wszystkie swoje dobre uczynki na karb egoizmu?

- Nie jestem święty, Lydio.

- Ale jesteś dobrym człowiekiem?

Przez chwilę się zastanawiał, aż w końcu wzruszył ramionami.

- Nie takim najgorszym.

- Kochałam twój ojca. Chcę, żebyś to wiedział. On też mnie kochał.

- Cieszę się, że go kochałaś.

- Byłby z ciebie bardzo dumny. Zawsze był, ale teraz, kiedy odnalazłeś Hope i sprowadziłeś ją do domu...

- I odczyściłem jego imię.

- Nie w tym rzecz. Dominik był dumnym człowiekiem, ale nie dlatego odebrał sobie życie. Był porywczy, namiętny. Kiedy straciliśmy wszystko, co mieliśmy, życie stało się dla niego nie do zniesienia. Przyjechał do tego kraju szukać wolności, a znalazł się w potrzasku. To było zbyt wiele.

- Może, ale wolałbym, żeby jeszcze trochę pobył na tym świecie.

Lydia położyła rękę na jego dłoni.

- Mam swój udział w tej tragedii. Ja... - Odchrząknęła. - Niech odzyskanie Hope choć trochę ci wynagrodzi stratę Dominika.

Jeśli Lydia miała jakieś wątpliwości, czy Boris jest dobrym człowiekiem, teraz je rozwiązał:

- Dość już wycierpiałaś, czyż nie tak? Cieszymy się Hope i zapomnijmy o bólu.

Kiedy Faith zeszła na dół, zastała w salonie matkę i Borisa pogrążonych w rozmowie. Wszyscy ulegali urokowi Borisa, ale musiała przerwać to tête-à-tête.

- Czas jechać na lotnisko po Karinę.

Lydia spojrzała na zegarek, którym potrząsała cały ranek, pewna, że wskazówki posuwają się za wolno.

- Już?

- Nie wiem, jak mama to wytrzyma. Pewnie nie przeżywała takiego napięcia od dnia porwania Hope - cicho szepnęła Faith, odprowadzając Borisa do drzwi.

- Jest silna. - Ogarnął kosmyk włosów z jej policzka. - Jak jej córki.

- Cieszę się, że z nami jesteś.

- Należę teraz do rodziny. Przecież jestem prawie twoim bratem.

- Nie waż się nawet myśleć w ten sposób.

- Ty o mnie tak nie myślisz, he?

Myślała o nim na setki różnych sposobów, ale żadnego nie można by nazwać siostrzanym.

- Powoli, krok po kroku. Pamiętasz?

- Mój własny pomysł. W dodatku bardzo zły.

- Jeszcze raz czule dotknął jej policzka i zniknął za drzwiami.

Faith wróciła do matki.

- Chcesz na pewno, żeby Remy i Alex byli przy spotkaniu? Mogę zadzwonić do Davida...

- Nie. Dzieci Kariny się ucieszą. - Zamilkła na moment. - Nie byłam dotąd najlepszą babką. Co będzie, jeśli się nie poprawię?

- Pokochasz Jody i Jeremy'ego i oni pokochają ciebie.

- Remy i Alex nie bardzo wiedzą, jak się ze mną obchodzić.

- Tak bardzo się zmieniłaś w ostatnich miesiącach, że mają całkiem spory zamęt w głowach. Ale są zachwyceni nową babcią.

- Nie mam pojęcia, co powiem ludziom.

Na razie nikt, oczywiście poza rodziną, nie wiedział o odnalezieniu się Hope. Faith pomyślała, że to dobry temat, aby zająć czymś myśli matki.

- Jest ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać, kiedy już będziesz gotowa.

Lydia zrobiła się czujna.

- Dokonaliście z Borisem cudu. Ufam wam całkowicie, ale nie chcę, żeby to był jakiś dziennikarz z konserwatywnych mediów.

- Uważasz, że skoro tyle lat byłam żoną Davida, nie znam już innych ludzi?

Nieco zbyt długie milczenie Lydii było wystarczającą odpowiedzią.

- Są tacy, którzy chętnie poznają twoją i ojca wersję, i którzy całą sprawę przedstawiają w niekoniecznie dobrym dla wielkiego senatora świetle.

- Kto taki? - zapytała wreszcie Lydia.

- Ham.

- Kochanek Davida?

- Boże, jak to brzmi. Tak, jego mam na myśli. Abraham Stein. Zna już naszą historię. Alex i Remy spędzili kilka popołudni u Davida i Hama. Alex bez przerwy opowiada ojcu o Karinie. Komuś musi, skoro każemy mu trzymać buzię na kłódkę. No i...

- Pozwalasz im tam bywać?

- Ich ojciec jest gejem, a jego przyjaciel to miły człowiek, no i jakby ojczym Remy i Aleksa.

- Córko!

Faith wybuchnęła śmiechem.

- Musisz się przyzwyczaić. Wątpię, czy zdobędę się kiedyś na całkowity obiektywizm wobec Hama, ale wiem, że ma mocny kościec moralny.

- Jesteś zupełnie inną kobietą, niż byłaś.

- Niech pierwszy opublikuje naszą historię. Jest uczciwy, rzetelny, dyskretny, no i ma zbyt wiele do stracenia, bo David nigdy by mu nie wybaczył, gdyby skrzywdził w jakikolwiek sposób dzieci. - Faith udało się skutecznie zaprzątnąć uwagę matki. Lydia wpatrywała się w nią, jakby chciała wyczytać z jej twarzy wszystkie tajemnice.

- Zależy ci na Davidzie, prawda? Na pewno, skoro jesteś taka nonszalancka.

- Wierzę, że któregoś dnia będziemy mogli zostać dobrymi przyjaciółmi. Dał mi przecież dwoje wspaniałych dzieci. Jestem mu za to dozgonnie wdzięczna.

- Jeśli doradzasz mi, żebym wyjawiała rodzinne sekrety kochankowi twojego byłego męża, to już jesteście przyjaciółmi. - Lydia wskazała córce miejsce koło siebie na kanapie. - Podjęłam decyzję - oznaj-

miła. - Wystawiam dom na sprzedaż. Nie będę mieszkała w Great Falls.

Faith oczekiwała tego kroku. Joe już się wyprowadził z rezydencji i zamieszkał w hotelu.

- Zamieszkaj z nami. Zrobimy dla ciebie apartament na piętrze, a my wyremontujemy dla siebie poddasze.

- Chcę być blisko was, ale nie aż tak blisko. Poza tym to teraz twój dom. Tak go traktuję. - Lydia przerwała dla większego efektu. - Muszę poszukać czegoś w okolicach Aleksandrii, żeby mieć niedaleko do pracy.

- Pracy?

- Pomożesz mi znaleźć odpowiednie mieszkanie, Faith?

- Pracy? - powtórzyła Faith.

- W przyszłym miesiącu zacznę pracować w Centrum Dzieci Zaginionych. Jako wolontariuszka, ale w pełnym wymiarze godzin. Od lat mnie namawiali, ale to było dla mnie za trudne. Teraz będę mogła pomóc tym biednym istotom.

Faith uściśnęła dłoń matki.

- Wspaniale. Jestem z ciebie dumna.

- Naprawdę?

- Jasne. Ojciec wie?

- Kontaktujemy się wyłącznie przez adwokatów, poza tym nie potrzebuję już jego przyzwolenia. Zgodził się jednak na sprzedaż domu i przeprowadzenie podziału majątku. Nie będziemy mieć już nigdy żadnych kłopotów finansowych. Mogę robić, co mi się podoba.

- Nie odpowiada na moje telefony. - Faith była

z tego właściwie zadowolona. Nie wiedziała, co miała-
by ojcu do powiedzenia, gdyby przyszło do rozmowy.

- Znalazłaś Karinę, a on zapłacił za to utratą
miejsca w senacie. Ale próbuj. Być może któregoś
dnia pogodzi się z tym. - Lydia zmieniła temat. - Co
z nowym mężczyzną w twoim życiu?

Dla Faith wszystko działało się zbyt szybko.

- W ciągu jednego roku straciłam męża, odnalaz-
łam siostrę, straciłam ojca, odkryłam na nowo matkę,
omal nie straciłam córki. Uważasz, że mam jeszcze
czas myśleć o Borisie?

- Kochasz go? - dociekała Lydia.

- Mamo, ostatnio nie jestem niczego pewna, nawet
tego, jak się nazywam.

Lydia nachyliła się.

- Wiem. Najpierw musisz się przyzwyczaić, nau-
czyć mówić o rzeczach naprawdę ważnych. - Na
moment zagryzła wargę. - Straciłam Hope i gdzieś po
drodze straciłam również ciebie. Powiedziałaś, że
odkryłaś na nowo matkę. Czy rzeczywiście odnalaz-
łyśmy się nawzajem?

Faith wzruszyła niepewność Lydii bardziej niż
cokolwiek innego. Uścisnęła jej dłoń.

- W samą porę. Skoro już otworzyłyśmy drzwi,
pojawiło się także miejsce dla Hope.

Samolot spóźnił się o całą godzinę z powodu złych
warunków atmosferycznych i poświętecznego ruchu.
Na lotniskach w całym kraju panował zamęt.

Boris co kilkanaście minut dzwonił na Prospect
Street. W ostatniej rozmowie zapewnił, że samolot
Kariny powinien wylądować lada chwila.

Lydia nie była pewna, czy przeżyje oczekiwanie.

- Poradzisz sobie? - zapytała Faith pół godziny po ostatnim telefonie Borisa.

- Mam praktykę. - Lydia usiłowała nadać swojemu głosowi mocne brzmienie. - Tyle razy wyobrażałam sobie spotkanie z Hope, chociaż zawsze tłumaczyłam sobie, że to tylko rojenia.

- W każdym razie miałaś czas się przygotować.

- Trzydzieści dziewięć lat.

Przed domem trzasnęły drzwiczki samochodu. To, że ktoś znalazł miejsce do zaparkowanie na Prospect Street, graniczyło z cudem. Jeśli tym kimś miałyby się okazać Boris Quinn, cud by się dopełnił.

Faith podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Odwróciła się z rozświetlonymi radością oczami.

- Boże, ona wygląda jak Boris, mamo. Na zdjęciu tego nie dostrzegłam. Nic mi nie powiedział.

Lydia miała zupełnie miękkie nogi.

- Może jednak nie wstawaj - zaniepokoiła się Faith. Było za późno. Lydia już stała. Krótkie puknięcie i drzwi się otworzyły. Boris pchnął je, zanim Faith zdążyła otworzyć, i cofnął się.

W progu pojawiła się Karina, a za nią dwoje wielkookich dzieci.

Podeszła prosto do Lydii. Prawie nieuchwytna pauza, choć dla Lydii czas przestał się liczyć, i Karina uśmiechnęła się. Uśmiechem swojego ojca.

- Witaj, mamo. Wreszcie jestem w domu - powiedziała cicho.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Pewnego zimowego dnia Faith odgarniała śnieg. Wtedy właśnie po raz pierwszy uderzyła ją symboliczna wymowa faktu, na który dotąd nie zwracała uwagi: fundamenty domu na Prospect Street zostały wylane przed ponad stu laty. Sto lat. I wtedy w głowie Faith zrodził się pewien pomysł.

Zrealizowała go wiosną.

- Myślisz, że to się uda? - zapytała ją matka niepewnie.

- Uda się - zapewniła Faith, podając Lydii dłuto i młotek. - Próbowałam, kamień jest bardzo miękki. Odwagi, mamó. Nie musisz być przecież Michałem Aniołem.

Lydia, ubrana w jasnoczerwony kostium, w którym była tego ranka na pierwszym nabożeństwie odprawianym przez pastora Davida Bronsona, nachyliła się i zaczęła kuć.

- Masz aparat fotograficzny? - zapytała Karina siostrę.

- Dzięki, że mi przypomniałaś. - Faith próbo-

wała przywołać Aleksa, który akurat gonił Jeremy'ego po ogrodzie. - Nie zdeptajcie kwiatów, chłopaki.

Faith poprosiła ich, żeby przynieśli aparat.

- A Remy nie mogłaby go przynieść? - obruszył się Alex.

- Remy poszła do Dottie Lee. - Dottie szła właśnie przez swój ogród z Titi pod pachą do ogrodu Faith, a Remy rozgarniała gałęzie, żeby starsza pani mogła przejść. Jody jej pomagała.

Alex mruknął coś o niewolniczej pracy i pobiegł do drzwi sutereny.

Boris objął Faith.

- Może powinniśmy zastanowić się nad naszym specjalnym świętem? - szepnęła.

Piękna chwila, pomyślała Faith.

Lydia mruknęła i wróciła do wykuwania swojego imienia w piaskowcu.

Byli zupełnie inną rodziną niż rok temu. Faith rozwiodła się z Davidem, Lydia rozstawała się z Joem i właśnie przeprowadzała się do nowego mieszkania, w czym pomagała jej Karina.

Policja i FBI przesłuchiwały rodzinę, ale Faith i Boris niewiele potrafili powiedzieć o Sandorze. Puskowy Alec znikł, ale Faith i Boris mieli nadzieję, że dożyje swoich lat w spokoju.

- Zaczęliście beze mnie - powiedziała Dottie Lee z pretensją w głosie.

- Dokończ za mnie, jeśli masz ochotę - oznajmiła Lydia, podnosząc się.

- Mamo, przecież prawie nic nie zrobiłaś - skrzywiła się Faith.

- Wystarczy, żeby potomność przeczytała. Niech Karina wykuje teraz swoje.

Wszystkie trzy: Lydia, Faith i Karina, wykuwały swoje imiona. Tak długo były rozłączone, teraz wreszcie razem.

Z domu wyszli David i Ham. David jeszcze w garniturze, Ham w dżinsach i flanelowej koszuli.

- Coś przegapiliśmy? - zapytał David.

- Wróćcie za dziesięć lat, wtedy skończymy - odparła Faith. - Dopiero zaczęłyśmy.

Remy i Alex stanęli koło ojca, który ich objął. Cała czwórka Bronsonów od kilku miesięcy chodziła na terapię rodzinną. Było to bolesne doświadczenie, które wiele jednak wniosło w ich życie. Remy ciągle sprawiała poważne kłopoty, ale Faith usiłowała je rozwiązywać wspólnie z Davidem. Ważne, że córka miała dobre stopnie i chętnie chodziła na lekcje fortepianu.

- Dziękuję, że byliście rano na nabożeństwie. To wiele dla mnie znaczyło - powiedział David.

Faith była z niego dumna. Dzisiaj wygłosił swoje pierwsze kazanie, wybierając za temat wybaczenie. Bez wątpienia znalazł swoje powołanie.

- Byłeś wspaniały - oznajmiła z uśmiechem i zerknęła na Hama. - A ty jak sądzisz?

- Dla mnie znakomity. I za dwadzieścia lat nie będzie lepszy.

- Chcemy ukraść dzieciaki, ale możemy poczekać - powiedział David.

Karina podała dłuto i młotek Faith.

- Teraz ty kuj, ja mam na razie dość, choć coś już widać. - Ledwie zarys imienia, podobnie jak w przypadku Lydii, ale miały przecież mnóstwo czasu, żeby

dokończyć swoje dzieło. A kiedy już je wreszcie skończą, ich imiona zostaną na zawsze uwiecznione w kamieniu.

Kiedy Faith także podniosła się znad kamienia, została nagrodzona przez całą rodzinę oklaskami. I ona niewiele dokonała, ale przecież miała czas.

Powoli wszyscy wychodzili. Najpierw David i Ham z Remy i Aleksem, potem Lydia z Kariną i jej dziećmi, w końcu zniknęła Dottie Lee.

Faith została z Borisem.

- Niezwykły dzień, prawda? - zapytała, patrząc na niego rozjaśnionym wzrokiem.

- Zaczynamy wszystko od nowa.

Faith czekała, ale nie powiedział nic więcej. Od czasu ich sporu zachowywał się wobec niej czule, serdecznie, ale nie byli kochankami. Chciała, żeby wreszcie to powiedział, żeby się zdecydował, lecz on spodziewał się, że to ona zrobi pierwszy krok.

- Co zaczynamy od nowa? - zapytała.

- To zależy od ciebie.

Od ponad roku panowała nad swoim życiem. Była dumna z tego, co udało się jej osiągnąć, i z tego, co dała innym. Z wielu rzeczy potrafiła zrezygnować.

Ale na pewno nie z człowieka, który stał naprzeciwko niej.

Wyciągnęła do niego dłoń.

- Nadal sprawdzasz swoją cierpliwość, Borisie? - zapytała. - Czasami wydaje mi się, że jesteś aż nazbyt cierpliwy.

- Owszem, jestem cierpliwy i należy mi się za to pochwała. Pamiętaj też, że można na mnie polegać.

- Wiesz, że polegam na tobie na śmierć i życie.

- Zabawne sformułowanie. Któregoś dnia mogę wziąć cię za słowo.

- Chcesz mnie wziąć ze wszystkimi moimi wadami? - zapytała.

- Na razie chcę cię wziąć do swojego domu, dopóki dzieci nie wrócą. Pojedziesz ze mną?

Ścisnęła mocno jego dłoń.

- Chciałam zaproponować ci kolację, prawdziwą domową kolację. Tylko we dwoje. Winna ci ją jestem od dnia, kiedy uratowałeś nasze pianino.

- Możesz ugotować kolację u mnie.

- Tak późno usiadziemy do jedzenia?

Przygarnął ją do siebie i pocałował. Takiej właśnie odpowiedzi potrzebowała.